This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

**Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

**About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

**Zasady użytkowania**

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

**Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 6474.68

2278

Slav 6474.68

HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of
THE KELLER FUND

Bequeathed in Memory of
JASPER NEWTON KELLER
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER
MARIAN MANDELL KELLER
RALPH HENSHAW KELLER
CARL TILDEN KELLER

VE RI TAS

W74/2
1666
8

W 74.

# WARSZAWA

## I JÉJ SPOŁECZNOŚĆ.

= alles Excellenz!

# WARSZAWA

## I JÉJ SPOŁECZNOŚĆ

### W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

9(438)„ 18*
B 88

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

71767

*Wydanie Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.*

yc zaczną dawném życiem i
tak cudownego narzędzia,
młodzi drogiém wspomnieni
ym i doda siły do wiernego
okryła.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1875.

Z KSIĘGOZBIORU
MARIANA
GAWALEWICZA

Slav 6474.68

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
MAR 16 1967

Keller Ed

Дозволено Цензурою
*Варшава 11 Декабря 1874.*

BIBLIOTEKA PUBLICZNA MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWY

2278

Druk J. Bergera, w Warszawie ul. Daniłowiczowska Nr 619.

# WSTĘP.

Druga połowa naszego stulecia dobiega, gdy się wiek XIX-sty rozpoczął: z téj właśnie doby od 1800 do 1830 pragniemy skreślić tak wizerunek Warszawy jak i jéj społeczności, zostawiając innym późniejsze lata.

W żywéj pamięci mamy wyryte te czasy, boć to gniazdo rodzinne, w którém wedle dawnéj piosnki „przeskakałem wiek młody“ i tu szron siwizny ubielił głowę.

Grodzie ukochany! ten co się wykołysał na twoim bruku, rozbudza teraz w strudzonéj głowie twoje i swoje wspomnienia. Myśli puszcza jak sokoły w upłynioną przeszłość, aby mu przyniosły z owego świata co w rzeczywistości zamarł, te widoki staréj siedziby, obudził te postacie, co oddawna spoczęły w mogiłach.

Ludowa powieść mówi, że kto w oznaczonéj chwili na wiosnę, z wierzby co nie słyszała nigdy piania koguta, wykręci fujarkę, a na niéj pod *figurą* przy rozstajnych drogach, o saméj północy w wigilię św. Jana, gdy *paproć* kwitnie, zagra: to na to granie, mogiły się otworzą, zmarli oddawna zmartwychwstaną w swéj własnéj postaci, żyć zaczną dawném życiem i mówić poczną jak kiedyś mówili.

Niestety! nie znamy tak cudownego narzędzia, ale przy Bożéj pomocy, gdy myśl się uskrzydli i odmłodzi drogiém wspomnieniem, może choć w części odpowie pragnieniom naszym i doda siły do wiernego malowidła, co opona pół wiekowa, cieniem swoim pokryła.

---

Warszawa.

Z KSIĘGOZBIORU
MARIANA
GAWALEWICZA

2278

ergera, w Warszawie ul. Daniłowiczowska

# I.

Zewnętrzna postać miasta.—Obszar Warszawy.—Stare Miasto.—Rynek.—Ratusz miejski.—Processya Bożego Ciała.—Zajęcie Warszawy przez Karola Gustawa.—Jan Kazimierz.—Szturm do miasta.—Generał Wirtemberg.—Zdobycie.—Bitwa pod Pragą.—Zajęcie powtórne przez Szwedów.—Zburzenie dawnych fortyfikacyj —Czasy księztwa Warszawskiego.

Wszystkie cechy średniowiecznego grodu nosiła na sobie Warszawa, na początku bieżącego wieku: ślady nawet swoich dawnych przechowała warowni.

Nie wielką téż przestrzeń zajmowało samo miasto, lubo przedmieścia nie zabrukowane, zubudowane z rzadka małymi drewnianemi dworkami, daleko się rozciągały.

Przybywający od strony przedmieścia *Pragi,* miał przed oczyma do razu rozwinięty piękny obraz dawnéj stolicy, wzniesionéj na wzgórzu po nad Wisłą.

Z téj strony widok Warszawy mało się odmienił: żadna wyniosła wieża kościelna nie wybiegła po nad inne, tylko przerwa między domami wydatna; czerwone mury cytadeli zamykają z lewego wybrzeża miasto od strony Bielan.

Zniknęło dużo zieloności, gdy ogrodów wiele wycięto, a w ich miejsce, nieznane dawniéj wysokie kominy fabryk, wyskoczyły po nad obszerne budynki.

Za to podróżny wjeżdżający od Mokotowa, Woli, Powązek, znajduje wielką różnicę. Obszerne niegdyś pola i pustkowia zajęły długie ulice, zabudowane wspaniałemi domami: części miasta ciche, głuche i bezludne, teraz pełne nieustannego ruchu i gwaru. A bywało, przebywszy już rogatki miasta, zdawało się że to długa ciągnie się wioska; gdzie niegdzie tylko zwracała uwagę kamieniczka murowana piętrowa, a jak *raróg* rzadka budowla o dwóch piętrach, i ta nosiła wtedy nazwę pałacu. Dworki drewniane zdala od siebie stojące poprzedzielane to płotami, to parkanami, ciągnęły się wzdłuż całego Nowego Świata od okopów do Wareckiéj ulicy: koniec właściwego miasta był z rogiem Święto Krzyskiéj.

Do dalekich wycieczek należały *Łazienki królewskie,* do których po wielkiéj uléwie nie łatwy był przystęp dla pojazdów i dorożek, albowiem potoki wody robiły na drodze spadzistéj do *mostu króla Sobieskiego,* głębokie w piaszczystym gruncie wyrwy, których ominąć nie można było, a przebyć niepodobna. Sam pamiętam, jak z przedsiewziętéj wycieczki do tego ustronia, trzeba było z wielkim żalem zawracać do domu, nie ujrzawszy pałacu ani parku, i nieodetchnąwszy jego świeżém powietrzem.

Ulice Nowy-Świat i Aleje, był to ciąg nie przerwany ogrodów owocowych i warzywnych, które aż nadto wystarczały na ludność nie

wynoszącą ośmdziesiąt tysięcy. Dodajmy, że długie szeregi takichże ogrodów, ciągnęły się po bocznych ulicach i obszernych placach. Słynęła też w on czas Warszawa z wybornych owoców i jarzyn, które mały zarobek ogrodnikom przynosiły, z powodu ich ceny zbyt nizkiéj dla swéj obfitości.

Warszawa straciwszy tytuł i znaczenie stolicy obszernego państwa w ostatnich latach XVIII stulecia, przeszedłszy pod panowanie pruskie, nagle zaczęła upadać. Jako miasto prowincyonalne, bez handlu i przemysłu, opuszczona przez dwór królewski, panów i szlachtę bogatszą, do razu opustoszała. Dwa wspaniałe niedawno pałace Radziwiłłowskie na Krakowskiém Przedmieściu (Namiestnikowski) i na Miodowéj ulicy (poźniejszy Paca), w których za panowania Stanisława Augusta bawiono się tak ochoczo przy stołach karcianych zasypanych złotem, przy strugach kosztownych win, w towarzystwie pięknych pań najwyższych domów, poszły w ruinę. Tak było i z pałacami książąt Jabłonowskich (gdzie dziś ratusz), *Resursy kupieckiéj* i wielą innemi.

Mieszkańców zamożnych coby dostatnio chcieli żyć w mieście, jak przed laty, zabrakło: wszystko wyniosło się na wsie do swych dworów. Urzędnicy, od posługacza do najwyższego pana radcy, sami niemcy, skromnie żyli i najtańsze zajmowali mieszkania. Obszerne apartamenta stały pustkami i wielkie domy i pałace spadły za bezcen. Dosyć powiedzieć, że ogromny dóm pod filarami (dziś Dyzmańskich) wychodzący na dwie ulice Miodową i Podwale ofiarowano za 30,000 złp. ówczesnych, a przechodni dom Rezlera na Krakowskiém Przedmieściu za 36,000 złp. i nabywców trudno było znaleźć. Nie przynosiły bowiem żadnego prawie dochodu, a utrzymanie ich i podatki wymagały ciągłych wydatków.

Głównem sercem Warszawy było *Stare Miasto* wraz z Zamkiem królewskim. Rynek prostokątny zdobił starożytny ratusz, pozostałość jeszcze z okresu panowania udzielnych książąt Mazowieckich, których główną stolicą była Warszawa, jakkolwiek licząca się do daleko późniejszych grodów od Czerska, Płocka i wielu innych. Był to gmach, jak na owe czasy okazały, murowany, z wyniosłą wieżą. W około ganek żelazny dla trębaczy, u wierzchołka gałka złota z powietrznikiem, a nad nią herb miasta *Syrena*. Posadzki i schody kamienne, a idąc niemi w ścianach obustronnych tablice marmurowe, na których w wierszach łacińskich i polskich, ważniejsze zdarzenia do kroniki miasta były wyryte.

W *sądowéj Izbie* i przybocznych komnatach zawieszone portrety książąt Mazowieckich i królów panujących. Pomiędzy temi odznaczał się wielki obraz przedstawiający w całych postaciach ostatnich książąt Mazowieckich Stanisława i Janusza, oraz ich siostry Anny, po których zgonie Mazowsze włączoném zostało ostatecznie do Korony. Byli to bowiem jedynyni potomkowie po mieczu z linii Piastowskiéj panu-

jącéj na udzielném Mazowszu [1]). W sądowéj izbie stał posąg *sprawiedliwości* z zawiązanemi oczyma, w jednéj ręce *miecz*, w drugiéj *szalę* trzymający. W około murów ratusza zaległy liczne kramy i stragany: przy jednéj jego ścianie od strony katedry stał pręgierz, gdzie kat ścinał mieczem skazanych lub piętnował rozpaloném żelazem. Mieszkańcy Starego Miasta wieczorem omijali go z trwogą, mówiono bowiem powszechnie i wierzono temu, że niewinnie stracona służąca jakiéjś wielkiéj pani, ścięta mieczem kata, po zachodzie słońca staje na tym pręgierzu, trzymając własną głowę pod pachą, obchodzi ratusz i cały rynek w około.

Ze czterech stron zabudowanym jest rynek ten kamienicami rozmaitego kształtu i architektury. W ścieśnionych szeregach obok siebie przytulone, mają podwórza zaledwie dla światła wewnętrznych okien i to nie osobliwego przydatne, obliczone skrupulatnie na to, nie żeby dały wygodę dla mieszkańców konieczną i oddech świeżego powietrza, ale żeby jak najmniéj ziemi zajmowały. I nie mogło być inaczéj w piérwotnym planie, albowiem miasto całe było obwiedzione grubemi murami, warownemi bramami i basztami, mając służyć zarazem i zaksiążęcą stolicę, i za bezpieczną fortecę. Jako zabytek tych fortyfikacyj pozostały do naszego okresu dwie bramy: *Krakowska* i *Nowomiejska*, które w naszych oczach zburzono.

Jak szczupłym był gród Warszawy po włączeniu już Mazowsza do Korony, dowodzi najlepiéj szczegółowy opis, gdy w 38 lat późniéj, bo w roku 1564 za Zygmunta Augusta, Stare Miasto z Zamkiem i przybocznemi ulicami liczyło wszystkiego sto pięćdziesiąt cztery kamienic murowanych.

Rynek Starego Miasta wspaniale szczególniéj wyglądał w uroczystość *Bożego Ciała*.

Po pod kamienicami, szeregami stało wojsko pod bronią, za niém lud gromadnie. Ze czterech stron wznosiły się ołtarze.

Pod okazalym baldachinem postępował arcybiskup, otoczony orszakiem wyższego duchowieństwa i kleru. Dym wonnego kadzidła wzbijający się wśród starych murów gęstą chmurą, odgłos dzwonów katedry i poblizkich kościołów, połączony ze śpiewem pieśni pobożnéj tylu tysięcy chórem wznoszonéj; powaga i majestat całego obrzędu, nie startémi wspomnieniami wyrył się w pamięci każdego, kto go oglądał.

Wązkie ulice wiodły w różne strony miasta: Święto Jańska i Piwna do królewskiego Zamku.

Plac przed nim dziś otwarty, zapełniały kamienice trzy i czteropiętrowe, a poza Bramą Krakowską, czyli wjeździe do téj siedziby mo-

---

[1]) Obraz ten wielce ciekawy pod względem kostiumów, współcześnie za ich życia malowany, dochował się jeszcze w nowym ratuszu Warszawy.

narszéj, już na Krakowskiém Przedmieściu, wznosił się dotąd stojący posąg Zygmunta III. Pomnik ten wzniósł syn jego Władysław IV i słusznie, bo Warszawa zawdzięcza mu swój wzrost następny, gdy z Krakowa przeniósł do niéj stanowczo około roku 1610 stolicę państwa, lubo w niéj już poprzednio przemieszkiwał. W dziejach Warszawy najwydatniejszym jest wypadek, godny zachowania, o którym zaraz powiemy, albowiem on wpłynął przeważnie na jéj rozwój w następnych latach.

Kiedy w roku 1655 Karol Gustaw król szwedzki najechał Polskę, w towarzystwie Hieronima Radziejowskiego, trwoga jakby gniew Boży, taka padła na wszystkich, że co żyło w popłochu przed zwycięzkiemi chorągwiami najezdnika uciekało, albo się z pokorą korzyło.

Jan Kazimierz z Warszawy spiesznie uchodził, i stolica bezbronna łatwo w ręce Szwedów wpadła. Ale ci ocenili dobrze strategiczne jéj stanowisko i jako silną warownię osadzili dobraną załogą.

Stanął na jéj czele doświadczony generał Wirtemberg, a mając dwa tysiące wprawnego do boju żołnierza, w tak szczupłym obrębie murów, był pewnym że wszelkie pokuszenia o zdobycie Warszawy potrafi odeprzéć. Jakoż wkrótce i wypadki to poświadczyły.

Kiedy po cudownéj obronie Kordeckiego *Jasnéj-góry*, król Jan Kazimierz wrócił z tułaczki po obcych ziemiach i stanął na czele silnéj armii, bo wraz *z pospolitém ruszeniem* wynoszącéj do stu tysięcy wojska; podstąpił pod Warszawę, ażeby co rychléj stolicę ojca swego z rąk szwedzkich wyswobodzić. W pomoc mu przybyły hufce Tatarów, dwadzieścia tysięcy jeźdźców i wtedy pierwszy raz miasto nasze ujrzało ogorzałe oblicza, śniadych pohańców z małémi a błyszczącémi oczyma, w kołpakach baranich i kożuchach, te dzikie dzieci Perekopu i Krymu z szablą u boku i z sahajdakami strzał pełnych na plecach.

Król założył główną kwaterę w dawnym zamku książąt Mazowieckich (*Ujazdowie*) oddalonym od Warszawy. Wkrótce nakazał szturm do miasta, gdyż spieszył na odsiecz Wirtembergowi Karol Gustaw wraz z elektorem Brandeburskim.

Za daném hasłem rzucono się ku murom warownym. Wirtemberg chciał powstrzymać pierwsze natarcie i wycieczką z *Bramy Krakowskiéj* sam kierując, rozpoczął żywą walkę przy kościele *Bernardyńów*, a następnie i w samém wnętrzu świątyni. Naciśniony jednak i schwytany już przez jednego z Mazurów, zaledwie, zostawiwszy pendent z pochwą od swéj szabli, potrafił się wymknąć i cofnąć do miasta.

Bito się zawzięcie. Szlachta mazowiecka stawiając drabiny na mury *Bramy Krakowskiéj*, daremnie zdobyć je pragnęła. Celnym ogniem piechoty szwedzkiéj rażona, trupami zasłała ziemię przy posągu Zygmunta III.

Generał szwedzki zmiarkowawszy że przed taką nawałą, z zapałem idącą do boju, długo nie wytrwa, wysłał trębacza z warunkami *kapitulacyi* miasta, zastrzegając sobie swobodne wyjście całéj załogi

z bronią w ręku. Król dla powstrzymania rozlewu krwi i prędszego zajęcia swéj stolicy, warunki te przyjął, gdy w téjże chwili, oddział wojska z *pospolitém ruszeniem* od bramy *Nowomiejskiéj* w pobliżu kościoła Paulinów, przemógłszy długi opór, wpadł do środka miasta, i przez ulicę Gołębią już dotarł w rynek Starego Miasta.

Kapitulacya wtedy znaczenia nie miała, i Wirtemberg wraz z całą załogą zmuszony broń złożyć wzięty do niewoli, osadzony w Zamościu, tam wkrótce dokonał życia.

Niedługą była jednakże radość z odniesionego tryumfu; zbliżał się szybkim marszem Karol Gustaw z zastępami Szwedów i Brandeburczyków.

Jan Kazimierz wystąpił na równiny poza Pragą, na ich przyjęcie.

Pierwszy dzień zapowiadał pewne zwycięztwo. Chorągiew trzystukonna kwiatu rycerstwa *hussaryi* skrzydlatéj, uderzyła na Szwedów.

Jak taran niepowstrzymany, rozbiła trzy linie nieprzyjacielskie. Karol Gustaw przewrócony z koniem zbladł z trwogi. Hufiec hussaryi przebija się aż do tylnéj straży nieprzyjacielskiéj, ale nie poparty lekką jazdą, gdy król szwedzki oprzytomniał z przerażenia i zamknął roztwarte szeregi, otoczony, w pień wycięty został.

Błąd ten już się nie dał poprawić, po dwóch dniach następnych walki, Jan Kazimierz do cofnięcia się zmuszony, a szczęśliwy zwycięzca wszedł napowrót w mury opuszczonéj Warszawy.

Wtedy powziął myśl dla niéj szczęśliwą zburzenia fortyfikacyi, niechcąc osadzeniem załogi osłabiać swych chorągwi, ani dozwolić téż nieprzyjacielowi, ażeby tu miał gród warowny, mogący zatrzymać w pochodzie niemałe zastępy.

Z niesłychanym pośpiechem zwalono grube mury wzdłuż ulicy Podwale i od Wisły, ale niepodążono znieść bram warownych i baszt obronnych, bo Karol Gustaw teraz sam musiał myśléć tylko o uwiezieniu bezpiecznem ogromnych łupów zdobytych w Polsce, tak w bogatych sprzętach, srebrnych i złotych naczyniach, jak przedmiotach sztuki pędzla i dłuta, a zarazem bibliotek, które spławiał berlinkami po Wiśle do Gdańska i na Baltyk.

Teraz Stefan Czarniecki na zwycięzkich dotąd Szwedów, rzucał popłoch niezwyczajny; jak szybko posuwali się w głąb kraju, szybciéj zaczęli uchodzić na stojące w pogotowiu okręta.

Warszawa od téj chwili przestała być warownią, już murów ani baszt zrujnowanych nie naprawiano, rok rocznie tylko zajmowano się uprzątaniem gruzów, a Stare Miasto zaczęło się coraz ściśléj łączyć w nierozerwane ogniwa z Krakowskiém Przedmieściem i Nowém Miastem.

Tak za czasów Stanisława-Augusta, jak w późniejszych okresach księztwa Warszawskiego i początkach królestwa Polskiego, powolnie rozszerzała się i zdobiła Warszawa.

Okres księztwa Warszawskiego który podziwem badacza przejmuje, na tyle prac znakomitych dokonanych, w wprowadzeniu kodeksu Napoleona I, organizacyi sądów i administracyi rozumnéj w całym kraju, nie był przychylnym dla saméj Warszawy.

Były to bowiem czasy wojenne: liczne przechody wojsk francuzkich od końca 1806 roku, Napoleona I, rabując mieszkańców i odzierając ich z mienia, długo w smutnéj zachowały się pamięci. Warszawa, dumnych zwycięzców darmo karmić musiała, a ci zabierali ze stołów srebra na ich przyjęcie zastawiane i bieliznę stołową [1]).

Wielkie kwaterunki i bezprawia żołnierzy zwycięzkiéj armii, któréj poskromić czy nie chcieli czy nie umieli wyżsi oficerowie, zubożyło do szczętu Warszawian.

Zaledwie miasto oddychać zaczynało, gdy książe Ferdynand d'Este niespodzianie naszedł w 40,000 armią księztwo Warszawskie, i po bitwie o mil dwie od miasta, pod *Raszynem*, gdzie poległ żołnierz-poeta pułkownik Cypryan Godebski, wszedł do Warszawy. Niedługo przecież, wskutek zwycięztw Napoleona I opuścił ją tajemnie w nocy w samo *Boże-Ciało* 1809 roku. Radość z oswobodzenia od Niemców i Węgrów krótko trwała; mieszkańcy na nowo ponosić musieli wielkie ciężary nakładane na nich w dostarczaniu wszelkich potrzeb dla wielkiéj armii.

Lata 1812 i 1813 najniepomyślniejsze były dla miasta, i gród nasz odetchnął nieco po upadku Napoleona I i nastałéj ciszy w całéj Europie.

---

[1]) Słyszałem od biskupa Prażmowskiego, że kiedy podejmował w Pułtusku cesarza Napoleona I, z jego marszałkami i świtą, i kazał srebra zastawić: po uczcie goście obecni zagrabili takowe. Gdy się biskup uskarżał na to Napoleonowi I, ten zbył go krótką odpowiedzią: „Cóż robić, to czasy wojenne.“

## II.

Krakowskie Przedmieście. — Posąg Zygmunta III.—Próżniak Zygmuntowski.— Dom Rezlera.—Pałac Kazanowskich.—Kamienica Wasilewskiego.—Ignacy Krasicki.—Wieczory uczone.—Elżbieta Grabowska.—Franciszek Salezy Krasicki.—Młoda jego małżonka.—Śmierć jéj nagła.—Zofia de Pugett Lhullier.— Przedłużenie Krakowskiego przedmieścia.—Fara.—Ulica Święto-Jańska.—Piwna.—Zapiecek.—Handel ptastwem.—Kamienica książąt Mazowieckich.—Ulica Podwale.—Doktor Leopold Lafontaine.

Od roku 1806 do 1815, a zatém przez lat dziewięć istnienia księztwa Warszawskiego, nietylko że żaden dom nowy w Warszawie nie przybył, ale nie zdołano należycie uprzątnąć gruzów i ruin z dwóch pałaców Radziwiłłowskich (Namiestnika i Paca); domu na Podwalu (dziś Mrozowskiego) i wielu innych. Na obszernych tylko przedmieściach wzniesiono kilkanaście drewnianych dworków, które nie należały do miasta.

Praga straciła nawet piękny a jedyny swój kościół Bernardynów, który Francuzi dla względów strategicznych rezebrali, pozostawiwszy tylko małą jego kapliczkę dotąd istniejącą.

Wśród tak nieprzyjaznych okoliczności Warszawa niczém swego starego oblicza nie zmieniła przez lat zgórą piętnaście, zwolna się jednak porządkowała. Tak zwalono ratusz w rynku Starego Miasta, zburzono bramę Krakowską i kamienice zajmujące plac zamkowy, rozebrano bramę Nowomiejską. Z pod bramy Krakowskiéj przeniosły się słynne przekupki warszawskie w części na Stare, w części na Nowe Miasto; a przy wzniosłym posągu Zygmunta III, obsiedli tragarze i pilarze drzewa, którzy dali początek przysłowiu czysto miejscowemu: „*Próżniaka Zygmuntowskiego*," po całych bowiem dniach od poranku do wieczora, gromady ich, nietylko u stopni tego pomnika wyczekiwały na robotę, ale rozsiadały się w pobliżu na schodkach i progach kamienic pobliższych, spoglądając w nieczynności na wszystkie strony, czy kto nie zawezwie ich do roboty.

Krakowskie Przedmieście rozwijające się w tym okresie od zamku i kolumny Zygmunta, aż do kamienicy Wasilewskiego, która go zamykała (jak skwer dzisiejszy), należało do najokazalszych części miasta.

Po prawéj stronie idąc od zamku, w rzędzie domów odznaczał się dom przechodni Rezlera, dawna własność Hieronima Radziejowskiego. Miejscowa tradycya utrzymywała, że dom ten miał być głównym powodem wojny szwedzkiéj za Jana Kazimierza i napadu Karola Gustawa. Kiedy bowiem Radziejowski dotknięty został wyrokiem *banicyi* i wypędzony z kraju, namówił króla szwedzkiego do najazdu obiecując mu pomoc licznych swoich przyjaciół i stronników. I nie zawiódł się na téj obietnicy Karol Gustaw, bo gdy wszedł do Wielko-Polski, sto tysięcy zbrojnéj szlachty zamiast bić się, gdy wytoczono za poradą Radziejowskiego beczki z winem i wezwano do puharów

z podbechtania stronników tego bannity, zdrowie jego ochotnie duszkiem spełniało, opuszczając sprawę narodu i nieszczęśliwego Jana Kazimierza [1]).

Po przeciwnéj stronie przy kościele księży Bernardynów, stary pałac Kazanowskich, słynny z przepychu za czasów Władysława IV; o jego ozdobach wewnętrznych i bogactwach jako też sprzętach kosztownych, serwisach złotych i srebrnych, czytamy opisy pełne podziwu Francuza, sekretarza pani de Guebriaud, (co z Paryża przywiozła Maryę Ludwikę małżonkę tegoż króla), który wyznaje, iż nic podobnego nie widział w stolicy Francyi. Część tę Krakowskiego Przedmieścia zamykała o jedném piętrze obszerna kamienica Wasilewskiego, która ma zajmującą kroniczkę.

Zbudował ją Józef Wasilewski radzca dworu króla Stanisława Augusta. Na pierwszém piętrze były obszerne i wysokie salony i komnaty, a widok z okien piękny, bo na całą tę część miasta zakończoną zamkiem królewskim, posągiem Zygmunta III i bramą Krakowską.

Tu, w roku 1768 przybywszy do Warszawy Ignacy Krasicki, wówczas biskup warmiński zamieszkał i dawał tak zwane *wieczory uczone*, na których bywał cały świat literacki i król Poniatowski.

Gościnny i uprzejmy książe biskup podejmował ochotnie zgromadzonych, którym odczytywał swoje utwory w rękopiśmie, bo do druku się nie kwapił. Liczni jego goście zatém wprzód nim naród mógł ocenić wartość tych prac, już zapoznawali się to z bajkami, to satyrami i ustępami allegorycznego poematu *Myszeis*, do którego odgadnienia klucz zatraciliśmy, a najbliższy przyjaciel wielkiego poety i pisarza, Franciszek Dmochowski, tłumacz *Iliady*, nie pozostawił dostatecznego objaśnienia.

Przyjęcie w obszernych komnatach było hojne, a towarzystwo tém liczniejsze, skoro powzięto wiadomość że król Stanisław August będzie obecny.

Oprócz rozmowy w któréj wydatniał dowcip Krasickiego, po przeczytaniu kilku utworów nowych przez niego napisanych, goście zasiadali już do kart przy rozstawionych stolikach, już gawędząc przy kieliszkach smacznego węgrzyna.

Krasicki lubił grać w karty, ale nie dla pociągu szulerki, tylko że wówczas odpoczywał po pracy i przyjemnie czas przepędzał. Upodobanie miał w *lombrze*, ale gdy towarzystwa zabrakło, grywał w starego maryasza do puli.

---

[1]) W roku 1826 pokazywano mi w Poznaniu dom na rynku wprost ratusza, tak zwany „pod daszkiem," gdzie był jeszcze sławny handel win węgierskich. Budowla stara, drzwi wchodowe osłaniał daszek, a nad nim duże okno od sklepionéj komnaty. W niéj to Karol Gustaw wtedy pijąc zdrowie nowych swych przyjaciół w otwartém oknie, straciwszy równowagę, wypadł z niego i byłby zabił się na bruku, gdyby się na tym daszku nie zatrzymał.

Jeżeli bawił się grą ostatnią ze swoim sekretarzem Michałem Mowińskim, pod którego imieniem biskup własne komedye drukował, zawsze na boku stał stoliczek z papiérem, piórami i atramentem. W ciągu gry, kiedy mu myśl jaka przyszła, zaraz od kart przesiadał się do niego i w téjże chwili pisał. Tym sposobem wiele bajek i powiastek mniejszych powstało, jak ulotnych wiérszyków i piérwsze zarysy do nieporównanych satyr.

„*Uczone wieczory*" Krasickiego, nabrały równego odgłosu, jak „*Uczone obiady Czwartkowe*" na zamku warszawskim, na których bywał téż uczestnikiem i nasz poeta. Ta tylko różnica pomiędzy niemi, że żaden epigramat ani ostrze satyryczne, nie dotknęło ich wcale, gdy szambelan Kajetan Węgierski, podrwiwał sobie z *Czwartkowych obiadów*, w liście do księdza Węgierskiego:

„*A uczone obiady*"? znasz to może imię,
Gdzie połowa nie gada, a połowa drzymie;
W których król wszystkie musi zastąpić ekspensa
Dowcipu, wiadomości i wina, i mięsa."

Od tego zarzutu wolne były wieczory Krasickiego: panowała tu większa jak na zamku swoboda, nie było etykiety dworskiéj, a uprzejmy gospodarz, dając wszelką swobodę swoim gościom, uprzyjemniać umiał każde zebranie.

W kamienicy téj następnie zamieszkała głośna w tym właśnie okresie Elżbieta z Szydłowskich Grabowska, tajemnie poślubiona Stanisławowi Augustowi, wraz z najmłodszą córką swoją Aleksandrą [1]).

Dziewica piękna i powabna, liczyła siedmnastą wiosnę życia, gdy o jéj rękę zgłosił się Franciszek Salezy hr. Krasicki, kawaler orderów Orła Białego i Ś-go Stanisława.

Był to pan bogaty, mający piękne imię, szanowany z prawości charakteru, jak i wysokiego wykształcenia.

Zalotnik tak rzadki, tyle łączący w sobie przymiotów, nie był do odrzucenia; przyjęto chętnie jego oświadczyny i po zaręczynach ślub się odbył w kościele Ś-go Krzyża u missyonarzy.

Zaledwie wszakże odstąpili od ołtarza, matka zabrała córkę, odwiozła do swego domu i czujną strażą tak otoczyła, ażeby go opuścić nie mogła.

Daremnie Krasicki upominał się o swoje prawa, daremnie szukał pomocy przyjaciół i samego króla, nic matki postanowienia złamać nie mogło. Pozwoliła mu tylko odwiedzać, jako gość swoją młodą i piękną małżonkę.

---

[1]) Ślub ten, w największéj tajemnicy dawał biskup Zenopolitański, znany historyk Jan Albertrandy, w kaplicy cudownego Pana Jezusa w katedrze Ś-go Jana w Warszawie.

Przybywszy raz wcześniéj niż zwykle, zastał ją klęczącą i załzawioną w gorącéj modlitwie.

— Co ci jest?—pyta zdziwiony.

— Modlę się za twoje szczęście—odrzekła z cicha a z płaczem—boś zasłużył na nie, a ja cię kocham i szanuję.

Wzruszony do głębi, postanowił jakimbądź sposobem wydostać żonę z téj ścisłéj opieki. Jakoż, wkrótce potém potrafiła młoda hrabini omylić wszystkich czujność i przybyła do domu męża.

Niedługo wszakże cieszyli się oboje wspólném pożyciem, bo po dwóch dniach, zniknęła z domu i znalazł ją znowu w dawném u matki mieszkaniu.

Był to rok 1789; pomimo nieszczęść krajowych i wróżb smutnych, zapowiadających jego zupełny upadek bawiono się szalenie w Warszawie.

Właśnie przypadała świetna jakaś zabawa dworska. Chociaż to początek maja, bo dzień dwunasty, ale wiosna rozwinęła się z całym powabem zieloności i woni. Uderzyła nagle, niespodziewanie spiekota letnia.

Na *Foxalu* [1]) było dane widowisko, zaczynające się wcześnie po obiedzie, wieczorem zapowiedziano świetną illuminacyą z fajerwerkami.

Młoda Krasicka musiała się z polecenia matki na niéj znajdować. Dzień był skwarny, słońce przepaliło jéj głowę, wróciła słaba wcześnie do domu.

Po skończonéj fecie na przedmieściu Warszawy, zaproszeni znakomici goście, zebrali się u pani Grabowskiéj, która wezwała córkę, ażeby towarzyszyła zabawie domowéj.

Posłuszna jak zawsze, powstała z łoża, na którém spoczywała i przystrojona a blada jak lilia, stanęła na progu salonu. W téj chwili silny przewiew wiatru, z otwartego ganku ogarnia ją: zachwiała się i upadła nieżywa. Na jéj śmierć tak nagłą, wraz z całém gronem gości sproszonych patrzał i mąż, co ją ukochał serdecznie, co pragnął ją szczęściem i prawdziwą miłością otoczyć.

Wyprawiono nieszczęśliwéj Aleksandrze wspaniały pogrzeb i pochowano na cmentarzu Ś-to-Krzyzkim. Napis grobowy wyliczał jéj piękne przymioty i wdzięki.

Owdowiały mąż całe życie opłakiwał tak bolesną dla siebie stratę. Stał się odludkiem, zapadł w melancholią. Jéj wspomnienie na resztę dni jego rzuciło cień smutku rzewny, co się wyrył widocznie w spojrzeniu i na bladém a zawsze szlachetném obliczu. Po śmierci tak ukochanéj żony, nie powtórzył już więcéj związków małżeńskich.

---

[1]) Właściwie *Vauxhalle* dom z obszernym ogrodem przy ulicy Nowy-Świat pod N-r 1297. Tu w tych czasach dawane były widowiska, zapalano ognie sztuczne i tańczono na salach; zabawy te miały powab i swoją sławę.

W lat trzydzieści dwa po tym wypadku, spotykaliśmy go często w r. 1821, przechadzającego się po Krakowskiém-Przedmieściu; zawsze stawał w pobliżu téj kamienicy, zwracał ku niéj tęskne spojrzenie, jakby się spodziewał, że ujrzy postać ubóstwionéj istoty. W końcu tegoż roku zakończył życie [1]). Obok Wasilewskiego domu, stała wązka i niższa kamieniczka, szczególnéj architektury, własność niegdyś francuzki, zwyczajnie zwanéj przez Warszawian *Mamzelle Lulli*, któréj imię przywiązało się do wspomnień Stanisława Augusta.

W młodych leciech Poniatowski, odbywając przy poselstwie polskiém podróże za granicę, przybył do Paryża. W kwiecie wieku, słynący z urody, znalazł wstęp do najpierwszych domów. W nichto dowiedział się o sławnéj kabalarce *Zofii de Pugett Lhullier* i z wielką ciekawością poznania jéj bliżéj, szukał sposobności, aby do niéj wprowadzonym został. Stało się zadość jego życzeniu: jeden z przyjaciół Poniatowskiego ułatwił mu te odwiedziny.

Lhullier położyła mu kabałę i wywróżyła, że wkrótce obrany królem zostanie. Poniatowski odrzekł jéj, że będąc szlachcicem polskim, ma równe prawo jak i drudzy do tronu w rzeczypospolitéj, w któréj wybór króla od narodu zależy, ale uważa przepowiednią tę za żart przyjemny. Gdyby jednakże sprawdziła się, zaprasza ją wcześnie na mieszkanie do stolicy przyszłego swego królestwa.

W kilka lat, kiedy wróżba się ziściła i rzeczywiście na tron wstąpił, pomny na obietnicę, wysłał do Paryża zaufanego dworzanina, ażeby kabalarkę do przybycia do Warszawy nakłonił, a przytém rysunek mieszkania i umeblowania, jak najdokładniejszy przywiózł z sobą.

Lhullier, chętnie na tak pochlebne wezwanie przystała, ale zanim przybyła do Warszawy, król kupić kazał kamieniczkę obok domu Wasilewskiego, takową przebudować i urządzić zupełnie na sposób jéj paryzkiego mieszkania. Za przyjazdem swoim już znalazła wszystko gotowém i na zupełną własność oddaném.

Kamieniczka ta, pełna była skrytek i przejść tajemnych pomiędzy ścianami. Zapewne potrzebne one były przebiegłéj francuzce, która pomimo znakomitéj pensyi, jaką pobierała od króla, niemałe dochody ciągnęła z kabały, albowiem tak magnaci, jak i wielkie panie, dworzanie i szlachta zamożniejsza, cisnęli się do niéj hurmem po wróżbę, wierząc w jéj przepowiednie, po sprawdzeniu się jednéj na Stanisławie Poniatowskim. Krążyły po Warszawie między jéj mieszkańcami podania, że damy przybyłe po wróżbę, ukrywały się

---

[1]) Dom pomieniony w późniejszych czasach, nabył D-r Wilhelm Malcz, zrestaurował i wyniósł nad nim drugie piętro. Następnie nabył go przedsiębierczy księgarz i wydawca Encykl. Powsz., S. Orgelbrand, sprzedał go rządowi i kamienica ta rozebraną została, w jéj miejsce skwer dzisiejszy zajmuje.

dobrze za odwiedzinami króla i ich mężów, że przejściami pomiędzy ścianami, Stanisław August pod pozorem odwiedzin pani Lhullier, jako swéj przyjaciółki, przechodził do obok stojącego domu Wasilewskiego, w którym na pierwszém piętrze mieszkała pani Grabowska i wtedy zawiązały się bliższe ich stosunki, uwieńczone tajemnym ślubem.

Panią Lhullier uważano powszechnie za kochankę Stanisława Augusta, co nie było prawdą, bo starszą była od niego o lat piętnaście i nie mogła ukryć śladów swego wieku.

W Łazienkach Królewskich po lewéj ręce głównego pałacu od fontanny, pokazywano mały pałacyk z wklęśniętym frontonem (stojący dotąd), jako letnie mieszkanie *Mamzelle Lulli*, kochanki króla.

Pensya, jaką pobierała od Stanisława Augusta, skończyła się wraz z wyjazdem jego do Petersburga, ale Lhullier nie potrzebowała się troszczyć o przyszłość swoją; oprócz bowiem domu, miała zapas gotówki, który jéj do wygodnego życia posłużył. Umarła w Warszawie 1802 roku; kamieniczka ta jednak długo późniéj przechowywała jéj imię.

Za nią wązkie przejście prowadziło do Bednarskiéj ulicy, która była głównym zjazdem do pływającego mostu i przewozu łodziami i galarami, jedyna łączność z przedmieściem Pragą i zawiślańską okolicą, a najważniejszym Podlasiem, spichrzem naszego wtedy miasta.

Ta część Warszawy, o któréj mówimy, miała dwa klasztory: *Panien Karmelitanek* (dziś gmach Towarzystwa Dobroczynności) i *Bernardynek* zburzony, gdzie zjazd do nowego mostu i jeden Bernardynów.

Obok kamienicy Wasilewskiego, szła wązka ulica, wiodąca do drugiéj części Krakowskiego-Przedmieścia.

Tu, najprzód, uderzał oczy kościół z klasztorem księży Karmelitów, daléj o ścianę niemal, pałac książąt Radziwiłłów (Namiestnika) w okazałéj ruinie; obok pałacu Tarnowskich, w pobliżu dom Panien Wizytek i piękny ich kościoł, poza którym wznosił się tak zwany *Pałac Kazimierowski* (dzisiejszy uniwersytet) z obszernemi drewnianemi oficynami.

Przy nim szpital *Ś-go Rocha*, kilka kamienic jeszcze na téj połaci, a całą tę część miasta zamykał znowu wspaniały kościół księży *Dominikanów Obserwantów*; z drugiéj zaś strony z wyniosłemi wieżami kościół Ś-go Krzyża, z obszernym klasztorem i wielkiemi ogrodami księży missyonarzy.

Budowle te były już na kończynach miasta, gdyż cały Nowy-Świat, był raczéj pustkowiem, zaledwo gdzieniegdzie zabudowany drewnianemi dworkami i tylko ulica Ś-to Krzyzka więcéj była zamieszkaną.

Wróćmy teraz do zamku królewskiego: ztąd ku rynkowi Starego-Miasta wiodą dwie ulice: pierwsza Swięto-Jańska, na początku któréj stoi starożytny kościół *Ś-go Jana*, zwany pospolicie Farą. Ulubiona

to świątynia do modlitwy, dla dawnych mieszczan Warszawy: tu po lewéj ręce od głównego wnijścia, w kaplicy, jest z drzewa wyrzeźbiona postać na krzyżu rozpiętego Zbawiciela, słynąca oddawna licznemi cudami; dlatego Warszawianie, na wspomnienie téj katedry, zwykli mawiać:

„*U Fary,*
*Gdzie Pan Jezus stary.*"

Obok dawny kościół jezuitów. Kamienice w jednym rzędzie po przeciwnéj połaci, zachowały swoją starożytną strukturę, zwykłą w dawnych, średniowiecznych miastach, a wśród nich odznacza się należąca w te czasy do Skorochoda Majewskiego metrykanta koronnego, badacza sanskrytu i starożytności słowiańskich. Sklepy w tych kamienicach na dole, głównie zajmowały składy skór wyprawnych, a woń ich właściwa, stanowi i dotąd jéj stałą atmosferę.

Druga ulica Piwna, równie wązka, jak poprzednia, ma kościół księży *Augustyanów* z klasztorem: obiedwie ze Ś-to Jańską łączyły się na Zapiecku, który oddawna słynął z handlu rozmaitego rodzaju żywego ptastwa.

Plac ten szczupły, kilkadziesiąt kroków długi, w niedziele i święta od samego poranku wielce bywał ożywionym tłumem zebranych tak sprzedających, jak i kupujących.

Mnóstwo zwolenników gołębi, znajdowało tu najwyborniejsze ich gatunki, tak co do piękności piérza, jak i co do lotu; sprzedawano mnóstwo gilów, kosów, szpaków i srok uczonych, oraz kanarków i czyżyków. Dla dziatwy kupowano ochotnie klatki z wyuczonemi szczygłami, co przyciągały sobie po pomoście spadzistym wózek z siemieniem konopném i wodę do picia za pomocą wiszącego na grubéj nici naparstka.

Wiele sprzedawano tu wiewiórek w dużych także klatkach, które koła obracały, niemniéj i oślepionych słowików, ażeby lepiéj śpiewały.

Rynek Starego-Miasta, przez Zapiecek, łączy się z ulicą Podwale przez jednę z najwęższych Piwną, z drugiéj strony przez Dunaj, z trzeciéj przez ulicę Gołębią.

Na rogu Starego-Miasta przy wnijściu z rynku na Dunaj, po lewéj ręce, ukazywano kamienicę wyniosłą, (dotąd istniejącą) z wystającém na podmurowaniu oknem, jako jednę z najdawniejszych, a własność niegdyś książąt Mazowieckich.

Z kroniki Warszawy wiadomo, że w r. 1607 za panowania Zygmunta III, w czasie jarmarku i zapełnionym rynku Starego-Miasta kramami, wybuchł straszliwy pożar, podłożony umyślnie przez złoczyńców. Ułakomili się bowiem na bogate towary wschodnie z Turcyi i Persyi, które kupcy tych krajów przywieźli i nęcąco w swoich drewnianych kramikach powystawiali. Udał się zbrodniczy zamiar łupieży, bo gdy płomienie wybuchły niespodzianie i z rynku

objęły kamienice tak blizko stojące, oprócz ratusza, nie wiele pozostało domostw niedotkniętych tą pożogą. Do wyjątkowych należała i kamienica, pomieniona książąt Mazowieckich, przezco, do dziś dnia zachowała w całości pierwotną strukturę.

Ulica *Podwale* wzięła swą nazwę: że była *pod wałem* miejskim czyli murami warowni, i już leżała poza grodem Warszawy. Ciągnęła się od *Bramy Krakowskiéj* do *Bramy Nowomiejskiéj* i w samym środku swoim, oprócz grubych murów, miała potężną basztę, w tém miejscu, gdzie dziś stoi dom dwupiętrowy z obszernem podwórzem pod Nr. 521 i 522.

Pierwszy nabywca téj miejscowosci Jan Wójcicki, za czasów pruskich, pomiędzy rokiem 1803—1805, musiał rozebrać ten zabytek warowni, już przez Szwedów nadniszczony i grożący ruiną, i wtedy odkryto podziemne przejście pod ulicę Piekarską. Jak daleko sięgało niewiadomo, albowiem dla zepsutego powietrza, gaszącego światła, daléj nad sto kilkadziesiąt kroków posunąć się nie zdołali; tém bardziéj, gdy i na tak krótkiéj przestrzeni, przejście to w części gruzem zawalone było.

Bliżéj Krakowskiego-Przedmieścia stał dom wychodzący na Miodową ulicę wprost kościoła księży Kapucynów. Cała jego część od Podwala sterczała ruinami. Mieszkał w nim 1794 roku generał Igelström.

Jak Świętojańska ulica mieściła główne składy skór wyprawnych, tak Podwale było stolicą jatek obuwia, lubo niewielu szewców na niéj przemieszkiwało.

Z domów większych był tylko naprzeciw zwalonéj staréj baszty, tak zwany „pałac," gdzie późniéj mieściła się Kommissya województwa mazowieckiego, a na pierwszém piętrze zamieszkiwał jéj prezes Rajmund Rembieliński z piękną swoją małżonką.

Tu poprzednio za czasów pruskich toż piętro jak i dół cały, zajmował sławny w te czasy doktor Leopold Lafontaine, przyjaciel od serca Kościuszki, następnie generalny chirurg armii i inspektor lazaretów Księstwa Warszawskiego. W wyprawie smutnéj do Moskwy 1812 roku, dostawszy się do niewoli, i osadzony w Mohilewie, z braku białego chleba do którego nawykł, zakończył życie.

Tu on redagował w latach 1801—1802 wielce ceniony: *Dziennik zdrowia*, pismo zeszytowe. Pisał je po francuzku a wychodziło w przekładzie polskim. Pismo to w tonie popularnym, choroby osobliwie w kraju naszym upowszechnione, obejmujące, składa się z XII poszytów po ośm arkuszy druku, które miesięcznie wychodziły i stanowią cztery grube tomy.

Lafontaine był rodem Szwajcar, urodzony w roku 1757. W Polsce osiadłszy, przybrał ją za ojczyznę i położył piękne zasługi nietylko praktyką jako najbieglejszy w operacyach chirurgicznych, ale i literaturę lekarską niemało wzbogacił. Był lekarzem nadwornym przy królu Stanisławie-Auguście. W nagrodę swych zasług, zaszczycony

krzyżem kawalerskim wojskowym i Legią honorową; był też członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk.

Ożeniony z Krakowianką, miał dwie córki, z których starsza Zofia, bruneta, pełna wdzięku, grająca biegle na skrzypcach i z niemałym powabem na harfie, zaślubioną była Maurycemu Haukemu, późniejszemu ministrowi wojny za cesarza Aleksandra I-go i zaszczyconego tytułem hrabiego.

Lafontaine dobrego wzrostu, blondyn, miał płeć białą, delikatną, niewieścią. Oblicze zawsze pogodne i uśmiechnięte. Mówił po po polsku ale łamanym językiem, a gdy uniósł się gniewem, zwyczajne jego przekleństwo na razie, było: *djabel porwaj*.

Wziętość miał ogromną nietylko w Warszawie, ale i w całym kraju.

## III.

**Ulica Mostowa.— Most Zygmunta-Augusta. — Wiersz Jana Kochanowskiego.— Dramat z prochowni. — Przysłowie. — Most na palach przez Francuzów postawiony.**

Z drugiéj strony Podwala od bramy Nowomiejskiéj, pomiędzy kościołami Paulinów i Dominikanów, ciągnie się spadzista i wązka uliczka, zwana „Mostową.“

Rzeczywiście zasłużyła sobie na tę nazwę, gdyż wiodła dawniéj do sławnego mostu na palach, z warownemi basztami, który przez lat trzydzieści bez przerwy utrzymywał stałą łączność pomiędzy Warszawą a przedmieściem Pragą.

Zaczął jego budowę król Zygmunt August, a ukończyła siostra jego Anna Jagiellonka, małżonka Stefana Batorego.

Był to podziw inżynierskiéj sztuki ówczesnéj; cudzoziemcy liczyli go do dzieł w Europie zadziwiających, zbudowany był z drzewa, a olbrzymi starodrzew sosny i dębów, sprowadzano z puszcz litewskich. Długi był 1150 stóp.

Jan Kochanowski nie mógł milczeniem pominąć takiego arcydzieła, i poświęcił temu mostowi wiersz jeden i drugi, w których oddaje hołd należny ostatniemu Jagiellonowi.

W pierwszym mówi:

„Nieubłagana Wisło! próżno wstrząsasz rogi,
Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi;
Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,
A ty musisz tę swoję dobrą myśl położyć.
Bo krom wioseł, krom promów, już dziś suchą nogą,
Twój grzbiet nieujeżdżony, wszyscy deptać mogą.“

Lat trzydzieści, bo do roku 1603 wytrwał niezłomnie wśród burzliwych fal Wisły, i nacisku nieraz gór lodowych pędzonych nań wichurą zimową. Silną piersią odpierał tę nawałę, aż w trzydziestym pierwszym roku swego żywota, kra naniesiona przy pękaniu lodów rzecznych na wiosnę, przerwała jedno przęsło mostowe.

Na nieszczęście, nadzór nad nim był powierzony staroście warszawskiemu, a wiadomo jacy to byli gospodarze! Daremnie wołano o naprawę; wielowładny pan puszczał mimo uszu głos powszechny: wolał na zatracenie wystawić wiekopomne dzieło Zygmunta-Augusta, jak ratować pracą i ujmą dochodów starościńskich.

Tak rok za rokiem, most ten niszczał, a w opuszczeniu zostawiony, stał się łupem nadbrzeżnych mieszkańców [1]).

Jedyną pamiątką pozostała po nim baszta wielka murowana, zamykająca ulicę Mostową. W ścianie jéj od Wisły, tkwiła jeszcze tablica marmurowa z napisem w języku łacińskim téj treści, że dzieło brata króla Zygmunta-Augusta, siostra Anna Jagiellonka dokończyła, i druga z tym napisem po polsku: „*Zczerniony od tylu wieków, droga pamiątka największych i najlepszych królów, godna należytego poszanowania.*“

Później tę basztę obrócono na skład prochu i ztąd zwano *Prochownią*, a za Stanisława-Augusta budowlę tę przerobiono i zamieniono na więzienie skazanych wyrokami sądów do ciężkich robót, z tym na frontonie napisem: „*Nie miejsce, ale zbrodnia człowieka hańbi.*“

Do przykrych wspomnień lat dziecinnych, zawsze policzam te chwile, gdy mi pamięć stawia przed oczyma, gromady więźni z téj prochowni wychodzących pod strażą na roboty do miasta: brzęk ich kajdan odbijał się smutno.

W kurtach szaraczkowych, często napół czarnych i w czapkach téjże barwy, postępowali parami z miotłami do zamiatania ulic, albo z piłami i siekierami do rznięcia kloców drzewa i łupania na szczapy, za umówioną cenę.

W tych gromadkach spotykałeś szczególne postacie i oblicza. Ci, co mieli dowiedzione najcięższe zbrodnie, ale ułaskawienie pozyskali, odznaczali sie ubiorem, bo mieli pół szaraczkowe a pół czarne sukienne ubranie. Rzadko pomiędzy niemi dojrzałeś młodziana; byli to ludzie co liczyli od 40—60 lat wieku, nieraz już mocno osiwiali. Fizyognomie ich, które dobrze zapamiętam, były wstrętne i odrażające: spoglądali w około śmiało i zuchwale. To zatwardziali zbrodniarze i byle mała nadzieja, używali wszystkich sposobów do ucieczki, z narażeniem się na kalectwo lub utratę życia. Nie było też prawie roku, ażeby kilku niepotrafiło zbiedz z *Prochowni*, pomimo całéj czujności straży. Nieraz, już wydostawszy się z grubych murów i zakratowanych okien, pod strzałami czuwających wartowników padali trupem na ulicy, lub wybrzeżu wiślaném, albo ciężkie odnosili rany; ale te wypadki nie powstrzymywały drugich, od szukania swobody [2]).

W drugich zastępach, w szaraczkowéj odzieży, nie brakło ludzi młodych, z nieśmiałém spojrzeniem, rzewnym wyrazem boleści czy

---

[1]) Po 1831 roku wydobywano resztę palów dębowych z tego mostu, które tamowały swobodę żeglugi na Wiśle. Dęby z wody wydobywano zczerniałe ale zdrowe: deski i bale z nich rznięto. Mam szkatułkę małą na pamiątkę z jednego dębu, który służył za pal i w wodzie przeleżał przeszło trzy wieki.

[2]) W roku 1825 czy 1827, dziewięciu uciekło, z tych dwoch przy murach Prochowni straż położyła trupem, z siedmiu schwytano najgroźniejszych bandytów trzech, reszta bez śladu zniknęła.

rozpaczy na wychudzonych obliczach. Wielu też z nich, nie podłe rzemiosło złodziejskie, ani chęć rabunku zaprowadziło do *Prochowni.*

Przytoczę tu jedno z wielu, prawdziwe zdarzenie, na dowód słów powyższych:

Za panowania Prusaków w Warszawie, dom przy ulicy Podwale Nr. 521 i 522, zamieszkiwały dwie córki fabrykanta pojazdów Szperlego, który zmarł przed kilkoma laty [1]).

Starsza wdowa wzięła w opiekę młodszą o lat kilka siostrę pannę Katarzynę, wykształconą na pensyi, biegle mówiącą po francuzku i po niemiecku: była to panna obok tego urodna.

O jéj rękę starał się młody Stanisław ***, co niedawno ukończył Uniwersytet Berliński. Przyjmowany chętnie, już był po oświadczynach, kiedy nagle z niewiadomych nam powodów, opiekunka narzeczonéj wymówiła mu dom swój, a właśnie sama była już po zaręczynach z Niemcem fabrykantem.

Daremne były starania Stanisława *** o pozyskanie napowrót wstępu; zawsze drzwi znalazł zamknięte, lub odprawę grubijańską tak ze strony wdowy jak i jéj narzeczonego.

Rozjątrzony do żywego, postanowił srodze się zemścić. Wiedząc o któréj godzinie wychodzi na mszę do kościoła księży Augustyanów, czatował na Piekarskiéj ulicy, wypoliczkował i poprzysiągł, że tak ją jak i jéj przyszłego męża zamorduje.

Przerażona wdowa wraz z narzeczonym, pomimo że się udała pod opiekę prawa, podwoiła czujność, ażeby się gdzie nie zakradł w domu straszny nieprzyjaciel.

Od tego dnia co wieczór, Niemiec z kilkoma robotnikami przeglądał troskliwie wozownie, gdzie stały pojazdy na sprzedaż, i po kilku tygodniach, schwytał babę w łachmanach ukrywającą się pod karetą.

Po bliższém przyjrzeniu się poznano że to był Stanisław ***, przy którym znaleziono nóż i parę pistoletów nabitych. Związany, odstawiony do policyi, przyznał się do zamiaru morderstwa.

Skazanym więc został na 20 lat do ciężkiego więzienia, do robót publicznych. Okuty w kajdany wszedł do *Prochowni.*

Ostrzyżono mu bujne sploty kruczych włosów, przywdziano kurtę szaraczkową, włożono łańcuchy na ręce i nogi: przechorował ciężko w szpitalu pierwsze wrażenia, ale gdy przyszedł do zdrowia, oddał się z pokorą zasłużonéj karze. Popędzono go do roboty wraz z innymi.

---

[1]) Podaję tu wiernie wypadek rzeczywisty: gdym opowiadał go Fryderykowi hr. Skarbkowi, ten tak został uderzony dramatycznością jego, że wziął ztąd osnowę do swéj powiastki p. n.: „Łukasz Stempel," która wyszła w zbiorze: „Powiastki polskie przez Fr. hr. Skarbka." Z drzeworytami, wedle rysunku Kostrzewskiego. Poznań, 1861 r.

Wdowa odetchnęła swobodnie i wspaniałe wyprawiła sobie gody weselne, gdy panna Katarzyna gorzkiemi zalewała się łzami.

Na początku 1806 roku, zapotrzebowano do tegoż domu, właśnie przez męża owéj wdowy kajdaniarzy, do piłowania i rąbania sprowadzonego drzewa z nad Wisły.

Przygnano ich kilkunastu, a między tymi był Stanisław ***. Zadrżał na widok tych murów, gdzie został schwytany, ale opuściwszy smutnie głowę, zabrał się rzeźwo do roboty. Praca męcząca przynosiła mu pewną ulgę.

Około południa kiedy w najlepsze rozbija pieńki drzewa, ujrzał przechodzącą pannę Katarzynę. Siekiera wypadła mu z ręki; zapomina o wszystkiém, wyciąga ręce i szepcze:

— Kasiu! Kasiu moja złota!

Dziewczę spojrzało nań, poznało, przystanęło chwilę, a załamawszy ręce z rozpaczą pobiegło do domu. Nagle w nim rozruch powstał, posyłano po doktora. Stanisław jak skamieniały stał długo, spoglądając obłąkanym wzrokiem do około, a gdy przyniesiono posiłek na południe, nie tknął żadnego pokarmu.

Nazajutrz przygnano go do tego samego domu, ażeby skończyć rozpoczętą robotę, ale już swéj Kasi nie zobaczył, usłyszał tylko pomyślną nowinę dla siebie, jak służące rozmawiały: „że panienka już dzisiaj zdrowsza.“

Wcześnie skończono pracę: Stanisław oparł siekiérę o ścianę domu wraz ze swoją torbą, i gdy zbliżył się ażeby je zabrać, otwarł się lufcik z poblizkiego okna, ukazała się postać panny Katarzyny, która białą rączką rzuciła mały węzełek. Upadł on przy torbie: Stanisław pochwycił i ukrył; nikt ani z jego towarzyszów, ani straży tego nie widział. Uradowany, rzeźwym krokiem powrócił do Prochowni, nieczując kajdan na nogach. Tu znalazłszy chwilkę samotną, rozwinął węzełek i w nim znalazł splot włosów, dwanaście dukatów złotem i karteczkę z napisem: „*Będę ci wierną do grobu.*“

Dar ten drogocenny zachował starannie.

W końcu listopada 1806 roku po bitwie pod Jena, armia zwycięzka Napoleona I, wkroczyła na polską ziemię. Pierwsze patrole francuzkie ukazały się na Krakowskiém-Przedmieściu: Prusacy uciekli na Pragę. Całe miasto zapłonęło niewidzianą dotąd illuminacyą.

W tę właśnie chwilę grono młodych ludzi wpadło do Prochowni. Byli to przyjaciele i towarzysze wierni Stanisława: wnet go rozkuli z kajdan i uprowadzili z sobą. Tak opuścił mury więzienia, po dwóch prawie latach w nich pobytu.

Nazajutrz Stanisław jako ochotnik wpisany do nowo utworzonego pułku. Jako wykształcony naukowo, biegle mówiący zarówno po francuzku jak i po niemiecku, wprędce odzyskawszy wrodzoną żywość, humor i wesołość, stał się ulubieńcem kolegów i starszyzny pułkowéj.

W pierwszéj bitwie pod *Białołęką*, tak się odznaczył, że otrzymał krzyż i stopień podporucznika.

Brał udział we wszystkich następnych kampaniach, aż nadeszła pamiętna w roku 1812 wyprawa do Moskwy.

Po zgruchotanéj potędze Napoleona I, gdy cała jego armia, przed którą drżała Europa, legła na pobojowisku, lub zagnaną została do niewoli, a małe jéj szczątki cofały się z trudem, Stanisław już w stopniu kapitana, wracał z resztką swojéj kompanii, w porządku i zbrojno, bo subordynacyą wojskową umiał dotrzymać i podnosić upadłego ducha własnym przykładem.

Brnąc po śniegu, przy silnym mrozie przebywszy wielki las litewski, ujrzał na wzgórzu gustowny pałacyk i liczne zabudowania; w tę stronę więc się zwrócił, aby znaleźć posiłek i upragnione wytchnienie po marszu tak dolegliwym. Pałacyk ten stał zdala od gościńca na uboczu, przechody armii omijały go więc dotąd: zasobów gospodarskich nie brakło, i znalazł przyjęcie wraz z towarzyszami swymi gościnne i dostatnie.

Kiedy wiarusy pomieszczeni zostali wygodnie w obszernych oficynach, kapitan zaproszony został do rodzinnego stołu. Wszedłszy do jadalnego pokoju, zastał gospodarza uprzejmie go witającego, a wkrótce z bocznéj komnaty wyszła jego małżonka, i za nią guwernantka z trojgiem dziewczynek małych i najmłodszym chłopczykiem.

Jakież było zadziwienie naszego kapitana, gdy w téj ostatniéj poznał zawsze piękną i powabną swoją ukochaną Kasię. Cofnął się kilka kroków, przetarł oczy raz i drugi, i nieśmiał poruszyć się z miejsca.

Panna Katarzyna spojrzała na dorodnego wojaka. Po sześciu latach zahartowany w twardém obozowém życiu, zmężniał, oblicze spalone to spiekotą słońca, to mroźną wichurą naprzemiany ogorzało, wąs czarny bujny i broda dodawały wdzięku prawdziwie rycerskiéj postaci.

Nie mogła go dorazu poznać, ale gdy Stanisław ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, usiadł do stołu i zaczął mówić, panna Katarzyna zwróciła nań swe spojrzenie, i długo się wpatrując, blednąc i rumieniąc się nawzajem, zapytała w końcu drżącym głosem:

— Czy pan kapitan nie miał brata w Warszawie?

— Miałem kilku—odrzekł zcicha—a jak temu o którym wspominasz pani było na imie?

— Stanisław!—przemówiła spuszczając oczy.

Na te słowa zrywa się wojak, niemogąc powstrzymać dłużéj swego wzruszenia, przypada do niéj, a klękaiąc:

— Panno Katarzyno!—zawołał—to pani sobie przypominasz nieszczęśliwego Stanisława. Teraz u nóg twoich czeka swego wyroku i nagrody za tyle cierpień i za miłość wierną!

Gospodarstwo z podziwieniem patrzyło na tę scenę, ale objaśnieni, że w Warszawie byli już po słowie, przyrzekli z najżywszą radością, dopomódz im do pobrania się jak najrychlejszego.

Kapitan nazajutrz wyruszył wskazaną drogą i dostał się szczęśliwie ze swym oddziałem do granic Księztwa Wazszawskiego. Wkrótce stanął w Warszawie, gdzie już panna Katarzyna przybyła.

Siostra jéj, dawna opiekunka, wyniosła się z mężem do Wrocławia. Wśród wypadków ówczesnych i wrzawy wojennéj, zatarła się pamięć przeszłości Stanisława. Na początku zapust 1813 roku u Fary wzięli ślub, a uczcie weselnéj towarzyszyli sami koledzy mężnego kapitana.

* * *

Warszawa była świadkiem zdarzeń rozmaitych jak w tych czasach niepokoju: ale w Prochowni nic się nie zmieniło. Jak dawniéj więźniowie ją napełniali i brzękiem kajdan zwiastowali każde wyjście swoje na roboty w mieście.

Budowla ta dała początek przysłowiu obelżywemu, pomiędzy ludem warszawskim, gdy jeden drugiego znieważał: „*Ty prochowniku*“ lub wróżył mu w gniewie, że „*Zgnijesz albo zmarniejesz w prochowni.*“

Od czasu zniszczenia Jagiellońskiego mostu, zaprowadzono most pływający na izbicach, ale go przeniesiono wprost ulicy Bednarskiéj.

Francuzi za wnijściem do Warszawy zaczęli obok niego, nieznając zmiennego koryta Wisły, budować most na palach. Przewoźnicy i starzy rybacy nasi uśmiechali się tylko i kręcili z niewiarą głową, wróżąc, że jednéj zimy nie przetrwa.

— Mają oni rozum do wielu rzeczy—mówili kmotrzy zażywając tabakę, i patrząc na tę robotę—ale zjedzą dyabła, jeśli im się uda ta sztuka: nasza Wisła mądrzejsza od nich; na nią trzebaby chłopskiego rozumu, jaki mieli ci co kiedyś budowali na Mostowéj ulicy.

Inżynierya francuzka prędko go postawiła, ale gdy wjechał nań marszałek Davoust ze sztabem swoim, a lody na rzece ruszyły, zaledwie zdołał w pełnym galopie unieść życie z tego mostu.

Starych nadwiślańców sprawdziła się prędzéj przepowiednia niż sami myśleli.

W kamienicach Mostowéj ulicy rozmaitego kształtu i rozmiarów budową swą przypominających domy Starego-Miasta, na dole mieściły się sklepy, głównie rybaków sprzedających sieci, więcierze, jakotéż wędki rozmaitego gatunku; obok nich *Andrychowiaki* z płótnem z domowych ręcznych warsztatów; *krupiarze* z kaszami i mąkami pszennemi, żytniemi, gryczanemi i owsianemi: ostatnie rozkupywano ochotnie do ulubionego jeszcze *żuru* pomiędzy Mazurami.

Tu obok zabudowań dominikańskich mieścił się *Szpital Łazarza* w zacieśnionych murach.

Ulica ta była niesłychanie przykrą dla koni, gdy przyszło *karować* drzewo lub inne ciężary pod górę, a nie było dogodniejszéj drogi i w innych częściach Warszawy wyniesionéj na wzgórzu. Z powiśla trzeba było dźwigać kloce i sążnie drzewa, bo wówczas użytku węgla ani torfu nieznano i niepotrzebowano, przy obfitości lasów w niedalekich okolicach miasta.

## IV.

Ulica Freta.—Kościół Dominikanów.—Cela Fabiana Birkowskiego.—Miody Dominikańskie.—Rynek Nowego Miasta.—Kościół Panny Maryi.—Klasztor Sakramentek.—Ulica Zakroczymska.—Zdrój.—Żoliborz.—Uliczka Śt. Jurska. Redakcya Gazety Warszawskiéj.—Gmach Teatru narodowego.—Piérwsze otwarcie Teatru polskiego w Warszawie.

Poza Mostową ulicą ciągnie się ulica Freta, a na niéj piękny kościół *Dominikanów* z obszernym klasztorem.

Zakon ten słynny w dziejach przeszłości, a konwent tutejszy szczycił się wielkim mówcą kościelnym, *Fabianem Birkowskim* godnym następcą *Piotra Skargi.* W klasztorze ukazywano jego skromną celę, którą zajmował przemieszkując w Warszawie, kiedy nie szedł na twardą służbę obozową jako kapelan, dzieląc trudy i niebezpieczeństwa walczącego rycerstwa. Mieszczanie warszawscy w żywéj pamięci i tradycyi przechowywali te uroczyste chwile, kiedy Birkowski w czasie zarazy *morowéj* grasującéj w mieście, z téj kazalnicy sam nieustraszony wśród powszechnego popłochu i trwogi, gorącém słowem wlewał nadzieję w drżące serca i wzywał do gorącéj modlitwy, ażeby uprosić Boga o odwrócenie strasznéj klęski z murów starego grodu.

Słynęli Dominikanie warszawscy z doskonałego sycenia najwyborniejszych miodów, to téż obszerne piwnice klasztorne wypełnione były beczkami z roku na rok nowym wyrobem. Handel wielki miodami prowadzili zakonnicy i dochód nie mały dla swego zgromadzenia zbierali. Najzawołańsi smakosze upędzali się za wystałemi miodami z piwnic tego klasztoru.

Za wązkiém téj ulicy przejściem, leży rynek *Nowego Miasta*, które zaczęło się zabudowywać po przyłączeniu do Korony za Zygmunta I Mazowsza, gdy wygasł ród panujący Piastów a książąt udzielnych na Mazowszu.

Dwa kościoły z klasztorami zdobią tę część miasta: w samym rynku Sakramentek, który Stanisław August swoim nakładem wystawił na pamiątkę stulecia od zwycięztwa pod Wiedniem przez króla Jana Sobieskiego nad Turkami odniesionego i strasznym ich pogromie, a daléj wpobliżu starożytny *Panny Maryi*, który strukturą swoją rozróżnia się wśród wszystkich świątyń Warszawy. Smukła, prostokątna jego wieżyca, wyskakuje po nad miastem i w oddali z okolicy poza Pragą jest dobrze widzialną.

Wewnątrz gotyckie sklepienia nizkie, cały kościołek szczupły, skromny, ale mający dziwny urok dla mieszkańców powiśla i Nowego Miasta. Założony w roku 1392 staraniem Anny księżnéj Mazowie-

ckiéj, wznosi się na spadzistém wzgórzu po nad wybrzeżem Wisły już zdala od miasta. Otaczał go jak i dzisiaj cmentarz w około i mury, tylko były grubsze i warowniejsze, bo jako osamotniony kościół z klasztorem stanowił w owe czasy małą forteczkę.

Wedle miejscowéj przed pół wiekiem tradycyi, poza murami cmentarza Panny Maryi zaczynały się duże bory. Były w nich żubry brodate, jelenie, sarny, łosie i niedźwiedzie, szczególniéj *bartniki*, co robiły szkodę nie małą w leśnych barciach, które w obszarach tych borowych wygodnie dzikie pszczoły hodowały.

Lasy te otaczające Marymont, a rozciągnione poza Młociny po nad brzegami Wisły, z drugiéj strony sięgały do Lipkowa i Sierakowa i stanowiły wielkie kilkomilowe a zapadłe knieje, w których tak ochoczo polował król Sobieski.

Kościół *Panny Maryi* głównie był nawiedzany przez rybaków warszawskich, tu brali najchętniéj ślub, tu chrzcili dzieci swoje: również ulubiona ta świątynia dla flisów i orylów przybywających z tratwami i galarami od Krakowa. Tam modlili się u *Panny Maryi* na rynku krakowskim, tu ochotnie spieszyli do kościoła *Boga Rodzicy*, téj patronki i orędowniczki kraju.

Ulica Zakroczymska na któréj kościół *Franciszkanów* i w pobliżu naprzeciw koszary wojskowe zwane Sapieżyńskie, wiodła daléj poza miasto, gdzie liche drewniane dworki w rozmaitym kierunku rozsiadły się z ogródkami owocowemi i warzywnemi i gospodarskiemi budynkami.

A wśród nich zdrój wybornéj wody, który dla dogodności miasta król Stanisław August urządził ozdobnie. Dalsza równina nosiła piérwotnie nazwę *za zdrojami*, gdzie na wyniosłém wzgórzu po nad wybrzeżami Wisły, Pijarzy wznieśli gmach okazały *Żoliborz* (Joli bord), w którym utrzymywali pensyonat młodzieży z rodzin zamożniejszych. Obszerny ogród i malowniczy widok na zawiślańskie okolice, stanowiły nie małe zalety téj miejscowości. W téj kończynie miasta idąc z naturalnym swoim rozwojem Warszawa, równo za biegiem Wisły, w piérwszych latach Królestwa (od 1815 do 1830 r.) zaczęła się zabudowywać gęsto i zasobnie.

Gdzie dziś zalega równina gładka pod wałami Cytadeli, tu nowa część miasta wyrastała jak z ziemi w wielkich rozmiarach. Obok dworków, wznosiły się nietylko kamienice murowane, ale duże gmachy, a daléj nieco jak Zoliborz na przeciwnéj jego stronie rozciągał się wielki i piękny ogród *Rautenstraucha*.

Dużo drzew rozmaitego gatunku i krzewów, cienia i chłodu, kwiatów rozlewających woń miłą, składały się na jego powaby. W środku obszerny dom z kawiarnią i zabudowaniami gospodarczemi. Liczne huśtawki i karuzele, jak smaczna kawa i poncz wyborny a ulubiony, gdy herbaty wcale nieznano, zwabiały tu licznych zawsze gości.

Z ulicy Freta wracając od zdrojów, piérwsza jest wązka i kręta uliczka Święto Jurska, tak zwana od starożytnego kościołka pod wezwaniem św. Jerzego, który stał w tém miejscu, gdzie dziś fabryka wyrobów żelaznych dawniéj *braci Ewans*, dziś Lilpopa i Raua. Był to kościół parafialny gotyckiéj struktury, wchodziło się do niego jak do podziemia, a pamięć nasza żywo przechowała tylko przystrój grobu Zbawiciela w Wielki piątek i sobotę na Wielkanoc, gdy przy zwłokach Chrystusa trzymali straż olbrzymi malowani rycerze, podziw zawsze miejskiéj gawiedzi.

Daléj ciągnęła się obszerna z dużym ogrodem własność *Leszczynowskich*, gdzie mieściła się przez długie lata redakcya *Gazety Warszawskiéj*.

W pobliżu na przeciwnéj stronie, róg téj ulicy wychodzącéj na plac Krasińskich, zajmują zabudowania dawnego *Teatru narodowego*, który tu przez długie lata istniał najprzód pod dyrekcyą Wojciecha Bogusławskiego, a następnie zięcia jego Ludwika Osińskiego.

Dalszy ciąg Freta doprowadzał do ulicy Nalewki, pustéj i mało co zabudowanéj.

Zwracamy się do placu Krasińskich, który stanowił tak w czasach księztwa Warszawskiego, jak i w następnych piérwszych latach Królestwa najgłówniejszą część Warszawy.

Tu wspomniany *Teatr naordowy* najpiérwéj zwracał uwagę. Gmach ten wystawił słynny w czasach panowania Stanisława Augusta *Franciszek Ryx* kamerdyner jego w roku 1779, podług planu Włocha Bonawentury *Solarego* budowniczego, przy pomocy królewskiéj i księżnéj Elżbiéty Lubomirskiéj. Nie w tym gmachu przecież król ten dopełnił *piérwszego otwarcia* teatru narodowego, zaraz w drugim roku po wstąpieniu swoim na tron. Przy ogrodzie Saskim, gdzie obecnie *Rajtszula*, wybudował teatr August *Mocny* i w nim ta uroczysta chwila dla sceny polskiéj nastąpiła.

Nie możemy zbyć jéj pobieżném wspomnieniem i dlatego obszerniéj wedle tradycyi pamiętających tę uroczystość opowiemy.

Wielki był ruch w Warszawie dnia 19 listopada 1765 roku. Po rogach ulic grono ciekawych mieszkańców zwracało oczy na wielki afisz, na którym dużemi literami było wydrukowane co następuje:

„*Afisz teatrowy.*

Aktorowie Jego Królewskiéj Mości komedyów polskich, będą reprezentowali 19 listopada *Natrętów*, komedyą w trzech aktach, z dużema baletami. Początek będzie o godzinie szóstéj i będzie się płacić:

Jeden bilet do cyrkułu, tynfów dziewięć.

Jeden bilet do pierwszego piętra, tynfów dziewięć.

Jeden bilet do loży w parterze, tynfów sześć [1]),
Jeden bilet do parteru, szóstaków siedm.
Jeden bilet do trzeciego piętra, szóstaków pięć.
Bilety od południa będą przedawane w *Operalni*."

Wiadomość ta szybko rozbiegła się po całém mieście, rzecz nowa i niesłychana: teatr polski w Warszawie i to za biletami płatnemi! W tym teatrze za Augusta III grywano ciągle opery, wszelako chociaż każdemu wolne było wnijście bezpłatne, teatr był pusty, bo zwolenników do słuchania śpiewaków niemieckich zawsze brakowało.

August III chętnie uczęszczał na te widowiska i dziwiono się powszechnie jego cierpliwości, z jaką słuchał jednéj opery od początku do końca powielekroć powtarzanéj ciągle. Gromadka dworzan towarzyszyła do tego teatru zwykle monarsze; na pierwsze przedstawienie bywała liczniejsza, ale na drugiém i następnych, tak się zmniejszała, że nieraz zdarzało się, iż August III odprowadzonym był tylko na widowisko, a w teatrze ledwie kilku dworzan i to z obowiązku służby zostawało przy jego boku, wraz z orszakiem zaproszonych umyślnie panów. *Figle niemieckie*, jak zwyczajnie nazywano ten teatr, nie mogły zwabiać ani szlachty ani mieszczan warszawskich, kupców zaś niemieckich szczupłe było grono.

Stanisław August w pierwszym roku wstąpienia na tron, przedsięwziął otworzyć stały teatr w Warszawie jako swéj stolicy. Zaczęto więc zbierać młodzież, którąby wykształcić można było na aktorów. Polecono pośpiech, aby woli nowego króla co rychléj dogodzić. Zgromadzone pospiesznie towarzystwo aktorów, nie mogło odpowiedzieć wymaganiu sztuki: znalazł się wszelako tu potężny talent komiczny w artyście Świeżawskim, który długo potém był prawdziwą sceny polskiéj ozdobą.

Król zwrócił wtedy uwagę na liczny orszak dworzan, kógoby wybrać i przeznaczyć do napisania komedyi na piérwsze otwarcie już urządzonego teatru. Wybór jego padł na Józefa Bielawskiego, Fligiel-adjutanta buławy wielkiéj księztwa Litewskiego, znanego temu monarsze z drobnych okolicznościowych wierszyków.

Bielawski zaszczycony tak świetnym dla siebie wyborem, mając sobie polecony pośpiech, zabrał się z całym zapałem do pracy, i w ciągu dni kilkunastu komedyę *Natręty* wykończył.

Jakkolwiek na owe czasy cena biletów była dość wysoką, nowość niesłychana, dozwolony udział tak szlachcie jak mieszczanom wspólny za opłatą, zgromadził tłum widzów. Rozchwytano wszystkie bilety, i skoro mrok zapadł, na godzinę przed otworzeniem widowiska, cały gmach teatralny był w oblężeniu. Ci, co mieli bilety stanęli w gęs-

---

[1]) Tynf ówczesny miał wartość złp. jeden i groszy ośm, wedle Tad. Czackiego.

tych zastępach przy wnijściach do teatru, większy tłum oczekiwał na przybycie króla i jego orszaku na ulicy.

Mrok już był ciemny, gdy z uderzeniem szóstéj godziny na zamkowym zegarze, z bramy Krakowskiéj wyjechało konno kilku hajduków z pochodniami rozpalonemi; za niemi przed poszóstną karetą biegło dwóch laufrów w trzewikach i pończochach: kapelusze ich ozdobne w długie pióra strusie, ubiór pstry i kusy, wielce bawił zebrany lud na Krakowskiém Przedmieściu i dalszych ulicach. Biegli oni szybko przed karetą, potrzaskując co chwila małemi pejczykami.

Stanisław August włosy mając spudrowane i zwinięte w bujne a składne loki, wychylał głowę z uśmiechem wdzięcznym i kłaniał się ludowi, który głośne a serdeczne wykrzykiwał wiwaty dla króla. Wszyscy byli błogiéj nadziei, że dobre czasy z jego panowaniem wrócą. Młody i Piast miał i czas przed sobą i przychylność całego narodu. Otwarcie teatru polskiego było (jak się zdawało wszystkim) zapowiedzią świetnéj przyszłości dla kraju.

Karetę monarchy otaczał oddział jazdy gwardyi królewskiéj, a za nią ciągnął się rzęd długi pojazdów panów zaproszonych i dworzan. Okrzyki wiwatowe towarzyszyły królowi przez całą drogę, przy samym teatrze spotęgowały się silniéj, bo i tłum był liczniejszy.

Po wysłanych dywanami schodach wszedł Stanisław August do loży królewskiéj bogato przystrojonéj: cały teatr był illuminowany. Na widok króla wszyscy zgromadzeni powstali i głośnym go okrzykiem pozdrowili; kobiety wystrojone połączyły swe głosy pieszczone, powiewając z niesłychanym zapałem to chustkami, to wachlarzami, znajdując w nim najdorodniejszego i najpiękniejszego mężczyznę i do tego bezżennego. Szlachta kontuszowa która przemagała w owe jeszcze czasy na parterze, podrzuciwszy w górę czapki, szczęknęła głośno szablami. Szczęk żelaza w krzepkich dłoniach, przydzwonił radosnym okrzykom. Stanisław August w całym wdzięku młodości, zwany przez damy zbliżone do dworu *Apolinem*, z upromienioném od szczęścia obliczem, wychylił się z loży i wdzięczny wszystkim oddał pokłon.

Na dany znak zabrzmiała orkiestra i przeciągłe okrzyki umilkły; kortyna się podniosła: widowisko rozpoczęto. Scena przedstawiała górę *Parnasu*, z niéj powoli zeszła *Thalia* muza komedyi, a zbliżywsię do loży królewskiéj, z niskim pokłonem, tak zaczęła przemowę swoją:

„Ja co od tylu wieków z łona wszystkich krajów,
Wzdychałam do zniszczenia Sarmackich zwyczajów,
Przecięż dotąd nie mogłam z dopuszczenia bogów,
Wyśmiać mądrym widokiem tak grubych nałogów,
W których leżała Polska nie bez urągania,
Wyglądając twojego królu panowania.
Bo nie było, ktoby mi dał życie w Warszawie;
Tobie ten los zostawił honor Stanisławie,

Abyś idąc przykładem *Wielkiego Ludwika,*
Pozwolił mi tchnąć duchem polskiego języka.
Mnie, którą wiek osłabił i ujął rzeźwości
Odważam się po polsku uczyć w méj starości,
Aby tém dostateczniéj umysł twój wspaniały,
Mądry królu, świat poznał z potomnością cały."

Słowa te wywołały grzmiące brawa i okrzyki; wzniecali je co chwila dworzanie, szambelani i piękne panie, bo kontuszowcy na parterze zasłyszawszy że tam mowa o *grubych sarmackich* zwyczajach, które chcą wyszydzać, zaczęli szemrać i zżymać się coraz bardziéj. Gniew ich ochłonął nieco gdy spuszczono kortynę i orkiestra na nowo zagrzmiała hucznego poloneza.

Komedya Bielawskiego podobała się powszechnie, nie szczędzono oklasków i widowisko jak najpomyślniéj się skończyło. Okrzyki równie radosne towarzyszyły z powrotem królowi do samego zamku.

Dalsze dzieje teatru narodowego opowiemy obszerniéj we właściwém miejscu, i bliżéj przypatrzymy się *Krasińskiemu placowi;* teraz pójdziemy za przedłużeniem ulicy Święto-Jurskiéj.

Kończyła się ona równo z obszerną w poprzek idącą tak zwaną: *Nalewki,* która swe imię wzięła od dawnych skrzyń i naczyń nalewkami zwanych, a do wodozbiorów i zaczerpywania wody używanych.

Tu nie znać już było Warszawy, gdyż murowanéj kamienicy nie ujrzałeś; wyglądała ta ulica jakby przedmieście małéj mieściny, gdzieś w zapadłéj okolicy Mazowsza położonéj.

## V.

Ulica Nalewki.— Dworek historyczny.— Doktor Lafonten.— Żywa umarła. Książe Józef z pod Blachy.—Grenadyer.—Muranów.—Targ końskí.

*Nalewki.* jak zasięgam pamięcią, z rzadka gdzie drewnianemi dworkami zabudowane były: ulica niebrukowana, pełna na wiosnę i jesień błota i kałuży, ale za to pierś tu oddychała świeżém, wiejskiém powietrzem, bo każdy dworek otaczał mniejszy lub większy ogród owocowy i warzywny: nie brakło w nich bzu i kwiatów, które balsamiczną woń rozlewały. I w tych skromnych dworkach odgrywały się zajmujące dramaty, z których jeden podamy, opowiedziany nam przez działające w nim głównie osoby.

Pan Ignacy Zadora był właścicielem dworku na Nalewkach prawie wprost Krasińskiego ogrodu. Domek to był drewniany, nizki, okolony parkanem i obszernym ogrodem. Odznaczał się też między innemi szczególną schludnością: miał ściany czysto wybielone, okiennice na zielono pomalowane.

Za otwarciem furtki od ulicy, uderzało oczy obszerne, czyste podwórze z pompą do wody na środku, co było wtedy osobliwością. Zdobiło go kilka lip i klomby bzu włoskiego.

Nad drzwiami głównemi był ganeczek, po którym piął się latem zielony powój. W pobliżu pompy zaczynał się ogród, pełen drzew owocowych, z kępinami starodrzewu, teraz już bez właściwego wdzięku, były to bowiem początki jesieni 1806 roku.

Liście z drzew opadły zeschnięte, wichura pomiatała niemi to po podwórzu, to po nad dachem dworku, to po ulicy niebrukowanéj. Deszcz ze śniegiem zmięszany od dwóch dni padał. Pusto i ponuro było na obszernym placu przed dworkiem pana Ignacego, który go tak starannie na wiosnę tego roku odnowił, poślubiając młodą i piękną pannę Klarę, którą od kilku lat ukochał. Szczęście i spokój każdy mu dzień pożycia umilały, obok żony pełnéj powabu, łagodnéj, cichéj i umiejącéj słodką wzajemnością odpłacać mężowi miłość i przywiązanie.

Ale od miesiąca, niespodziana troska uderzyła na to ciche a skromne ustronie. Pani Klara złożona ciężką chorobą, nie mogła powstać z łoża. Doktor zmieniał co drugi dzień recepty, ale lekarstwa nie skutkowały; gdy coraz jawniejsze było niebezpieczeństwo, przyzwano sławnego Lafontena.

Noc ostatniego października odjęła wszelką nadzieję utrzymania choréj przy życiu. Mąż w rozpaczy nie odstępował jéj łoża, gdy nad ranem zajechał doktor Lafonten.

Pan Ignacy patrzał w jego oblicze, jak w tęczę, czy nie wyczyta jakiéj iskierki nadziei; ale doktor wziął za białą rękę, badał puls, który coraz bił słabiéj, aż wreszcie ustał zupełnie.

Lafonten długo spoglądał w twarz umierającéj, z któréj znikały słabe rumieńce. Oblekała to piękne oblicze blada barwa śmierci wraz z jéj lodem. Lafonten puścił rękę trzymaną, która opadła bezwładnie na krawędź łóżka.

Postał chwilę jeszcze i smutny, z opuszczoną głową na piersi, wyszedł zadumany i odjechał. Za powrotem do domu, a mieszkał na Podwalu, nakreślił słów kilka w swoim dzienniczku.

Wiadomość o zgonie pani Zadorowéj szybko rozbiegła się po mieście. Nie było zwyczaju wtedy przenoszenia zwłok przed pogrzebem do kaplic kościelnych, spoczywały one w domu, gdzie zmarły zakończył życie i ztąd przenoszono je na karawan żałobny.

W pierwszym pokoju ustawiono katafalk skromny, otoczony jarzącemi świecami. Na drugi dzień zajechał dwukonny karawan, który przewiózł ciało zmarłéj na cmentarz Powązkowski. Złożono je w miejscowym kościołku dla późnéj pory i niewykończenia grobu, w którym miało być pogrzebane.

Podług ówczesnego zwyczaju, zdjęto wieko zabite i trumnę ustawiono na nizkim katafalku.

Złamany rozpaczą mąż nieszczęśliwy, zbliżył się i pocałował z płaczem w czoło ukochaną małżonkę: przyjaciele zaledwie potrafili oderwać go od jéj trumny.

Nazajutrz rano naznaczono nabożeństwo żałobne i pochowanie zwłok w grobie świeżo przygotowanym. Pan Ignacy wrócił o dobrym zmroku do pustego dworku, wraz z młodym wyrostkiem Piotrem, który pełnił obowiązki lokaja. Służąca, zastępująca młodszą i kucharkę, przeniosła się na noc do swéj siostry, w sąsiednim domu, bojąc się ducha zmarłéj pani.

Piotrek jeszcze przywiązany do swych państwa, podzielając boleść w domu, na pogrzebie płakał, jak bóbr rzewnemi łzami, a zaproszony przez forysia pana starosty do ogródka przy cmentarzu, lubo nie wiele wychylił kieliszków, dobrze jednak podcięty, wrócił do miasta.

Zadora przeszedł się smutny po wszystkich pokojach, które mu się teraz wydawały tak smutne, ponure, gdy za życia ukochanéj Klary były tak miłe i wesołe.

Łoże małżonki stało puste, otoczone doniczkami bujnéj geranii. Usiadł przy kominku i zawołał na Piotrka, ażeby drewek przyniósł dla rozniecenia większego ognia, bo uczuł nagle dreszcz zimny i przenikający.

Piotrek, zataczając się dobrze, zebrał ostatnie siły, naniósł kilka naręczy polan dębowych i brzozowych, ale zmęczony, jakby pracą niezwyczajną, upadł na swe łóżko i twardo zasnął.

Do późnéj nocy przesiedział nieszczęśliwy wdowiec przy kominku, aż osłabiony, czując jakby niknące siły, sparł głowę na poręczy krzesła, zaczął drzemać. Jak długo tak marzył, nie wiedział, gdy go nagle niezwykły rozruch z przedpokoju rozbudził, a wkrótce usłyszał, jak Piotrek biegnie z pośpiechem do jego sypialni, rozbijając się po drzwiach i ścianach.

Ogień zgasł na kominku, ciemność nieprzejrzana okalała w około: zerwał się na nogi i zbliżył do łóżka, aby skrzesać ognia z krzesiwa, gdy Piotrek stanął w drzwiach sypialni i zaczął ochrypłym i niewyraźnym od strachu głosem wołać:

— Pa, pa, pa, panie! pa, pa, panie! pa, pa, pani przyszła!

Zadora zadrżał na te słowa, trzymając krzesiwo, krzyknął na Piotrka:

— Skrzesz prędko ognia!

Ale Piotrek, lubo orzeźwiony nieco głosem pana, tak drżał cały, że zamiast stalką uderzać w krzemień, kaleczył tylko palce sobie, wciąż jedne powtarzając słowa:

— Pa pa panie! pa pa pani przyszła!

Pan Ignacy wyrwał mu krzesiwo, prędko rozdmuchał próchno zatlone i siarniczką gorejącą zapalił świecę. Blask jéj przeraził go, gdy spojrzał na Piotrka, ktory zbladły jak trup, z sinemi ustami, z wyłupionemi oczyma, drżąc cały jak w febrze, teraz ciszéj wciąż bełkotał:

— Pa pa panie! pa pa pani przyszła!

Zadora zapalił kilka świec pozostałych od katafalka zmarłéj, a dając jednę w rękę Piotrkowi zawołał:

— Idź i drzwi otwórz!

Posłuszny chłopak wyszedł chwiejącym krokiem z sypialni, ale gdy usłyszał bicie we drzwi i straszny głos z ganku:

— Piotrek! otwieraj mi prędzéj!

Nogi stracił, upadł jak długi i świeca zagasła.

Wtedy pan Ignacy sam pospieszył do przedpokoju.

* * *

W kościółku Powązkowskim spoczywały zwłoki zmarłéj Zadorowéj; cztery świece woskowe gorzały przy katafalku i słabo rozświecały pomrokę w świątyni.

Dziad kościelny, czuwający przy nim drzémał w ławce, gdy go poświst wichury, co zatrząsł oknami i drzwiami rozbudził.

Przetarłszy zaspane oczy, powstał i zbliżył się do katafalka. Przypatrując się zmarłéj, dostrzegł na jednym palcu, grubą, złotą obrączkę ślubną; umierająca bowiem z całą przytomnością umysłu, prosiła usilnie męża, ażeby została z tą drogą dla siebie pamiątką pochowaną. Przywiązany małżonek spełnił to jéj ostatnie życzenie.

Na widok tak łatwéj zdobyczy, oczy dziada zajaśniały szczególnym blaskiem, wziął jednę świecę, obszedł cały kościół, a przekonany, że nie masz nikogo, wrócił do katafalku i chciał z palca ściągnąć obrączkę; ale trudne to było zadanie, wpiła się bowiem w ciało.

Już dobył noża i chciał odciąć palec, ale przypomniał sobie, że zwłoki w odkrytéj trumnie muszą pozostać do nabożeństwa porannego i trumna dopiéro do grobu niesiona zabitą zostanie: łatwoby ktokolwiek dostrzegł jego występek.

Stanąwszy więc na stopniach katafalku, kolanem przycisnął piersi zmarłéj a z palca z całą siłą zaczął ściągać obrączkę.

Przy pierwszém naciśnieniu piersi, usłyszał jakby cichy jęk dobywający się z ich głębi, a trup zmarłéj roztworzył oczy i podniósł głowę. Na ten widok dziad wydaje okrzyk trwogi i ucieka, kiedy ocucona z letargu pani Klara, przyszedłszy do przytomności zaczęła wołać, ażeby wrócił, obiecując mu sowitą nagrodę.

Dziad, który w ucieczce dwa razy się przewrócił i rozbił, usłyszawszy jéj głos ochłonął z przestrachu i zwolna wraca do katafalka. Pani Zadorowa siedząc w trumnie, wyciągnęła doń ręce:

— Nie lękaj się mnie dobry człowiecze—wyrzekła ujmującym głosem—widzisz że żyję i nie jestem upiorem. Pomóż mi wydobyć się z tych miejsc, od męża sowitą nagrodę otrzymasz. Nogi mi skostniały od zimna...

Dziad oprzytomniawszy, podał jéj ręce i wydobył z trumny.

Pani Klara zaczęła drżéć z zimna, narzucił więc na nią obszerny swój płaszcz dziadowski i oboje ruszyli z kościołka powązkowskiego.

Wichura ustała, chmury co okrywały cały horyzont, zaczęły się rozpływać i księżyc drogę oświecił. Przy samym dopiéro dworku Zadory, wiatr gwałtowny zadął, gdy pani Klara, zziębniętą ręką pochwyciła za klamkę i dobijać się zaczęła do mieszkania swego.

Długo stać musiała i użyć do pomocy pięści silnego dziada, zanim się dobudzono podpiłego Piotrka.

Zadora poznał głos ukochanéj żony, radość i podziwienie naprzemian go wzruszały. Otwiera drzwi z pośpiechem, i cofa się nieco na widok wchodzącéj w obdartéj czapce i płaszczu dziadowskim. Klara rzuca się w objęcia małżonka, a wysilona wrażeniami téj nocy omdlewa.

Zadora przenosi ją do sypialni, składa na łożu i zajmuje się jéj otrzeźwieniem: wprędce odzyskała przytomność. Pan Ignacy przy pomocy dziada suty na kominku rozniecił ogień, a Klara rozgrzana parą szklankami gorącego lipowego kwiatu, zaczęła opowiadać przygody swoje.

Dziad hojnie wynagrodzony opuścił dworek, a Zadora zaczął szukać Piotrka. Po długiém śledzeniu odkrył z pod łóżka dwie jego nogi wystające: za tym śladem znalazła się reszta. Wyciągnął go z ukry-

cia, a Piotrek który nieco ochłonął z piorunującego przestrachu, powstał, drżąc jeszcze jak w febrze.

— No! chodź tchórzu!—rzekł Zadora—i zobacz że pani zdrowa, bo to był sen a nie śmierć. Pójdź, pani chce cię zobaczyć.

Piotrek nieśmiejąc panu odmówić, zcicha i na palcach zaczął się za nim skradać do sypialni, jakby do śpiącéj: ale ujrzawszy ją żywą z rumieńcém chociaż słabym na bladém jeszcze obliczu, wyłupił oczy i w niemém jakby zachwyceniu stanął na progu.

Pani Klara wyciągnęła do niego rękę.

— Zbliż się do mnie—rzekła miłym jak zwykle głosem—i powitaj panią swoję.

Na te słowa Piotrek drgnął cały, orzeźwiał, jednym skokiem stanął przy łożu, a ukląkłszy, zaczął całować podaną rękę zanosząc się od rzewnego płaczu.

Nazajutrz całe miasto wieść obiegła o cudownem zmartwychwstaniu zmarłéj. Przyjaciele i sąsiedzi składali powinszowania, jedni z prawdziwéj życzliwości, drudzy wiedzeni ciekawością ujrzéć *żywą po śmierci.*

W kilka dni przed dworek Zadory zajechało kilka pojazdów wykwintnych: z pierwszego wysiadł *książe Józef z pod Blachy*, z drugich jego towarzysze.

Książe powinszował Zadorze, którego ojca znał dobrze z kampanii 1792 roku, a patrząc na powabną jego małżonkę, któréj wdzięki, żywy teraz rumieniec przykraszał, wyraził, że nic nie straciła z powabów swoich przechodząc tak smutne zdarzenie, i dzięki niebu że na ziemię naszą piękna wróciła istota.

Doktor Lafonten na przyniesioną wiadomość o tym wypadku, porwał za swój *Dzienniczek* i w nim odczytał co zapisał przed kilką dniami: „Ulica Nalewki, Zadora. Choroba dziwna: pogrzeb wstrzymać.“

Ale przy natłoku chorych, zapomniał téj przestrogi udzielić Zadorze.

We trzy lata w początkach ciepłéj jesieni, niezwykłe życie ożywiało stolicę Księztwá Warszawskiego. Był to rok 1809.

Zadora zmęczony odpoczywał w ogrodzie przy swoim dworku, żona kwitnąca zdrowiem, pieściła dwuletniego syna, gdy wszedł nieznajomy żołnierz z licem ogorzałém w wysokiéj niedźwiedziéj bermycy, z krzyżem srebrnym na piersiach.

Widać, że znał dobrze miejscowość, bo zajrzawszy do dworku, zwrócił się do ogrodu, a stanąwszy przed małżonkami, pozdrowił w milczeniu salutując prawą ręką do czoła. Zadora i pani Klara, z podziwieniem spojrzeli na grenadyera: ten stał wyprostowany nie mówiąc słowa; ale gdy chłopczyna wyciągnął doń rączki z anielskim uśmiechem, nie mógł dotrwać w spokoju: przyklękł przed panią Klarą, a całując rączyny dziecięce, ze łzami w oczach drżącym od wzruszenia głosem przemówił:

— Nie poznajecie państwo swojego Piotrka?

Na te słowa Zadora porwał go w swoje objęcia i zaczął ściskać serdecznie. Pani Klara pocałowała go w głowę.

— No! mój Piotrusiu, teraz cię już pod łóżkiem nie szukałbym pewnie.

Piotrek, dzisiaj *pan kapral*, smutnie potrząsnął głową i odrzekł:

— Z łóżkiem się od lat trzech już nie widziałem, chyba wtedy, gdym leżał ranny w lazarecie. Przechodząc przez Warszawę, zaraz poszedłem zobaczyć moje kochane państwo, któregom tyle lat nie widział. Jakaż to dla mnie radość że was zdrowo widzę, i mogę popieścić waszego syna.

Przy obiedzie na którym razem u stołu siedział, opowiadał przebyte koleje od czasu gdy przywdział mundur; bitwy pod Toruniem, Górą, Sandomierzem i Jedlińskiem, gdzie ranę otrzymał. Wystrugał dla *paniczyka* pałasz drewniany i karabinek.

Nazajutrz kompania jego wychodziła z Warszawy, wcześnie więc opuścił dworek, opatrzony obficie przez panią Klarę na drogę.

Już go więcéj nie ujrzeli, zginął w roku 1812 jako kapitan nad *Berezyną*, gdzie ostatni cios zniszczenia odebrała wielka armia Napoleona I-go.

Od tego zdarzenia cicha ulica Nalewki nabrała rozgłosu pomiędzy mieszkańcami Warszawy, a dworek Zadory stał się miejscem historycznem dla miasta, gdyż do niego przyrosła tradycya, przyozdobiona fantazyą o żyjącéj po śmierci, którąśmy opowiedzieli wiernie bez żadnych dodatków.

Ulica ta z prawéj strony od Krasińskiego placu idąc, dosięgała, jak i teraz Muranowa [1]), obszernego placu, na którym oddawna bywały *targi końskie*. Zwykle po targu rannym na Pradze, przeprowadzano konie na ten plac, który się nagle ożywiał nie tylko gwarem, ale i krzykiem harcujących na siodle czy oklep, dla okazania dziarskości rumaków na sprzedaż wystawionych. Badacz fizyognomii i charakterów ludzkich, zarówno jak rysownik, mieli tu obfite zasoby do chwytania typowych postaci, roznamiętnionych to nadzieją zysku spodziewanego, czy też prawdziwego zamiłowania do tych szlachetnych zwierząt, które tyle usług człowiekowi oddają. Targi te szczególniéj w letnią porę, co piątek przeciągały się do późnéj nocy, lubo je wcześniéj żydzi opuszczali z powodu nadchodzącego szabasu.

Z lewéj strony Nalewki zamykał gmach zwany arsenałem.

---

[1]) Kronikarz Warszawy F. M. Sobieszczański, wyprowadza nazwę Muranowa, od wysepki w Wenecyi *Morano*, z któréj rodem był pierwszy właściciel téj miejscowości Józef Belloty Włoch. Pierwotnie miejscowość ta nazywała się właśnie Murano.

Gmach ten w niczém swéj postaci zewnętrznéj nie zmienił, jak był na początku naszego stulecia. Za Stefana Batorego mieścił się tu szpital wojenny, Władysław IV zamienił go w zbrojownią. Urządzeniem jéj zajmował się słynny Grodzicki, generał artyleryi, czyli jak wówczas nazywano *starszy nad armatą*. Część wszelako arsenału, mieściła się w XVII wieku w budynku „prochowni," o któréj już wspominaliśmy i dawne podanie starych mieszczan warszawskich, przechowało godne pamięci wspomnienie.

Kiedy zaszła trzydniowa bitwa pod Pragą z Karolem Gustawem i Elektorem Brandeburskim w dniu 18, 19 i 20 lipca 1655 roku, królowa Marya Ludwika, przypatrując się od téj zbrojowni z wyniosłości ponad rzeką walce, spostrzegła, że z murów téj małéj warowni, nacierających Szwedów po drugiéj stronie Wisły, skutecznie razić można. Kazała więc wyłożyć konie ze swéj karety, dwa działa z arsenału sprowadzić i zająwszy się sama dobrém onych ustawieniem, celnemi strzałami niemałą im klęskę zadała.

Nie jedyny to przykład energii téj królowéj. Słynna z piękności, zakochana w urodnym *Sinq-Marsie*, który na rusztowaniu skończył życie, oddana głębokiéj boleści, za staraniem kardynała Richelieu'go poślubioną została Władysławowi IV. Król ten w lata zaszły, ociężały z otyłości, na pierwszy widok swéj nowéj małżonki, ktorą znał tylko z przesłanéj przez Richeliego miniatury, przyjrzawszy się jéj bliżéj, wyrzekł tak głośno do posła francuzkiego, że słowa jego usłyszała:

— I toż to jest owa wasza piękność zawołana?

Ugodzona w serce boleśnie, pragnęła pocieszyć się wpływem na rządy państwa, ale Władysław IV z początku zaraz surowo się uleczył z téj zachcianki. Po jego zgonie, poślubiła brata Jana Kazimierza i wśród nieszczęśliwéj doli kraju, była dlań niemałą podporą.

Marya Ludwika nie jedno to wspomnienie zostawiła po sobie w Warszawie: była ona fundatorką kościoła i klasztoru Panien Wizytek na Krakowskiém-Przedmieściu.

Jeżeli arsenał, zamykający ulicę Nalewki, w murach swoich stoi jednostajny; zewnętrzny przystrój jego wielce się zmienił.

Od ulicy Długiéj, oprócz kilku topoli przy chodniku na wybrukowanym placyku, leżały kule armatnie, ułożone gustownie. Wewnątrz w dużéj sali, była właściwa zbrojownia, przystrojona ze smakiem artystycznym z rozmaitéj broni tak palnéj, jak siecznéj. Oglądałeś tu lance, chorągiewki i szable szwoleżerów z pod *Somo-Sierra*, jak z legionów: wiele zabytków dawnéj zbroi, karabiny rozmaitego kształtu i kalibru, stare działa i śmigownice szwedzkie.

Widok wnętrza téj pięknéj sali, jak i zewnętrzny samego gmachu arsenału, zachował nam w albumie swojém *Jan Piwarski* w kolorowanych rycinach.

---

## VI.

Pałac Mostowskich. — Ludwisarnia. — Plac Krasińskich. — Teatr narodowy. — Józef Bielawski. — Scena i artyści dramatyczni. — Wojciech Bogusławski. — Marcin Szymanowski. — Kudlicz. — Wolski. — Werowski. — Piasecki. — Ledóchowska. — Leontyna Żuczkowska. — L. A. Dmuszewski. — Józef Zdanowicz. — Nowakowski. — Kurpińska. — Balet. — Tragedye klassyczne. — Zmiana pojęć. — Scena liryczna Fr. Morawskiego: „Sen poety." — Homer i Ossyan.

Ulica Długa właściwą miała nazwę, bo w tym okresie (1800 do 1830) była najdłuższą niemal ze wszystkich, kiedy Nowy-Świat, niezabudowany należał więcéj do przedmieść Warszawy.

Arsenał frontem do ulicy Długiéj zwrócony, po prawéj stronie był przedzielony uliczką od wielkiego gmachu zwanego pałacem *Mostowskich*. Własność niegdyś Hilzenów z Inflant, następnie Mostowskich, gdy przeszedł na własność rządową, przerobiony został z niemałym nakładem na pomieszczenie Komisyi rządowéj Spraw wewnętrznych i policyi. Front zdobiły płaskorzeźby dłuta Norblena, wyobrażające rolnictwo, godła przemysłu z kunsztami połączone oraz policyę: na szczycie wznosił się orzeł.

Z lewéj strony arsenału, przez wązką także uliczkę przedzielona stała Ludwisarnia, co dotąd swój dawny kształt zachowała, w któréj naprawiano broń uszkodzoną i wyrabiano nową. Po téj połaci ciągnął się rzęd bez przerwy kamienic murowanych aż do placu *Krasińskich*.

Plac ten raz przez swój pałac, jeden z najpiękniejszych budynków Warszawy, powtóre przez gmach teatralny, w którym scena narodowa mieściła się i rozwijała blizko przez pół wieku, stał się miejscem dla Warszawy historycznem.

Teatr swoją zewnętrzną postać zachował po dawnemu: upstrzyły go teraz liczne sklepy żydowskie, gdy przedtém miejsca jakie zajmują, stanowiły obszerną sień wchodową. Scena była obszerna, i jak na ludność ówczesną, miejsca dostatecznie dla lubowników teatru.

Loże były wygodne parterowe, pierwszego i drugiego piętra i kilka galeryowych; krzeseł nie było, a cały dół zajmował parter stojący, do którego bilet pojedyńczy kosztował cztery złp.; późniéj wniesiono do niego trochę ławek, a w ostatnich dopiéro latach, ukazało się kilka tylko rzędów krzeseł.

Parter i paradyz stanowiły właściwych ukształconych widzów i dobrych sędziów, każdego utworu dramatycznego, jaki się pojawił na scenie.

Paradyz, zajmowali akademicy i młodzież szkolna. Jak pierwsi tak drudzy strzegli pilnie tam ulubionego miejsca Stanisława Staszica, ażeby nikt go zająć się niepoważył. Lubo się zdarzało, że Staszic dla zajęć pilnych w ministerstwie spraw wewnętrznych, nie przyszedł na widowisko, miejsce to niezajęte, zawsze nań oczekiwało.

Oświetlenie było ze świéc woskowych, późniéj dopiero zaprowadzono żyrandol z lampami olejnemi.

Teatr wiązał się silnie ze swą społecznością, i nigdy się lepiéj nie da zastosować ta piękna myśl Jana Nepomucena Kamińskiego, wypowiedziana w prologu na otwarcie sceny lwowskiéj, jak do tego właśnie okresu o którym mówimy.

„Wiek swój pokrzywdza zdaniem zardzewiałem,
Kto czczéj zabawy szuka w niéj powodu;
Silniéj niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia *scena* ze sercem narodu.
Jeden tam węzeł dwie strony kojarzy,
Co jedna czuje, druga ma na twarzy.“

Teatr wpłynął przeważnie na zamiłowanie literatury dramatycznéj, na rozszerzenie dobrego smaku, obudził życie literackie, albowiem oprócz wywołania nowych utworów dla sceny, obudził krytykę.

Jakkolwiek pierwszą myśl stałego teatru zawdzięczamy Stanisławowi Augustowi, który go tak okazale, jakeśmy widzieli, otworzył, dalsze jego utrzymanie i rozwój odpowiedni duchowi czasu i współczesnych wypadków, jest dziełem wyłącznem Wojciecha Bogusławskiego. Mąż godzien posągu przed gmachem teatrów warszawskich. Stanisław August naśladując dwór francuzki, zapragnął widowisk scenicznych, z tą myślą się nie taił, nawet nadworny poeta Bielawski wypowiedział ją w swym prologu [1]); ale wkrótce zdał całą sprawę sztuki dramatycznéj w ręce swego kamerdynera Ryxa, i teatr jak prędko

---

[1]) Nie możemy milczeniem pominąć tego pisarza, raz jako autora, którego komedyą otwarto pierwszy stały teatr w Warszawie; powtóre, jako wydatnéj postaci na dworze królewskim i w piśmiennictwie tego okresu.

Nie znamy szczegółów życia Józefa Bielawskiego, ani powodów, które skłoniły Stanisława Augusta, że jemu powierzył napisanie komedyi na uroczystość otwarcia teatru polskiego. Bielawski pisywał drobne okolicznościowe wierszyki, które pojedynczo wychodziły, ale te żadnéj wartości nie miały. Dowcipny szambelan Kajetan Węgierski, wziął go za cel szyderstwa swego; nie zapomniał o nim w poemacie swoim „Organy,“ i komedye jego pomiędzy najlichszemi utworami literackiemi umieścił. W liście zaś do księdza Węgierskiego, tak się o nim i ówczesnych pisarzach dramatycznych wyraża:

„Od Baltyckiego morza, ku śnieżystym Tatrom
Wiedzą, że pan Bielawski otworzył teatrum;
I słusznie się tym chełpi zaszczytem niezmiernym,
Że był pono natenczas, jak mówią, odźwiernym.
Gniew ubogich autorów na warszawskiéj scenie,
Krzywdę czyni Thalii, hańbę Melpomenie;

otwartym został, równie prędko byłby zamknięty, gdyby nie poświęcenie Bogusławskiego.

Kilka słów wspomnienia życia tak czynnego, tu najwłaściwiéj podamy:

---

Jeden z nich, co przez długi czas swą wenę chował,
Mówią, że nową jakąś sztukę wygotował:
I z tego na zabawę potrafim korzystać,
On, trochę nas ponudzi, my, możem wyświstać!"

Ujął się za potyranego twórcę „Natrętów," drugi szambelan, potężny talentem Trembecki. Pod imieniem Bielawskiego puścił kilka wierszy w obieg, które (zanim się prawdziwy autor wydał) podniosły Bielawskiego w oczach czytającéj publiczności. Pod jego też imieniem napisał wiersz jako odpowiedź na pociski Węgierskiemu, z którego podamy małe wyjątki:

„Lekkomyślny młodziku! napaść twoją hardą,
Raz odciąwszy, na resztę patrzałem z pogardą;
Lecz gdy twoja swawola nie znajduje końca,
Biorę pióro i siebie i drugich obrońca.

Od Baltyckiego morza, ku śnieżystym Tatrom,
Wiedzą, żem pierwsze polskie otworzył teatrum;
Gdzie, przepisanéj wierszem trzymając się drogi,
Przepuściwszy osobom, wyśmiałem nałogi."

Z dalszego ciągu tego wiersza, dowiadujemy się, że Bielawski pisał wierszyki na cześć i w hołdzie pięknym oczętom; że sławił cnoty Izabelli (Czartoryskiéj); że złorzeczył owéj nocy listopadowéj, w któréj konfederaci porwali króla z Warszawy, wreszcie, złośliwą zwracając mowę do Węgierskiego, tak pisze:

„Wielka rzecz, żeś tłumaczył prozę Marmontela: (pow. moralne)
Ta się znikoma praca dla żaków oddziela,
Wiemy oraz że twoja muza znamienita,
Pisała też i wiersze których nikt nie czyta;
Wart Achil być podanym wiekom przez Homera,
Wart i Homer takiego śpiewać bohatéra;
Obydwa siebie godni, obydwa wieczyści:
Tyś *organistów* godzien, ciebie *organiści*."

Przymówka do jednego z największych utworów Węgierskiego, poematu komicznego „Órgany." Reszty tego wiersza nie przytaczamy, bo kończy się kijową pogróżką. Niedosyć, na krytykę komedyi „Natrętów," taką Trembecki napisał odpowiedź Węgierskiemu, w imieniu ich autora:

Urodzony w roku 1760 we wsi Glinnie pod Poznaniem, nauki pobierał w szlacheckim konwikcie księży Pijarów w Warszawie. Gdy odbywał ostatni popis ukończonych nauk, obecny temu biskup Sołtyk, książe siewierski, tyle był zadowolony wszechstronną zdolnością mło-

---

„Byłbym cię nie znał, ale pióro cię wydało,
Co z kiepska po węgiersku Woltera przebrało;
Żałuję jego losu że w tak śmiesznym stroju,
Pójdzie na papiloty ciemnego pokoju."

Wiadomo jakim był zwolennikiem Woltera Węgierski, i jak go ochotnie gdzie mógł tylko naśladował.

Odetchnął swobodniéj Bielawski pod tarczą obronną Trembeckiego, bo go odtąd nie napadał więcéj Węgierski, lubo za każdém spotkaniem lubił zeń żartować. Bielawski bywał na uczonych obiadach czwatkowych w Zamku u króla, bywał tam jako szambelan i Węgierski. Raz wśród gwarnéj rozmowy, nagle się uciszyło, bo król miał nadejść. Węgierski w téj chwili spostrzega Bielawskiego.

— Ach!—zawołał—powiem téż panom jaki napisałem Bielawskiemu nagrobek.

— Słuchamy! słuchamy!

Węgierski zadarł głowę w górę, jak miał zwyczaj, i z napuszeniem wydeklamował:

„Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę,
Bo jak się obudzi, komedyę napisze!"

Powszechny śmiech zabrzmiał po sali zamkowéj, który wkrótce uśmierzyło przybycie króla.

Że utwory Bielawskiego nie zasługiwały na szyderczą poniewierkę Węgierskiego, zaraz zobaczymy. Nie miał on wzorów żadnych w literaturze naszéj, pisał po Franciszku Bohomolcu, którego przeróbki z Moliera, z uwagą ciągłą że to młódź szkolna ma-przedstawiać, a zatem z opuszczeniem ról kobiecych, za początkowe próbki zaledwie liczyć można. Bielawski na szerszą skalę rozwinął swoje komedye, i nieraz umiał pochwycony z natury charakter trafnie i szczęśliwie oddać. Bacząc na czas w którym pisał, komedye jego można uważać za piękny i wiele rokujący zawiązek sztuki dramatycznéj, która wchodziła teraz w potrzeby życia społecznego.

Szyderstwa Węgierskiego wytrąciły mu pióro z ręki. Tadeusz Mostowski (w przypisach do poezyi Węgierskiego 1803 r.), maluje nam Bielawskiego jako człowieka uczciwego, bez żółci, i zabawnego w posiedzeniach. Dożył późnego wieku. Urodzony za Augusta III, już w męzkim wieku był obecnym koronacyi Stanisława Augusta, wiernie mu służył przez cały ciąg panowania, przeżył go jak i starą Rzeczpospolitę. Patrzał na wielkie zmiany krajowe,

dego Bogusławskiego, że go wziął jako pazia do swego boku. Wkrótce książe biskup kraj zmuszony był opuścić, a Bogusławski wszedł do pułku gwardyi litewskiéj; lecz gdy go ominął stopień wyższy, na

---

i za czasów Księztwa Warszawskiego umarł mając lat 70 wieku, w 1809 roku. Przejrzyjmy chociaż pobieżnie obiedwie Bielawskiego komedye, które się cieszyły niemałém powodzeniem na pierwszym naszym teatrze.

I. *Natręci*, komedya z rozkazu Najjaśniejszego Stanisława Augusta króla Polskiego, Wielkiego Książęcia Litewskiego napisana i na widok dnia 19 listopada 1765 roku w Warszawie wystawiona. (Warszawa, str. 128, oprócz przypisu i prologu, w 12ce).

Bielawski w przypisaniu królowi poniższém, tak o téj komedyi pisze:

„Że przyjmiesz królu pióra mego pracę,
Słabe pierwiastki, nadziei nie tracę;
Bo umysł wielki i dusza wspaniała,
Zastąpić błędy będzie mi umiała.
Który *Natrętów* gdy pokazać chciałem,
W pisaniu za cel, Twe rozkazy miałem;
Ani blask sławy dobył we mnie weny,
Do otworzenia pierwszéj w *Polszcze* sceny.
Boby to były próżne me zapędy,
Wystawiać słabém piórem cudze błędy;
Które im żywiéj czyj rozum maluje,
Tém je delikatniéj słuchający czuje.
Wyższym ten honor duszom zostawiony,
Sięgać w rodakach wad przez wszystkie tony;
Mnie dosyć chwały, gdy świat powie cały,
Że się *Natrętem* stał poeta śmiały.
Królu! coć dało tron błogosławieństwo;
Gań we mnie rozum, a nie posłuszeństwo.
Bo nie chcąc woli Twojéj się uchylić,
W jéj dogodzeniu przyszło się pomylić;
Więc twarz odwracaj od tego uroku,
A pozwól, zmierzyć chęć autora, oku;
Który za pierwszą pracy swojéj cnotę,
Nie styl, nie myśli, lecz niesie ochotę;
Wszak ma nie z siebie najmilszy darunek,
Lecz z ręki, która daje swój szacunek.
Jak i ja znając niezdatność mój sceny,
Szukam w Twych ręku, sercem dla niéj ceny;
Tobie zaś wieczna chwała ztąd zostanie,
Że Twe, błąd w kraju zmaże panowanie.
Możesz być wyrok piękniejszy od tego,
Poprawić ludu obyczajność swego.

który zasłużył istotnie, oburzony niesprawiedliwością, porzucił stan wojskowy i zwrócił się ku scenie krajowéj.

W kwiecie wieku wprowadzony do teatru przez szambelana dworu Wojnę, wystąpił poraz pierwszy na scenę warszawską w roku 1778 w tłumaczonéj przez siebie komedyi p. n.: „Fałszywe poufanie.“

---

Niech Francuz wielkość czci swego Ludwika,
Warszawa imię Ciołka (herb Poniatowskich) dziś wykrzyka;
Wielbi wieśniaczek, stany się radują,
Że w Stanisławie, Ludwika znajdują.“

Bielawski widać znał słabość króla, który pragnął naśladować Ludwika XIV i w tym celu teatr otworzył; ztąd w obu komedyach, po kilkakroć znajdujemy porównanie Stanisława Augusta do władzcy francuzkiego, a król miłe zawsze przyjmował to pochlebstwo.

Komedya *Natręci* pisana z rozkazu jego, miała wyjaśnić wydatniejsze wady krajowe, ale Bielawski zdradza się, bo wyraźnie mówi, że teatr otwarty nie dlaczego innego, jak dla zniesienia *sarmackich zwyczajów* i grubych *nałogów*, co Polskę podały w urągowisko! Główną téż zaprawdę myślą było Poniatowskiego, wszystko co było narodowością, najprzód szyderstwem zohydzić, a następnie wyplenić, sądząc, że gdy się naród wyprze własnego obyczaju i zwyczaju, wtedy stanie na drodze postępu i wielkości przyszłéj. Smutna, nierozważna i zgubna dążność! Mimo to autor poszedł inną drogą, albowiem Paryżanina wystawił w karykaturze, a za polskością silnie trzymał.

*Natręty* nie są bynajmniéj komedyą w dzisiejszém znaczeniu. Żadnego tu niemasz nietylko węzła dramatycznego, ale układ cały niezręczny. Jakkolwiek myśl główną wziął Bielawski z Moliera, wszystkie postacie wprowadzone na scenę, w niczém nie są naśladowane, ale odwzorowywane z postaci krajowych. Komedya pisana prozą, przeplatana miejscami wierszem. Treść jéj następna:

Hrabia, zakochany w Lucyndzie, miał się z nią widzieć o umówionéj godzinie w Ogrodzie Saskim; ale Cześnik natrętnik porywa go gwałtem na drodze i wiezie do państwa Łowczych, gdzie zasadzony do kart, nie mógł stanąć w ogrodzie. Oczywiście kochanka srodze zagniewana; hrabia przez Pontalskiego posyła guwernantce Lucyndy złoty zegarek, aby ją ukoiła w gniewie, sam zasiada do pisania listu. Ale zaledwie cztery wiersze nakreślił, wpada doń pierwszy z *natrętów*, Skarbnik. Jestto postać samochwała, który ma się za dowcipnego i rozumnego, co lubi kobiety i umié ich wdzięki ocenić, szukający wyższych towarzystw, a przytem łakomy na cudze przysmaki. Zaledwie potrafił go się pozbyć, gdy pomimo oporu służącego Węgrzynka, wpada szlachcic Wietrznikowski. Dobrze w nim odmalował Bielawski ową ubogą szlachtę, co pełna dumy rodowéj (bo i Wietrznikowski jest pra-pra-pra-prawnukiem tego, co po zabiciu króla Władysława pod Warną, tak się stał strasznym Turkom, że dotychczas na jego wspomnienie drżą wszystkie meczety w Stambule)

Pierwszy ten występ zapowiedział znakomitego artystę. Potężny jego talent rozwijał się stopniami, i działać zaczął przeważnie na podniesienie i udoskonalenie teatru. Pierwszy Bogusławski, powziąwszy myśl wprowadzenia na scenę opery polskiéj, ułożył w większéj

---

próżniaczyła na bruku warszawskim, i żyła z opatrzności Bożéj. Szermujący odwagą, a przytém pieniacz, pełne kieszenie mający przywilejów, kłamca wierutny, przymawia się o zapomogę, a gdy go hrabia pyta czém może służyć, odpowiada:

— Konikiem, pasikiem, żupanikiem, pieniążkami, i co Jaśnie Wielmożny Pan przyda *ex liberalitate sua*.

Datkiem pieniężnym uwalnia się przecie od drugiego *natręta*. Odetchnąwszy spokojniéj, zasiada do pisania listu do Lucyndy, gdy znów wbiega przemocą się wdarłszy Drużyłowski, nędzny wierszokleta, a jak zwykle przytém zarozumiały, co dla rymu przekręca sens i wyrazy. Deklamuje z zapałem liche wiersze, i wypowiedziawszy cały swój nowy utwór, przecież odchodzi. Zmęczony natrętami, niemając wiadomości od Pontalskiego, idzie go szukać i na tém kończy się akt pierwszy. Akt drugi także w mieszkaniu hrabiego. Pontalski radosną przynosi wiadomość, że wszystko dobrze sprawił. Guwernantka będzie go wspierać, a że stryj Lucyndy i opiekun, *upodobał sobie staruszek, fartuszek* owéj guwernantki, pomoc jéj tém większą ma wagę. Hrabia, ukończywszy przecie list rozpoczęty na początku pierwszego aktu, teraz swemu powiernikowi czyta. Posłuchajmy więc tego języka miłości razem z Pontalskim, z okresu pierwszych lat panowania Stanisława Augusta:

„Życia i duszy ukontentowanie,
Przyjm pełne żalów to moje pisanie;
I pozwól, aby szczęśliwszem zrządzeniem,
Mogłem się cieszyć dziś twojem widzeniem,
Którego wczora serdecznie żądałem,
W moim, od ciebie oddaleniu ciałem!
Ani mię strofuj żem chybił godziny,
Bom jest bez winy.
Dowiesz się kto mię téj pociechy zbawił,
Żem się na miejsce umowy nie stawił;
Chciéj tylko proszę na mniejsze me męki,
Do łez otarcia zbliżyć ślicznéj ręki.
Niech jeszcze choć raz w mojéj ciężkiéj bidzie,
Z tobą się widzę, nim mi umrzeć przyjdzie;
Téj łaski żebrzę, i o to cię prosi
Ten, co w swych piersiach ściska cię i nosi.“

Pontalski, mając sowitą przyrzeczoną nagrodę, ze sztuką materyi dla guwernantki, śpieszy popierać sprawę hrabiego, który radby po trudach odpo-

części pieśni do opery Franciszka Bohomolca: „Nędza uszczęśliwiona“ do której muzykę napisał Maciéj Kamiński; przedstawiał ją z powszechnym zapałem publiczności i oklaskami. Tym sposobem zakorzeniony przesąd, że nasz teatr własnéj opery mieć nie może, szczęśliwie i chlubnie zwy-

---

cząć chwilę; gdy Serdecki, podobnie jak pierwsi *natręci*, przemocą wchodzi i przedstawia mu Paryżanina Sapienczykowicza. Jak Serdecki jest postacią z owych czasów, co poniewierając wszystkiém co swoje, dla Francyi i dla Paryża jest z nieopisaném zachwyceniem, tak figura Sapienczykowicza, niezawodnie musiała być pochwyconą z żywych oryginałów, jakich na bruku warszawskim niebrakło. Posłuchajmy niektórych ustępów z jego rozmowy.

„*Monsieur le Comte*, czy nie będzie miał za złe, że mi język francuzki bardziéj *faworyzuje*, bo to u nas którzy z Paryża *retourniujemy*, łatwiéj o tysiąc słów francuzkich, niż o jedno polskie. *Voila le diable*, otóż to z wacpanami mówić, którzy żadnéj *tenturyi* nie macie, *metampsicosophysicosmologii*, to słowo więcéj *signifikuje*, niż wacpan ze swemi płucami *komprenować* możesz, to jakbym wszystko powiedział *scyjencyi*, która jest kluczem do *uniwersalnych decyzyjów*.“

Wspomniałem już, że Bielawski mając z polecenia króla, karcić *sarmackie obyczaje*, wbrew zupełnie poszedł: owóż z téj sceny ustęp pomiędzy Paryżaninem a hrabią. Rzecz godna uwagi, że gdy w naszym okresie, hrabiowie w utworach literackich są stroną ujemną społeczności; Bielawski wystawia z owych czasów hrabiego jako typ prawości i zdrowego rozsądku.

*Paryżanin. Monsieur le Comte*, czy będziesz wacpan wierzył, że dopiéro trzy dni jakiem w *Polszcze*, a już grube powietrze, mało mi nosa nie rozsadzi; i com go tylko wsadził w tę zakwaszoną *aurę*, zaraz zaczął kichać, przepryskiwać: téj migreny nos mój nie znał w Paryżu, i gdyby go nie *zakrował* zapach pomady delikatném powietrzem paryzkiém nagniecionéj, byłoby podobno i po nosie.

*Hrabia*. Co to złego wacpanu ojczyzna uczyniła, że ją z jéj powietrzem, zwyczajami i ludźmi tak wyklinasz, która cię na swém łonie wykarmiła! Podobnéj niewdzięczności żadna z matek nie odebrała od syna swego, przecież to każdy wzdycha do gniazda swego!

*Paryżanin*. Mnie ojczyzna nic złego nie uczyniła, ale te golenia głów, te wiązki siana pod nosami, *inkomodują* wzrok mój.

*Hrabia* (z gniewem). Mospanie! co zwyczaj z sobą przynosi, nie podpada żadnemu pośmiewisku; ale kiedy potrzeba przymusi do oskrobania nożem głupstwa zarosłéj głowy, wtenczas jest się z czego śmiać i za co wstydzić. To my, wasz zawrót głowy, zbytki paryzkie, w cierpliwości znosimy, a wam nawet nasz strój oczy psuje. Żal się Boże że wacpan Polaka imię na sobie nosisz.

*Paryżanin*. Jam téż w Paryżu nie powiedział, żem się w Polszcze rodził, która nie wydaje wielkich ludzi.

ciężył. Następnie przełożywszy wiele oper francuzkich i włoskich, jak w roku 1781 operę *Sachiniego*: „Dla miłości zmyślone szaleństwo," dnia 13-go lipca 1780 roku, wystawił operę z muzyką *Passiellego* p. n. *Fraskatanka* czyli *Dziewczyna zalotna*. Pierwszy to był przykład

---

Pozbywszy się natrętów, hrabia w ostatniéj scenie czyni gorzkie wyrzuty zaślepieniu rodziców, co nie dbają o wychowanie przynależne dzieci swoich.

— Wy to ojcowie! (mówi) jeszcze w kolébce wybudowaliście dom niesławy i pośmiewiska krwi waszej.

Akt trzeci i ostatni w Ogrodzie Saskim najmniéj ma zajęcia. Hrabia, przy pomocy guwernantki godzi się z Lucyndą. Podczaszy stryj i jéj opiekun a wielbiciel guwernantki chętnie na związek małżeński zezwala. Przewija się tu jeszcze bez potrzeby figura paryżanina. Podczaszy zapowiada suty ucztę weselną, gdy schodzą się wszyscy *natręci*. Państwo młodzi zostawiają ich na scenie i na tém kończy się sztuka. W *Epilogu* Bielawski zwraca znów uwagę do króla:

„Królu! z którego czoła przeglądają cnoty,
Któż nie widzi żeś *Polszcze* przywrócił wiek złoty?
Któryż z niewdzięcznych synów ze mną dziś nie wyzna,
Jak wiele ci już winna kochana ojczyzna!
Kiedy przy wielkich pracach, które bérło daje,
Szukasz jeszcze poprawić w nas złe obyczaje;
Oby od tylu wieków, co świat na nas ciska,
*Grubego sarmatyzmu* zmyłeś pośmiewiska!
Otwierasz dziś *teatrum*, polskich wad i błędów,
Niemniéj chwalebne dzieło twych wielkich zapędów,
By każdy jak w zwierciadle przejrzał się w nałogu
I był odtąd obrazem podobniejszy Bogu.
To tylko gorszy rozum, że słabe udanie,
Nie umiało zabawić oka twego Panie?
Bo nieręczność polskiego do *teatrum* ciała,
Nigdy ludzkich nałogów nie kopijowała.
Ty piérwszy, Stanisławie, przez miłość narodu,
Szukasz drogi widoków lepszego w nim płodu,
I chcesz aby przykładem wszystkich innych krajów,
Wyzuł się, pod twą władzą, ze złych obyczajów.
Co cię za chwała królu z téj poprawy czeka?
Gdy lud twój doskonałą w dzieje postać człeka:
Gdy pijak z kartownikiem i łakomca stary,
Próżniak, natręt, pochlebca, pozna swe przywary:
Będą o tém potomne wieki wspominały,
Czego w Polszcze dokonał umysł twój wspaniały;
Nam zaś, największą będzie ztąd honor i sława,
Żeśmy na tronie czcili *Piasta Stanisława*."

przedstawienia w polskim języku, opery z wielkiemi aryami i chórami. Dzień ten zapisał się trwałemi zgłoskami w kronice teatrów naszych, a głównie w dziejach opery sceny polskiéj.

Najchlubniejsze przyjęcie tych usiłowań Bogusławskiego nie wystarczało jego zamiarom i chęciom: chciał on na wyższym jeszcze

---

Pomijając płaskie pochlebstwo, które jako spuścizna jezuickich panegiryków nie mogła opuścić tak nagle naszego piśmiennictwa, widzimy z tego *epilogu*, że jeżeli w saméj komedyi głównéj myśli podanéj z góry, Bielawski się nie trzymał, to miał ją na uwadze tak w prologu jak w epilogu. Co za smutny okres czasów, w ktorym król i wszyscy tron otaczający i społeczność myśląca wierzy, że to, co zachowuje obyczaj stary, narodowy, jest barbarzyńskiém, że *lud dopiéro wdzieje doskonałą postać człeka* pod panowaniem tego, co ten obyczaj wygna i przestroi wszystko z cudzoziemska.

Nadzieje jakie wyrażał na początku i w końcu swéj komedyi Bielawski o królu Piaście, nie bierzemy zupełnie na karb pełzającego pochlebstwa: nietylko autor *Natrętów*, ale i naród cały cieszył się świetną przyszłością i w młodym Stanisławie Auguście pokładał wielkie nadzieje. Niedziwota! wszakże to dopiéro było w rok po koronacyi w Warszawie.

II. *Dziwak*. Komedya w trzech aktach, na dzień trzeci Augusta, przez Józefa Bielawskiego, Fligel-adjutanta Bulawy Wielkiéj W. Księztwa Litewskiego napisana i na teatrum J. K. M. wygrana R. P. 1766 (w Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiéj: w 12-ce, str. 179 oprócz wstępu i prologu). Jeżeli w układzie swoim komedya ta nielepsza od „Natrętów," to bezporównania niższa, co do odmalowania wprowadzonych charakterów. Główna figura *Dziwaka* całkiem chybiona: jestto bowiem tylko tetryk i grubijanin; żona jego przedstawiona jako typ złości, niestosownie wprowadzona na scenę, reszta postaci mgła i przesadzona: ztąd mniéj nawet ma komiczności od „Natrętów." Ale daleko przechodzi piérwszy utwór Bielawskiego co do stylu swobody i naturalności dyalogu, w użyciu przysłów narodowych tak przyrosłych do stylu komedyi, w czém jest Zabłocki mistrzem nieporównanym. Komedyę tę przypisał autor księciu Augustowi, Aleksandrowi Czartoryskiemu wojewodzie i generałowi ziem ruskich. W przypisie tym na czele wyraża: „Jeżeli Ludwikowi XIV mógł ofiarować Molier swych „Natrętów," témbardziéj ja W. Ks. M. „Dziwaka" mego, który winienem krwi jego fortunę i talent."

Podobnie jak w „Natrętach" na czele znajdujemy:

### *Prolog.*

Apollo pełen żalu czeka na Merkuryusza na górze Helikonu, którego Jupiter drugim powrotem wysłał na ziemię szukać Thalii Muzy komedyi, która się obłąkała z Parnasu. Apollo w długim monologu wyraża wierszem swą boleść z powodu zniknienia ulubionéj Muzy: cały Parnas jest w smutku i szczęście jego zatrute, a Muza skryła się w taką sferę, że nawet oko Jupitera dojśledzić jéj nie może.

stopniu widzieć scenę krajową, i po długich staraniach i mozolnéj pracy, wystawił w końcu roku 1793 wielką operę, całą w recytatywach p. n. *Axur król Ormus*, z muzyką Salierego. Nadzwyczajny zapał z jakim ta opera przyjętą została przez publiczność, podwoił

„Ach! gdziekolwiek cię miłość nauk, w którejś wzrosła,
Czy do Greków, do Rzymu, czy do Chin poniosła:
Wróć na łono twojego Muzo Apollina,
Bo bez ciebie ciężka mu jest i jedna godzina!“

Kiedy tak żałośnie narzeka, kiedy ma *z bólu wyzionąć na wiatr z ciała duszę*, postrzega Merkuryusza, który za rękę pięknego zbiega prowadzi.—Kędyś była?— pyta radosny Apollo.—Thalia w prawéj ręce trzymając portret króla Stanisława Augusta, pokazując gu, odpowiada:

Tryumfuj! znowu'm łaską jego dziś odżyła,
Bo cokolwiek natura cnót zawiązać może,
W królu, wszystkie w nim znajdziesz dziewięć Muzów, Boże.
A czego, moc języka wyrazić nie zdoła,
To wyczytasz tak z oczu, jako z tego czoła.

Apollo patrząc na portret, zdziwiony zapytuje:

Co mówisz? alboż Polska, to męztwa mieszkanie,
Pod tak mądrego króla poszła panowanie?

*Thalia.*

Już to drugi rok mija, jak z chwałą narodu,
Rządzi Polską, szukając w niéj lepszego płodu,
By handel z naukami kwitnął w niéj i prawa:
Ten jest umysł wielkiego z czynów Stanisława,
Który nie dość że fundusz dla fabryk zgotował,
Lecz i szlachcie rycerską szkołę wybudował.
Zgoła, cokolwiek kunsztów Europa liczy,
Wszystkie sobie zaszczepić w ojczyznie swéj życzy.
Jego to cnót powabem rzadkich zachęcona,
Wykradłam się z twojego Apollinie łona,
I na zazdrość złym bogom tylem dokazała,
Żem w Polszcze komedyę szczęśliwie zasiała.

*Apollo.*

Więc pospieszaj czémprędzéj na Parnas Thalijo!
Niech ci Muzy na tryumf nowy laur uwiją,
I niech już dobędą się z smutnych powiek oczy,
Z których żal łzy dotychczas wyciska i tłoczy.
Niech Jupiter, niech niebo, mych żalów świadkowie,

gorliwość Bogusławskiego i nasunął mu zarazem myśl utworzenia na większy rozmiar opery polskiéj. Wkrótce przeto po tém, bo zaraz w następnym roku 1794 ujrzała Warszawa na swojéj scenie, oryginalną operę Bogusławskiego, z muzyką Jana Stefaniego: „*Cud mniemany* czyli *Krakowiacy i Górale.*“

---

Obaczą wieniec chwały na twéj Muzo głowie.
Pójdź-że! (wkłada jéj laur na głowę).

*Thalia do króla.*

Ach! gdyby bóstwa mego nie było potrzeba,
Wyrzekłabym się królu! dla ciebie i nieba!

(*Do Apolla*).

Przynajmniéj, nim na Parnas piérwszy krok uczynię,
Zbliż się do króla usty wielki Apollinie!
I podziękuj, że jego dzisiaj duch wspaniały,
Pozwolił mi łaskawie zerwać wieniec chwały,
Któren ja na ołtarzu wiecznéj sławy razem,
Zawieszę między bogi i z jego obrazem.

*Apollo do króla.*

Królu! którego pełne wspaniałych cnót czyny,
Będą wielbić po niebie Muzy téj godziny;
Przyjm z ust rządzcy Parnasu na podziękowanie
Wiek długi, od żądania dłuższe panowanie.
Niech stuletniego wieku los na cię wypadnie
Z rąk Tego, który życiem wszystkich królów władnie.

(*Do słuchaczy*).

Tobie zaś ztąd Sarmato wieczna cześć i sława,
Że mój Parnas czcić będzie wielkość Stanisława.
Honor, którego Jowisz z monarchów żadnemu
Nie pozwolił dotychczas, jak tobie piérwszemu:
Bo póki bogów, nieba, lat stanie i czasu,
Póty twego imienia nie zmażą z Parnasu.

*Merkuryusz do Apolla.*

Wyjdź Apollinie! już czas bym wrócił do nieba,
Gdzie rachunek z mych godzin oddać będzie trzeba.

*Apollo.*

Idźmy! kiedy się już nam dostało téj chwały
Widzieć króla, którego mądrość czci świat cały.

Komuż nieznaną jest jéj treść, któż nie słuchał z rozkoszą téj muzyki tak prostéj, a jednakże tak silnie trafiającéj do serca? Komuż obcą była w owéj epoce, ta śpiewka *studenta*:

„Świat srogi, świat przewrotny,
Wszystko na opak idzie,
Kto nie wart, pan stokrotny,
A człek poczciwy w biédzie“ i t. d.

---

*Apollo, Thalia, Merkuryusz.*

Idźmy! wychodźmy! (odchodzą).

Skończony prolog, teraz zaczyna się komedya. Kokoszewski dziwak mając za żonę Złośnicką z charakteru i nazwiska, córkę swoją Lucyndę, pomimo danego słowa, nie chce wydać za Grzeczniewicza, ale pragnie połączyć ją z Gajdeckim, parafianinem, nieokrzesanym gburem, lecz zamożnym i gospodarzem. Bielawski w téj komedyi więcéj się skłania na stronę Stanisława Augusta zwolenników i ubiera Gajdeckiego w strój polski, a Grzeczniewicza w nowomodny strój francuzki, stawiając go za wzór wyższego wychowania i charakteru. Kokoszewski wyrzuca córce kochającéj Grzeczniewicza, że powietrze warszawskie inspirowało jéj nienawiść do polskiéj sukni, która przedtém Turkom tylko straszna była, a nie białym głowom; ale przewagę widzi w końcu przy cudzoziemskim stroju i sprawdza to, co mu córka odpowiada: „że Grzeczniewicz w francuzkiéj sukni, polską duszę nosi.“ Ten mając wstęp wzbroniony do domu kochanki, dostaje się raz jako pielgrzym i leczy chorą Lucyndę zdejmując z niéj urok; drugi raz przebrany wraz ze służącym swoim za kupców norymberskich z Warszawy. Lucynda poznaje kochanka w kupieckim stroju i w radosném uniesieniu wykrzykuje:

— Cóż to ja widzę? Bodajżeś kata zjadł, jak mnie pięknie oszukał!

I na oświadczenie Grzeczniewicza odpowiada:

„Prędzéj rzeki z swych źródeł wypłyną, ptaki śpiewać zapomną, niżeli dla ciebie serce moje wzdychać przestanie, téj jest mocy we mnie kochanie.“

Ojciec dziwak, zawzięty dawniéj przeciw Grzeczniewiczowi, oburzony na Gajdeckiego zręcznie osnutą plotką, zezwala w końcu na wszystko i każe na nowo suty obiad gotować, gdy piérwszy przygotowany na zaręczyny z Gajdeckim, żona w uniesieniu i złości zniszczyła w kuchni. Zwolennik narodowości, choć pragnie aby zięć przyszły zrzucił z siebie niemieckie *findrymandry*, a wdział kontusz i żupan, zapuścił wąsy i głowę kazał podgolić; daje się zwyciężyć téj zasadzie tak powszechnéj naówczas, a powtórzonéj w „Dziwaku“: „że suknia ani psuje, ani poprawia obyczajów!“ W scenie, kiedy Grzeczniewicz przebrany za Norymberczyka, towary swoje rozkłada i książkami *Dziwaka* częstuje, dowiadujemy się, że piérwsza komedya *Natręty*, bardzo się podobała, a *Skarbnik*, brat jego, taki nam cel i zadanie komedyi podaje.

To też śpiewano ją w całym kraju, jak i wiele innych z téj opery, która wsparta talentem Bogusławskiego, grającego studenta, doczekała się w pośród najwyższych oznak zadowolenia, stu kilkadziesiąt przedstawień. Nietylko w Warszawie znanym był jako znakomity artysta dramatyczny i pisarz: Kraków, Lwów, Wilno, Grodno, Dubno, Poznań, Gdańsk i wiele miast innych, gdzie tylko się pokazał ze swoją truppą, podzielało z zapałem oklaski Warszawy, wspierało usiłowania Bogusławskiego. Od roku 1780 kolejno zwiedzał on te miasta, walczył odważnie z przeciwnościami, a nieraz z pokątną zawiścią, ażeby tylko wskrzesić i ustalić scenę polską w kraju, która już się ku upadkowi chylić poczęła. Nakoniec śmiałém i otwartém postępowaniem zwrócił Bogusławski uwagę króla Stanisława Augusta, który polecił mu, aby się udał ze swojém towarzystwem do Grodna, i otworzył tam teatr w czasie sejmu 1784 roku. Po ukończeniu zakreślonych przedstawień powrócił do Warszawy; nie mogąc zaś dla stawianych sobie przeszkód, rozpocząć widowisk, wyjechał ze swymi artystami do Wilna. Tu przyjęty z radością i szacunkiem przez

---

„Na komedyi nie wyśmiewają osób ale nałogi, które koniecznie w nas poprawić trzeba i jeżeli na angielskich teatrach królów wystawiają, na francuzkich książąt i hrabiów, na włoskich i niemieckich margrafów i baronów, a czemuż na naszych nie mają wystawiać szlachty i urzędników, dla zważania w nich nieszlachectwa, nie urzędu, ale błędów, które należą grubym wiekom i które z poniżeniem imienia polskiego, wytykają nam wszystkie narody. Mospanie bracie! winniśmy nieśmiertelną wdzięczność rządowi dzisiejszemu, że na nowo otworzył źródło do poprawy złych obyczajów, na których łonie przez tyle wieków zasypiała ojczyzna nasza. Komedya Greków, Rzymianów, Francuzów, Angielczyków, wyłamała z rąk grubych nałogów, a tém większe na kraj nasz ściągnie pożytki, im, że nietylko w nim poprawi obyczaje, ale zastąpi niedostatek języka, na który się wielu skarży, a większa daleko liczba kole oczy sztukowaniem go francuzkiemi lub łacińskiemi *makaronizmami*.“

Mamy tu ślad wyraźny jak się szlachta jątrzyła na ówczesne pismo peryodyczne *Monitora*, gdy *Skarbnik* brat *Dziwaka* na jego piorunowanie przeciw temu organowi prassy ówczesnéj, odpowiada:

— Panie bracie! gdybyś znał szacunek tych piór, które pocą się na ukołysanie w nas dzikich humorów, na zmazanie podłości, uporu, próżnowania i gnuśności w wielu obywatelach; na wyłamywanie nas z rąk namiętności, któréj zadatki wyglądają z czołów naszych, na obalenie w nas *sentymentów* nieludzkości i grubiaństwa: wielbiłbyś i piszących i wiek, któremu zostawiła Opatrzność staranie i honor do wydźwignienia imienia polskiego; ale że te ziarnka padają na opokę, trudno za to winować te tak pożyteczne pismo, boby to było gniewać się na słońce, że nocne ptaki światła jego znosić nie mogą.“

*Dziwak*, znalazł równie dobre przyjęcie na teatrze jak i *Natręty*. Śmiano się serdecznie z Kokoszkiewicza, kiedy budząc *węgrzynka* (służącego

ceniących talent naukę i poświęcenie dla sztuki, już miał zamiar na zawsze tam pozostać, gdy w roku 1790, rozkazem króla wezwanym został do Warszawy, gdzie Stanisław August nadał jego towarzystwu tytuł: „*Artystów narodowych*," a Bogusławskiego zaszczycił godnością „*Dyrektora królewskich widowisk.*"

Była to chwila stanowcza, chwila w któréj zajaśniała przyjazna gwiazda dla sceny krajowéj; pojął to dobrze Bogusławski, i wyjednał dla siebie wyłączny przywiléj i przedsiębierstwo widowisk krajowych. W trzech latach następnych za jego staraniem odbudowano grożący upadkiem gmach teatralny, a doborem dzieł i artystów, podniósł scenę do najwyższéj na owe czasy doskonałości. Król oceniając jego pracę i starania, zarówno jak talent, wspiérał te zacne usiłowania i nie małemi zaszczycał go względami, zapraszając do zamku na uczone czwartkowe obiady.

Zdarzyło się że raz u stołu siedział obok dumnego kasztelana***. Ten słysząc króla łaskawie do artysty przemawiającego i zowiącego go po nazwisku, myślał że to jakiś magnat uczony lub dworzanin królewski. Chcąc więc mu okazać grzeczność swoję, korzystał z najpierwszéj przerwy w rozmowie i rzekł do niego:

— Jaka to szkoda mości dobrodzieju, że u nas w Polsce taka bywa konfuzya imion rodowitych!

— W czémże to, panie kasztelanie i komu szkoda? — zapytał artysta.

— Otóż samemu waćpanu dobrodziejowi, chociaż pierwszy raz mam honor go widzieć i słyszeć jego nazwisko, a już mnie to obchodzi, że się tak właśnie zowie jakiś tam szerepetka, kuglarz, co to mości dobrodzieju na teatrze udaje, przedrzeźnia i ludzi śmieszy.

---

swego) sam się przewrócił, a przygniótł go ten wyrostek. Stękał leżąc i wołał, aby go podniósł; ale węgrzynek udając że go nie poznaje, każe mu dla większéj pewności po nocy, czy to on sam, czy to pan jego, aby kichał, łajał i ziéwał, co wszystko wśród gniewu i przekleństw robi z przymusu biédny Kokoszkiewicz (akt I, s. 3 i 4). Ta scena dla mało wymagającéj ówczesnéj publiczności była pełna komizmu i zawsze ją hucznemi okrywano oklaskami.

Na tych dwóch utworach skończył nasz autor zawód pisarza dramatycznego. Bacząc na powolny rozwój teatru polskiego, godzimy się na zdanie F. Bentkowskiego, jakie wydał o tym pisarzu („Hist. lit. polskiéj" T. II, s. 527): „Bielawski po Bohomolcu jest piérwszym, który w swych sztukach więcéj gustu i teatralnéj zalety połączył, tudzież trafniejszym w wystawieniu obrazów charakterystycznych okazał się. Śmiało rzec można, że gdyby w tym stosunku postępował nasz teatr jak z Bielawskim powstał, nie powinniśmy się uskarżać na brak dobrych sztuk oryginalnych; lecz że więcéj znalazło się krytyków niż takich coby coś lepszego napisali, scena komiczna nie bardzo zbogaconą została."

— Właśnie to ja sam nim jestem—odpowié żywo wzruszony Bogusławski—co czasem hrabiów, czasem kasztelanów... błaznów udaję, mości dobrodzieju.

To mówiąc przybrał zupełnie jego ton i hardą minę.

Zdarzenie to wybornie nam malują owe czasy i pojęcia o sztuce dramatycznéj.

Zaburzenia w roku 1794 spowodowały upadek sceny warszawskiéj, i zniszczyły prace i starania tyloletnie Bogusławskiego. Artyści rozproszyli się, a opuszczony dyrektor, zabrawszy swój księgozbiór teatralny wyjechał do Krakowa, gdzie powziąwszy wiadomość, że artyści polscy zgromadzili się we Lwowie, pospieszył za nimi i tu zawarłszy umowę z przedsiębiercą niemieckiego teatru otworzył scenę polską. Gdy pomyślnie rozwijać się zaczęła, wśród letniéj pory 1796 roku, Bogusławski wsparty hojnością ‚Kazimierza' hr. Rzewuskiego i obywateli Lwowa, wystawił piękny i obszerny amfiteatr, w ogrodzie książąt Jabłonowskich. Nowość ta powabiła liczną publiczność, która się tłumnie cisnęła na te widowiska, powtarzane kilkakrotnie w tygodniu. Tak świetném powodzeniem w obu teatrach cieszył się aż do połowy roku 1799, w którym niepomyślne wypadki dla sceny polskiéj, zmusiły go Lwów opuścić. Pobyt jednak Bogusławskiego w tym grodzie nie był bezowocnym, bo wywołał dwóch dzielnych współpracowników i pisarzy, jakimi byli Jan Nepomucen Kamiński i Alojzy Żółkowski.

Gdy powrócił do Warszawy, objął na nowo przedsiębierstwo teatru, a następnie udał się ze swém towarzystwem do Poznania i Kalisza. W Kaliszu wystawił nowy i obszerny teatr, uzyskał nawet przywiléj dziesięcioletni na dawanie widowisk. Niemogąc się jednak w nim utrzymać, po długiéj tułaczce w różnych miastach, przybył do Warszawy 1809 roku, gdzie podawszy projekt ustanowienia dyrekcyi rządowéj teatru i założenia szkoły dramatycznéj, na wezwanie króla saskiego a księcia warszawskiego, po otrzymaniu od niego na lat cztery przywileju na widowiska teatralne, rozpoczął nowe usiłowania do rozwoju sceny, lubo przewidywał, że zachwiać się będzie musiała. Jakoż sprawdziły się jego przeczucia, ciągłe przechody wojsk różnych narodów w latach 1812 i 1813, nie dozwoliły mieszkańcom Warszawy myśléć o zabawach i teatrze.

Bogusławski nie mając żadnéj pomocy ze strony dyrekcyi rządowéj, zamknął widowiska sceniczne w dniu 30 kwietnia 1814 r., a przedsiębierstwo teatru narodowego ustąpił zięciowi swojemu Ludwikowi Osińskiemu [1]).

Odtąd zdaleka od zgiełku stolicy, używał w sędziwym wieku tego spokoju, za którym tyle od lat młodych wzdychał. Tu zajął się zebra-

---

[1]) O zasługach L. Osińskiego dla sceny krajowéj, mówiłem w mojéj monografii: „Ostatni Klassyk" (Warszawa, 1872 r.).

niem, poprawą, ułożeniem i wydaniem prac swoich dramatycznych. Ogłosił je też drukiem w XII-tu tomach: (Warsz. 1820—23 r.). W sześć lat później, zakończył w tém cichém ustroniu życie dnia 23 lipca 1829 roku [1]).

Jakkolwiek zdał dyrekcyą teatru narodowego zięciowi swemu, nie porzucił jednakże sceny, i od czasu do czasu ukazywał się na niéj. Ostatni raz wystąpił na pożegnanie z wielbiącą go publicznością w dniu 10 listopada 1827 roku w roli *Fryderyka Wielkiego*, w komedyi p. n. *Koszyk wiśni.*

Społeczność tego okresu umiała godnie oceniać poświęcenie i zasługi Bogusławskiego. W dniu 23 kwietnia 1803 roku, gdy Warszawa była miastem prowincyonalném pruskiém, wielbiciele teatru, zebrani w jedno grono z artystami dramatycznemi, świetnie obchodzili uroczystość imienin jego. Z rana odegrano serenadę, a po złożeniu Bogusławskiemu powinszowania, zaprosili go na obiad i przedstawienie teatralne, przygotowane w salach pałacu Radziwiłłowskiego, (Paca, na Miodowéj ulicy).

Na to widowisko rozdano bezpłatnie bilety zwolennikom sztuki dramatycznéj i obywatelom Warszawy. Odegrana komedya p. n. *Aktorowie na Elizejskich polach*, pomnożoną została stosownemi piosnkami przez jéj autora L. A. Dmuszewskiego. Muzykę do niéj napisał Józef Elsner. Na balu, który ten obchód zakończył, rozdano go-

[1]) Dzieła dramatyczne w XII tomach zostaną zawsze chlubnym pomnikiem pamięci Bogusławskiego. W nich mamy *dzieje* teatru skreślone, pełne ciekawych szczegółów (T. I—IV), z których widzimy ile przeszkód miał do zwalczenia, jak wielkiego potrzeba było poświęcenia, wytrwałości, aby doszedł do zamierzonego celu. Mamy tu obok tego życiorysy artystów naszych, co podpierali usiłowania Bogusławskiego: jak: *Owsińskiego*, *Truskulawskich* małżonków, *Barbary Sierakowskiéj*, *Karola Świerzawskiego*, *Salomei Deszner*, *Andrzeja Mierzyńskiego*, *Jasińskiéj*, *Hempińskiego*, *Franciszki Pierożyńskiéj*, *Kaczkowskiego* i *Potroneli Drozdowskiéj*. Sześćdziesiąt sztuk obejmuje powyższe dzieło, do dwudziestu pozostało w rękopiśmie. Co wydał jednakże Bogusławski, okazuje jak pojmował wysokie znaczenie sztuki dramatycznéj i sceny narodowéj. Dwie tylko sztuki oryginalne umieścił w tym zbiorze: „Henryka VI na łowach“ i „Spazmy modne.“ Opera zaś *Cud*, czyli *Krakowiaki* i *Górale*, wyszła z rękopismu w Berlinie 1841 (w 8-ce, str VIII, 102), we dwanaście lat po śmierci autora. Utwór ten, jeżeli znalazł słuszny poklask na scenie, wydatne zajmuje stanowisko w dziejach literatury polskiéj. Bogusławski bowiem piérwszy wyprowadził na scenę lud polski w całéj prawdzie i prostocie. Wspomnieć tu winienem o zapomnianéj komedyi Bogusławskiego w dwóch aktach wierszem, którą napisał jako ciąg dalszy „Powrotu posła“ J. U. Niemcewicza; wyszła z druku w Warszawie 1791 r. pod napisem: „*Dowód wdzięczności narodu.*“

szczącym popiersie Bogusławskiego, sztychowane przez Ligbera z dwuwierszem L. Osińskiego:

„Krzywdzące głos ojczysty, marzenia umorzył;
Pisał, grał, i grających na czas późny stworzył."

Pierwszy wiersz stosował się do niemałéj zasługi Bogusławskiego, że sam tłumacząc opery włoskie i z wielkim nakładem przedstawiając, przekonał nie tylko rodaków ale i cudzoziemców, że możemy miéć własną operę, i obejdziemy się bez sprowadzania za drogie pieniądze italiańskich śpiewaków.

Pomnę z ostatnich jego wystąpień studenta w Krakowiakach i Góralach i Starego Horacego w tragedyi Kornela. Wyniosła postać, twarz szlachetna rzymskich prawdziwie rysów, wyrazista, choć głos już rozbity, silne wrażenie na młodych umysłach zrobiła, patrząc na starca, co na téj scenie tyle lat wiernie wytrwał, i tyle dla niéj pięknych zasług położył. Grzmot oklasków powitał jego zjawienie, i był zarazem należnym hołdem. A wtedy bardzo rzadkie bywały oklaski. Całą sztukę słuchała uważnie publiczność, nie śmiejąc żadnym szmerem przeszkodzić artystom. Po skończonej sztuce, jedném przywołaniem tylko i jednym oklaskiem składała im swoje podziękowanie. Za zjawieniem się aktora na scenie także nie klaskano, chybà że ukazał się po długiéj nieobecności, albo téż witano sędziwego Bogusławskiego.

Pod jego sterem, a następnie L. Osińskiego, zebrało się grono wybornych artystów; jak w tragedyi: Marcin Szymanowski, Bonawentura Kudlicz, L. A. Dmuszewski, Antoni Zieliński, Werowski, Jastrzębski, a późniéj genialny Piasecki. Z kobiét: Józefa z Truskulawskich Ledóchowska, Nacewiczówna, Żółkowska (matka), Leontyna Żuczkowska, Emilia Werowska. W komedyi: Żołkowski, Zdanowicz, Nowakowski, Niwiński, Wojciech Szymanowski, Damse; Kurpińska, Teresa Palczewska znakomitego talentu, Jankowska i Żółkowska (córka) późniejsza Kostecka. Krótko bardzo zagościł na scenie, pełen zdolności komik Górecki, zmarły w kwiecie wieku. W operze: Elsnerowa, Dmuszewska, Zdanowiczowa, Szczurowska, Eleonora Stefani, Aszpergerowa, Wagnerowa, późniéj Mejerowa, Gładkowska, Wołkow i Rywacka; ze śpiewaków: Jan Szczurowski, który przeszło do lat siedmdziesięciu zachował głos silny (bas) i dźwięczny, Żyliński, Polkowski, Romanowski, Krzesiński, Walenty Kratzer, Aszperger.

Wszyscy wymienieni artyści tragiczni byli wzrostu dobrego. Szymanowski odznaczał się większą tuszą, dlatego w poważnych rolach wyglądał poważnie. Organ silny, dźwięczny, posługiwał mu więcéj do ról pełnych zapału i uniesień, niż do czułych i miękkich. Nie umiał on czule i rzewnie przemawiać, ale zapał, gniéw, głośną rozpacz, wybornie oddawał. Forma tragedyi klassycznych była w takim rodzaju, że wszystkie podobne do siebie pod względem

rozbudzonych i wywiedzonych na scenę namiętności, różniły się tylko treścią przedmiotu obranego. Wymagały one deklamacyi głośnej, wyraźnéj; poruszenia aktorów były naprzód obliczone: sztuka tu, nie natura i samodzielność artystyczna, dawała przepisy do każdego ruchu, podniesienia głosu, układu własnéj postaci i deklamacyi. Bo tragedye zaprawdę były deklamowane ale nie grane podług dzisiejszego naszego pojęcia o sztuce dramatycznéj. Nie zużywał artysta siły żywotnéj jak dziś na scenie; największą rolę oddał dokładnie, ale wewnątrz na chłodno, a jeżeli była wielką, to jéj długość opłacał co najwięcéj chwilową chrypką. Inaczéj teraz grają nasi artyści w dramatach: wskazane namiętności rolą i charakterem, wywołują grę twarzy, oczu, głosu, muskułów, rozbudzają je w całéj postaci i tém rozbudzeniem trawią własne siły organiczne. W dawnym naszym teatrze, głównem zadaniem była pamięć, silny organ, wprawa, i oznajomienie z deskami teatralnemi.

Po Szymanowskim, Kudlicz zajmował piérwsze miejsce; niższy nieco wzrostem, pomimo całéj niewdzięczności organu, bo szeplenił, pokazał na sobie co może silna wola i talent. Kudlicz nietylko w tragedyach występował, i w komedyach znakomicie się odznaczał; zrozumienie każdéj roli i prawda w oddaniu przyjętego charakteru, cechowały wydatnie tego artystę. Gwizdany z początku dla szeplenienia, stał się wkrótce ulubieńcem publiczności i wzorem dla młodych aktorów. Role starców w tragedyi, w komedyi podżyłych mężów, lub zgnębionych już wiekiem i charakterystyczne, to były właściwe dla Kudlicza.

Wolski, nie miał dwóch poprzednich zdolności, lubo pod względem wykształcenia umysłowego stał od obu daleko wyżéj. Wzrostem i postacią zbliżał się do Szymanowskiego. Role poważne dobrze oddawał, nie zepsuł żadnéj, ale téż podnieść jéj wyżéj nie umiał: nie brakło mu zrozumienia roli ani wdzięcznego organu, ale brakło talentu.

Najpóźniéj ukazał się na scenie warszawskiéj Werowski, odrazu w tragedyach i dramatach, objął role pierwszych kochanków. Któż z nas nie zapamięta owych świetnych tryumfów tego artysty, kiedy wystąpił w roli *Rodryga* w tragedyi *Cyd*, Kornela, przekładu L. Osińskiego.

Przyodziany w lśniącą zbroję, czyto opowiadał zwycięztwa odniesione nad Maurami, czy ów sławny ustęp, kiedy był pewny miłości Xymeny:

„Powstańcie teraz wszystkie potęgi, choć z piekła!
Ach! tą lubą nadzieją ręka ośmielona,
Na wszystko się odważy i wszystko pokona."

Drżały deski teatralne pod jego stopami, bo jak wzrostem górował wielu, tak postawą całą, do ról bohatérskich stworzony.

Zapał w grze, deklamacya dobitna, wywoływały zawsze grzmot oklasków pochlebnych.

Wiadomo, jak wdzięcznie czytał Osiński: nikt mu nie wyrównał; najbliższym w pojęciu rzeczy i oddaniu myśli był Werowski, gdy się pozbył śpiewnego, litewskiego akcentu. Umiał on głos swój nawykły do silnéj deklamacyi tragedyj klassycznych, w dramatach miękczyć i urobić w rzewność: dość wspomnieć role w tragedyi Szyllera: *Miłość i Intryga*, i w dramacie Kotzebue'go „*Nienawiść ludzi i żal.*"

Werowski, zająwszy wysokie stanowisko w gronie aktorów teatru narodowego, nie miał współzawodnika do czasów zjawienia się Piaseckiego. Werowski stał prawie na wyłomie, kiedy tragedye klassyczne już blednąć zaczynały przed dramatami romantycznemi, które coraz więcéj zyskiwały zwolenników. Pomimo to, role Lionela, w *Dziewicy Orleańskiéj* Szyllera, *Dobromira*, *w Matce rodu Dobratyńskich*, Zbigniewa, w tragedyi tegoż nazwiska z chórami J. U. Niemcewicza, wskazywały, że równie dobrze pojmował pierwszych, jak i drugich znaczenie. Ze wszystkich ówczesnych artystów dramatycznych, czytał i pracował najwięcéj, piękny zgromadził księgozbiór i zapalonym był zbieraczem rzadkości bibliograficznych. Połowę zawsze dochodu ze swego benefisu, poświęcał na książki. Żaden z ówczesnych tragicznych aktorów nie był więcéj troskliwym, co do zachowania wierności i prawdy w ubiorze, w jakim miał odegrać swoję rolę: w téj troskliwości jeden mu tylko wyrównywał komik Józef Zdanowicz.

Werowski studyował bacznie, jeśli nie miał rycin pod ręką lub drzeworytów w starych dziełach, medale nawet i z nich dobierał kostium najodpowiedniejszy. Jeszcze w pełności swego zawodu dramatycznego, znalazł współzawodnika godnego siebie, młodego Piaseckiego, który wkrótce prześcignął swego mistrza. Werowski, zachodząc w lata, powoli ociężał, a przy nabieraniu tuszy musiał młodsze role zdawać Piaseckiemu.

Był to rzeczywiście genialny artysta, górujący talentem po nad wszystkiemi. Śmiało wystąpił w szranki swego zawodu, i gdy po Werowskim ukazał się w roli *Cyda*, publiczność dorazu poznała, że nic na zamianie osób nie straciła.

Jak dla każdego artysty i artystki najniewdzięczniejszą jest rzeczą brać role już znajome i ograne, chociażby przez niższe od siebie talenta: cóż dopiero mówić, jeżeli młody aktor, na pierwsze wystąpienie podejmuje postacie po zdolnych poprzednikach swoich. Śliska to bardzo droga i wielce niewdzięczna: doświadczył Piasecki w roli *Cyda*, téj prawdy na sobie. Publiczność przyzwyczajona do gry Werowskiego, nacechowanéj potężnym głosem i donośną deklamacyą, ową siłą atletyczną całéj postawy, nie zważała, nie zrozumiała cieniowania wyższego, obmyślanego głęboko w grze Piaseckiego; pomimo przecież tego, że te studya w charakterze *Cyda* wydatnością swoją nie zwróciły uwagi powszechnéj, gra Piaseckiego zyskała zasłużone pochwały i oklaski.

Odtąd każde wystąpienie młodego artysty przekonywało widzów o znakomitym talencie, o téj wyższéj umiejętności w zgłębianiu ról sobie powierzanych i dobywaniu z nich niedostrzeżonych przez innych piękności. Pamiętam go w roli *Hamleta*, gdy po powrocie z zagranicy wystąpił. Publiczność była zachwyconą, ale starzy artyści teatru narodowego, swego zdziwienia a nawet oburzenia nie taili, że piérwszy Piasecki na scenie, w chwili, gdy duch ojca mu się pokazuje, poważył się tyłem do widzów obrócić, co było wbrew wszelkim ówczesnym przepisom i przyjętym zwyczajom.

Nietylko na polu tragedyi i dramatów zajaśniał Piasecki: wyższa komedya miała w nim godnego reprezentanta. Deklamacya jego wielce się różniła od wszystkich: gdy potrzeba, silna i energiczna bez krzyku i wysilenia głosu, miała rzewność w ustępach tkliwych i w miękkim głosie, zciszonym, jakąś niewypowiedzianą łzawość. Długi czas, ba, może nie jeden wiek przeminie, nim podobny artysta, jak Piasecki ozdobi naszą scenę [1]).

Na czele artystek tragicznych stała Józefa z Truskulawskich Ledochowska. Z rodziców artystów dramatycznych wystąpiła na scenę prawie w dziecinnych latach. Spadkiem po matce swojéj słynnéj aktorce otrzymała rzeczywisty talent. Hrabia Ledochowski rozkochany w niéj poślubił ją, lecz wkrótce porzucił, ofiarując znaczną summę, aby zezwoliła na rozwód i wróciła do rodzinnego tylko nazwiska. Artystka chętnie dała się skłonić do rozwodu, ale odmianę nazwiska stanowczo odrzuciła. Wysokiego wzrostu, smukłéj i składnéj postaci, piękną i kształtną miała nogę, a ręce drobne, jak utoczone. Oblicze więcéj okrągłe, oczy czarne, pełne życia i ognia spojrzenie. Zajmowała ciągle na scenie naszéj role pierwsze tak w tragedyach żon i kochanek, jak w dramatach i komedyach. Mniéj jéj talent wydatniał w tych ostatnich; komedya téż w naszych czasach dopiero zajęła wynioślejsze znaczenie, w ową porę pośledniejsze miała stanowisko i główne role spoczywały na męzkich charakterach. Niełatwém téż było zadaniem dla aktora, występującego w tragedyach klassycznych, przejść do ról w komedyi i w niéj z ciężkiéj, poważnéj deklamacyi, z trzynasto-zgłoskowego wiersza, na swobodną, potoczną rozmowę. Ledóchowska, zrodzoną była na artystkę tragiczną: ruchy składne i poważne, głos już wyrobiony do wiérsza, każde wzięcie się odpowiednie po temu zawadzało w swobodzie gry i życie tak potrzebném przy oddaniu roli w komedyach. Jedna tylko Leontyna Żuczkowska (późniejsza Halpertowa), co zapomniawszy o tragedyach klassycznych.

---

[1]) Z późniejszych artystów najwięcéj zbliżył się do Piaseckiego Józef Komorowski, aktor z rzeczywistym talentem dramatycznym. Z początku naśladowca, następnie po długiéj pracy i studyach samodzielny artysta. W samém rozwiciu i dojrzałości wielkich zdolności, śmierć zbyt wczesna, wydarła go polskiéj scenie.

jaśniała jako wzór jedyny gry mistrzowskiéj w komedyach i dramatach nowoczesnych, ale powtarzamy, zapomniawszy tragedyj klassycznych.

Ledóchowskiéj siły już zabrakło, kiedy przedstawiała rolę: *Joanny d'Ark, w Dziewicy Orleańskiéj*. Tłumaczył z Szyllera dramat ten Andrzéj Brodziński starszy brat Kazimierza, w owych czasach, gdy prawidła *jedności miejsca i czasu*, ściśle w tragedyach szanowano. Brodziński naiwnie uniewinnia Szyllera z niezachowania tych prawideł, z danéj nawet nazwy *tragedyi romantycznéj*, (jakby grzéchu), a w końcu wyznaje, że nie tłumaczył, ale tylko naśladował oryginał. Oddał téż cały dramat długim, trzynasto-zgłoskowym wierszem, w którym zginęły wszystkie ustępy liryczne i miara do tego liryzmu zastosowana [1]). To téż w ostatnim akcie, kiedy Joanna wznosi gorącą modlitwę do Boga, zrywa więzy i biegnie swoim na pomoc: już głos Ledóchowskiéj nie starczył, była to zbyt forsowna dla niéj rola. Za to, ileż prawdy, jakież przerażenie wywoływała w owéj sławnéj, sennéj scenie w Szekspira *Mackbecie*, gdy z krwi ręce obmywała. Téj sceny już żadna po niéj artystka z równym urokiem nie zagrała. Z Ledóchowską występywała razem Żołkowska, żona komika, a w końcu jéj zawodu panny: Nacewiczówna i uczennica Ledóchowskiéj, młoda Emilia Werowska córka tragika.

Równocześnie ukazała się na scenie teatru narodowego Leontyna Żuczkowska. Młoda i w całém znaczeniu tego wyrazu piękna i urocza, obdarzona najwdzięczniejszym organem, wyniosłéj postaci i składnéj; twarz rysów regularnych i cudnie odbijających ze sceny. oczy duże, niebieskie, jaśniejące ogniem młodości; wszystkiém obdarzyła ją natura, co stanowić może wielką artystkę. Pomimo tych jednakże zalet i przymiotów, długo stała w cieniu na uboczu, odsuwana znaczeniem i powagą Ledóchowskiéj, która się jéj lękała i to słusznie, jako groźnéj współzawodniczki. Wypadek szczególny zdarzył, że powierzono jéj rolę staréj cyganki *Viardy* w lirycznéj dramie P. A. Wolfa z muzyką Karola M. Webera p. n. *Precyoza*, przełożonéj pięknym wiérszem przez Józefa Dyonizego Minasowicza. Roli się téj podjąć żadna z aktorek nie chciała, bo trzeba było scharakteryzować i umalować się na brzydką i starą cygankę. Żuczkowska młoda i piękna, śmiało tę postać przyjęła na siebie. Było to dnia 17 marca 1827 r. Pierwsze to było téj artystki wystąpienie w większéj roli. Licznie zebrani widze z podziwieniem patrzyli na typ prawdziwéj cyganki, która z taką naturalnością przedstawiała starą gospodynią téj bandy wędrownéj. W akcie III,

---

[1]) Dramat ten, dopiéro w mistrzowskim przekładzie dał nam w całéj piękności poznać A E. Odyniec. Niestety! pomimo wskrzeszenia późniéj w wiele lat *Dziewicy Orleańskiéj*, zawsze używano lichego tłumaczenia, które już umiano napamięć.

gdy z Granda hiszpańskiego szydzi i śmieje się w głos z ukrytą zemstą, gdy przy śniadéj, jak miédź twarzy, połyskała gorejącém spojrzeniem i ukazała zęby białe, jak kość słoniowa—uniesiona, zachwycona publiczność, nie mogła pohamować swego zapału. Odtąd Żuczkowska przełamała nieprzebyte dotąd dla siebie zapory i spiesznie postępowała naprzód, aby zająć pierwsze, a należne dla siebie miejsce na scenie teatru narodowego.

Ogniwem wiążącém tragedyą klassyczną z komedyą i nowoczesnym dramatem był Ludwik Adam Dmuszewski. Jak mi sam opowiadał, że z Litwy przybył do Warszawy w zamiarze przedarcia się do legionów we Włoszech, ale poznawszy Bogusławskiego i mając wrodzony pociąg do sceny, stanął w rzędzie aktorów teatru narodowego. Nie było rodzaju sztuki dramatycznéj, w któréjby on nie grał. Miewał główne role w operach, zarówno jak w komedyach, niepoślednie zajmował miejsce w tragedyach i dramatach. Giętki ten talent, umiał sobie zjednać względy publiczności, mile był zawsze widziany na scenie. Pamiętamy go w saméj sile wieku i zawodu, kiedy ciągle grał i pisał dla teatru. Nie mało Dmuszewski przyłożył się do rozkrzewienia zamiłowania sztuki dramatycznéj w kraju, przeważne w niéj położywszy zasługi.

Na czele artystów komedyi, stał ulubieniec całéj publiczności Aloizy Żołkowski: o tak wydatnéj postaci nietylko na scenie, ale i na tle ówczesnego okresu, powiem oddzielnie.

Nad Żołkowskiego, co do rzeczywistego talentu komicznego, wyższym był niezaprzeczenie Józef Zdanowicz, lubo nie miał ani takiéj łaski u widzów, ani takiego rozgłosu. Średniego wzrostu, szczupły, drobnych rysów twarzy, obliczem swojém i melancholiczném spojrzeniem, przypominał wiele Kazimierza Brodzińskiego. Dobry znawca muzyki i sam grający, występował i w operze w rolach charakterystycznych, a głównie komicznych; przecież głównem jego polem była komedya. Dość tu nam wspomnieć rolę Lisiewicza w *Geldhabie* A. Fredry, albo Wtorkiewicza w *Przyjaciołach* tegoż. Organ miał słaby, ale głos pomimo to dźwięczny i wybornie urobiony do oddania każdéj myśli, każdego uczucia.

Nie mogę pominąć w rzędzie wyższych artystów i Nowakowskiego, późniejszego dyrektora sceny Lwowskiéj, co tak wielki rozgłos pozyskał, chociaż w miernéj sztuce p. n. *Chłop milionowy*. Śpiewki jego *miotły! miotełki!* powtarzały tysiące ust: z murów Warszawy rozbiegły się, jak ptaki po całym kraju, ryciny Jana Lewickiego, na których Nowakowski był oddany w téj roli, jak pochylony pod swemi *miotełkami*, przyśpiewuje różne strofki, które były pod nim litografowane. Występował na naszéj scenie w kilku komedyach, ale nie poznaliśmy go w rolach *polonusów*, bo wtenczas nie napisał jeszcze Fredro swojéj *Zemsty*, i nie dał nam pełnego życia *Cześnika*.

Do artystów komedyi należał Aszperger, który we właściwych sobie rolach mile był od publiczności widziany.

Z aktorek komedyi pierwsze miejsce w rolach drugiego rzędu zajmowała Kurpińska, żona zasłużonego dyrektora opery przy teatrze narodowym i kompozytora. Małego wzrostu, ale składna i zgrabna, z obliczem miłém i powabném, pełna życia i wdzięku, czyto w rolach onych dawnych *subretek*, czy młodych panien, skromnych niewiniątek, albo zuchowatych, śmiałych dziewcząt, czy rzewnych a łzawych młodych dziewic: wszędzie ze zrozumieniem i pojęciem właściwego charakteru, nietylko go umiała oddawać z całą prawdą i ułudą, ale wydobywała piękności ze swéj roli, co tylko może wyższy talent.

W rolach gospodyń, kobiét wiekowych i bab wygadanych, z wielkiém powodzeniem występowała Jankowska.

Żołkowska, żona artysty i matka żyjącego komika, jakkolwiek brała rolę w tragedyach klassycznych, nieraz jednakże widzieliśmy ją i w większych komedyach.

Operę polską składali w tym okresie: *Szczurowski, L. A. Dmuszewski, Wejnert, Zdanowicz, Żyliński, Kratzer;* śpiewaczki: *Dmuszewska, Elsnerowa, Aszpergerowa, Mejerowa, Eleonora Stefani, Rywacka, Gladkowska* i *Wolkow*, krótko na scenie bawiąca. Balet był dopiéro w zawiązku. Dnia 3 sierpnia 1820 roku, na pierwsze przedstawienie dano balet układu dyrektora baletu Ludwika Tiery, *Mars* i *Flora*, z muzyką Karola Kurpińskiego. Licznie zebrała się publiczność, aby ujrzéć to niewidziane na scenie teatru narodowego widowisko. Szczególniéj zachwycił wszystkich marsz zastępów zbrojnych *Flory*, z małych dziewczątek złożonych, jak ciągnęły armaty, z których do Marsa i jego towarzyszy w pełnych uzbrojeniach, strzelały różami. Długie i świetne powodzenie miał ten balet.

Do téj części sztuki scenicznéj należeli: Tiery, Pion Maurycy, przezwany Moris, Aniela Polichnowska, Antonina Palczewska, Karolina Bizos, Teresa Palczewska, Julia Mierzyńska i Dąbrowska.

Polichnowska najpierwsza w solach się ukazywała; do pierwszych baletniczek liczyła się wkrótce Antonina Palczewska, gdy jéj siostra Teresa przeszła na artystkę dramatyczną; Dąbrowska słynęła z piękności; imię zaś Mierzyńskiéj do dziśdnia się przechowało przy mazurze, który ma właściwą melodyą, a przez nią był tańczony z nieporównanym wdziękiem i urokiem.

Jak grono liczne utalentowanych artystów podpierało scenę teątru narodowego, tak niemniejszą pomocą byli dwaj dyrektorowie opery: Józef Elsner i Karol Kurpiński; szczególniéj Kurpiński, który do wielu oper oryginalnych a napisanych przez J. U. Niemcewicza, L. A Dmuszewskiego, Żołkowskiego i w. i. muzykę podkładał.

Jeżeli aktorki teatru narodowego mało się udzielały poza obręb kółka swego, zato aktorzy mieli rozgałęzione stosunki przyjacielskie, i szerokie koło zwolenników poza sceną. Tak Żołkowski, jak Kudlicz, Zdanowicz, Dmuszewski, Werowski, Wolski i inni zbliżeni byli do literatów ówczesnych. Kudlicz był blizkim przyjacielem Kazimierza

Brodzińskiego, Żółkowski, jak Dmuszewski wraz z Bogusławskim sami należeli do pisarzy. Wolski, doskonale posiadający język francuzki, pracował oddawna nad słownikiem francuzkim ogromnych rozmiarów.

Ten stosunek przyjacielski między aktorami i pisarzami, błogie dla sceny narodowéj wydawał skutki: aktorzy zapoznawali się przy ich pomocy z biegiem i rozwojem nie tylko piśmiennictwa krajowego, ale i obcego, szczególniéj w gałęzi dramatycznéj; literaci zaś zyskiwali na obznajomieniu się ze sceną, i z jéj potrzebami. Pierwsi podsuwali myśl do utworu scenicznego, drudzy go wykonywali. Taki węzeł braterstwa widzimy głównie co do podniesienia opery na teatrze narodowym. Kazimierz Brodziński z pełnym talentu Józefem Elsnerem dyrektorem opery, pracowali nad rytmicznością języka polskiego i rozszerzaniu umiejętności podkładania wierszy pod muzykę: wydali w tym względzie pracę wspólną [1]); Brodziński sam tłumaczył libretta, jak i członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Jan Kruszyński i inni. Dominik Lisiecki, z gronem młodszych wierszopisarzy brał się do przekładu komedyj wierszem z francuzkiego, którym aktorzy podołać nie potrafili. Jak jedni tak drudzy, niemając na myśli choćby najmniejszego zysku, bo teatr nic nie płacił, a drukarz dawał całe honoraryum jedynie egzemplarzami; wiedzeni byli tylko czystą chęcią podpierania sceny narodowéj, bo w tém widzieli korzyść dla ogółu społeczności.

Osiński, objąwszy dyrekcyę teatru narodowego, zapoznał publiczność polską z arcydziełami literatury dramatycznéj francuzkiéj, ale zarazem i tragedyami oryginalnemi Aloizego Felińskiego, Franciszka Wężyka, komedyami i dramatami J. U. Niemcewicza. Zarzucają teraźniejsi krytycy wielkie błędy tragedyom naszym klassycznym. Generał Sokolnicki wystąpił w *Pamiętniku Warszawskim*, z oryginalną krytyką, bo wierszem i prozą, na *Ludgardę* Ludwika Kropińskiego, zarzucając jéj (co było prawdą) niepojęcie ojczystych dziejów. Nie myślimy ich bronić, powiemy tylko, że w swoje czasy wzbudzały one taki zapał i uwielbienie, jak arcydzieła dzisiejsze: a może więcéj umiano się lubować takiemi ustępami, w których odkryto piękność, moc, czy prawdę w poetycznéj szacie; uczono się ich na pamięć, powtarzano z upodobaniem. Mniéj często dbano o formę zewnętrzną, jak zadawalano się treścią więcéj, która do serca i myśli społeczności tego przypadała okresu.

Najlepszy tego dowód mieliśmy w tragedyi Ignacego Humnickiego: *Żółkiewski pod Cecorą*, utwór daleko słabszy od dramatów

---

[1]) Dzieła tego wyszła tylko część pierwsza w Warszawie 1818 roku, w 4oo, p. n.: *O metryczności i rytmiczności języka polskiego.*

Wężyka i Felińskiego, a na pierwsze przedstawienie wyparto orkiestrę i widzowie zajęli jéj miejsce [1]).

Wieleśmy mieli tłumaczeń komedyi wierszem, głównie z francuzkiego. Molier przypominał się często na scenie warszawskiéj w przekładach F. S. Dmochowskiego i Fr. Kowalskiego, a Kudlicz w roli Skąpca zbierał grzmiące oklaski. W naszych oczach już po

---

[1]) Humnicki urodzony w r. 1798 w Sandomierskiém, zasilił scenę teatru narodowego trzema dramatami, które były przedstawione. Ogłosił te utwory wierszém: 1) „Goworek wojewoda sandomierski“ dramat w pięciu aktach wierszem; (Kraków, 1817 r.); 2) „Edyp,“ tragedya w pięciu aktach wierszem (Warszawa, 1818 r.). 3) „Żółkiewski pod Çecorą,“ tragedya oryginalna wierszem (Warszawa, 1818 r.). Wszystkie jużby krytyki dzisiaj nie wytrzymały; ostatnia tragedya, ciesząca się jaknajświetniejszém powodzeniem na scenie: „Żółkiewski pod Cecorą,“ zawdzięcza tak wielkie przyjęcie, kilku zwrotom zręcznym, gorąco przemawiającym do serca owoczesnéj społeczności. O téj ostatniéj tragedyi, przywiodę tu sąd poważny Jana Woronicza, biskupa krakowskiego. Humnicki przesłał mu bilety prenumeracyjne, ażeby zebrać fundusz na druk „Edypa“: owóż co pisze ten znakomity mówca i poeta, w liście swoim pisanym do autora, z Krakowa d. 27 listopada 1825 roku. Podajemy go z autografu, który mamy przed oczyma.

„Zdziwi zapewne WMP niniejsza odpowiedź na list jego 29 sierpnia pisany. Jeśli WMP wiadome są moje zatrudnienia, łatwo potrafisz ocenić tak długą zwłokę. Bilety na prenumeratę „Edypa“ jeszcze nie są rozdane, spodziewam się to uczynić za przybyciem niektórych familii, mających téj zimy krakowską publiczność pomnożyć. Czytając niedawno tragedyą „Żółkiewskiego,“ więcéj się o tém przekonałem, że Gazeta Literacka przed kilką laty wydawana w Warszawie, czyniąc rozbiór téj sztuki, mogła zachować większą sprawiedliwość w jéj ocenieniu. Nie pamiętam nawet, czy taż Gazeta uczyniła jaką wzmiankę o życiu Żółkiewskiego, które wspomnioną tragedyę poprzedza. Wyznać jednak potrzeba, że jeżeli sama tragedya wyświeca w WMP. talent rymotwórczy, tedy wstęp doniéj wykazuje obywatela, przejętego czuciem, które szlachetnych tylko dusz jest udziałem. Oddając WMP. tę należną sprawiedliwość, utaić nie mogę mojego żalu nad Zygmuntem III, którego WMP. zgodnie z duchem dzisiejszych pisarzy niemiłosiernie zacinasz. Trudno zapewne usprawiedliwić wszystkie polityczne błędy jakich się Zygmunt dopuścił, lecz czyż można temu uwierzyć, że jego pobożność była fałszywa? Jeżeli bowiem był obrońcą religii panującéj i wyznawanéj od swego narodu, jeżeli się stosował do jéj przepisów; jeżeli Władysławowi nie chciał być powodem do jéj odrzucenia; jeżeli poszedł za przykładem swych poprzedników, odrzucających niekiedy u nóg składane korony: byłże to skutek fałszywéj pobożności? Jabym mniemał, że nie fałszywa, lecz prawdziwa w Zygmuncie pobożność, radziła Władysławowi nie odstępować Bogu zaprzysiężonéj wiary, nie czynić nic przeciw sumieniu i przekonaniu, nie poniżać nakoniec charakteru królewskiéj duszy, w sposób, jakiego żaden z katolickich monarchów nigdy się nie dopuścił.

roku 1830, ten sam znakomity artysta, pewny na powodzenie swoje dawne, wystąpił w téjże roli, ale przyjęcie chłodne przekonało go, że Molier już nie dla naszych czasów.

Aleksander Fredro, z oryginalnemi komedyami pojawił się w ostatku na naszéj scenie. Przedstawiano na teatrze narodowym nie mały ich szereg: *Geldhaba*, *Cudzoziemszczyznę*, *Mąż i żona*, *Przyjaciele*, *Damy i huzary*, *Zrzędność i przekoru*, *Pierwsza lepsza*, *List* i *Panieńskie śluby*. Poczet tych sztuk już dawał dokładne wyobrażenie o potężnym talencie autora, publiczność jednakże owoczesna obojętnie je przyjęła, pomimo że grane były wybornie. Z nich najwięcéj się podobała tylko *Cudzoziemszczyzna* i Dmuszewski w roli Radosta.

Obojętności téj nie widzimy innego powodu, jak tylko w tém, że zbyt żywe jeszcze wzory i obrazy naszéj społeczności oddawał. W chwili, gdy Fredro wystąpił, już szał romantyczny zajmował młode głowy. Ballady i romanse pełne sentymentalności niemieckiéj, i ów *Werter* Getego (w tłumaczeniu Kazimierza Brodzińskiego) zastąpiły pasterskie *Ftoryana* i miłosno-rycerskie pani Żenlis powieści.

Teatr prowadzony przez gorącego zwolennika literatury francuzkiéj, chociaż nie przedstawiał komedyj oryginalnych jednego z najlepszych dramatycznych pisarzy Fr. Zabłockiego, ani Drozdowskiego z końca XVIII stulecia, pomimowolnie, nieznacznie zaczął ulegać nowym prądom, powiewającym od Zachodu. Romantycznéj treści dramata, pojawiły się pierwéj na scenie teatru narodowego (*Dziewica Orleańska* Szyllera, *Matka rodu Dobratyńskich*) zanim poezya romantyczna pokazała się w książkach.

W roku 1818 na korzyść Towarzystwa Dobroczynności, Franciszek Morawski napisał scenę liryczną p. t.: *Sen poety*, w któréj poeta się ukazuje trzymając w ręku poezye *Homera i Ossyana*, sam nie wiedząc któremu przyznać pierwszeństwo. Oto początek téj sceny:

Któregoż w laur świetniejszy potomność przybierze:
Czy ciebie Ossyanie, czy ciebie Homerze?
(*Patrząc na księgę Homera*):
Ty, coś na greckiéj lutni mężne głosząc roty,
Powtarzał wrzawę bojów i Jowisza grzmoty;

---

Z drugiéj strony, roztropność i przenikliwość mogła wskazać Zygmuntowi, że Władysław, albo się nie ostoi przy ofiarowanéj mu koronie, albo straci nadzieję do korony polskiéj. Chcąc Zygmuntowi zadać pobożność fałszywą i udaną, albo mówiąc wyraźniéj, chcąc go nazwać *hypokrytą*, trzeba się zdobyć nie na domysły, ale na pewne i mocne dowody, co dotąd niestąpiło. Takie to miałem uwagi, czytając w życiu Żółkiewskiego artykuł o Zygmuncie. Zwierzając się z niemi przed WMP. daję mu wielki dowód mojéj otwartości. Zresztą, nigdybym ich WMP. nie natrącał, gdybym nie był pewien, że je WMP. mile przyjmiesz, jako od tego, który go prawdziwie ocenić i szacować umié." *J. Woronicz.*

Wzniosłeś kolos twój chwały na Achilla grobie!
Coś świat ten, w całéj jego wystawił ozdobie,
Głosił wielkość człowieka, same bogi głosił,
Jakżeś duszę zapalał! myśli moje wznosił!
Uczułem godność wieszcza, tyś mi wlał natchnienie,
I śmiałem aż do nieba, męzkie podnieść pienie!
(*Patrząc na księgę Ossyana*):
Ty zaś, co na północnéj i samotnéj skale,
Na cichszéj lutni ciężkie rozwodziłeś żale;
I zawsze bladéj nocy otoczony mrokiem,
Topiłeś smutne myśli w dumaniu głębokiém;
Bliższy tkliwéj natury, mniéj świetny od Greka,
Przez łzę tylko patrzałeś na świat i człowieka:
Jakże, jakżeś mnie często z Homerem rozdzielał,
Jakżeś lubą posępność w duszę moją przelał!
Jak często razem z tobą winiąc los okrutny,
Twém czuciem rozczulony, twoim smutkiem smutny;
Na pustynie, na skały, biegłem nocną dobą,
Razem błądzić i dumać i zapłakać z tobą!

Scena ta wywarła silne wrażenie na młode umysły: przypominano sobie przekłady Ossyana przez Krasickiego, Kniaźnina, Tymienieckiego; zaczęto je pilnie odczytywać, bo Homera dobrze ze szkół jeszcze znaliśmy, szczególniéj *Iliadę* w pięknem tłumaczeniu Fr. Dmochowskiego. Znajdowano w tym śpiewaku *Kaledonii*, coraz nowe piękności, a co główna, że do serca przemawiał, i każdy, jak dobrze powiedział Morawski, jego *czuciem był rozczulony*.

Zaczęła nowa zorza poranna prześwitywać na horyzoncie duchowym, gdzie obok arcydzieł literatury francuzkiéj, pojawiały się nieznane i z innych stron świata. Teatr narodowy już nas z niemi potrosze zaznajomił.

Przychodzi nam teraz wspomnieć obszerniéj o jednym z artystów dramatycznych, ozdobie sceny narodowéj, któregośmy tylko tu nazwisko wymienili.

## VII.

Radoszyce. — Wieś Jakimowice.— Obozowisko.— Młody Alojzy.— Powrót do domu.— Pustkowie.— Przybycie do Lwowa.— Dependent u adwokata Józefa Dzierzkowskiego. — Pojawienie się Wojciecha Bogusławskiego we Lwowie. — Postanowienie.— Ucieczka.— Przybycie do Warszawy.— Pierwsze występy na scenie Teatru Narodowego.— Aktor i pisarz.— Zgon Alojzego Żołkowskiego. Pot-pourri i Momus.

W małém miasteczku drewnianém Radoszycach, na staréj krakowskiéj ziemi, które się szczyciło najdawniejszym murowanym kościołem z początku XI wieku, całą noc z 17 na 18 listopada 1794 roku, trwał gwar głuchy, łuna wielka rozświecała daleko.

Było to obozowisko szczątków wojska polskiego, które równo ze świtem pociągnęło na zachód miasta, do wioski Jakimowice.

Wieś ta leży tylko o pół mili za Radoszycami; mimo to, postępujące oddziały stawały nieraz, bo wiatr mroźny ciął w oczy, to wznosząc pył gęsty z piasczystéj okolicy, to pędził zadymkę śnieżną, zawiewającą wszelki ślad gościńca.

W połowie drogi musiały się zatrzymać wszystkie oddziały, bo zawieja tak wielka powstała, że o kilka kroków już nic dopatrzéć nie można było.

Przodowy oddział skierował do pobliskiego lasu, za nim poszły inne; tu wśród gęstwiny drzew odetchnąć można było swobodniéj. Wiatr przykry wiał, śnieg tylko biały uścielał coraz grubiéj ziemię. Na dane hasło, w środku niemal tego lasu, stanęły wszystkie oddziały: tu wktótce nadeszła chwila straszna i bolesna, złożenia broni i rozsypki nierozdzielnych dotąd towarzyszów, w różne strony świata.

Batalion z regimentu generała Potockiego, uszczuplony walką i trudami, składał się zaledwie z kilkudziesięciu ludzi. Między temi odznaczał się rzeźwy siedmnastoletni młodzieniec, twarzy okrągłéj, oczu wypukłych, wzrostu średniego. Z dziwną pogodą umysłu znosił trudy wojenne: w boju stał mężnie, przy ognisku obozowém dowcipem i humorem rozweselał, a nieraz do serdecznego śmiechu pobudzał towarzyszów broni. Mundur niebieski z zielonemi wyłogami, spodnie takiéjże barwy z zielonym lampasem, kapelusz okrągły z daszkiem, strojny w czarne pióro, torba borsucza i ładownica na białych pasach, na ramieniu karabin bagnetowy, stanowiły jego ubiór i uzbrojenie. Składnie wyglądał młodzieniec w takim przyborze; swobodny w ruchach, zdawał się i teraz, że nie doznaje żadnego utrudzenia. Ale oblicze jego, z wyrazem zawsze wesołości, a na świeżych ustach uśmiechu, sposępniało dnia tego. Kiedy oddział stanął w uboczy leśnéj, i rozpalono ognisko, siadł przy niém, otulił się płaszczem, opuścił głowę na piersi.

— No! cóż Alojzy!—zawołał dowódzca oddziału—i ty osowiałeś! pociesz nas przecie choćby trochę.

Na to wezwanie młodzieniec podniósł duże oczy i spojrzał na mówiącego, ale słowa nie odrzekł, zbladł tylko, łzy trysnęły, zakrył oblicze i głośnym zaszlochał płaczem. Towarzysze broni osłupieli na ten widok: przerażenie ich tém większe było, że nigdy młodego Alojzego tak rozrzewnionego nie widzieli. Przypomnieli sobie chwilę obecną i jedni połączyli łzy swoje z jego łzami, drudzy w nieméj rozpaczy załamali ręce.

Wicher szumiał górą bijąc o wierzchołki starych jodeł, sosen i dębów. Naraz usłyszano z dala głuchy odzew trąb i bębnów. Powstali wszyscy: była to godzina złożenia broni i rozsypki na cztery strony świata. Młody Alojzy na piérwsze hasło zerwał się na nogi i w gotowy dół usłany śniegiem złamawszy bagnet rzucił swój karabin, pałasz, ładownicę i kaszkiet, zachowawszy z niego tylko pióro: z borsuczéj torby dobył czapkę, a włożywszy ją na głowę, odszedł do ogniska. Towarzysze broni poszli za jego przykładem i stos broni i rynsztunków zarzucili ziemią. Skoro wyszli na brzeg lasu, uścisnęli się w milczeniu i z załzawionemi oczyma, każdy pojedynczo poszedł w swoją stronę.

Młodzieniec nasz był to *Alojzy Gonzaga Żołkowski*, ruszył w strony Nowogrodzkie, w rodzinne gniazdo. Długą miał i przykrą podróż, ale młodość i nadzieja ujrzenia swego skromnego dworku, w którym się wykołysał, gdzie najmilsze lata dziecinne spędził, ujrzenia sędziwych rodziców dodawała mu sił i krzepiła w trudach.

Po kilkunastu dniach dobił się przecie wśród srogiéj zimy do stron wyglądanych. Zdala rozpoznał wioskę i dworek na wzgórzu stojący, ocieniony lipami, tak zielonemi latem, tak obnażonemi teraz z liścia. Dojeżdżając na furce chłopskiéj, gnał co siła, aby prędzéj stanąć. Przejeżdża małą wioseczkę, zeskakuje we wrotach dworskich, ale jakże się zdziwił, gdy nie ujrzał nikogo na podwórzu, a we dworze drzwi zamknięte. Daremnie dobijał się do nich niecierpliwie: nikt nie otwierał. Trwoga jakaś dziwna przejęła go dreszczem: nie mógł się utrzymać na nogach, upadł na dębową w ganku ławę. Po długiéj chwili stary domownik dowiedziawszy się że gość jakiś przybył do dworu, z oddalonéj oficyny nadszedł, a poznawszy młodego panicza zaczął z płaczem całować jego ręce.

— Gdzież rodzice?—zapytał.

Starzec spojrzał nań smutnie, a potém wskazując na poblizki kościołek i cmentarz

— Tam!—odrzekł—spoczęli oboje!

Młody żołnierz padł na ławę i głośnym zaryczał płaczem. Starzec patrzał z boleścią na niego, a gdy się nieco uspokoił

— Czekali, wyglądali panicza—mówił—a co tam nasz Alojzy robi? czy żyje? zdrów, czy nie ranny, a broń Chryste, może zabity. Na tę myśl wszyscyśmy płakali rzewnie jak bobry, i zaraz to w domu przed krzyżem, to do kościoła na modlitwę, aż Bóg dobry łzy nasze osuszył

i serca pocieszył. Jegomości zmarło się naprzód, niedługo za nim poszła i nasza święta pani... a każde umierając błogosławiło panicza.

Słuchał tych słów biédny teraz sierota z osłupiałym wzrokiem: długo siedział nieruchomy na ławie, aż starzec dobytym kluczem z zapasa drzwi gankowe otworzył i wprowadził swego panicza do rodzinnego dworku.

Alojzy spojrzał w około, wszystko było po dawnemu: ten sam porządek, też sprzęty. Ciepło było w izbach, bo czuwał nad domem wierny sługa, tylko zgasłe głownie leżały na kominie niedopalone. W sypialni rodziców na klęczniku stał stary krucyfiks drewniany, upadł przed nim krzyżem, zgnębiony niedolą młodzieniec, ukląkł przy nim osiwiały starzec; tamten z płaczem i modlitwą łączył skargę sieroctwa, ten z załzawioném okiem błagał Boga o szczęście opuszczonego sieroty. Po kilku dniach, dowiedział się że wkrótce musi i to schronienie opuścić, była to bowiem dzierżawa, która się kończyła z Nowym Rokiem. Dziedzic odbierał napowrót swoją własność. Kiedy rozmyślał nad przyszłym losem swoim: odbiéra list od rodzonego stryja generała Żołkowskiego, stale mieszkającego we Lwowie, w którym przyzywał go do siebie, zapewniając jako synowcowi swą pomoc i opiekę. Nie było nad czém wiele rozmyślać, wziąwszy cząstkę przypadłą z pozostałości po rodzicach, która zaledwie pokryć mogła koszta podróży do Lwowa, pożegnawszy rodzinne kąty wsiadł na chłopskie sanie i przeżegnany krzyżykiem od starego domownika, ruszył w świat z błogą nadzieją, że ujrzy jeszcze kiedyś ukochane okolice. Próżne marzenia! los go w inne dalekie i nieznane pogonił strony, otwierając mu obszerne pole do ukazania talentu i zdobycia sławy, o któréj nie śnił nawet dotychczas.

Przyjęty serdecznie od stryja, odetchnął po trudach obozowych i podróży zimowéj. Troskliwy generał o przyszłość swego synowca, upatrując w nim rzadkie zdolności, wybrał mu zawód jako najkorzystniejszy prawnika i oddał go do kancelaryi sławnego na owe czasy adwokata Józefa Dzierzkowskiego.

Przejście ze swobodnego, pełnego zapału, wrażeń i nadziei zawodu żołnierza, na ciche, pracowite, bezbarwne życie przykute do stolika wśród foliałów akt zapylonych, nie było łatwém zadaniem dla młodego Alojzego, ani odpowiedniém do jego zdolności i charakteru.

Surowy zwierzchnik, mniéj wyrozumiały na wiek młodzieńczy, sławny nauką, jak otyłością ciała adwokat Józef Dzierzkowski nie znał sposobów innych na kierowanie powierzonych sobie, jak rygor bezwzględny i ciągłą pracę [1]).

---

[1]) Józef Dzierzkowski był najotylszym w całéj Galicyi. Karetę musiał mieć na urząd zrobioną, stosowną do swéj tuszy. Synowiec jego rozgłośny powieściopisarz *Józef Dzierzkowski*, z którym mnie łączyły ścisłe stosunki przyjaźni w Galicyi (1832—1833), w czasie pobytu mego we Lwowie, opowiadał mi

Miejsce więc takie i zawód nie mogły niczém przywiązywać Żołkowskiego, aby w nich wytrwał. Jakoż obrzydził sobie pracę, w któréj się z musu oddawał rozmyślając co przedsięwziąć na przyszłość.

Kiedy tak dumał, nagle rozbiega się wieść o przybyciu do Lwowa Bogusławskiego dyrektora teatru narodowego w Warszawie, który na początku 1795 r. w styczniu do stolicy Królestwa Galicyi i Lodomeryi zjechał. Piérwsza myśl błysnęła mu z tą radosną wiadomością: „a gdybym ja został aktorem," ale odegnał ją od siebie; nazajutrz zawitała doń na nowo, już ją począł więcéj rozważać: wreszcie stała się jego ciągłém marzeniem.

Bogusławski tymczasem nie zalegał pola pomimo braku garderoby, zbrojowni, biblioteki i przyborów teatralnych, które mu przetrzymywali niemcy blizko dwa miesiące na komorze; przedstawia operę *Fraskalankę*. Żołkowski biegnie na to widowisko, dzieli powszechny zapał, łączy swój okrzyk i oklaski z licznym tłumem widzów. Zapowiedziano wkrótce wielką operę *Axur:* z bijącém sercem nasz kancelista oczekiwał godziny widowiska. Wychowany w zaścianku szlacheckim, skromnym, następnie w obozie; zamieszkawszy we Lwowie, bywał czasami na teatrze polskim pod zarządem Morawskiego; ale trupa jego szczupła i z mniéj zdolnych aktorów złożona: tymczasem w *Axurze* występowali już chlubnie w kraju znani artyści. Śpiewaczki: *Jasińska*, *Rutkowska*, *Kossowska;* tenorzyści: *Kaczkowski*, *Nowicki*, *Rutkowski;* basiści: *Szczurowski*, *Każyński*, *Baranowski* i inni, dawali rękojmię dokładności przedstawienia. Jakoż opera ta przeszła wszelkie oczekiwania Żołkowskiego, zapał jego do zawodu dramatycznego stał się teraz wyłącznem i jedyném marzeniem. Z tą myślą krył się jednakże przed zaufanymi sobie, bo znał jakie przesądy trwały przeciw artystom, czyli jak wówczas zwano: *aktorom*. Doszła do Lwowa wieść, że w Warszawie pod okiem króla Stanisława Augusta nie chciano zmarłego aktora pochować na cmentarzu. Bogusławski, który bywał na *czwartkowych uczonych obiadach* w zamku, zaledwie potrafił wyjednać, za wpływem samego króla, że zwłokom artysty dramatycznego nie odmówiono grobu na poświęconéj ziemi.

W mozolnéj i ciężkiéj pracy Zołkowski przetrwał jeszcze rok 1795 i następny. W roku 1797 postanowienie jego było niecofnione: przekonany że ani u stryja nie otrzyma pozwolenia, ani témbardziéj u swego zwierzchnika, w tajemnicy zrobiwszy skromne przybory,

---

wiele szczegółów o swoim stryju; ale nacisk kładł zawsze na to, że surowość jego dla młodzieży sprawiała, iż rady jego i opieka zawsze jéj na najgorsze wychodziły i ani jeden z wychowańców, miłego o nim nie zachował wspomnienia. Obejście surowe, bezwzględne, wpłynęło także i na dalsze kroki młodego Alojzego Żołkowskiego.

skrycie Lwów opuszcza i piechotą po większéj części odbywając podróż, staje u celu swego w murach Warszawy.

Miasto przestawszy być stolicą wielkiego państwa, smutny przedstawiało widok. Zamek królewski opuszczony, milczący, jak i pałace magnatów. Dawny gwar i życie uciekło, ale teatr miał powodzenie; droga cena zboża, łatwy odbyt, dostatek pieniędzy, wabiły szlachtę wiejską do Warszawy: onato głównie i jedynie wspierała jeszcze dawną stolicę Rzeczypospolitéj i zapewniała byt narodowéj scenie.

Teatr narodowy był właśnie pod zarządem znakomitéj artystki *Truskulawskiéj*. Żołkowski przyjęty w grono jéj aktorów, wkrótce zyskuje rozgłos, który z każdém wystąpieniem powiększa liczbę jego zwolenników. Imie Żołkowskiego dotąd nie znane staje się celem poszukiwań na afiszu przez publiczność: w któréj sztuce tylko występuje, tłum widzów przepełnia salę teatralną. W krótkim przeciągu czasu staje się ulubieńcem mieszkańców Warszawy i wszystkich miłośników sceny narodowéj. Usłyszany głos jego za kulisami już gwar i śmiech wesoły obudzał w publiczności. Współtowarzysze w sztuce błagali Żołkowskiego zawsze, aby w ich benefisach występował, równie jak pisarze dramatyczni, aby jakąkolwiek w ich utworach rolę przyjął; bo jak pierwsi, byli pewni pełnego teatru, tak drudzy, powodzenia sztuki: umiał bowiem rzecz nic nie znaczącą podnieść i uświetnić, a przedmiot suchy natchnąć życiem i świeżością.

Oprócz gry na scenie pracował dla niéj piórem: literatura dramatyczna pomnożoną została przez niego *siedmdziesięciu czterema* sztukami, pomiędzy którymi są oryginalne, jak opera: *Szarlatan*, komedya: *Swiątynia nudów*, i kilka napisanych do czasowych okoliczności, w kraju bowiem zachodziły niespodziewane przemiany: scena narodowa zespolona z nim jedném życiem, wiernie wypadki chwilowe odbijała. Wiele tłumaczył i naśladował, z tych ważniejsze: *Wszystkowiedz*, *Dwóch Sieciechów*, *Pałac Lucypera*, *Guwerner*, *Mali protektorowie*, *Kozieł*, *Czaromysł*, *Dwóch Piotrów*, wszystkie znalazły dobre przyjęcie, bo je nieraz sam autor wspierał potężnym talentem. Humor, wesoły dowcip po za scenę, szlachetność charakteru, dodawały wagi talentowi dramatycznemu. W czasach, w których literatura ojczysta ledwie słabe dawała oznaki życia, bo ją gwar wojenny tłumił; w całéj naszéj społeczności *żywe słowo* stanowiło wszystko, zastępując książki i gazety.

Wieści z pola bitew, zwiastujące zwycięztwo lub klęskę, kraj przebiegały; każdy wypadek, tąż się drogą upowszechniał. Gazety ówczesne, słaby w sobie odcień zachowały téj nawały wiadomości, wypadków, chwilowych zdarzeń, anegdot, to rubasznych, to wesołych, to naznaczonych prawdziwym humorem. Do rzędu tych ostatnich należały niewątpliwie *dowcipki*, jak je zwano Żołkowskiego. W miejscach, gdzie się artyści przed otwarciem teatru i po scenie zbierali, obywatele Warszawy i ziemianie, literaci, wojskowi, wykształceni kupcy i rzemieślnicy, dobijali się usilnie

o miejsce, aby tego artystę zobaczyć i posłyszéć mówiącego. A Żołkowski, z całą swobodą umysłu, bez przygotowania, jakby od niechcenia, korzystał z każdéj okoliczności aby błysnąć dowcipem, *facecye* sypał jak z rękawa, a obecni, głośnym, serdecznym śmiechem wtorowali wielkiemu artyście. Każdy dowcipek nazajutrz cała Warszawa powtarzała, listy roznosiły go po kraju, szlachta nasza, w zapadłém Polesiu, na Pokuciu, czy w Wielkopolsce i Krakowie, znała ztąd Żołkowskiego imię, chociaż go na scenie nigdy nie widziała.

Zakład, jaki zrobił i wygrał, że po linie, z parteru pójdzie na paradyz (a wówczas sztukmistrze, właśnie po wyprężonych linach, ze sceny na paradyz wchodzili) jakoż zjadłszy *lina* (rybę) zwyczajnemi schodami zeszedł na oznaczone miejsce, był długo ulubioną wszystkich dykteryjką.

W saméj sile męzkiego wieku, na lat kilka przed zgonem, Żołkowski zaczął uczuwać wewnętrzne, nader dotkliwe boleści. Zanadto ufając czerstwości własnego zdrowia, mniéj zważał na nie, i zbywał uśmiechem rady troskliwych przyjaciół, żeby pomyślał o wczesnym ratunku. Scena była jego żywiołem, nie mógł się od niéj oderwać; dręczony bólem, występował zawsze z tém pogodném obliczem, z tym swobodnym humorem, tak, że publiczność rozweselona jego grą i dowcipami, nie mogła dostrzedz wewnętrznych cierpień, jakich doznawał w chwili gdy teatr cały trząsł się od śmiechu i pow szec brzmiały oklaski. Żołkowski w tém przejęciu, w tych oklaskach szukał ulgi i osłody w bólach, one przygłuszały w nim cichy jęk, ciche westchnienia.

Dyrektor ówczesnego teatru narodowego Ludwik Osiński, troskliwy o zachowanie dla sceny takiego artysty, ułatwił mu podróż do wód zagranicznych. Żołkowski przeczuwał swój zgon blizki; udał sie do wód szlązkich, ale ratunek był zapóźny. Za powrotem ukazał się na scenie podwakroć, i w sile wieku zakończył dni swoje, w początkach września 1822 roku. W sześć lat po jego zgonie wydano oryginalną jego operę: „*Szarlatan* czyli *Wskrzeszenie umarłych*," (Warszawa 1828). Jestto libretto, do którego muzykę napisał Karol Kurpiński. Do wydania tego dołączono wielce trafiony wizerunek artysty, a pod nim dwuwiersz:

Mistrzowskim w sztuce swojéj postępując torem,
Był rozkoszą słuchaczów a grających wzorem!

Dochód z rozprzedaży tego dziełka obrócono na wystawienie Żołkowskiemu pomnika grobowego na cmentarzu Powązkowskim.

Pod cieniem wówczas wierzby, wyrosłéj w pośród granitowych kamieni, na takimże głazie, wyryto napis: „*Aloizy Gonzaga Żołkowski, artysta i autor dramatyczny, żył lat 45, umarł dnia 11 września 1822 roku.*"

Śmierć Żołkowskiego wywołała żal powszechny, nietylko w Warszawie ale w całym kraju; była to bowiem postać tak wydatna i popularna, że ktokolwiek zechce malować z tego okresu naszą społeczność (od 1800—1822 r.) musi obszerniejsze poświęcić wspomnienie temu artyście. W pismach on też swoich, głównie humorystycznych, niemało zarysów wybornych do malowidła téj społeczności zostawił. Musimy więc tu zwrócić uwagę na jego działalność literacką.

Najpierwszém Żołkowskiego pismem drukowaném jest: „*List do JP. Dmuszewskiego artysty dramatycznego polskiego*," datowany z ulicy Piwnéj, na 1-ém piętrze pod N-em 14-ym, d. 8 lutego 1804 roku, (arkusz w kroju małym ćwiartkowym bez miejsca druku).

Nie wiemy czy Dmuszewski wystąpił publicznie, zwracając uwagę naszego komika, że robi niepotrzebne dodatki, gdy w końcu widowiska jak zwykle bywało na dzień następny, zapowiadał przedstawienie teatralne, czy też uwagi swoje udzielił mu tylko poufnie. Z toku wszelako całego listu, pokazuje się, że żadnéj do Dmuszewskiego nie miał urazy, na zarzuty zaś, nietylko przez niego robione pragnąc odpowiedzieć, list swój wydrukował. W nim, na zarzut niewczesnych żartów, broni się wyjątkiem z ulubionego wówczas pisarza dramatycznego *A. Kotzebue'go*.

„Żart nie może być niewczesnym, żart bowiem sprawuje uśmiech; uśmiech jest dowodem radości, radość jest uszczęśliwieniem ludzi, a szczęśliwość nigdy się nie sprzykrzy: a zatém żart nie może być niewczesnym" [1]).

---

[1]) Przechodzi następnie po szczególe, otwarcie, artystyczne grzechy; ustęp ten charakteryzujący młode pióro i mniéj doświadczone Żołkowskiego, w całości przywiedziemy.

1⁰ po komedyi *Trzpiot*, wyszedłem anonsować, mając zające na plecach, fuzyą i inne myśliwskie okoliczności; powiedziałem: „ponieważ mi tędy po drodze, wypada mi iść do mojego zamku, a zatem donoszę razem, że będzie w przyszły czwartek i t. d." Cóż tu jest złego? Nie pokłóciłem się ja z panią Zrzędnicką? nic także jéj nie mówiłem że idę do zamku? Może źle, że zające niosłem, jakże miałem je zostawić, kiedy zające lubię.

2⁰ Po *Tom-Dzonie*, grając w téj komedyi *Padrycza*, który patrym gada językiem, *alias*, oboy mięsza z swoim, anonsowałem z łacińska: „*proxima die habebimus honorem dare* etc. a na ostatku rzekłem: „*Bona nocte praecor.*" To u ciebie źle, że ja życzyłem dobréj nocy.

3⁰ Na mój benefis anonsując gadałem: „Na benefis Jpana Żołkowskiego damy" etc. Prosił mię pan Żołkowski abym mówił za nim, jestem jego przyjacielem." To znowu było fortelem, bo śmieléj można mówić za kim, jak za sobą. Ale to nie jest grzechem, i po tém nawet jest piękna figura stylowa, i tak, jak kocham ciebie, daleko piękniéj, Alojzy kocha ciebie!

4⁰ Po komedyi *Zamieszanie*, jak wiész byłem *Spiochajło*, przy końcu zasnąłem w moim własnym pokoju, kurtynę podniesiono. Zaczęto klaskać,

Z tego listu widzimy, że już w roku 1804 był ulubieńcem publiczności, a ufając w jéj względy, dozwalał sobie dodatków na scenie, za które go karcił Dmuszewski. Po skończeniu sztuki Dmuszewski uważał, że aktor skończył swoją rolę, a wedle przyjętego wówczas zwyczaju, wychodząc przed kortynę, winien w postaci własnéj zapowiadać widowisko następne. Żołkowski przeciwnego był zdania, i jak zapamiętamy dobrze, do końca swego zawodu, nigdy go nie zmienił. Ale nietylko w tych zapowiedziach robił swoje dodatki, wśród sztuki saméj, gdzie tylko nadarzyła mu się sposobność. Uchodziło to tylko jednemu Żołkowskiemu, którego miłość, uwielbienie i pobłażliwość publiczności otaczały.

W roku 1811 w przerwach nieoznaczonych wydawał *gazetki* pisane, które rozrzucane w kilku egzemplarzach, natychmiast tysiące rąk przepisywało, i po całym kraju tym sposobem rozpowszechniano. Od roku już 1806 za wnijściem armii francuzkiéj i Napoleona I-go do Warszawy, dla sceny niemało pracował. Teatr narodowy bowiem pilnym był strażnikiem owoczesnych wypadków, i jak w zwierciedle odbijał je na scenie swojéj. Utwory dramatyczne które wówczas wywoływały zapał i oklaski, dziś zaprawdę nie wytrzymają krytyki, ale i z dzisiejszych rozgłośnych chwilowo, niewiele przepłynie progi naszego wieku. Mimo to, tamte mają cenę zacnéj dążności, podniosłych uczuć, odbijając nie jednę chwilę w życiu narodu.

Gazetki Żołkowskiego zdawały się zapowiadać przyszłego redaktora nieporównanych pism humorystycznych, jakiemi się okazały *Potpourri* i *Momus*.

---

przebudzają mię, tedy chcę anonsować, ale sen mię morzy znowu, i cóż ja winien że siedząc w krześle przebąknąłem słów kilka.

5⁰ Na ostatku wczoraj anonsując na benefis pana Zielińskiego, któremu wszelkich pomyślności życzę, powiedziałem: „Gorliwy ten artysta, jest pełen nadziei, i dobrze że ma nadzieję, bo ja zaręczyłem mu, że będzie miał dobry benefis. Cóżto, nie mogęż ja ręczyć, będąc sam obsypany tak niezmierną łaską od publiczności, a nie wiele położywszy zasług? Ale mi na to wszystko zarzucisz, że artysta wychodzący przed kortynę anonsować, już niéma na sobie tego charakteru jaki udawał, i jest tylko prostym telegrafem, przyszły spektakl donoszącym? Otóż bajki to są mój panie. Czemuż kiedy wraz ze sztuką, aktor kończy swój charakter, czemuż mówię ten co zginie, nigdy nie anonsuje? Wszakże wszyscy wiedzą że się doprawdy nie zabijamy, jeżeli powiédz, dla lepszéj illuzyi, toż samo i mnie służy.

Jak ty zacny kolego chcesz we mnie wmówić, że ja jestem już Żołkowskim, kiedy jestem przed kortyną? Widziałże kto JPana Żołkowskiego, na ulicy w zielonym galonami szamerowanym fraku, z wielką na łbie peruką i harbejtlem? albo jak w „Zamięszaniu“, z kornetem na głowie, z podwłośnikiem, prześcieradłem opasany, rużu pełno na gębie, krysek, rysów? I to ja mam być? nie! to jest zawsze *Drągajło*, *Spiochajło*, *Padrycz* etc.

W literaturze starożytnéj polskiéj nie brakło narodowych dowcipów. Zaraz z pierwszymi śladami drukowanych książek polskich, mamy co do tego widome dowody. Słynął z dowcipu *Rej* z Nagłowic, za Zygmunta I-go słynął z wyższego może jeszcze *Stańczyk*, nadworny trefniś tego króla, równie jak *Smolik* dworzanin. Niebrakło dowcipów i *Janowi Kochanowskiemu*. Pisarze z XVI-go stulecia, nadali oddzielną nazwę w literaturze tego rodzaju utworom. Rej zwał je *figlikami*, Kochanowski i następcy jego *fraszkami*, a niektórzy *burleszkami*. Z upadkiem oświaty, literatury i spodleniem ojczystego języka w XVII wieku, i dowcip staropolski znika; wskrzesza go dopiéro w satyrach Krasicki i kończy w dziejach upadłéj Rzeczypospolitéj.

Zmieniły się czasy, w charakterze narodu wielkie szczerby, napływ obczyzny wynikł, zmieniło się samo położenie kraju, dowcip ażeby mógł być zrozumianym i ocenionym należycie, musiał się zastosować do tych przeważnych warunków.

Ocenił je należycie Żołkowski, a jego *farsy* i *fraszki*, tak trafiały do wszystkich, że równy uśmiech wywoływały u kontuszowców, wychowańców jeszcze jezuickich, jak i u tych, co już w nowszych czasach się zrodzili.

Gazetki te pisane znał każdy zwolennik literatury ojczystéj, która w owe czasy najmniéj pokazując życia w drukowanych dziełach (wyjąwszy utworów dramatycznych) w takich świstkach pisanych odbijała się najwymowniéj. Żołkowski, jako redaktor dwóch wyżéj wspomnianych pisemek, oddał językowi polskiemu niezapomniane przysługi.

Jakież to są przysługi? zapyta może nie jeden: czyż Żołkowski zdobył dla niego nowe prawidła, jaką prawdę, i do gramatyki polskiéj co dodał?

Odpowiemy na to: prawideł żadnych nie zdobył, do gramatyki polskiéj nic nie dodał, ale zdobył wielką prawdę, która oczy narodowi otworzyła, bo on pierwszy, ukazawszy całe bogactwo ojczystéj mowy, dowiódł przykładem, że jeżeli język nasz jest skarbnicą, do wydania póważnych, męzkich, rzewnych i najwyższéj poezyi myśli i uczuć śmiało w lekkości, dowcipie i w igraszce słów, może się spiérać z mową francuzką, salonową, a tak w każdym rodzaju jest wyższość po stronie narodowego języka. On to głównie położył zasługi, że zapaleni zwolennicy francuzczyzny, pomiatający macierzystą mową, zaczęli cenić jéj wartość, przekonani z własném zadziwieniem że to, co uwielbiali w języku francuzkim, znaleźli w *zgrubiałym* i *ciężkim*, jak go zwali, własnym. Rozpływali się nad *kalamburami*, nad grą wyrazów zręczną; a śmiejąc się z dowcipu, korzyli w duchu i nawracali do rodzinnéj mowy.

Tak *Pot-pourri* jak *Momus*, samodzielnością pomysłów, jak i układu swego jest zupełnie oryginalném dziełem i wyłączną własnością Żołkowskiego; ztąd nie może być przetłumaczonym na

żaden obcy język, tak jak każdy prawdziwie narodowy utwór, gdyż w przekładzie, cała jego wartość zniknęłaby zupełnie. Pisma te Żołkowskiego są dziś osobliwością bibliograficzną: gdy zaś były długi czas wielką uciechą duchową społeczności naszéj, gdy uważano je za najdoskonalszy utwór dowcipu i humoru i były najpopularniejszemi w całéj Warszawie, bliżéj je rozpatrzéć musimy.

W roku 1821 zaczął wydawać *Pot-pourri*. (*Pot-pourri*. Tom I. Warszawa w drukarni przy ulicy Ś-go Jerzego, N-r 1782, 1821 r. w 12-e str. 40). Od miesiąca lipca tegoż roku, wydawał go już pod swojém imieniem.

*Pot-pourri* przez Aloizego Żołkowskiego. Tomik I, Warszawa w drukarni Wandy i Kuryera 1821 (w 12-ce str. 96).

Lubo to dalszy ciąg poprzedniego, dał mu nadpis tomiku I-go zapewne dlatego, że pisemko swoje zaczął dzielić na numera. Numerów takich od lipca do września 1821 r. wydał dwanaście.

Od numeru 2 na czele kładł wspomnienia śmieszne, jakby na żart Kuryerowi Warszawskiemu, który dawał różne wspomnienia z dziejów krajowych. Żołkowskiego wspomnienia były w tym rodzaju jak np. *Mucha Bonę ukąsiła. Rzepicha w rąbku. Esterka w atlasie. Wjazd rury do barszczu. Zaślubiny i rozwód ze sławą. Starosta żyda wypędził i t. p.*

W drugiéj części *Pot-pourri* ogłosił przemowę następną *do czytelników podpurowych*.

Gdy wielkość, nauka, mienie,
Rozkosz, sława i znaczenie
Są urojeniem zwodniczém;
Cóż za dziw, że fraszki moje,
O które nie wiele stoję,
Są mniéj, aniżeli niczém!

Mimo to wiedział dobrze, że *fraszki* jego bawią rodaków, co daje do zrozumienia w czterowiérszu:

„*Jeszcze słówko.*"

Co orzeźwi, co ucieszy,
Co łagodzi, co rozśmieszy;
Mimo to, co mądrzy plotą,
Dobréj chwili jest istotą,

I daléj pod tymże napisem:

Użyjmy dobréj chwili, mimo zdania gminne,
Śmiéchy, żarty, zabawki czułe a niewinne

Niechaj liczbę zbyt małą dni naszych przedzielą,
Źli się siłą weselić, dobrzy się weselą.

Wyszydzając nasze zfrancuziałe panie w N-e V-ym wydrukował: „*Styl modny:* pani hrabina pisze do swojego stryja." (zachowując pisownią oryginału).

*Kochany Stryjażku!*

„Onegdaj *returniowałam* z Karlsbadu; wody tamtejsze pomogły mi nieco, lecz cierpię jeszcze chwilami *migrenę* i *wapory*. Za granicą można się *perfectement* bawić: *crement*, bez najmniejszéj *żenady*. Cały *grande monde*, dający *bon ton*, znajdował się w kąpielach. *Zewur mersuie* za przysłane dzieła; pisownia szarmancka, a szczególniéj *j* długie, podoba mi się bardzo, będą one dla mnie najprzyjemniejszą *lekturą*. Zostaję *Contes* Grymasniczka. *P. S.* Stryjażku! czyby nie można zfrancuzczyć mego nazwiska. Stryjaszek człowiek oczytany, proszę o tém pomyślić."

Dziś z niedowierzaniem czytamy takie listy, wątpiąc, czy kiedy istnieć mogły, a jednakże w owe czasy nie były one rzadkością, jak i tego rodzaju nietylko hrabiny, ale i szlachcianki zamożniejszych domów.

W tém pisemku wprowadził wiérsze jedno-sylabowe, jako odpowiedź tym, którzy utrzymywali, że ten rodzaj w polskim języku, jest niepodobny. Przywiedziem parę na wzór.

I.

*Recepta na jednę syllabę.*

Świat nasz jest kat.
Ty, co znasz świat,
Patrz, jak masz być,
I na nim żyć.
Kwiat, co trwa dzień
Lub tak, jak cień
Tak jest nasz wiek,
Tak jest i człek.
Co go znał Rzym,
Znikł jakby dym;
Co go laur krył,
Jakby nie był.
Tak też ów Lach,
Co niósł śmierć, strach,
Kark przed nim giął,
Ten go też wziął [1]).

[1]) Przypomnienie *legionistów*, którzy za Napoleona I-go na Kapitolu straże trzymali.

Bo nie trwa lud
Przez sejm, gmin, trud,
Przez wał, broń, mur,
Lecz przez cnót zbiór.
Pers, Grek i Rzym
Znikł tak, jak dym;
Masz więc znieść cios,
Bo tak chciał los.

II.

*Skąpiec.*

Grosz, jest mój Bóg!
Ten mi jest wróg,
Co mi rzekł: *daj!*
Bij mię i łaj,
Lecz, gdy co dasz,
Wnet mą chęć masz.
Gdyś wszedł w dom mój
Mów, żeś już jadł;
Gdy masz chléb swój,
Jam ci jest rad!
Lecz Bóg cię broń,
Byś miał w swą dłoń
Wziąść mi mój grosz:
Wtenczas się sróż,
Siecz mię i pal,
Jam jest, jak stal:
Nic ci nie dam,
Choćbym pękł sam!

Po wydaniu tych dwóch tomików *Pot-pourri*, zmienił nazwę swego pisma, na *Momusa* z dodatkiem „pod Redakcyą Aloizego Żołkowskiego" z tém godłem:

„Trochę wesołéj pustoty
Nie nazwie nikt pewnie grzechem,
Bo wszakże i bóstwo cnoty
Z wdzięcznym malują uśmiéchem!

W redakcyi *Momusa* te zmiany zaprowadził, że częściéj dawał *szarady* i dodał dział nowy: *Dwój-znaczniki i równo-znaczniki, czyli kalambury i ekiwoki.*

Na czele, pierwsze takie umieścił:

Kto ma najwięcéj *odwagi* w Warszawie? (albo odwagi, tojest męztwa, albo *od-wagi* czyli od miary)!

Strudzony *pod-różą* spoczywa.
Widziałem *parę* wołów w powietrzu.
*U-łani* mleko wydoili.
*Sto-pniów*, można dostać za sto talarów.
(Francuzko polski). Ile ma lat? *Il est malade.*

W tym rodzaju kalambury mieściły się w każdym numerze. Z wiérszy największy rozgłos miał opis *Wyspy wszelkiéj pomyślności*, utwór pióra Żołkowskiego. Gdy nie wiele drukowano egzemplarzy *Momusa*, a okazał się w pierwszym zaraz numerze 1821 roku; rozkupiono wszystko, co wyszło z pod prassy i na tysiące rąk przepisywano. Radowała się nim Warszawa, raczył się i kraj cały, bo pocztą porozsyłano w różne jego okolice. Przypomnijmy sobie ten Raj dla smakoszów.

Ledwie co niepiękniejsza od *Raju Adama*
Jest to kraj *delicyi*, jest to rozkosz sama.
Wśród wiecznéj wiosny leży miasto zbudowane,
Cudowne i przyjemne, wałem opasane;
Wałem darnią okrytym: na jéj liść pieszczony
Składał się tywtyk, jedwab', aksamit strzyżony;
A choć się czasem zdarzy, że niebaczne stopy
Nie wiedząc o zakazie przejdą te okopy,
Przecież miasto zapłaty, zamiast uwięzienia,
Za karę, trzy jedynie wydaje westchnienia.
Domy są o dwóch piętrach. w każdém oknie ganek
Schody z bułek *siedleckich* [1]), a okna z łazanek:
Lecz jak bo też są czyste łazanki tamtejsze,
Niż szkło czeskie, niż kryształ sto razy czyściejsze.
Firanki z naleśników, frenzle z makaronów,
Zamki z szynek, półgęsków, klucze z salcesonów.
Wewnątrz dużych pokojów są przesmaczne meble,
Jakie chyba angielskie mogą zdziałać heble!
Tam, po trudach światowych śmiertelnik spoczywa,
Na noc kładzie się w pasztet, pasztetem przykrywa.
Na ścianach wiszą torty, gdzie mądry cukiernik,
Wyrył, co zdziałał *Cezar*, co odkrył *Kopernik*.
W doniczkach rośnie bigos, lub potrawka z kury,
Podług uprawy ziemi i nasion natury;

---

[1]) W *Siedlcach*, na Podlasiu, słynął piekarz z wypieku bułek, które pokup ogromny znalazły. Przeniósł się następnie do Warszawy; bułka duża doskonałéj białości i smaku, kosztowała pięć groszy polskich ówczesnych. Żadne dzisiejsze w tym rodzaju pieczywo, nie może się równać z ową *bułką siedlecką*.

Bowiem ziemia téj wyspy jest cudnéj zalety:
Posiać kostki z kotletów, zrodzą się kotlety;
A kędy żyto, owies, albo jęczmień wschodzi,
Zaraz się téż na niego wpodle kupiec rodzi.
Daléj, chcąc się rankową rozerwać gonitwą,
Wchodzi golić cerulik, floransową brzytwą.
Sama taca przybywa, na niéj czekolada,
A *Zefir*, by ją studzić, na imbryczku siada;
To dmucha w filiżankę, to bikszkopty macza:
Wtém, sto kamerdynerów dokoła otacza,
Daje bogate suknie w różne cukry tkane,
Kieszenie duże, liczne, gruszkami napchane.
Zamiast guzików pączki pulchne z powidłami,
Człowiek je czasem zrywa, żyje guzikami;
Wychodzisz na ulicę, alić tam, szerokiém
Wali się porter, wino i płynie rynsztokiem.
W boku kawa *lewanteka*, a śmietanka w tyle,
*Kożuszki* zaś latają, jak u nas motyle.
Błoto z konfitur, lodów, a bruk tego miasta,
Jest w piérogi leniwe i francuzkie ciasta.
Nie żałuje tam człowiek, chociaż się pośliźnie,
Bo choć czasem upadnie, zawsze czegoś liźnie.
Restauratorów nie ma, ani *Tabl'a d'Hota*,
Lecz gdy apetyt brzuchem w południe szamota,
Wraz *nimfy* stół stawiają, przynoszą obiady,
I żeby się człek najadł, służą mu *Najady* [1]).
Las szparagów tuż dąży za dzielną pieczenią,
Tu się bielą sandacze, tam raki czerwienią;
Kielich pełen szampana, sam do gościa biega,
Rozmowa idzie śmiało, nikt się nie wystrzega,
Bo zacniejsze tu szpiegi nie z naturą wilczą,
O dobrém częściéj wspomną, pewno złe zamilczą;
Gdy kto kichnie przy stole, zdarzenia nie tracą:
Sto tysięcy mu życzą i zaraz je płacą.
Wreszcie piwo z węgrzynem dłoń do siebie nęcą,
Ledwo zeszły z obrusa już się w głowie kręcą.
Minąwszy porę dalszą, w wieczór nakształt wiatru
Na kołach watowanych spieszą do teatru;
Zamiast zwykłych biletów albo kontramarki,
*Parter* daje karmelki, *paradyz* sucharki.
Tam widzę cudne rzeczy. W grze aktorów zgodność,
Na *Parterze* wspaniałość, w krytyce łagodność,

---

[1]) „*Najady*, nimfy, najedzeniem władające." (Przypisek A. Żołkowskiego)

A w lożach orszadowych, zajętych przez wdzięki
Słyszę hasło do *brawa* od łaskawéj ręki.
Budy *suflera* nie masz, lecz jak szpilki główka,
Takie małe aniołki poddają im słówka;
A na tańce, śpiewanie, zachwyca się dusza
I w górę się wznosi, jak *ród Machabeusza* [1]).

Żołkowski widząc jak publiczność została zachwyconą jego *Wyspą pomyślności*, napisał wkrótce i wydrukował w *Momusie: Kępę utrapienia*; ale ta już nie tyle się podobała!

W tém piśmie nad *farsami* swemi, dał stały napis *Fraszek*, wyraz przez Jana Kochanowskiego pierwszy raz użyty. Pisał w *Momusie* bajki, odznaczające się satyryczną dążnością. Pisemka tego wydał trzy tomiki i na ostatnim skończył literacki swój zawód. Choroba nieuleczona wytrąciła pióro pełne talentu, nienaśladowanego dowcipu i najszlachetniejszych dążności.

Przejdziemy teraz szczegółowo *farsy* i *fraszki*, obu pomienionych pisemek, w pewien ład ułożone, aby czytelnik mógł mieć pojęcie jasne o wartości i dowcipie ich twórcy.

Stanowisko Żołkowskiego i pojęcia jego literackie, górowały nad współczesnemi wysoko. W latach bowiem 1820—1821, zaledwie nieśmiałym głosem Kazimierz Brodziński zagajał rzecz o romantyczności; Mickiewicz jeszcze się nie pojawił, a Żołkowski żartami swemi uderzał na uświęconą *klassyczność*.

Dając niektóre wyrazy *Nowego słownika* pod Arystotelesem, takie dał objaśnienie.

„Jest to pistolet, którym wszyscy pedanci strzelać zwykli: nabity jest klassycznością, a najczęściéj wymierzony bywa przeciw naturze."

Znudzony ciągłemi to porównaniami mytologicznemi, to wiérszopisów zwrotami dziwotwornemi, pisze: „Dawna mytologia upadła, cały Olimp już się rozszedł, jeden tylko bożek *Pan*, cześć na ziemi odbiera jeszcze. „Szczęśliwi poeci! oni wiedzą, jak się doliny *śmieją*, pagórki *swobodne* okazują *czoła*, dla nich księżyc nie pospolite, ale *srebrne* śle promienie, jedne im tylko *mruczą* strumyki."

Kiedy pisał swoje *farsy*, chcąc mir dla nich wyjednać u klassyków, dowodził, że „*Farsa*, robienie farsy znane już było u starożytnych; wszakże *Lukan* pisał *Farsalią*."

---

[1]) Pod tym tytułem dawano dramat na teatrze narodowym, przetłumaczony przez Kudlicza. Pierwszy raz zręczna maszynerya wywołała podziw w publiczności, zawsze tłumnie się zbierającéj na to widowisko. W ostatniéj scenie cały ród Machebeuszów, który wyginął wśród dramatu, wznosił się w obłokach: do téj chwili odnosi się napomknienie Żołkowskiego. Scena ta obok rozrzewnienia i łez, wywoływała grzmot oklasków.

Zadaniem pierwszém każdego, wstępującego w szranki literackie były tłumaczenia i to głównie z literatury francuzkiéj. Mnożyły się ztąd liche przekłady i o nich to powiedział w *Momusie:*

„Zły tłumacz podobny jest do lokaja, który zlecenie pańskie niegodziwie opowiada"

Czując przewagę uprzedzeń klassyków, zażartował z nich dowcipnie.

„Nic jak klassyczność! nic jak klassyczność! a raczéj naodwrót klassyczność jak *nic*, a przynajmniéj loteryjna, bo w niéj więcéj *niców*, niż *czegoś*."

Kiedy oburzył poważny areopag warszawskich literatów, rzuceniem zdania że:

„Klassyczność jest feudalizm, romantyczność liberalizm."

Zaraz w następnym numerze swego pisma, uspokoił zajątrzonych powyższym żartem:

„Jeżeli romantyczne dzieła Szyllera są tak smaczne, jak kapłony naszego Szyllera w Warszawie, to powinni wszyscy przejść na stronę tego poety [1])."

Zwolennik sceny narodowéj, pragnąc jéj postępu i rozwoju, szydził z przyjętych formułek, w których mieścić się musiała i poważna tragedya, i wesoła komedya.

„Cała różnica (pisze) między komedyą a tragedyą jest ta, że w komedyi amant bierze kochankę czasem nawet z posagiem, a w tragedyi nigdy jéj nie dostaje."

Załączył razem dwie recepty, na ich zrobienie i pisanie [2]): przytoczę tu receptę na komedyę:

„Weź młodą panienkę, jednego kawalera, jednego nieznajomego, jednę pokojówkę i jednego chciwego opiekuna; zmieszaj to wszystko jak najmocniéj, dorzuć do tego dwanaście uncyj bufonady i pół uncyi dowcipu, a nawet mniéj jeżeli można. Pozwól dziewczynie przez niejaki czas dręczyć kochanka, niech się przez kilka aktów waha, a nakoniec z podziwieniem obudwóch niech za niego idzie, a jeżeli przymieszasz do tego jeszcze wesele, niejakie tańce, trochę piosneczek, cały pojedynek i garść policzków, tedy będzie mikstura jedna z najlepszych: *probatum est.*"

Możnaż było dowcipniéj wyszydzić te uświęcone przepisy tak zwane klassyczne, których nikt z piszących nie śmiał przestąpić.

---

[1]) Szyller w owe czasy traktyernik, mieszkający na Długiéj ulicy, słynął z pieczenia wybornych kapłonów.

[2]) Receptę Żołkowskiego na napisanie tragedyi klassycznéj podałem w pracy mojéj „Ostatni klassyk" (Warszawa, 1872 r.).

Patrząc na miernotę wielu prac literackich, żartował sobie z zarozumiałych autorów, którzy tłumacząc z francuzkiego wcale nie wyborowe pisma, sądzili że swe imiona unieśmiertelnią.

„Pewien autor (pisze Żołkowski) chce swe dzieło przypisać potomności, drudzy jednak wątpią, aby doszło podług tego adresu.“

Szanując podania dziejowe mówi: „Tradycya historyczna nic nie bierze, owszem podaje; ale tradycya sądowa wszystko zabiera i tu dopiéro historye się dzieją.“

Wielu zaczęło się rzucać do badań Słowiańszczyzny, a język słowiański za pierwotny wszystkich ludów i najdawniejszy uważać. Zażartował sobie z tych przedwczesnych domysłów.

„Język słowiański (mówi) ma być najpiérwszy. Już za Jowisza, kiedy Minerwa miała się z głowy jego urodzić, to on rzekł z ruska: *czoło mene rwe*, i ztąd zrobiła się Minerwa.“

Za jego czasów żyło wielu wychowańców jeszcze jezuitów, tych w jedném gronie wielce rozweselił żartem, który nazajutrz w *Momusie* wydrukował.

„Stary Alwar powiada, że kobiétki płoche należą do *generis feminini*, skromne zaś dziewczęta są *generis neutrius*.“

Nie brakło i wtedy krytyków, którzy się chętnie ze złośliwością popisywali i z wypłowiałemi często zdaniami, Żołkowski nie lubił takiego rodzaju recenzyi.

„Krytyka (pisze) jest jak odra: które dzieło dostanie, to zaraz na wszystkich kartach plamki się pokażą; ale czas wszystko zaciera.“

„Kiedy suknia jest już stara, to ją dopiéro łatają, a krytyka najnowszemu dziełu łatki przypina.“

„Kule są ołowiane, lane i drukarskie litery także; dlatego téż zapewne oboje wojują, piérwsze zabijają, drugie zgryzą tylko.“

Sam jednakże lubił maleńką łatkę przypiąć czasami: wychodziły wówczas *Ćwiczenia naukowe*, organ Liceum Krzemienieckiego, do których redakcyi należeli Tymon Zaborowski, Teodozy Sierociński i wielu innych. Żołkowski o nich napisał:

„*Ćwiczenia naukowe* są rozmaite, zawsze jednak lepsze od góry, niż od dołu.“

Oceniając wartość *Brukowych wiadomości* wileńskich, pisze jakby z żalem:

„My nie mamy innych „brukowych wiadomości“, tylko kurz albo błoto.“

O *Kuryerze Warszawskim* wyraża:

„Kuryer Warszawski jest dobry katolik, jednak cały tydzień biega, w sobotę szabasuje“ (bo wówczas w sobotę pisemko to nie wychodziło).

Lubo literatury oryginalnéj powieściowéj prawie nie było, za to nie brakło romansów tłumaczonych z francuzkiego; dlatego napisał Żołkowski:

„Dawniéj *Godzinki* jedynie do modlitw służyły, a teraz Godzinki na romansach trawią.“

Pisemka Żołkowskiego rozrzucone z początku pojedyńczemi numerami, to pisanemi to drukowanemi, od roku 1821 zaczęły wychodzić stale przy Tygodniku *Wanda*, naprzód jako *Pot-pourri*, a późniéj p. n. *Momusa*.

O tém wydawnictwie w następny sposób uwiadomił czytającą publiczność:

„Wanda, która dotąd leżała w mogile, teraz będzie co tydzień wychodzić na przechadzkę literacką. A że damy nie ruszą się żeby ktoś za niemi nie szedł, przeto i za Wandą będzie łaził Momus.“

Przewijały się jeszcze tak w kraju, jak w saméj Warszawie postacie w ubiorach staropolskich. Oto jest szereg fraszek w tym przedmiocie, równie jak i ze wspomnień przeszłości.

„Tak często kontusze brano na wyloty, że już prawie wszystkie wyleciały, a przynajmniéj nie wiele ich widać.“

Lepiéj przebrać się po polsku, niżeli przebrać za Polaka.

Przedtém była moda chodzić z wylotami u rękawów, a teraz są kieszenie na wyloty.

Że młodzież nie nosi teraz *pasów*, to nic nie szkodzi, ale jednakże nosi kamizelki w *paski:* zawsze są to wspomnienia narodowe!

Dziwna rzecz że się ludzie *płaszczą*, czemu nie *kontuszą*, albo *żupanią?*

Kapelusz da się różnie zastosować, a czapka zawsze swój kształ zachowuje.

*Rumel-pikieta* jest bardzo miłosierna dama, nie jednemu daje *kapotę*, choć ten nie po polsku chodzi.

Człowiek podobny do *czamarki*, wyszedł na świat, bo ma różne *potrzeby*.

Dawniéj Polacy mieli *głowy golone*, a teraz kieszenie.

Wszystko się z czasem odmienia, wprzódy golono głowy dla mody, a dziś je golą za karę.

Jedni *poloneza parami* tańczą, a Wieliczka *solo*.

Jestto osobliwością w muzyce, że *trio* ozdobiło poloneza i trio mu zaszkodziło.

Królowa Bona nie dość że za życia dokuczała Polakom, lecz jeszcze w pareset lat przysłała *Bony* żeby jéj imie nie wyszło z pamięci.

Dawniéj był *Kazimierz Wielki*, a teraz tylko Kazimirki, Kazimirki [1]).“

Znane jest w całym kraju przysłowie: *Śpiewać Tadeusza*. Jestto wyrażenie mające rozległe w naszym języku znaczenie. Śpiewać

---

[1]) Gatunek lekkiego sukna, będącego wówczas w wielkiéj modzie.

Tadeusza, oznacza toż samo, co śpiewać *Gorzkie żale*, zawsze to pieśń smutku, niedoli i żałoby. W pogróżce nawet komu że będzie śpiewać Tadeusza, jestto zapowiedzenie groźby, kary, czy ucisku, albo jego trosków w niedalekiéj przyszłości. Ztąd czytamy:

„Co to za kompozytor muzyki *Tadeusza*? Musiał być bardzo sławny, że wszyscy jego piosnkę śpiewają.“

Z powodu zwyczaju przypinania klocków w *Środę popielcową*, tak pannom, jak nie żonatym, pisze:

„Panny choć to niby delikatnéj kompleksyi, a jednak w *Popielec* kloce dźwigały.“

Modą było naonczas pomiędzy naszymi paniami nosić na głowach siatki z przędzy zwanéj pokrzywki i ztąd Momus ostrzega:

„Ostrożnie z kobiétami, bo ich siatki są z *pokrzywki* robione.“

Ulubioną narodową potrawą jest tak zwana potrawa: *Bigos hultajski* z kwaśnéj kapusty i mięsiw różnych złożona. Jan Drozdowski komedyopisarz z czasów Stanisława Augusta, dał jednéj z najlepszych swych komedyi napis: *Bigos hultajski:* Żołkowski zwolennik téj potrawy pisze:

„Wszystkie czyny hultajów są złe, wyjąwszy bigos hultajski.“

Pamiętał dobrze jeszcze zwyczaj utrzymywania na wielkich dworach Laufrów, którzy przystrojeni bogato i w kapeluszach z piórami, biegli przed karetami pańskiemi [1]).

„Laufrów skasowano, ale za to wiele biegłych ustanowiono, a bryftregier z nich najbieglejszy.“

Nie brakło jeszcze w owe czasy chwalców jezuitów, ztąd pisze:

„Jezuici zadawali studentom *pensa*, a *expensa* sami brali.“

Z wigilii Bożego Narodzenia i opłatków przywiązanych do téj uroczystości, bierze wątek do swych fraszek:

„U nas tylko raz w rok bywa *wilia*, a miasto Wilno ma zawsze Wilią, szkoda tylko że więcéj sosu jak ryb: jest tam i *Wilejka*, ale to zapewne dla uboższych.“

„*Opłatki* co na kolędę przynoszą, dosyć są lubione; ale na *opłatki* które do kassy zawieźć trzeba, to mruczą ludzie.

„W niektórych krajach przy rogatkach musi być zawsze *wilia*, bo zawsze tam jakieś *opłatki* biorą i niemi się łamią.“

Zawichrzenia polityczne których sceną były Włochy, Hiszpania i Turcya, gdzie wrzała walka krwawa Greków o niepodległość, dawały powód częsty Żołkowskiemu do fraszek bardzo trafnych, które z ust do ust przelatywały po całym kraju. Część ta obu pisemek przez współczesnych najwyżéj była cenioną, teraz pozostała tylko wspomnieniem i całe dla nas zajęcie straciła. Wiele nawet fars dla dzisiejszego

---

[1]) Patrząc lud warszawski często na takich laufrów wytworzył przysłowie, które się dotąd utrzymało: *Biegać jak Laufer.*

czytelnika, są hieroglifami nieodgadniętemi. Niektóre z nich tylko powtórzymy, jak z czasów wojny greckiéj i ówczesnych wypadków.

„Nowo narodzone dzieci biédnych Greczynek nie znały dotąd innéj kąpieli, jak łzy swoich matek.“

„U Turków można widzieć piękny *rząd*, ale na konie“ [1]).

„Grecy Turkom *buty szyją* nie zważając na to, że oni w pantoflach chodzić zwykli.“

„Grecy *awansują* na Turków, a więc tacy więcéj znaczyć powinni, na których się *awansuje*.

„Grecy wołają o wolność, a Turcy ofiarują im *wolnice*“ [2]).

„To imie *Jan* szkodzi Turkowi i tak dawniéj *Jan* im pod Wiedniem zaszkodził, a dziś *Janina* im dogryza“ [3]).

„Grecy dziesięć lat bili się o *Helenę*, ciekawa rzecz długo téż wojować muszą o swoją wolność. Jeżeli nie będą mieli do czynienia z *Trójcą* (jak za Homera), to sam na sam dadzą sobie radę.“

„Dziwna rzecz że na morzu flota turecka tak się skurzyła, że ją Grecy trzepać musieli“ [4]).

„Grecy w swoich odezwach wzywają cienie przodków z dawniejszych czasów, widać że w późniejszych nie mają co wybrać.“

„Turcy nie wierzą w *krzyż*, a jednak wielu z nich dostało po *krzyżu* i zaczynają się żegnać z Europą.“

„Jak się Turcy wyprowadzą do Azyi, to może komorne stanieje w Europie.“

„Francuzi (mówią) lekki naród, jednak go zdmuchnąć nie można było. Muzułmanie zaś lud ciężki, a kto wié co się z niemi stanie. Polityka ma silne miechy.“

„Nowiny jak Araby nie mają stałéj siedziby: niedawno w Neapolu osiadły [5]), a teraz już się do Konstantynopola przeniosły.“

„Astronomowie przepowiadają, że gdzie teraz jest *wschód*, to będzie *zachód*, ale trzeba wielkiego *zachodu*, koło tego *wschodu*.“

Żołkowski wierzył wraz ze wszystkiemi że Turków wypędzą z Europy, taka była wówczas powszechna wiara. Patrząc się na rewolucyjne wybuchy i ich skutki, pisze:

---

[1]) Starzy Polacy całe ubranie na wierzchowego konia na które się wysadzali, nazywali *rzędem*, albo zwyczajniéj *rządem*.

[2]) *Wolnicą* nazywano jatki rzeźnicze, gdzie zabijają bydło i wystawiają mięso na sprzedaż.

[3]) Mowa tu o głośnym baszy *Janiny*, który równocześnie z wybuchem greckim powstał przeciw władzy sułtana i wielki postrach rzucił na Stambuł.

[4]) Grecy bowiem odnieśli wówczas znakomite zwycięztwo na morzu.

[5]) W Neapolu właśnie wybuchło powstanie, które wojska austryackie bez rozlewu krwi wprędce przytłumiły.

„Rewolucye są niby *zapusty* wolności, cóż kiedy po każdych zapustach *wielki post* nadchodzi.“

„Rojalizm zawsze będzie miał górę nad *liberalizmem*, bo lepiéj płaci.“

Z powodu niewoli Napoleona I-go robi porównanie:

„Dawniéj *Helenę* porwano, teraz porwała *Helena*.“

Jakby patrzył w przyszłość, napisał:

„Europa ma *Węgry*, i to jest jéj jedyna słabość.“

Więcéj do naszego kraju stosowanych fars przytoczymy:

„*Rzeczypospolite*, właściwiéj *rzeczy niespolite* nazywać się powinny, gdyż ich teraz mało liczymy.“

„Dlatego Polska długo nie pokazywała się na mapie, że była rozebrana.“

„Dawniéj był król Łokietek, a teraz kraj.“

Warszawa, w któréj od lat tylu zamieszkał Żołkowski, jéj gmachy, ulice, przedmieścia i okolice dawały mu wątek do fraszek i gry wyrazów. Kilka tu ich przywiedziemy:

„Rozum, pamięć i wola, są trzy różne, ale nieoddzielne dary: Warszawa atoli w tém się nie zgadza, bo ma tylko Wolę, a dwóch pierwszych wiosek jeszcze nie wybudowano.“

„Tylko nasza stolica może jeździć i chodzić do *Woli*, a żadna inna tego niedokaże“ (Wola wieś pod Warszawą),

„Gdy inne stolice burzą się, Warszawa zachowuje się spokojnie, bo ma *sza* w sobie.“

„Pewien jegomość dosyć na Warszawę zakrawa, bo ma *Bagatelę* w głowie, *Fawory* u panów, a *Czyste* w kieszeni.“

(Są to wille w okolicach bliższych Warszawy, które dotąd zachowały też same nazwy).

„Kto ma w gardle *Nalewki*, pewno buduje *Utratę* w kieszeni.“

(*Nalewki* ulica, *Utrata* karczma na gościńcu pod Warszawą, ulubione stanowisko mazurów jadących do miasta lub wracających).

„Ci co mieszkają na ulicy *Miodowéj* to są *miodowniki*, a na *Lesznie*, *naleśniki*.“

„W Warszawie w lecie jest tylko jedna ulica *Chłodna*, a w zimie wszystkie.“

„Mogą wszystkie ulice podupaść, ale nasza ulica *Pańska* będzie zawsze *Pańska* ulica.“

„Póki tylko damy odwiedzać się będą, i *Wizytki* egzystować nie przestaną“ (Wizytki klasztor z kościołem w Warszawie).

„Król Zygmunt kontent że teraz głośniéj mówią, bo i on coś usłyszéć może“ (stosuje się do posągu Zygmunta III przed zamkiem warszawskim).

„Nie mamy Turków w Warszawie, ale *świętych tureckich* pełniuteńko.“

„Wisła teraz stoi, nic nie mówi i ludzie po niéj jeżdżą, a kiedy *puszcza* to nie puszcza.“

Pisał to w czasie tęgiéj zimy, kiedy jak wyraził: „Niedawno wielki budownik postawił nie w poprzek, ale wzdłuż Wisły most z lodu.“

„Patrząc z księżyca na ziemię, to tylko Warszawę widać, a reszty kraju trudno dojrzéć.“

„Osobliwie Kraków jest urządzony, bo jego *przedmieście* jest w Warszawie, a on sam aż pod Karpatami.“

Już za czasów Żołkowskiego cena mieszkań poczęła wzrastać.

„Czy kamienice na drożdżach sa robione, że tak rośnie komorne?—pyta czytelników *Momusa*.“

I wtedy był zwyczaj co dotrwał aż dotąd, że na piérwsze reduty (maskarady) damy nasze nie przychodziły, aż dopiéro od trzeciéj gromadnie zaczęły uczęszczać. Z tego powodu pisze z użyciem gry wyrazów:

„Damy mają w sobie cokolwiek tchórzostwa! na pierwsze reduty nie idą, a na ostatnie śmiało wpadają, przynajmniéj u nas w Warszawie.“

Po mieście naszém uwijało się dużo Andrychowjaków obnoszących w sieciowych workach, włoskie orzechy na sprzedaż. Właśnie zaburzenia we Włoszech zwracały uwagę powszechną. Żołkowski do tych wypadków robi zwrot zwykłym sobie sposobem. „Włoskie orzechy, pisze, są bardzo głośne, bo zdaleka słychać jak je przez ulicę niosą.“

Największą Żołkowski usługę oddał naszemu językowi grą wyrazów, pokazawszy dowodnie nieznane dotąd jego zasoby i bogactwo. Pismami swemi przekonał nawet zagorzałych, że co uwielbiali w języku francuzkim dwuznaczniki, kalambury, grę dowcipną wyrazów, tego w mowie naszéj nie braknie, czy to rubasznych, czy najwyższym nacechowanych smakiem i przyzwoitością. Trzeba było do tego znać doskonale język ojczysty, miéć na zawołanie otwarty cały jego skarbiec; jakoż Żołkowski okazał się mistrzem w téj rzeczy. Wiedziony szczególném natchnieniem, samodzielnie w swoich farsach i fraszkach, z ktorych się śmiano, zaczął uczyć naród, giętkości i bogactwa polskiego języka. Różnych przedmiotów jak widzieliśmy używał potemu, podamy tu z téj gry wyrazów przebrany poczet:

„Musi być już stara Galicya, kiedy aż Brody ma.

W Poznaniu tylko w zimie Warta stoi, a innych czasów nie.

Kto chce jechać do wód szlązkich, musi pierwéj przebyć *Odrę*.

Były cesarz Francuzów, w każdéj *NB*. zostawił cyfrę swoją, (Napoleon Bonaparte).

Polskie nazwiska po większéj części kończą się na *ski*. Gdyby kto głośno się zaparł swojego *ski*, toby sławne wyrzekł słowo (Niemoje-ski).

Kościół bezpiecznie może się nazywać *Modlin*. (Modlin forteca przy ujściu Narwi do Wisły o cztery mile od Warszawy, miejscowość wybrana przez samego Napoleona I-go).

Wielu jest życzeniem aby porządek alfabetyczny doznał niejakiéj odmiany. I tak, smutny radby żeby było po *ć-h*, staruszka życzy żeby *k-w-k*, żołnierz nie chce więcéj jak w pół *q*, a gmin naturalnie *o-w-c* i tak daléj...

Zwykle mówią że uczeni *gotują się* na to lub owo, ale czasem nie dogotują się, i dlatego mamy wielu *nie dowarzonych*.

Kalendarze wychodzą zawsze z tytułem: na *Rok Pański*, podobno przyszły wyjdzie na rok: *chudo-pacholski*.

Dlatego wojsko ma *racyę*, bo bierze *racye*.

Podług teraźniejszego słownika, *obywatel* pochodzi od tego, że się bez wielu rzeczy obywać musi.

Cywilni także komenderują *prezentujcie!* to jest prezenta dawajcie!

Kij nigdy się nie modli, a jednak bywa na *pacierzach*.

Króliki najbardziéj lubią siedzieć między kapuścianemi głowami.

*Zwłoki* człowieka bywają pochowane, ale *zwłoki* obiecujących zawsze żyć będą.

Wtenczas nos jest *podkuty*, kiedy *goździki* wącha.

Przekreślić *laskę*, to się zrobi *laska*.

Każda *egzekucya* bywa smutna, wyjąwszy *egzekucyę* testamentową.

Mózg człowieka uczonego jest zawsze z postem, bo ma *oléj* w głowie.

Pewien jegomość chce przystać do matematyki, już mu przeglądają *dwa boki proste*, chciałby dla siebie dostać *kąta*, a zato przyrzeka służyć za *prostopadłą*, przed każdą wyższą osobą.

Poeci nieraz się z tém odzywają że ich muzy karmią. Muzy są panny, a panienki nie karmią chyba jaką ptaszynę, kotka lub pieska.

Ci którzy kobiétom robią *atencye*, są *Ateńczykami*, a ci co ich gryzą, są *Gryzony*.

Sądząc o ilości urzędników z nazwiska tylko, zdaje się że *komorników* [1]) jest najwięcéj w Warszawie, a *patronów* w niebie.

Przed burzą fizyczną można się schować do *pokoju*, a burza polityczna od *pokoju* zaczyna.

Gdyby *sprawiedliwość* cyrulikiem była, toby pewno od faworytów golić zaczęła.

Czyniąc rozbiór chemiczny wyrazu *feudalizm* tak wypadnie: ktoś chciał udawać coś większego niż był istotnie, *udanie* nazywano przed laty *udalizm*, mówiąc głośno *Fe!* i z tego zrobił się *feudalizm*!

---

[1]) Miał tu na myśli nie urzędników *komorników*, ale potrzebujących mieszkania, dzisiejszych *lokatorów*, których wówczas zwano komornikami.

Ponieważ gmin zwykle *grafom* zarzuca kamienność serca, przeto kiedy *grafy litują się* nad nim, to zowie się *litografią* [1])

Tylko pochodniom wolno miéć *zapalone głowy*.

Ci którzy przy rogatkach *macają*, szukając ukrytych towarów, mogliby się nazywać *Macedończykowie*.

Prawda że talent *zachwyca*, ale talent złodziejski najwięcéj *zachwyca* niż inne.

*Pieczenia* bywa zawsze na końcu, ale *pieczeniarze* pierwsi wszędzie.

Ludzie nierzetelni powinni się rachować do cechu *powroźników*, bo zawsze *kręcą*.

Mężczyzna *piersiami* broni kraju, kobiéta karmi *piersiami* jego obrońcę, więc *piersi* zawsze *piersi* [2]).

Dlatego jest wojna, bo pokój *zawarty* nie *otwarty*, a gdyby zawsze otwarty, toby wszyscy w *pokoju* mieszkali.

Wtedy biédny *ma-gnat*, kiedy kość ogryza.

*Nadzieja* powiada, że temu prędzéj spełnią się *nadzieje*, kiedy kto dobrze *nadzieje*.

Polityka, choćby sto *pokojów* zrobiła, to sama zawsze siedzi w *gabinecie*.

Zima jest stronnikiem demagogów, bo ile razy nadejdzie, zaraz *lód* panuje.

*Lombard* musieli wynaleźć *Lombardowie*, a gotowizna zapewne pochodzi od *Gotów;* dlatego téż podobno z mody wychodzi jako starożytna architektura.

Znawcy harmonii powiadają, że w muzyce małżeńskiéj byle się *oboje* zgadzały, to mniejsza o inne instrumenta.

Pewien woli *talią* kobiét, niż *talią* kart, choć w kartach aż cztery są damy.

*Merynosy* są jedyni cudzoziemcy, których my strzyżemy, a nie oni nas.

Do krawiectwa, szewstwa, stolarstwa i cerulictwa biorą się nawet piérwszéj *dystynkcyi* ludzie. I tak jeden drugiemu *kurtę skroił*, ten temu *buty szyje*, tamtemu *stołka przystawiono*, a wszyscy prawie jedni drugim *oczy mydlą*.

Powiadają że ten a ten jegomość mocno się *zaszargał*, jakże to być może kiedy on zawsze karetą jeździ?

Kapitaliści są *niewiniątka*, bo nic nie winni.

---

[1]) Próby litograficzne jak i sam wyraz wprowadził pierwszy do kraju i Warszawy Al. hr. Chodkiewicz, na parę lat przed *Pot-pourrim i Momusem*, rzecz więc i wyraz nowy objaśniał Żołkowski po swojemu.

[2]) Wyraz ten pisać się powinien *pierwsi*, ale Żołkowski napisał tak jak zwykle się wymawia dla gry wyrazów.

Teraz nie ta prassa *winna*, co wino wyciska, ale wcale inna *prassa*.

*Prawo* ma swoje *brzmienie*. Jestto instrument który także daje się nastrajać.

Od koziego mléka można utyć, a od saméj *kozy* schudnąć.

Cielęta muszą teraz wiele dokazywać, bo ustawnie odbijają się nam o uszy te wyrazy, stanowi-*ciele*, urządzi-*ciele*, zwodzi-*ciele*, poprawi-*ciele*, wierzy-*ciele*, ciemięży-*ciele*, burzy-*ciele*.

Jeden pytał przyjaciela swego: Jak się masz? Żona zdrowa? Dzieci czy się *chowają*? Tak—odpowié—jak goście przyjadą, wszystkie się za piec *chowają*."

Żydzi tak licznie rozsiedleni w naszym kraju, obfitym byli zasobem do fars Żółkowskiemu, znał ich dokładnie przebiegi, i umiał je oddać dowcipnie. Za jego czasów, gęsto jeszcze siedzieli arendarze po karczmach, ta główna plaga zubożenia ludu wiejskiego. Mieli oni tysiące sposobów do rozpajania kmieci naszych, dlatego dobrze powiedział:

„Żyd nie chce nikogo miéć na kwaterze, ale na kwaterkę radby każdego zaprosić."

Kiedy już wiadomém było prawo zabraniające żydom posiadania szynków, Żołkowski w Momusie zaraz napisał:

„Można pozwolić ażeby żydzi trzymali *szynki*, ale wieprzowe, to się ich sami wyrzekną."

W ogóle mówi o tem plemieniu:

Z żydami ciężko przyjść do *końca*, bo to naród bez *końca*, taki liczny.

Żydzi nie chcą grać w *szachy*, tylko w *szachry* i dobrze im idzie.

Izraelici lubią każde *branie*, wyjąwszy *branie* na żołnierzy.

Ślusarze już nie będą robić szrub z żelaza, ale z żydów, bo ci się wszędzie *wszrubują*.

Chcąc ucywilizować żydów, nie trzeba ich uczyć naszego języka, ale trzeba nam wszystkim uczyć się po żydowsku, to się nie damy oszukać.

Żydzi do *trefnego* się nie biorą, tylko do *trafnego*, i dlatego wszędzie *trafią*.

Żydzi chcą iść do wojska, ale w sześciu na jednego żołnierza."

Do ostatniego działu, należą rozrzucone w obu tych pisemkach rozmaite zdania, myśli, dowcipki i anegdoty. Oto z nich kilka:

„Inna serca *geografia* a inna *geografia* ziemi. I tak kraj ma granice ziemi, miłość do kraju jest bez granic.

*Reputacya*, to jest moralna peruka, pod którą czasem, ani jednego uczciwego włoska nie znajdzie.

Dobrze że ludzie pozbywają się sumienia, bo na cóż trzymać to co człowieka gryzie!

Z każdéj *własności* da się człowiek łatwo wywłaszczyć, ale z *miłości własnéj* nigdy, i nigdy nawet na to statutów nie będzie.

Były *głowy do pozłoty*, ale jak świat zmądrzał, to teraz wyciąga *ręce do pozłoty*.

Lepiéj jest mieć *nos miedziany* niż *miedziane czoło*, tak mówił amator kufla.

Młodzież choćby najbardziéj demokratycznych trzymała się maksym, jednak za orderem *podwiązki* wzdychać nie przestanie.

Ponieważ pijany sam iść nie może, więc jego język chodzi, ale *w pantoflach*, żeby pana nie obudził.

Niémasz tego *złego* coby na *dobre* nie wyszło, wyjąwszy *złych* butów, bo te nigdy na *dobre* wyjść nie mogą.

Cicho! cicho!—wołał burmistrz naszego miasteczka—jakże czy waćpaństwo nie będziecie cicho? Jużeśmy z tuzin procesów odsądzili a ja z nich ani słowa nie zrozumiałem jeszcze.

Uboga kobiéta prosiła jakiegoś pana aby raczył przyjąć jéj syna do usług. A i zacóż chce on do mnie przystać?—zapytał.—Dla niego wszystko jedno, odpowiedziała matka, czy za stróża, lokaja, czy za murzyna.

Będę zakonnicą i zakonnicą być nie przestanę! mówiła młoda panienka. Myślałby kto, że ona chce wstąpić do klasztoru, gdy przeciwnie, nie jest to bynajmniéj jéj wolą. Owszem kocha się w młodym oficerze od ułanów i dlatego bardzo uaturalnie jest za *konnicą*, to jest trzyma stronę *konnicy*.

Jakto! niéma dyabłów? a niéma! Szkoda! bo któż naszego dzierżawcę porwie? Tak mruczał sobie chłopek nakładając fajkę.

Czy widziałeś zaćmienie słońca? Widzialne widziałem, ale niewidzialnego nie widziałem.

Pójdź, zobacz na kompasie która godzina? Chłopiec przyniósł kompas do izby i powiedział: niech pan sam obaczy, bo ja się na tém nie znam.“

Wracając z pogrzebu z cmentarza Powązkowskiego, rzuca pytanie z gorzkim i bolesnym uśmiechem czytelnikom swego Momusa: „Co téż zrobił najlepszego cmentarz, że tak wiele ma krzyżów?“

Nie przeczuwał że w rok późniéj w téjże ustroni zmarłych, sam się na wieczny spoczynek położy.

Żołkowski stanowiskiem swojém jako artysta dramatyczny i pisarz, stał się historyczną postacią Warszawy i jéj społeczności w okresie, który się ciągnął przez lat blizko dwadzieścia.

## VIII.

Plac Krasińskich.—Pałac Krasińskich.—Ogród.—Uroczystości narodowe.—Jan Woronicz.—Msza *modna* w kościele księży Pijarów i przechadzka w ogrodzie Krasińskich.—*Suchy-las*.—Kawiarnia.—Stare podanie.—Dom i mieszkanie Joachima Lelewela.—Dziennik Warszawski.—Dom i uliczka Raczyńskich.—Dom Karoli'ego.— Traktyernia Szyllera.— Sławne kapłony.—Gmachy pijarskie.—Szkoły.—Kanarek.—Ksiądz Ciastowski prefekt.—Ksiądz Wojciechowski profesor.—Majówki.—Pomiary.—Nagrody.—Drukarnia.—Towarzystwo Przyjaciół Muzyki.—Bartłomiej Czychy zakrystyan.

Przed teatrem narodowym rozwijał się obszerny *plac Krasińskich*, rozleglejszy niż dzisiaj, bo go nie zacieśniała duża budowla [1]) od Ś-to-Jerskiéj ulicy.

Tu było jedyne miejsce uroczystości narodowych w czasie istnienia Księztwa Warszawskiego.

Książe Józef Poniatowski, genérał Henryk Dąbrowski, na nim odbywali parady wojskowe; tu się odbywał poważny obchód poświęcania chorągwi nowych pułków, któremu przewodniczył Jan Woronicz namaszczony kapłan i wielki poeta. W owych chwilach podnosił on głos wymowny, wskazując ważność obrzędu i święte obowiązki prawego rycerstwa.

Wspaniały pałac, który tego placu jest największą ozdobą, wystawił w roku 1693 Jan Bonawentura Krasiński referendarz koronny i starosta warszawski i przy nim ogród założył. Jest to budowla ze wszystkich gmachów Warszawy najpiękniejsza; o niéj téż niedaremnie Żołkowski w *Momusie* napisał:

„Miłośnik cudzoziemszczyzny, gdy przyjechał do Warszawy i obaczył piękny pałac Krasińskich, spytał, czy on jest w Warszawie budowany, czy téż z zagranicy sprowadzony."

Od imienia założyciela cała ogromna posiadłość przybrała wraz z ogrodem i placem przed gmachem, nazwę *Krasińskich*.

Pałac ten, zostający w rodzinie Krasińskich przez lat siedmdziesiąt dwa, w roku 1765 odstąpiony został skarbowi Rzeczypospolitéj, który ogród nanowo urządziwszy, otworzył go na użytek publiczny. Od téj pory został on najupodobańszą przechadzką dla Warszawian, a od 1814 roku był najmodniejszém miejscem, gdzie się zbierał cały świat elegancki naszego miasta. W każdą niedzielę i święta w pobliskim kościele księży Pijarów odbywała się msza ostatnia przed południem. Muzyka dobrana i chór śpiewaków towarzyszyły wśród tego nabożeństwa. Msza kończyła się około dwunastéj w południe, na którą zgromadzała się *śmietanka* towarzystwa warszawskiego. Panie wystrojone wedle ówczesnéj mody, młodzież również, przepełniali całą tę świątynię.

---

[1]) Gdzie obecnie mieści się Trybunał Cywilny i Sąd Kryminalny.

Przy końcu nabożeństwa, całe grono męzkie wysuwało się najprzód i szykowało we dwa rzędy na ulicy od wielkich podwoi, zostawiając obszerne i wygodne przejście dla płci pięknéj, która przechodziła do ogrodu Krasińskich, wiodąc za sobą roje swoich zwolenników.

Dziś ogród ten opuszczony przez *świat wyższy*, który się przeniósł do *Saskiego* ogrodu, był nadzwyczaj ożywiony, najgwarniéj w niedziele i święta; ale nie stał pustkami w dnie nawet powszednie. Było to miejsce ulubione dla mieszkańców Warszawy do przechadzki od wiosny do późnéj jesieni. Ileż te drzewa, gdyby mogły mówić, nie naliczyłyby nam ciekawych zdarzeń, czułych spojrzeń, serdecznych westchnień i słów gorących, a poetycznych ze słownika *klassycznego*, w których *Wenus*, *Kupidyn* z kołczanem i strzałami, i *Zefir* pierwsze miejsce zajmowały. W obocznych aleach, gdy główną wielki świat opanowywał, pod cieniem gęstych liści drzew wybujałych, *mały światek* szukał wytchnienia, światek mniéj zamożny, ale serdeczniejszy i więcéj prawdą żyjący. Tu się najczęściéj zawiązywały pierwsze znajomości pomiędzy młodzieżą, kończące się zwykle ślubem w następne zapusty.

W samym pałacu do roku 1815 mieściły się najwyższe władze rządowe; następnie *sąd najwyższéj instancyi:* tu się odbywał *sąd sejmowy*.

Pamiętam z dawniejszego okresu, rzęsisto uilluminowany gmach Krasińskich i bramę wchodową do ogrodu. U jéj szczytu w wielkim transparencie widziałem literę *N*, cyfrę Napoleona I-szego, a pod nią przechadzał się wymierzonym krokiem z bronią na ramieniu, tęgi grenadyer, w bermycy niedźwiedziéj, którego wzrost atletyczny, oblicze poważne a surowe, z czarnym, zawiesistym wąsem, wyryły się głęboko w mojéj dziecięcéj pamięci. Było to w roku 1811.

Plac Krasińskich nie cały był zabrukowany, to téż w czasie występu wojska w dniu imienin Napoleona 1-go, księcia Józefa Poniatowskiego, lub jakiéj uroczystości szczególnéj, gdy przypadło to po deszczu lub odwilży, dobrze się zabłociło.

W narożnym domu, w jednéj linii z pałacem Krasińskich, był *odwach* oficerski, na który gdy oddział do zluzowania co dnia przychodził z doboszem, chór mu zawsze gawiedzi towarzyszył, a szczególniéj chłopiąt małych od rzemieślników, tak zwanych *ulicznikow*, którzy w takt bębna zręcznie maszerowali.

Po lewéj stronie teatru, już od ulicy Długiéj, przedzielona tylko wąziutką uliczką, stoi kamienica pod N-rem 546, zwana *Suchy las*, naprzeciw kościoła Pijarskiego. Miała ona w tę porę swój rozgłos, z powodu mieszczącéj się w niéj kawiarni, która słynęła z najwyborniejszéj kawy, i ztąd była miejscem licznego zgromadzenia zwolenników tego napoju. Ale niemałe grono stanowiło gości, przybywających jedynie w pragnieniu przepędzenia czasu mile i przyjemnie; tu bowiem zbierali się aktorzy przed widowiskiem w teatrze i po niém.

Tu zaglądał często Żółkowski, a stałym gościem był Ludwik Adam Dmuszewski, obok którego zasiądało kilku jego współpracowników i zwolenników, co mu składali pozbierane z całego dnia nowiny miejskie, jako redaktorowi *Kuryera Warszawskiego*. Szła miła pogawędka aż do uderzenia na zegarze trzech kwadransów na siódmą, pory rozpoczęcia się wkrótce teatru, którą po widowisku jeszcze przeciągano.

Do *Suchego-lasu* przywiązane było stare podanie, że nazwę swą wziął dlatego, iż był tu las ze starodrzewów, rzeczywiście suchy. Mój ojciec znał sędziwego mieszczanina z Mostowéj ulicy, który mu opowiadał jeszcze za życia króla Stanisława Augusta, że w młodych leciech biegał tu na grzyby i rydze; że rosły sosny ogromne, a dęby tak grube, iż we czterech podrostków, wziąwszy się za ręce, żadnego pnia objąć nie zdołali. Ów mieszczanin liczył wówczas z górą lat ośmdziesiąt.

Las ten łączył się kiedyś z borem po nad brzegami Wisły szumiącym.

Z pewnych już wiadomości mamy, że na początku XVII wieku, był tu ogród i dwór *Suchym-lasem* zwany, który Szwedzi za Karola Gustawa zniszczyli, burząc warowne mury i baszty Warszawy. Nabył go następnie Mikołaj Prażmowski, biskup łucki i kanclerz wielki koronny, a przechodząc z rąk do rąk później, od Antoniego Gaszyńskiego szambelana Stanisława Augusta, odkupiła rodzina Prażmowskich [1]).

Rzęd kamienic za *Suchym- lasem* w jednéj linii idący, ciągnie się aż do Freta ulicy; pomiędzy temi, najrozleglejszy dom Ehlerta (N-r 543 A i B), w którym mieściło się do dwóch tysięcy mieszkańców; za nim o parę kamienic pod N-rem 540 dom Lelewela, w którym na pierwszém piętrze przemieszkiwał Joachim Lelewel.

W roku 1825 rozpocząłem opis historyczny Warszawy, jako mego gniazda rodzinnego, bo wówczas, oprócz szczupłego wspomnienia tego miasta w opisie *Starożytnéj Polski* Tomasza Święckiego, wydanym w roku 1816, nie mieliśmy żadnéj monografii. Ukończyłem go we dwa lata i wtedy będąc współpracownikiem *Dziennika Warszawskiego*, wychodzącego w miesięcznych zeszytach pod redakcyą Jana Kazimierza Ordyńca, dałem mu wspomnienie historyczne: „Warszawa pod panowaniem Jana Kazimierza." Ordyniec rękopism mój zaniósł do Lelewela, który go przejrzał i uwagi swoje ołówkiem popisał, z żądaniem, abym przyszedł do niego.

Było to w maju 1827 roku. W pod wieczór wybrałem się do niego. Zastałem go siedzącego przy oknie i pochylonego nad rytowaniem mapek do *Dziejów Polski*, które przygotowywał właśnie, z przypisaniem dla swoich synowców.

---

[1]) W „Taryfie miasta stołecznego Warszawy 1821 r." dom ten N-r 546 oznaczony, zapisany jeszcze jako własność Gaszyńskiego.

Skoro drzwi otworzyłem, powstał zaraz, a kiedym wymówił swoje nązwisko, podał mi rękę uprzejmie i prosił, abym usiadł na kanapie, sam zabrał miejsce na bocznem krześle.

Uprzejmość tak niezwykła, tak mnie przejęła, tak głęboko wzruszyła, że nie wiedziałem jak usiąść i co mówić. Zączynałem rok dwudziesty życia, a chociaż już w świecie przetarty i nie z jednego pieca chléb jadłem, opuściła mnie odwaga. Słyszałem tyle o Lelewelu, przeczytałem wszystkie jego prące, zacząwszy od *Eddy* i *Mateusza Cholewy*; aureolą wielkości imienia i sławy tego męża, pochylała mą głowę do czci i pokłonu.

Po chwili, gdym oprzytomniał nieco, Lelewel sam rozpoczął rozmowę o czasach Jana Kazimierza, o swojéj pracy, którą był zajęty, a gdym mu rzucił parę pytań historycznych, rozwiązawszy je jasno, dodał: „takie jest tylko moje zdanie.“

Gdym go żegnał, dopierom się rozejrzał w jego mieszkaniu. Był to wielki pokój na pierwszém piętrze o dwóch oknach od ulicy Długiéj; przy drugim od drzwi, stał stół założony papierami i rycinami: leżały blachy miedziane i rylce. Przy środkowéj ścianie stała kanapa, przed nią stół i kilka krzeseł. Ściany wszystkie założone były szafami z półek tylko otwartych, a w nich pełno książek, ale mało oprawnych.

Ściany, o ile wolne od nich były, miały kolor żółty; całe umeblowanie bardzo skromnie wyglądało.

Kiedym wyszedł urądowany z przyjęcia, stanąłem przed tą kamienicą. Tak samo skromnie zewnątrz wyglądała i żadnych ozdób, żadnéj rzeźby, gładkie ściany, jak i pokój historyka tąż samą farbą żółtą były pomalowane.

Odetchnąwszy z głębokiego wrażenia, zacząłem rozważać rozmowę i słowa wyrzeczone przez Lelewela. Te pierwsze odwiedziny, nauczyły mnie skromności. Człowiek tak wielkiéj nauki, jeżeli rozjaśniał zawiłość, dodawał: „to takie tylko jest moje zdanie!“ O! niech Bóg dobry zapłaci mu za tę naukę, która mi w życiu była drogocenną skarbnicą! Odtąd często go odwiedzałem i późniéj rad był słuchać, gdym mu składał sprawozdanie o wędrówkach po kraju, w Tatrach i Słowiańszczyźnie w celu zbierania pieśni, podań i zwyczajów ludowych. Słuchał z zajęciem opowieści od czasu, do czasu dodając urywkowo: „To ciekawe, to znam, o tém nie wiedziałem, to się i mnie przyda.“

Lelewel wówczas zaczynał rok czterdziesty pierwszy, od lat dwudziestu znanym był jako tłumacz *Eddy* Skandynawskiéj, a od szesnastu, jako pierwszy krytyk dziejowy, przez wydane w roku 1811 „*Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa.*“

Średniego wzrostu, chudy, ubierał się oryginalnie. Nosił buty węgierskie z cholewami po wiérzchu spodni, frak zwykle staro-świeckiego kroju i płaszcz szaraczkowy z peleryną, za który nie wiem, czyby żyd „*dał dukata*,“ jak liczono wtedy.

Głowę okrywał wytartym kapeluszem i tylko w wielkie mrozy zmuszony do wyjścia, używał ciepłéj czapki.

Szedł zwykle pochylony nieco, ze spuszczoną głową: oblicze miał pociągłe, nos długi, rumieniec na twarzy familijny wraz z braćmi dwoma, (pomiędzy któremi wielkie zachodziło podobieństwo), lubo nieco bledszy od ciągłéj pracy. Oczy duże, niebieskie, które wiernie oddawały wszystkie uczucia serca i duszy. Widziałem go późniéj w chwilach najważniejszych w jego życiu, kiedy w niezwykły wpadał zapał; te oczy zapalały się ogniem niesłychanym, świeciły i rzucały blaski, jak dwa jaśniejące brylanty.

Służyły one mu dobrze do ciągłéj i bezustannéj pracy; pisał też drobnym maczkiem, ale bardzo czytelnym.

Po upadku poważnego organu prassy, jakim był *Pamiętnik Warszawski*, wychodzący pod redakcyą Kazimierza Brodzińskiego, Fryderyka hr. Skarbka i Skrodzkiego, wszystkich professorów uniwersytetu warszawskiego; od czerwca 1825 roku, dwaj młodzi pisarze, Maurycy-Mochnacki i Michał Podczaszyński zaczęli wydawać w zeszytach miesięcznych: *Dziennik Warszawski*.

Pismo to silnie podpierał pracami swojemi Lelewel. Zaraz w pierwszym tomie wydrukował rozprawę swoją: „*O pieniądzach w Trzebuniu* blizko Płocka, wykopanych w roku 1824“ i do nich sam rytował odpowiednie tablice. Następnie dał rozprawy: „*O historyi, jéj rozgałęzieniu i naukach związek z nią mających*“ i „*Uwagi nad wpływem prawa rzymskiego na polskie i litewskie.*“

Pierwsi założyciele *Dziennika Warszawskiego* zamknęli swe wydawnictwo w czterech tomach w połowie 1826 roku. Mochnacki przeszedł do redakcyi *Gazety Polskiéj*, Podczaszyński na stałe mieszkanie do Paryża, gdzie zaczął przygotowywać owo przepyszne wydanie dziesięciu tomów w jednym, dzieł Ignacego Krasickiego. Wtedy przybyły z Litwy Jan Kazimierz Ordyniec bibliotekarz Ordynacyi hr. Zamojskich pismo to daléj zaczął prowadzić, mając przyrzeczoną stałą pomoc Lelewela.

Jakoż udzielił zaraz Ordyńcowi nową swoją pracę, którą ten wydrukował w zeszycie na lipiec 1826 r. Osobliwą to była rozprawa p. n. *Ocalenie Polski za króla Łokietka*. Osobliwa, bo w niéj po raz pierwszy w poetycznym nastroju, poważny a suchym stylem dotąd piszący historyk, stylem też poetycznym przemawia. Wyrywano ją sobie do czytania i starannie ustępy niektóre przepisywano. Oto jéj początek.

„Skandynawskie na północy Skaldy z westchnieniem biorę lutnią przypominać przeszłość! Jęcząca północ rada udzielać czułą łzę wspomnieniom! W cierpiącém i melancholiczném tchnieniu wznawia pamięć swoich bohatérów i rycerzy, znajduje ulgę i wypoczynek w cnotach walecznych ojców. Blade światło upłynionych wieków, nie rozwesela rozczulonego serca, ale odświeżony promyk jego, słodko przejmuje zacniejsze uczucia. Tak przeszłość ludzi

zajmuje, a ta przeszłość śpiewów północy przedmiot, jest równie udziałem historyi. W niéj są niecofnione już, zaszłe przemiany ludzkości, w niéj zadatki niepewnéj przyszłości. Różne wrażenia, nieraz dolegliwe, przeszłość działać zdolna. Gdzie w niéj powstanie gmachu jakiego, bez wielolicznych ruin i upadków? Gdzie tryumfy cnoty bez odraźliwych dzikości i przestępstw! Zniechęcony ku ludziom człowiek, oburzony tém, upada na umyśle. Lecz historyk nie poddaje się pozorom, albo saméj tylko złéj wróżby pochmurnym widokom. Wystąwia na wstręt i ohydę, gwałty i wykroczenia; wypoczywą na cichéj cnocie, często cierpiącéj, która jednak w trwałym bycie swoją błogość znaleźć może, o swojéj prawości nie wątpi. Łączy on i spaja wieki, oczekuje większego doświadczenia, które się staje dalszéj potomności udziałem. I nie zawsze samo rozerwanie i upadki w przeszłości dostrzega: nie zawsze jedynie przerażające widoki, rozpatrującego się w dziełach zajmują. Znajduje on więcéj przyjemne obrazy, odradzającéj się ludzkości, postępującéj i ulepszonéj kultury, ocalonych narodów i państw, ochronionéj i podźwignionéj budowy. Bez ruin wstrzymane i skruszone ciosy, położone tamy zgubnym zamachom, naprawiony gmach i nowe życie jemu nadane. Ku tym widokom, chcemy zwrócić baczność naszą, nad niemi zastanowić uwagę, albowiem dzieje, różne tego przykłady wskazują."

Rozprawa ta wielki rozgłos dała *Dziennikowi Warszawskiemu.* Do końca roku 1828, Lelewel uposażył to pismo dwiema pracami: „Otwarcie kursu historyi powszechnéj w Cesarskim Uniwersytecie Wileńskim dnia 4 stycznia 1821 roku przez Joachima Lelewela" i ogromnych rozmiarów rozprawę p. n.: *Dzieje bibliotek,* które się ciągnęły przez kilka tomów Dziennika Warszawskiego. Od roku 1829 nie widzimy już w tém piśmie żadnych prac Lelewela.

Naprzeciw, z drugiéj strony ulicy wznosił się pałac Raczyńskich, z napisem na czele wielkiemi literami: „*Dom Raczyńskich.*" W nim zamieszkiwał Ignacy Raczyński arcybiskup gnieźnieński, którego tytułowano księciem [1]).

Od nazwy tego pałacu, który przechodził do ulicy Podwale, wązka uliczka obok, przybrała imie Raczyńskich. Pusty to zaułek, bo żadne drzwi nie wychodziły, a kilka tylko zakratowanych okien z obu stron gładkich murów przeglądało.

Z drugiéj strony, równie na też dwie ulice przeciągał się dom pod Nr. 560*b*, własność zamożnego jubilera Karoli'ego. Front główny miał od ulicy Długiéj, wewnątrz obszerne podwórze, a od strony Podwala, ogródek. Pomiędzy tym ogródkiem a podwórzem stał dworek parterowy, w którym się mieściła traktyernia Szyllera. Sły-

---

[1]) Rząd nabywszy pałac ten od Raczyńskich, przeznaczył go na pomieszczenie ministerstwa sprawiedliwości.

nął on głównie z pieczonych kapłonów tuczonych i wybornie przyrządzanych.

Najpopularniejszy tych czasów (ostatnie lata Księztwa Warszawskiego i pierwsze Królestwa) wierszopis warszawski Molski, wysławiał wierszem tego Szyllera i jego kapłony, przenosząc go ponad wieszcza Germanii. Za kapłona pieczonego płacono po złp. 6, co na owe czasy stanowiło już gruby pieniądz; zwolenników jednak Szyllerowi nie zabrakło, i zaledwie mógł wystarczyć żądaniom. Proszone też obiady i kolacye tu się odbywały a pierwsze w nich miejsce zawsze kapłony zajmowały.

Przez dom Karolego od Podwala ogródkiem pomienionym, było przejście publiczne na ulicę Długą. Ponieważ ogródek ten wyniesiony był wysoko, schodki ułatwiały wnijście obok kręgielni, ciągle prawie zajętéj przez graczy. Przejście to było wielkiém ułatwieniem dla studentów pijarskich, którzy mieszkali w częściach Starego-Miasta, na Podwalu i przybocznych ulicach. Po téjże saméj połaci ulicy Długiéj, ciągnęły się gmachy pijarskie, obejmujące szkoły wojewódzkie, klasztor i kościół.

We wspomnieniach młodych lat moich, kościół ten wyrył się najwyraźniéj; w nim bowiem przez lat prawie ośm jako uczeń modliłem się codziennie, wyjąwszy wakacyj: tu z dziecinnéj doby przeszedłem do młodzieńczego wieku, patrząc w obraz ukrzyżowanego Chrystusa w wielkim ołtarzu.

Obraz ten silne wrażenie wywierał na umysły tak dziatwy, jak i starszych. Zbawiciel rozpięty na krzyżu, a w dali, jakby w ogniu Jerozolima. Ileż ku niemu nie ulatywało z tych zastępów klęczącéj młodzieży serdecznych westchnień, gorących modlitw a nieraz i łez, gdy troska przygniatała, gdy ciężka choroba rodziców albo rodzeństwo dotykała, gdy śmierć zajrzała za domowe progi, zagrażało sieroctwo w śród Bożego świata, wreszcie gdy obawa o promocyę i nagrodę była.

Wnętrze tego kościoła niczém się wydatniejszém nie odznaczało. Z pomników jeden tylko koło ołtarza zapamiętam. Był to wspaniały grobowiec z czarnego marmuru a osoby z białego wyrobione, Jana Tarły, wojewody lubelskiego i sandomierskiego, generała ziem podolskich, który za Augusta II odprawiał poselstwa do papieża i Rzeczypospolitéj holenderskiéj. Przyłożył się on wiele do budowy kollegium szlacheckiego księży Pijarów w Warszawie, i z tego głównie powodu, pomnik który mu małżonka jego Zofia z Krasińskich położyła, znalazł miejsce wydatne w téj świątyni.

Wielkie budowle zajmowały szkoły i klasztor z obszernemi podwórzami i ogrodem.

Pierwsze trzy klassy to jest pierwsza, druga i trzecia, ostatnie z podwójnemi oddziałami mieściły się na dole, okna ich wychodziły na ulicę Długą; na piętrach były klassy czwarta, piąta i szósta.

Latem o siodméj, zimową porą o wpół do ósméj rano, uczniowie wszystkich klass parami, pod nadzorem gospodarzy professorów przechodzili do kościoła na mszę poranną, po któréj wracano na lekcye.

Między dziesiątą a jedenastą było wolne wytchnienie *dziesięciu minut*, w których młodzież rozbiegała się to na podwórza, to do wielkich podwoi wchodowych od ulicy, gdzie stały przekupki z koszami ciast, pierników, obwarzanków lub owoców, które zakupywali ci ze szczęśliwców, co mieli gotówkę, albo umieli sobie u nich *kredyt* wyrobić.

Każda klassa miała prezesa i kassyera, oraz radców do każdéj ławki. Uczniowie najlepiéj się uczący i sprawujący dostępowali tego zaszczytu.

Prezes siedział na pierwszém miejscu w pierwszéj ławce, za nim kassyer i dopiero pierwszy radzca.

Prezes słuchał lekcyi kassyera i pierwszego radcę, zapisując stopnie w oddzielnéj na to książeczce, która następnie pokazywała się wyznaczonemu do tego professorowi. Radzca połowę swéj ławki przesłuchiwał dlatego, że drugą miał pod swoim nadzorem w każdéj ławce pod-radzca, którego także przesłuchiwał. Oczywiście że tak prezes, jak radzcowie i podradzcowie, mieli swoje małe *obrywki* od koleżków, którzy się lekcyi nie nauczyli, a pragnęli dobrego stopnia w książeczce; łapówki te występowały dopiero jawniéj na dziesięć minut, gdy przy koszykach przekupek panowie prezes, radzcy i podradzcowie, raczyli się ciastami lub owocami, za które *plebs* ławkowy płacił.

Kassyer w zawiadywaniu swojém miał dziennik klassy, kredę i gąbkę do tablicy: to były skarby powierzone jego pieczołowitości.

Przy drzwiach wchodowych od sieni w każdéj klassie stała ławka oddzielna wzdłuż ściany i miała techniczną nazwę *ośléj ławy*. Smutna to była i straszna zarazem ta ława, bo z niéj rzadko się który wyśliznął, aby nie powędrować w gorsze miejsce, na którego wspomnienie drżała skóra.

Długi korytarz wiódł do trzech klas niższych na dole, a w jego środku były duże drzwi, wiodące do małego wewnątrz klasztornego podwórka, gdzie się mieściła drwalnia. W niéj panował *Kanarek*, tak zwany stróż i zarazem wykonawca kary naznaczonéj przez księdza prefekta szkoły. A był za moich czasów prefektem ksiądz Ciastowski pijar, dobrego wzrostu, dobréj tuszy, blondyn, białéj płci, ale groźnéj postaci i oblicza. Gdy głos podniósł, febra porywała biédnych uczniów, taka go powaga otaczała i postrach. Jeżeli wszedł do któréj klassy w czasie lekcyi, złą to było wróżbą dla niéj, bo wnet ośla ławka zaludniała się, a z niéj marsz żałobny do drwalni i pewna operacya Kanarka.

A Kanarek ów był to chłop pleczysty, na jednéj dłoni mógł zasiąść wygodnie każdy z uczniów. Straszny napozór, w gruncie

najłagodniejszy człowiek. Surowego oblicza, ponuro mrukliwy, jeżeli miał oznaczone plagi dyscypliną wymierzyć, najprzód pilnie wpatrywał się w swego delikwenta i podług jego natury miarkował siłę uderzeń.

Jeżeli było to pacholę drobne, wątłe, prawie nie czuło jego razów: gdy chłopak był krzepak, czerstwy z rumieńcami, przylepiał *pro memoria* lepiéj, ale zawsze z ojcowskiém uczuciem, bo sam miał chłopczynę co się uczył u Pijarów i był w piérwszéj klassie, szanować też musiał jak sam wyrażał, kolegów swego jedynaka.

Jeżeli który ze skazanych mógł mu zręcznie wsunąć dziesiątkę, albo co lepsza złotówkę, ze szczególną atencyą spełniał egzekucyę. Kazawszy się wyciągnąć dobrze na pieńku, których tam w zapasie nie mało było po klocach drzewa do opału sprowadzanego, zamaszysto podnosił dyscyplinę, ale leciuchno ją spuszczał i sam jęczał i stękał za biednego ucznia.

Pomimo wstrętnego obowiązku jaki spełniał, wszystkie trzy klassy lubiły go, bo od czwartéj mieszczącéj się na drugiém piętrze, kara cielesna nie istniała wcale. To téż biédacy z dołu wzdychali gorąco, aby się co rychléj wydostać na to piętro mogli i być pewnymi, że dyscyplina nie będzie świstać nad uchem i z kanarkiem już skończona sprawa!

Ksiądz prefekt Ciastowski pomimo że niósł z sobą postrach i przerażenie, był kochanym i poważanym dla swéj sprawiedliwości. Nieraz stawał z obroną za uczniami, gdy się zdarzyło, że przeciwna strona bez taktu postępowała [1]).

Od piérwszéj klassy zacząwszy, mieliśmy obok malczyków i chłopów dorosłych a nawet w piérwszéj klassie żonatego, który już miał dwuletnią córkę. To téż patrzyliśmy nań jak na raroga. Zwał się Kwapiszewski i to imie głęboko wyryło się w méj pamięci.

W drugiéj klassie nie brakło roślejszych uczniów: między tymi był Stanisław Bogusławski, o całą głowę wyższy odemnie, znany późniéj z talentu komedyopisarz.

---

[1]) Ksiądz Jakób Ciastowski, syn mieszczanina z Sarnowa, w dawném województwie Poznańskiém, urodził się w roku 1791. Oddany do szkół księży Pijarów w Rydzynie, zdolnościami i nauką się odznaczył. Przywdziawszy suknię zgromadzenia pijarskiego, wyświęconym został na kapłana 1816 roku, po przebyciu nowicyatu i pełnieniu wówczas już obowiązków nauczyciela języków niemieckiego, francuzkiego, historyi powszechnéj i jeometryi. W roku 1822 wybrany rektorem szkoły wojewódzkiéj radomskiéj, i w tymże samym roku powołanym został do Warszawy do szkół, gdzie poznałem go jako prefekta za rektorstwa zacnego i drogiego méj pamięci ks. A. Kamionowskiego. Nazwyczajony do wczesnego wstawania do pracy, już o piątéj rano z modlitwy wspólnéj ze swą bracią zakonną, do północka był czynny. Około godziny siódméj spotykałeś go na korytarzach gmachu szkolnego, i młodzież, która się

W trzeciéj klassie wykładał historyą powszechną polską i język polski ks. Wojciechowski, ale nie mszalny. Łapczywy był strasznie na skórę uczniów. Oryginalna to była postać: nizki, chudy, wyżółkły na obliczu, trochę ułomny, prawe bowiem ramie miał niższe. Słaba głowa, bo wykładał tylko z książek i kazał się uczyć miejsc zakreślonych napamięć. Kiedy wpadł w gniéw, co mu się często zdarzało, nie inaczéj jak go w tych słowach do ucznia wyrażał:

— Orszle! biku! kapconie!

Mieliśmy kolegę Domańskiego, był to najwyższy nietylko z naszéj klassy, ale i ze szkół całych, a przytém odpowiedniéj tuszy. Chłop silny że sztaby żelazne łamać, ale zdolności bardzo małe. Za to złote serce, łagodność gołębia; ztąd cieszył się miłością wszystkich współkolegów. Siedział wysoko na jednéj z ostatniéj ale najwyższéj ławce.

Ksiądz Wojciechowski przybywszy do klassy już rozdrażniony, cały swój gniéw wywarł na niego, a gdy ten napadnięty niesłusznie, zaczął się swoim zwyczajem uśmiechać, zeskoczył z katedry i groźno zawołał:

— Domański! orszle! biku! kapconie! wychodź tu na środek!

---

już wtedy gromadzić zaczynała, czuła jego obecność, zachowując się najciszéj, a bywało jéj zawsze około tysiąca i więcéj. O godzinie wpół do ósméj wychodzili uczniowie dwójkami do kościoła, na czele nauczycieli gospodarzy klass, poczynając od klassy najmłodszéj. W podwojach świątyni stał ksiądz prefekt jako dowódzca, przestrzegając porządku i sforności defilującego przed nim tego ruchliwego *liliputów* wojska. Czytał potém mszę świętą, lub jéj był obecny z młodzieżą, która chórem pełnym śpiéwała zwyczajne pieśni kościelne, lub wykonywała mszę kompozycyi Kurpińskiego lub Elsnera. Żadna niedziela ani święto nie przeminęły, bez wykładu przypadającéj ewangelii, którą sam lub jeden z professorów duchownych podejmował. Po mszy świętéj w tym samym porządku wracała młodzież do swoich klass i oczekiwała na lekcye professorów, którzy za uderzeniem we dzwonek, na miejscach swoich znajdować się byli powinni. Kiedy sam ks. Ciastowski nie był zajęty dawaniem lekcyi w któréj z klass wyższych, przechadzał się po korytarzach szkolnych i kontrolował, czy wszystko i wszędzie szło swoim trybem i ładem. Gdzie tylko usłyszał niezwykły gwar który mącił ciszę należną, albo krzyki swawolne, wchodził wtedy do klassy. Samém ukazaniem się we drzwiach, uciszał gawiedź niesforną, siejąc strach i popłoch między winowajcami. Tak mu przechodził dzień powszedni na służbie szkolnéj, i nie pozostawało nawet czasu do przechadzki koniecznéj po pracy ciągłéj. Po skromnéj wieczerzy i po krótkiéj gawędzie z kolegami, oddawał się znowu studyom naukowym, które się po za północ przeciągały, przygotowaniu na lekcye dnia następnego i poprawie ćwiczeń szkolnych. Do wykładu literatury klassycznéj używał najlepszych wydań opatrzonych komentarzami biegłych filologów i wykład ten staranny równał

Domański się podniósł i zwolna stawiał jak słoń nogi poważnie aż podłoga trzeszczała. Miał na sobie lekki surducik (bo mundurów wtedy nie było) i białą, jak pamiętam, kamizelkę.

Ksiądz professor widząc że wychodzi, podbiegł, otworzył drzwi do sieni. Niestety! ujrzeliśmy podwoje okute do drwalni, téj stolicy *kanarka*.

Domański stał już na środku.

— Wychodź za drzwi! krzyknął na niego, ale ten stał nieruchomy jak kolos.

Gdy po kilkokrotném wezwaniu nie ruszył się z miejsca: przyskoczył doń, schwycił go za białą kamizelkę, w téj nadziei że go wyrzuci za drzwi. Ale Domański ani drgnął, kamizelka się rozpięła a ksiądz Wojciechowski, który głową nie dotykał jego ramienia, sam wyleciał za drzwi i nie oparł się aż o podwoje drwalni.

Cała klassa huknęła głośnym śmiechem, a pan professor skonfundowany wróciwszy z téj niespodzianéj wycieczki, kazał mu iść na swoje miejsce.

Oskarżył Domańskiego potém przed prefektem, ale ksiądz Ciastowski zbadawszy całą sprawą, zręcznie ją zatarł.

---

się akademickiemu. Kurs historyi powszechnéj układał podług najsławniejszych autorów niemieckich i francuzkich (pozostał w rękopiśmie). Z zajęciem słuchała młodzież tego wykładu, bo wygłaszał go zawsze z pamięci, jaśnie i dobitnie, piękną nadewszystko, płynną mową polską. Przez Uniwersytet Warszawski zaszczycony został stopniem Doktora filozofii i magistra sztuk pięknych, a przez komissyą wyznań i oświecenia publicznego, mianowany członkiem Towarzystwa ustanowionego do układania książek szkolnych. Pamiętał swoich uczniów, i wielu ich po ojcowsku witał; doznałem tego sam, gdy z Podlasia przywiezioną pszenicę sprzedałem do Krasnobrzega, zwykle zwanego Żoliborzem. Był ks. Ciastowski wtedy rektorem i płacił mi za siarno należność. W kilka lat gdym wrócił z zagranicy, zastałem go w klasztorze dawniéj Jezuickim na Świętojańskiéj ulicy. Już Żoliborz był zajęty na cytadellę warszawską (w r. 1832), i w tym szczupłym budynku musiał mieścić i pozostałych księży, i ogromną bibliotekę tak z Żoliborza jak z gmachów Długiéj i Miodowéj ulicy, które w roku 1834, przeznaczono na Sobór Ś-éj Trójcy. Gospodarzył jak mógł najużyteczniéj, aby ten kościół, który żadnych ołtarzy i ozdób właściwych już niemiał, na przyzwoitą świątynię Bożą zamienić. W wielkim ołtarzu pomieszczono ten sam obraz Ukrzyżowanego Zbawiciela, przed którym tysiące młodzieży przez wiele lat modliło się gorąco i korzyło. Inne, ozdobiły poboczne ołtarze. Trapiony smutną myślą, że już jest ostatnim tego zgromadzenia przełożonym, w sile męzkiego wieku, bo liczył dopiéro 46 rok życia, a w zakonie 29, dnia 18 czerwca 1837 roku zakończył życie. Prawy i świętobliwy kapłan, mąż uczony, światły przewodnik i opiekun młodzieży, był wzorem dla innych.

Ksiądz Wojciechowski jako nie mszalny, lubo zawsze intonował w kościele pieśni pobożne, a na to hasło wszyscy uczniowie na daną nutę chórem odśpiewywali, wystąpił ze Zgromadzenia zanim skończyłem Pijarskie szkoły, a uciuławszy sobie nieco grosza, ożenił się i na wsi gospodarował.

Do ulubionych professorów za moich czasów należał młodziutki ksiądz Szelewski, wykładający język polski. Zdolności nie wysokie, ale dar nauczania wielki i umiejętność zachęcania młodzieży do gorliwéj pracy. Szczególniéj kochany był ksiądz Andraszek, postawy jak Ciastowski, tylko tuszy większéj, a na licach silniejszych rumieńców; wykładał język grecki i łacinę. Sarbiewski był jego ulubionym poetą, kładł on go jeżeli nie wyżéj, to na równi z Horacym. Nie mały mir mieli professorowie Lieder języka niemieckiego, jak Coché francuzkiego, a z nimi zacny Szwajnic. Z młodych pijarów Wolicki matematyk, Klonowski wykładający historyą powszechną, Politowski w niższych klassach geometryą, autor *Geografii Królestwa Polskiego* i w kwiecie wieku Antoni Waga naturalista, dziś szronem sędziwych lat ubielony. Z mówców na kązalnicy zapamiętam jedynie księdza Jakubowskiego (dotąd żyjącego proboszcza u Ś. Krzyża w Warszawie), który kazaniem na uroczystość Matki Boskiéj, nie zatarte wspomnienie w pamięci méj zostawił.

Najwyższą uroczystością w szkołach dla uczniów były wycieczki *majowe* i tąk zwane *pomiary*, kiedy w piérwszych wszystkie klassy brały udział; w drugich tylko wyższe: czwarta, piąta i szósta.

Majówki zwykle w samych początkach maja, jeżeli czas był ciepły i wiosna się w całéj pełności rozwinęła, bywały wycieczkami w dalsze okolice Warszawy, jak do Bielan, Willanowa i Natolina. Pomiary już bliższe miejscowości wybierały, ażeby dość było czasu do zastosowania praktycznie tego, co wykładali professorowie matematyki w klassach. Na majówkę szło się lekko z węzełkiem tylko przysmaczków danych z domu, na pomiary brano okute chorągiewki, kije i łańcuchy, wraz ze stoliczkami niezbędnemi do pomiarów mających się wykonać. Piérwsze miały za cel tylko zabawę, odetchnienie wiosennem powietrzem, gdy się ziemia rozmaiła, drugie z wycieczką w wiejskie okolice i naukę. Na jedne i drugie młodzież z utęsknieniem oczekiwała i gromadnie się zbierała.

Egzamina odbywały się w wielkiéj sali, gdzie się mieściła liczna biblioteka w ogromnych szafach zamkniętych. Był to zbiór szacowny i bogaty.

Nagrody, uczniowie trzech klass niższych otrzymywali w laurach. Na arkuszu papieru zielono malowany laur otaczał wiersz stosowny, poniżéj imie i nazwisko ucznia, który tę nagrodę otrzymywał, a daléj podpisy wizytatora szkół, rektora i professorów. Trzy wyższe klassy od IV do VI odbierały nagrody w książkach pięknie oprawnych, z takiemiż napisami i podpisami, wyjąwszy, że już tego wiersza nie było.

Drukarnia pijarska mieściła się w tychże zabudowaniach na dole od podwórza. Przez długie lata wiodła ona rej pomiędzy wszystkiemi zakładami typograficznemi w kraju, dopóki Natan Glücksberg nie założył większéj i ozdobniejszemi drukami nie wydarł jéj pierwszeństwa. Pomimo to drukowała ona bardzo wiele książek szkolnych i z nich nie mały zbierała dochód.

W końcu istnienia Księztwa Warszawskiego zawiązało się w r. 1814 „Towarzystwo przyjaciół muzyki“, które co niedziela o godzinie jedenastéj rano, mszę wielką grało z towarzyszeniem chóru śpiewaków. Ta msza, jak wspomnieliśmy, zwabiała zawsze mnóstwo mieszkańców Warszawy, głównie z klass wyższych.

Opuszczając te mury, króre w pamięci tak głęboko się wyryły, muszę wspomnieć o skromnym braciszku Zgromadzenia księży Pijarów, Bartłomieju Czychy'm, którego postać pociągająca i łagodna, z uśmiechem na twarzy, tak żywo staje zawsze przed oczyma, gdy potrącę myślą o owe miłe czasy szkolne.

Czychy rodem był z Moraw, a zbliżony mową i charakterem do nas, przylgnął całą duszą do zgromadzenia zakonnego, którego suknię nosił.

Wszyscy co odbierali nauki w tych szkołach pijarskich znali go doskonale. Pracowity ten braciszek powierzony mając dozór kościoła, w oczach małych uczniów miał wielkie znaczenie. On to bowiem dobierał z licznego grona proszących się i żebrzących studentów, tych, co mieli służyć do mszy św., wręczał im mszał i potrzebne przybory, ubierał w komżę.

Czychy, na znak wielkiéj łaski, brał z sobą na wysoką wieżę do nakręcania zegaru, przeznaczał również w dnie uroczyste do usługi nabożeństwa, dozwalał mieścić się na chórze i wybierał do bicia we dzwony, do czego zawsze miał nawał ochotników. Postać to była, co po księdzu rektorze i księdzu prefekcie, najwięcéj się wdrażała w studencką pamięć. Łagodny, wyrozumiały, umiał dziwnie wszystkich malców zbiegających do zakrystyi, chęci i pragnienia zaspokoić. Trudno było wszystkim ochotnikom dać zajęcie od razu: ci, którzy z niczém wracać musieli, nie smutnieli, bo Czychy tego pogłaskał, tamtemu obiecał dać ważniejszy urząd, jak wyrażał, w dzień inny: ten dostał obrazek lub opłatki, tamtego wpuścił na chór, lub kazał uprzątać w zakrystyi, choć w niéj zawsze było czysto i porządnie. Wysokiego wzrostu, twarzy pociągłéj, chudy, jakkolwiek powolny był w ruchach, wszystko szło gładko i składnie. Kochali go wszyscy, szczególniéj trzech niższych klass studenci, bo ci byli najskwapliwsi do posług kościelnych. Już zacząwszy od czwartéj klassy mniéj zaglądali do zakrystyi, zostawiając to zajęcie młodszym. W troskach, strapieniu, nie jeden znalazł w Czychy'm pocieszyciela, co otarł łzę młodą i chmurę zgryzoty zażegnał. Sam przypominam sobie, jak wkrótce po zapisaniu w rzęd uczni pijarskich do klassy drugiéj, przystrojony w komżę wraz z towarzyszem wyszedłem du-

mnie z zakrystyi i zadzwoniłem, poprzedzając księdza Politowskiego professora matematyki, co miał mszę świętą odprawiać. Nie umiałem wówczas służyć do mszy, ale liczyłem na mego towarzysza, co od roku już usługiwał i jak pacierz wszystko umiał. Ukląkłszy przeto mruczałem, naśladując odpowiedzi mego kolegi, ale podstęp się nie udał, bystre ucho księdza professora odkryło nieuka. Po mszy wchodząc do zakrystyi, poczułem rękę jego na mojém uchu i zakręcenie niém tak silne, aż mi łzy trysnęły.

— To ty... ty... (nieprzyjemny przydomek opuszczam) nie umiész do mszy służyć, rzekł z wolna ciągnąc jeszcze za ucho: naucz się na drugi raz!

Czychy widział i słyszał wszystko, kazał mi się zatrzymać, a gdy ksiądz professor wyszedł na śniadanie, wtedy pocieszał mię w ciężkiém strapieniu, dał książeczkę w któréj cała msza była w pytaniach i odpowiedziach, pogłaskał, otarł łzy dziecięce i w końcu dodał jeszcze piękny obrazek. Nazajutrz wziął mnie z sobą na wieżę do zegaru, a tak troskę bolesną rozwiał dobrocią swoją.

Szacunek i wdzięczną pamięć każdy z uczni zachowywał dla niego, czy złożywszy egzamin dojrzałości opuszczał szkoły pijarskie, aby w uniwersytecie poświęcić się wyższym naukom, czy przywdziewał mundur wojskowy, czy pracował jako urzędnik lub oddawał się pracy obywatelskiéj ziemiańskiéj. Jeżeli który z nich odwiedzał te gmachy szkolne, gdzie tyle wspomnień najpiękniejszych lat życia zostawił, nie przepomniał żaden wstąpić do kościelnéj zakrystyi i wchodził do niéj ochotnie, aby powitać i pozdrowić życzliwie braciszka Czyche'go, którego postać wplatała się tak silnie w owe rzewne wspomnienia młodości.

Czychy posiadał gruntownie język niemiecki i łaciński: ulubionemi dziełami jakie w tym ostatnim języku czytywał, były księgi o *Magii*. Książe Józef Poniatowski, który go znał osobiście, kiedy w czasie wypraw Napoleona I-go przechodził Morawy, znalazłszy tam rodzinę Czyche'go, przysłał mu od niéj ukłony i pozdrowienie. Wypadek ten wielce ucieszył skromnego Zakrystyana i rad o niém zawsze wspominał.

Ulica Miodowa.—Konwikt szlacheckiéj młodzieży St. Konarskiego.—Kościół OO. Bazylianów.—Cukiernia Lesla.—Pałac Chodkiewiczów.—Aleksander hr. Chodkiewicz.—Poseł turecki.—Kazimiérz Brodziński i wiérsz jego.—Pierwsza litografia w Warszawie.—Licytacya.—Upadek wielkiego domu,—Kaplica wyznania anglikańskiego.—Kawiarnia Honoratki.—Ulica Kapitulna.—Mieszkanie Tomasza Święckiego.—Pałac pod N-rem 482.—Pierwsza Resursa Kupiecka. Pałac pod filarami.—Chovot restaurator francuzki.—Dom pod N-rem 489 Wawrzyńca Rudawskiego.—Dworek modrzewiowy. Gryzelda księżna Wiśniowiecka, matka Michała Korybuta.—Spotkanie jéj z synem.—Pałac Nestego, następnie Kernera.—Książe Józef Poniatowski.—Żołniérz Kroata.—Wróżba cyganki, Szturm do Sabaczu.—Pałac Paca przedtém Radziwiłłowski.—Hrabia Adolf.—Szulernia.—Pojedynek.—Szewc i hrabia.—Dramat historyczny.—Jan Kuźma.—Porwanie króla Stanisława Augusta.—Stanisław Strawiński.—Szymon Czechowicz.—Kościół OO. Kapucynów.—Kaplica Jana Sobieskiego.—Pałac Teppera.—Pałac Biskupów krakowskich.

Budowle pijarskie w nieprzerwanym ciągu przechodziły na ulicę Miodową. Ulica ta, za czasów Księztwa Warszawskiego, nosiła nazwę Napoleona, później wróciła do pierwotnéj nazwy, którą otrzymała z tego powodu, że od XV wieku, na niéj najwięcéj zamieszkiwało piernikarzy toruńskich, którzy słynne swoje wyroby na cały kraj rozsyłali.

Gmach pijarski, od Miodowéj ulicy wystawił w roku 1754 Stanisław Konarski, który zajmował głośny konwikt dla szlacheckiéj młodzieży. W nim się mieściły klassy, mieszkania pensyonarzy i professorów, a w bocznéj oficynie sala wielka, na przedstawienia sceniczne, gdyż teatr należycie kierowany, uważał Konarski za niezbędny żywioł do należytego wykształcenia młodzieży.

Kiedy wielka armia francuzka w końcu 1806 r. weszła do Warszawy, zajęto go na lazaret; w następnym roku Pijarzy dobrowolnie go oddali na użytek publiczny, przenosząc konwikt swój do *Żoliborza* po nad Wisłę. Po lazarecie przeto chwilowym, obrócono ten gmach na koszary wojskowe, a następnie pomieszczoną tu była *Szkoła aplikacyjna*. W domu Henryka Lessla (N-r 486 a), mieściła się słynna na kraj cały cukiernia tegoż, szczególniéj z wyrobu cukrów i kąrmelków, które setkami funtów rozchodziły się w najdalsze strony, jak i wybornego ponczu. Tu wieczorem spotykałeś starszych professorów pijarskich, jak i artystów dramatycznych, co się małą szkląneczką smakowitego napoju raczyli. Kiedy Lessel zamknął swój zakład, w tymże samym lokalu księgarnią swoją otworzył S. Merzbach. Za tym gmachem w drugiéj kamienicy daléj, kościół O.O. Bazylianów, wzniesiony 1781 roku, o ścianę za nim ogromny pałac, (mający N-r 484), będący za méj pamięci własnością Aleksandra hr. Chodkiewicza, generała W. P. i znakomitego uczonego, który go po swéj matce Ludwice z Rzewuskich, starościnie żmudzkiéj odziedziczył.

Hrabiego znałem osobiście. Wysokiego wzrostu, szczupły, ale szerokich i podniesionych ramion, z pośród których mała wyglądała głowa, z obliczem miłém, zamyśloném, a w spojrzeniu rzewném. Jak szedł przez ulicę, był zawsze pochylony nieco i zamyślony. Z pierwszéj żony miał dwóch synów i córkę, później wydaną za hr. Ossolińskiego. Matka jéj kobieta piękna, ale bardzo lekkomyślna, co spowodowało rozwód.

Chodkiewicz był z początku wiérszopisem, czyli jak w owe czasy wyrażano *poetą;* w roku 1817 wydał w okazałéj edycyi

(w Warszawie, w drukarni przy Nowolipiu, która była najpierwszym zakładem typograficznym, w małém folio):

„*Pisma wierszem i prozą Aleksandra hr. Chodkiewicza, członka Towarzystwa Królewskiego przyjaciół nauk i innych*," które przypisał Ludwikowi Osińskiemu, Onufremu Kopczyńskiemu i Aloizemu Felińskiemu. Obejmują one dwie tragedye oryginalne wiérszem w pięciu aktach: *Katon* i *Wirginia*, każda poprzedzona obszernym wstępem krytycznym.

Był to pierwszy tom *pism* Chodkiewicza, ale więcéj nie drukował, zwracając pracę i uwagę swoją na nauki ścisłe, a głównie oddał się chemii. Wiele lat gorliwie się jéj poświęcał, miał w swym pałacu zamożne laboratoryum i napisał wielkie dzieło w siedmiu tomach p. n. *Chemia*, które wydał w Warszawie w ciągu lat czterech od r. 1816 do 1820.

Szanowany powszechnie, był wydatną postacią w Warszawie. Pałac, który zamieszkiwał przechodni z Podwala, ułatwiał wielce komunikacyą z Miodową ulicą. Ztąd téż, powracając ze szkół pijarskich, lub wychodząc do klassy, spotykałem, głównie w porze letniéj, dwóch synów jego, bawiących się na obszernym dziedzińcu pałacowym.

Z uszanowaniem na tych wyrostków spoglądałem, słysząc o nich ciekawą opowieść.

Kiedy poseł turecki przybył do Warszawy za czasów Księztwa Warszawskiego, dowiadywał się, czy nie mą potomków Jana Karola Chodkiewicza, sławnego hetmana, co bił się z Turkami pod Chocimem 1621 roku, i gdzie na obozowém łożu życie zakończył.

Objaśniono go, że żyje z prostéj linii Aleksander generał i ma dwóch synów. Ambasador Porty Ottomańskiéj życzył sobie ich zobaczyć. Przybył więc do tegoż pałacu i tu przyjętym został. Kiedy ujrzał generała i młodych następców, ambasador, zwyczajem wschodnim, oddał im hołd i pokłon, oświadczywszy, że czuje się nader szczęśliwym, iż mógł ujrzéć potomków tak wielkiego wodza.

To zdarzenie, postać Aleksandra Chodkiewicza, w oczach mieszkańców Warszawy ogromnie podniosło, a wiérsz Kazimiérza Brodzińskiego do niego pisany, pomiędzy młodzieżą spopularyzowało.

Zdarzyło się, że w jednéj z najpierwszych w owe czasy księgarni warszawskiéj u Natana Glücksberga na Miodowéj ulicy, Brodziński zobaczył Chodkiewicza. Nieznany generałowi stał z dala w kąciku, gdy Chodkiewicz zaczął głośno ubolewać, że mamy za wiele *poetów*, a za mało *filozofów*.

Chodkiewicz niewłaściwie użył wyrazu *poetów*, bo rzeczywiście w ową dobę z wyjątkiem jednego poety Brodzińskiego, mieliśmy tylko gładkich wierszopisarzy, a po za niemi gromadę wiérszokletów i *rymarzy*. Ale znowu miał w tém prawdę za sobą, bo ci wiérszopisarze nie wiele przynosili korzyści duchowych dla społeczności swojéj.

Brodziński, chociaż zawsze cichy, potulny i skromny, nie mógł strawić tak stanowczo wyrzeczonego zdania przez człowieka, którego

słowo miało swoje znaczenie i powagę. Ujął się więc za *poetami*, ale prawdziwemi, jak ich sam dobrze pojmował i wróciwszy do domu, napisał wiérsz:

„*Do Aleksandra hr. Chodkiewicza*," który mu bezzwłocznie przesłał, a późniéj w zbiorze swych pism (Warszawa 1821 r.) wydrukował. Początek jego tylko przywiedziemy.

„Ty! co miłością kraju wiedziony stateczną,
Umiałeś nad rzecz piękną, przenieść użyteczną;
Co mogąc nie jednemu być wzorem poecie,
Rymy zaniechać, pierwszy dałeś przykład w świecie.
Słyszałem hrabio z boku, tobie nieznajomy,
Gdy mówiłeś w księgarni, przeglądając tomy,
Że kraj nasz ma pisarzy pełno bez użytku,
Filozofów za mało, poetów do zbytku!
Zacny w kraju *filozof* wyznać z tobą muszę,
Jest duszą, którą żyje milionów dusze;
On, z pochodnią przed ludem, wśród pomroku staje,
Trzaska kołczan z łukami, księgę praw podaje;
On drogą bezpośrednią do nieba dochodzi,
Nas do Boga przybliża, gdy do prawd przywodzi,
Zwalcza przesąd pijany, co światu niegodnie,
Zbrodnie za cnoty, cnoty wystawia za zbrodnie,
On, gdy z prawdy hańbiące pokrycie odziera,
Drży przemoc i fanatyzm, a lud łzy ociera.

Lecz i poeta godnie czując powołanie,
Niemniejszemi zasługi, przed ludzkością stanie:
On, do czynów zagrzewa, wykonane głosi,
Nim rycerz, on rycerzom chwałę kraju wznosi,
On, często więcéj, niż król, niż mędrzec dokazał,
Nim ten zmusił, ów dowiódł, ten sercu już kazał.
On prawdę, któréj wstępu złość, pochlebstwo bronią,
Wiedzie w kwiaty ubraną, opiekuńczą dłonią.

Tysiąc mędrców ateńskich zwodzicieli gminu,
Uczyło cnoty z pisma, jeden Sokrat z czynu.
Poeta głosić winien stan serca i duszy,
Tylko co z serca idzie, to serce poruszy.
Cnotą musi być duszą wieszcza przenikniona,
Ten, kto Katona śpiewał, czuł cnoty Katona.
Pod berłem Epikura, gdy Grecy zaspali,
Padły miasta i szkoły od sąsiedniéj stali,
Ale sam ślepy Homer, szedł z wrogiem w zapasy,
Wyrwał i chwałę Greków doniósł w późne czasy.

Lecz nie sądźmy różnicy, ani zalet wielu,
Sądźmy tych, których uniósł geniusz do celu;
Tych karty, jak tych tony, gdy powiew rozniesie,
Nietknięty będzie Homer stał przy Sokratesie.
Bo, jak Bóg, równie w słońcu i w pyłku cudowny,
Tak i geniusz w mniejszém, większemu jest równy.
Śniadeckich, równa czeka w potomności chwała:
Ten głosi cuda świata, ten drobnego ciała."

Chodkiewicz po przeczytaniu tego wiérsza, starał się zapoznać z ich autorem, i jak mi później sam Brodziński opowiadał, to pierwsze bliższe ich spotkanie, było bardzo serdeczne. Odtąd stosunek ten trwał ciągle, dopóki Chodkiewicz nie opuścił Warszawy.

Zawód swój literacki rozpoczął, jak mówiliśmy od wiérszy, bo tragedye Katona drukował w Wilnie 1809 roku, zanim oddał się wyłącznie chemii.

Było co oglądać w jego pałacu: bogata biblioteka, galerya obrazów i rycin, zbiór szacowny numizmatów i medali, jak narzędzi fizycznych i laboratoryum chemiczne. Bawiąc czas jakiś w Wilnie, dla zachęcenia młodzieży do nauk, chemią w tamtejszym uniwersytecie, którego był członkiem honorowym, wykładał.

W Warszawie w tym pałacu zaprowadził najpierwszą litografią w kraju i długi czas własnym kosztem utrzymywał. Z niéj wyszło piękne dzieło p. n. *Portrety wsławionych Polaków z ich opisaniem* (Warszawa 1820 r.), złożone z czterdziestu popiersi, rysowanych przez Walentego Śliwickiego, do których opisy skreślił sam Chodkiewicz. Napisał nadto Żywoty Tadeusza Kościuszki i Henryka Dąbrowskiego. Oglądałem wszystkie zbiory w tym pałacu przy pomocy dwóch młodych Chodkiewiczów, z któremi się bliżéj zapoznałem. Patrząc na nie, na liczną gromadę służby i dworzan, jakież było moje zadziwienie, gdy, wracając z klassy do domu i mając przejść przez pałac, ujrzałem od ulicy Miodowéj i w samym dziedzińcu tłumy żydów i różnorodnych postaci. Dowiedziałem się wtedy, że za długi, wierzyciele wszystko sprzedają, a sprzedaż zaczęła się od galeryi obrazów.

Na dole, od ulicy, drzwi były otwarte, wszedłem do pokoju, na którego ścianach pozawieszane były obrazy zabrane z galeryi górnéj Chodkiewicza.

Spojrzenie moje przyrosło najprzód do niewielkiego obrazu, przedstawiającego szturm i zdobycie Zamościa na Austryakach 1809 r. Kiedy chciwie rozpatruję szczegóły i rozliczne postacie, słyszę jakiegoś pana słowa:

„Za ten mały obrazek (mówił), wiem, że hrabia sam dał tysiąc dukatów. Zbliżyłem się więc i spojrzałem. Był to obrazek. może pół łokcia wysoki, a na nim przedstawiony niedźwiédź, duszony przez dwa ogromne duńskie brytany.

Komornik siedział przy stoliku, a woźny donośnym głosem obwoływał przedmiot na sprzedaż wystawiony i cenę. Żal mi serce ścisnął, uczułem łzy w oczach i uciekłem co rychléj, na podwórze, gdzie gwar ciągły coraz wzrastał.

Pierwszy raz ujrzałem upadek wielkiego domu! Chodkiewicz opuścił Warszawę i już go więcéj nie widziałem. Niedługo potem w roku 1824, sprzedano i ten pałac, a nowi właściciele zmienili jego postać zewnętrzną; wewnątrz bowiem dotąd wspaniałe pokoje i sale obszerne, wysokie, przypominają siedzibę magnata polskiego.

W podwórzu po lewéj stronie, wchodząc od Miodowéj ulicy w oficynie, mieściła się kaplica wyznania anglikańskiego. Była to sala obszerna z chórem, którą następnie zajmowała słynna kawiarnia Honoratki.

Pałac Chodkiewicza prawém skrzydłem swych oficyn, zajmował całą połać małéj uliczki Kapitulnéj, aż do Podwala. Uliczka ta nazwę swą wzięła od tego, że cała przestrzeń gruntu, którą obecnie zajmują domy murowane, do czasów Jana III, była wyłączną własnością kapituły warszawskiéj.

Warto wspomnieć, że na przeciwnéj połaci, w kamienicy pod N-rem 538 (nowy 3), przez lat wiele przemieszkiwał Tomasz Święcki; w tym skromnym lokalu na pierwszém piętrze, przygotował drugie wydanie: „*Opisu starożytnéj Polski*," który wydał w roku 1828 w Warszawie i opracował: „Historyczne pamiętniki znamienitych rodzin i osób dawnéj Polski," które pozostawił w rękopiśmie.

Dom ten zachował nietkniętą swoją dawną, zewnętrzną postać. Na pierwszém piętrze Święcki zajmował mały, chociaż główny lokal z gankiem-od ulicy. Wchodziło się wprost z sieni do dużego pokoju, który był zarazem salą bawialną do przyjęcia gości, biblioteką i sypialnią, bo w otwartéj *nyszy* stało łóżko jego wązkie, twardo zasłane, a nad niém, pod obrazem Matki Bozkiéj Częstochowskiéj, wisiała karabela w jaszczur oprawna. Główną ścianę i boczne, zajmowały wysokie szafy pełne książek. Był to zbiór wielce cenny, złożony z najważniejszych dzieł do dziejów i literatury ojczystych. Ileż tu drogich dla serca mego chwil miłych przepędziłem ze Święckim! Tu on mi się spowiadał z całego życia, z myśli i uczuć swoich! Staje przed oczyma mojemi dostojna postać tego zacnego człowieka. Wysoki, topolowéj postaci, ruchem i obejściem przypominał szanowne postacie ojcow naszych; powagę téż i właściwość w każdym ruchu, do dawnego stroju polskiego zachował, lubo już nie używał kontusza i żupana, ale rodzaj surduta czyli kapoty po za kolana, ze stojącym kołniérzem. Gdy czytał w miejscach wielkich czynem lub myślą wydatnych, (a pisał wtedy biografią znakomitych mężów polskich) uczucie rzewne albo gorący zapał, wybijały się zaraz na jego szlachetném obliczu. Szczera radość napełniała jego serce, gdy wynalazł fakt nieznany dziejowy, albo ważne jakie historyczne dzieło otrzymał. To była cała uciecha w samotném życiu Święckiego,

poświęconém pracy i badaniom dziejów krajowych. Zrobił mi ten zaszczyt, że opowieść moją zdobycia Warszawy przez Jana Kazimierza, którą drukowałem w *Dzienniku Warszawskim* J. K. Ordyńca 1827 r. przy opisie tego miasta w drugiém wydaniu *Opisu starożytnéj Polski* 1828 r. powtórzył w przypisku. Nasz autor urodził się w dziesięć lat po wstąpieniu króla Stanisława Augusta, we wsi *Kostkach* w dawném województwie Podlaskiém. Szczupła to była szlachecka fortunka. Młody Tomasz szkoły odbywał u księży *Komunistów* w Węgrowie, gdzie w piątym roku pobytu, otrzymał od pomienionego króla medal srebrny z napisem *diligentiae*. Stosując się do woli ojca, wszedł do grona *palestry drohickiéj*. Właśnie trwał wówczas *sejm czteroletni*, którego czynnościom bywał często przytomny, odwiedzając Warszawę. Wysłany do Krakowa oglądał ostatni raz komnaty i sale zamku na Wawelu, w całości i ze starym przystrojem zachowane, gdyż wkrótce wszystko poszło w ruinę.

Po roku 1794 Święcki schronił się pod rodzinną strzechę, oddał się naukom, w których pociechę znajdował. Mając zamiar udania się do Legionów we Francyi zawiązanych, sam za pomocą tylko gramatyki zaczął się uczyć języka francuzkiego. Na gruntach wsi *Kostki* jego ojca, istnieje pagórek lasem sosnowym i gęstą krzewiną zarosły, *mogilkami* lub *grobami aryanów* zwany; zacisze to wśród starych mogił, było jego akademią. W trzy miesiące już tyle postąpił w nauce tego języka, że pierwszą książkę: *Życie Dumourier'a* z wielką radością, w całości pojął i zrozumiał. Dzieła Jana Jakóba Rousseau, które z upojeniem rozczytywał, na nowe tory myśli jego pchnęły; jeżeli z początku zaburzyły mu ducha, wkrótce dawny spokój powrócił i niczém nie zakłóciły w nim ani staréj od kolébki pobożności, ani skazy w charakterze nie przyniosły. Wiele miejscowości zwiedził; w roku 1807 ze Lwowa, gdzie bawił, wrócił do Księztwa Warszawskiego i w grudniu tegoż roku był obecny pierwszemu wjazdowi do Warszawy Fryderyka Augusta króla saskiego jako księcia warszawskiego. W roku 1809 armią austryacka niespodzianie wkroczyła. Dnia 19 kwietnia tegoż roku, w dzień bitwy pod *Raszynem*, znajdował się na okopach Warszawy od rogatek Jerozolimskich. Huk dział i płomienie palącego się Raszyna, słyszał dokładnie i widział. Świadek tylu przemian w narodzie, powziął szczęśliwą myśl, zebrania pamiątek przeszłości. Odtąd wykonaniu i zbieraniu do tego potrzebnych wiadomości, cały czas swobodny od zatrudnień obowiązkowych poświęcił. Na początku 1810 r., przypadkiem u Włocha znalazł na jednym arkuszu rysunek *pawilonów* okrętowych wszystkich narodów, a między temi spostrzegł bandery polskie. Pochwyciwszy ten ślad, z całym zapałem zaczął poszukiwania w dziejach, czy więcéj nie zdobędzie wyjaśniających szczegółów i w tym celu odbył podróż do Gdańska. Widok morza Baltyckiego, pomniki w *Oliwie*, pamiątki historyczne w samym Gdańsku, zachwycały naszego badacza i nie małe mu do zamierzonéj

pracy, przyniosły owoce. Wspomnienia te zachował w żywéj pamięci do ostatnich chwil życia. Za powrotem do Warszawy, gdzie od roku 1808 był adwokatem przy Sądzie Apelacyjnym, wydał rozprawę: „*O Ziemi Pomorskiéj, O panowaniu i żegludze Polaków na morzu Baltyckiém.*" (Warszawa 1811 r.), załączając rysunek bandery królewskiéj i polskiéj. W r. 1816 wydrukował *Opis Starożytnéj Polski* w 2-ch tomach, dzieło z niezwykłym zapałem przyjęte od ogółu i wyczerpane prędko w handlu księgarskim, dało mu miejsce w *Towarzystwie Przyjaciół Nauk.* W tém mieszkaniu, opuszczając je raz ostatni, przed wyjazdem do wód *w Busku*, spoglądając na swój piękny księgozbiór, co stanowił w samotném życiu główną jego rozrywkę i przyjemność, nakreślił te słowa:

„Wam ulubione moje książki, wam winien jestem w dniach mojéj samotności i melancholicznych rozmyślań pociechę, wzniesienie mych myśli i orzeźwienie w troskach i kłopotach. Wy moją duszę napełniacie rozkoszą, nadzieją i wzmacniacie do postępowania śmiałego w trudnym zawodzie życia. Wy jesteście dla mnie pocieszającemi przyjacioły, bo w was znajdują się pociechy i rady dla każdego wieku i stanu. Wy chowacie tajemnicę uleczenia wszelkiego złego i trosków; Twórcy Najwyższego udział sztuką druku rozmnożony na pomoc i oświecenie człowieka w téj krótkiéj, a pełnéj skalistych przepraw, wędrówce życia. Począwszy od ksiąg świętych, potém starożytności wzorowych pisarzy; od Pliniusza i Tacyta, aż do Buffona, Bernarda S. Pierre i Sismondego: w ojczystych rzeczach od Długosza aż do Samuela Bandtkie'go, w dwóch tysiącach woluminów, które Opatrzność pozwoliła mi zebrać; napełniacie mój na wiek późny przytułek, w każdy dzień, w każdą godzinę, wy jesteście moją zabawą i prawdą, z wami przestaję, żyję i usypiam; w was znajduję to najulubieńsze i rozkoszy pełne zatrudnienie, którego najprzeciwniejszy los fortuny, wydrzéć mi do zgonu nie zdoła."

Kiedym sędziwego badacza żegnał przed wyjazdem, jakby przeczuwał, że się już z sobą na téj ziemi nie zobaczymy; po uściskach serdecznych, dał mi na pamiątkę kartkę, obejmującą powyżéj przytoczone słowa, a które, jak sam wyraził, były spowiedzią jego serca. I w téj chwili, gdy to piszę, mam ją przed oczyma; zżółkła, ale wyraźne pismo z datą 28 kwietnia 1837 roku. Tegoż roku 6 września, zakończył życie w Busku, gdzie przy kościele tamecznym pochowanym został. Po trzydziestu siedmiu latach, patrząc na tę kartę, staje mi żywo w pamięci ukochana a tak szlachetna postać Święckiego, który z serdeczném uczuciem przyjaźni, wspierał mnie i dodawał otuchy w literackim zawodzie!

Parę domów pominąwszy za uliczką Kapitulną, jest pałac pod N-rem 482, w którym 1794 roku przemieszkiwał generał Igelstrom, ambasador cesarzowéj Katarzyny II. W tymże roku, głównie od ulicy Podwale, był zniszczony, a sterczące ruiny przez długie lata

stojąc, smutny widok sprawiały [1]). W tym pałacu zawiązało się Towarzystwo Resursy Kupieckiéj i przebywało przez lat ośmnaście.

Za jedną kamienicą daléj, wznosi się gmach obszerny, zwany *pod kolumnami* albo *pod filarami*, wychodzący aż na Podwale, (obecnie własność Dyzmańskich), w którym przemieszkiwał głośny Jan Potocki, głęboki badacz historyczny i podróżnik.

W tym pałacu *pod filarami* (N-r 481), mieściły się składy najmodniejszych towarów, pierwszych kupców Warszawy i przy nich osiedlił się najprzód Szymon Chovot Francuz, który miał sławną restauracyą. Szlachta wiejska gromadnie się tu zbierała, a lubo wielu z nich, nie umiejąc po francuzku, jak los zdarzył z jadłospisu w tym języku, wybierała potrawy i ze czczym wychodziła żołądkiem, moda tak była przeważna, że zapędzała ich tłumnie do tego Francuza. Późniéj Chovot, na drugiéj stronie w pałacu Kernera na téjże ulicy, przeniósłszy restauracyą swoją, urządził hotel pod nazwą: „*Hôtel de l'Europe*," ale po kilku latach musiał go zamknąć.

Wracamy się do placu *Krasińskich* i zaczynamy od lewéj połaci ulicy Miodowéjj wprost gmachów popijarskich.

Pierwszy dom narożny od Długiéj ulicy, wart wspomnienia, gdyż w nim urodził się Jan Wawrzyniec Rudawski w roku 1617, historyk znakomity dziejów Jana Kazimierza; kamienica ta (oznaczona N-rem 489), była własnością jego ojca, mieszczanina warszawskiego [2]). Zaraz drugi dom za nim, (dziś własność bankiera Stanisława Lessera), ma tę osobliwość przechowaną, że w głębi podwórza jest stary dworek modrzewiowy, zabytek budownictwa z XVII stulecia, zachowany wybornie. Za moich czasów była do niego przywiązana tradycya, że tu mieszkała Gryzelda z Zamojskich księżna Wiśniowiecka, matka króla Michała Korybuta, który na polu elekcyi pod *Wolą*, niespodziewanie wyniesiony na tron tu przybył, a upadłszy swéj rodzicielce do nóg, prosił ją o błogosławieństwo. J. U. Niemcewicz w stalorycie przy *Śpiéwach historycznych*, scenę tę przedstawił rysowaną przez Laurę Potocką [3]).

---

[1]) W pałacu tym od Miodowéj ulicy, przed kilką laty, mieściła się księgarnia polska i zakład litograficzny Dzwonkowskiego. Dziś jest własnością obywatela Mrozowskiego.

[2]) Dzieje te przełożone z łacińskiego przez Włodzimierza Spasowicza, wyszły nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu 1855 r. we dwóch tomach p. n. „*Historya Polska od śmierci Władysława IV aż do pokoju oliwskiego, czyli dzieje panowania Jana Kazimierza, od 1648 do 1660 roku.*"

[3]) „Po dwunastéj godzinie w nocy (mówi ówczesny rękopism), gdy nowy król uwolnił się od otaczającéj go pompy, jechał *in cognito* do matki swojéj księżnéj Wiśniowieckiéj, która stała na Senatorskiéj ulicy, w pałacu drewnianym księdza Prażmowskiego Prymasa; wszedł z tyłu ogrodem: uprzedzona matka spotkała go na pół drogi. Syn upadłszy jéj do nóg, o błogosławieństwo

W murowanéj kamienicy od ulicy, w wystającym załamie dotąd widocznym, mieszkał D-r Lafonten, a następnie jego wdowa, z zamężną córką, generałową Zofią Haukową i drugą panną Wiktoryą.

Dwie te siostry, szczególne przedstawiały przeciwieństwo z sobą: generałowa była bruneta, smagła i oczy miała, jak jéj matka czarne; młodsza Wiktorya, niższa, lepszéj tuszy, jasna blondyna, oczu niebieskich, przypominała więcéj ojca.

Obok tego domu stoi pałac z obszernym dziedzińcem, z bramą kratowaną od ulicy, a w głębi z ogrodem, który był od roku 1800, własnością cukiernika Nesti. Ten obok najsławniejszéj cukierni, założył i restauracyą powszechnie wziętą, do któréj najchętniéj elegancka młodzież ówczesna i bogaci panowie zachodzili. Jak zapamiętam, pałac ten był już własnością Kernera, kroaty, który szczególnym wypadkiem przyszedł do jego posiadania.

Książe Józef Poniatowski, synowiec króla Stanisława Augusta, w młodych leciech, poświęciwszy się zawodowi wojskowemu, wszedł do armii austryackiéj, działającéj przeciwko Turcyi. Wstęp miał wielce ułatwiony przez to, że ojciec jego Andrzéj, był generałem wojsk austryackich, a matka hrabianka Teresa z Kińskich, należała do znanych arystokratycznych rodów w Austryi. Sam się jednakże urodził w Warszawie d. 7 maja 1763 r., kiedy stryj jego marzył dopiero o tronie.

Pierwsza to była wyprawa młodego księcia Józefa. W obozowém życiu upodobał sobie, a wesołe grono równie młodych towarzyszy broni, przyjemne dawało życie. Właśnie gotowano się do szturmu miasta *Sabacz*, gdy ukazała się banda wędrownych Cyganów. Stare cyganki, jak zwykle wróżyły, namówili go więc koledzy, aby i on podał swą dłoń drobną i białą. Wróżbiarka długo się w nią wpatrywała, wreszcie wyrzekła: „żeby się strzegł *sroki (Elster)*, bo ona będzie powodem jego śmierci."

Śmiéch ogólny młodych towarzyszy zawtorował téj wróżbie: niektórzy radzili, ażeby, jak tron polski po stryju bezdzietnym obejmie, wydał dekret, na wyniszczenie wszystkich *srok* w całym kraju.

---

prosił. Matka temi przyjęła go słowy: „Miły synu! witałam cię wczoraj, jako syna, a dziś witam, jako króla. Dziękuję dziwnéj Opatrzności Bożkiéj, że cię między wszystkiemi nad wszystkiemi miéć chciała; a gdy cię Bóg na tronie polskim posadził, znajże się być człowiekiem skazie podległym." Tu płaczącego, sama z płaczem ściskała; zabawiwszy godzinę, król powrócił na zamek." O pałac Prażmowskiego na Senatorskiéj ulicy, daremniem dopytywał, ale powszechna tradycya ten na Miodowéj ulicy dworek modrzewiowy, właśnie wskazywała za mieszkanie księżnéj Gryzeldy. Tomasz Święcki i Skorochód Majewski metrykant koronny podanie to mi zatwierdzali, a Święcki pokazywał mi w nim obszerną komnatę, gdzie się ta scena rzewna między synem a matką odbyła.

Kerner był obecny w téj chwili. Wkrótce książe Józef był przeznaczony na *rekonesans* w okolice *Sabaczu*. Młody dowódzca tego oddziału, nie był dosyć ostrożnym i wpadł na przewyższające siły Turków. W nierównéj walce poległ, wraz z większą połową jezdzców swoich i książe Józef nie wyszedłby cało, gdyby nie przytomność, odwaga i poświęcenie Kernera, który go od ciosów śmiertelnych osłonił i bezpiecznie z téj gorącéj potyczki uprowadził. Nazajutrz przy szturmie do *Sabaczu*, młody książe ciężko został ranny.

Książe Józef przez wdzięczność dla dzielnego kroaty, po wyjściu ze służby austryackiéj, wziął go z sobą do Warszawy, trzymał przy swoim dworze w pałacyku *pod blachą* przy zamku królewskim i kupił dla niego w r. 1810 ten pałac od Nestego.

Znałem Kernera z blizka: średniego wzrostu, krępy, już dobrze pobielał od siwizny. W obejściu był bardzo gładki. Widziałem u niego rycinę kolorowaną, jak księcia Józefa rannego, na noszach żołnierze dźwigają. Onto przypomniał ową wróżbę cyganki, a gdy się sprawdziła, kiedy w Elsterze książe Józef utonął, Kerner gorącemi łzami opłakiwał zgon swego dobrego pana i dobrodzieja.

Obok o ścianę pod N-rem 493 tak zwany *„pałac Paca,“* Gmach ten był własnością książąt Radziwiłłów, rozgłośny za Augusta III, hucznemi zabawami, balami i szulerką, które znowu odżyły w środku panowania Stanisława Augusta. Zapamiętam wiele osób, które miewały w nich udział i pokazywano mi oryginalną *figurę*, którą zwano *hrabią Alfonsem*, słynnego gracza, co kilkakrotnie banki w tym pałacu rozbijał, ale w końcu sam milionową fortunę stracił. Próżniak, człowiek bez czci i wiary, w arystokratycznych domach znajdował jak najuprzyjemniejszego przyjęcia. Wysokiego wzrostu, pochyło się nieco trzymał. Głowa gęstym zarosła włosem, zawsze była starannie ufryzowana w loki i lekko pudrowana. Oblicze miał podłużne, rysy twarzy kształtne i regularne, oczy duże, niebieskie. Mówił biegle po francuzku *z akcentem paryzkim*, nad czém panie wielkich domów się unosiły, ale co osobliwsza, że równie był biegły w językach: angielskim, niemieckim i włoskim, któremi mówił lepiéj, niż rodowitym. Śpiewał prześlicznie, grał na skrzypcach znakomicie. ale lepiéj jeszcze grał w karty. Dworzanie króla Stanisława Augusta, opowiadali mi o jego czynie, jako bohaterskim, który miał miejsce w sali wielkiéj tego pałacu, który w owe czasy nosił nazwę *Radziwiłłowskiego*, bo rzeczywiście do téj rodziny należał.

Grano grubo, złoto w wysokich stosach leżało na dużym zielonym stole; hrabia Alfons wygrał już dziesięć tysięcy dukatow, gdy któryś z graczy co mu kieska schudła nagle, zrobił zarzut że to szczęście jego strasznie dziwnie wygląda. Na te słowa hrabia Alfons zerwał się z krzesła, stół ze złotem obalił na ziemię, które się po całéj sali rozsypało, a przystąpiwszy do robiącego zarzut, wziął go za czuprynę i wyciął mu w nos takiego szczutka, że się krwą zalał. Na trzeci dzień strzelano się w Jeziornie i hrabia Alfons zuchwałego

oszczercę na miejscu trupem położył. Zdarzenie to podniosło go w oczach tłumu do godności bohatéra, ci roztrębywali najgłośniéj jego sławę, co rozsypaném złotem wypełnili swoje kieszenie. Że był szczęśliwym do kobiét, wnosił niepokój i rozpacz do wielu rodzin, ale jak dobrze chłopskie mówi przysłowie: „nosił wilk owce, ponieśli i wilka“.

Majster szewc ze Starego Miasta miał śliczną, młodą żonę. Wielu się o jéj względy daremnie ubiegało: hrabia Alfons zrobił gruby zakład że ją uwiedzie w ciągu miesiąca. Jakoż udało mu się pozyskać jéj wymowne spojrzenie i wiele obiecujący uścisk ręki. Wreszcie na umówioną schadzkę w rynku Starego Miasta stawił się o naznaczonéj blizko północy godzinie; ale jakiż go smutny zawód spotkał. Piękna pani majstrowa wszystko opowiedziała mężowi, ktorego szczerze kochała, a pan majster postanowił wyleczyć pana hrabiego z tak gorącéj miłości. Co zaszło w kamienicy gdzie mieszkali państwo majstrowie nie wiadomo, widziano tylko że pan hrabia Alfons o swéj sile wyjść nie mógł i wyniesiono go ztamtąd do karety co w oddali nań czekała, w której miał uwieźć piękną szewcowę. Doktor tylko Bergonzoni późniéj opowiadał, że takie mu *cięgi* sprawili, iż cały miesiąc odleżéć musiał, zaczém zdołał chodzić o swojéj mocy. Od téj chwili z demokraty stał się zaciekłym arystokratą i zerwał zupełnie z nikczemnym gminem. Zachował on wiele szczegółów z dziejów tego pałacu, balów w nim i szlachetnéj jak sam wyrażał gry w karty. Żył długo, bo umarł dopiéro po pogrzebie księcia Józefa Poniatowskiego w 1814 roku.

Tu przy bramie tego pałacu odegrał się dramat głośny w czasach panowania Stanisława Augusta, bo porwanie tegoż króla przez konfederatów, dla uwiezienia go z Warszawy.

Wypadek ten rozmaicie był objaśniany: my tu tylko podamy wierny opis zdarzenia, na które mury pałacu Radziwiłłowskiego i pobliższych gmachów patrzyły.

Dnia 3 listopada 1771 roku, król wybrał się w odwiedziny księcia kanclerza Czartoryskiego, który pałac ten zajmował z licznym dworem. Pomiędzy dziewiątą a dziesiątą wieczorem wracał do zamku. Noc była ciemna i chłodna jak zwykle w listopadzie, mgła się wełniła gęsto i pomrokę zwiększała.

Karetę poprzedzało dwóch konnych ze służby zamkowéj z pochodniami w ręku: za niemi oficerowie dyżurni, dwóch dworzan i masztalerz. Z królem jechał w karecie adjutant, dwóch paziów obok niéj, a dwóch hajduków w tyle stało za pojazdem.

W téj właśnie chwili oddział konfederatów, który skrycie się przedostał do Warszawy, złożony z trzydziestu konnych pod dowództwem Jana Kuźmy, wypadł z Kapitulnéj uliczki i wśród mglistéj nocy karetę oskoczył i wstrzymał. Hajduk Butzau, który stał w obronie pana swego przy drzwiczkach karety, padł od kuli pistoletowéj w samo serce trafiony. Stanisław August korzystając z głębokiéj pomroki, wysunął się szczęśliwie z karety, dobiegł do bramy pałacu z którego tylko co wyjechał, ale zastał ją zamkniętą.

Wtedy wystrzał z pistoletu odkrył miejsce gdzie stał, zkąd porwany, na konia wsądzony i za okopy miąsta wywieziony został. W tym popłochu król zgubił trzewik, dano mu więc w miejsce takowego but z długą cholewą i tak o jednym trzewiku a drugim bucie opuścił mury swéj stolicy. Kiedy i kapelusz swój zgubił, Kuźma dał mu od jednego towarzysza czapkę i piérwszy raz Stanisław August miał ją na głowie i uznał jéj pożytek wśród zimnéj listopadowéj nocy.

Oddział Kuźmy pędził z królem ku rogatkom Marymonckim, zkąd skręciwszy na lewo, przybył do zabudowań młyna wodnego w Marymoncie. Młyn ten stoi dotąd w tém samém miejscu. Tu przywiódłszy więźnia swego, Kuźma pozostał sam z królem, a widząc jego przerażenie i blizkie omdlenie, bo rana w głowie niewiadomo przez kogo zadana, dolegała wśród słotnéj nocy, upadł mu do nóg ofiarując usługi swoje, oddając się na łaskę i niełaskę.

Stanisław August z tego młyna wtedy wysłał ze swą kartką posłańca do Warszawy i wkrótce w pełnym galopie nadbiegła gwardya pod dowództwem generała Kokceja z karetą i w niéj szczęśliwie do zamku król wrócił. Kuźma z nim przybył, a w procesie wytoczonym w téj sprawie, osobiście Stanisław August stanął w jego obronie i wymownym głosem skłonił sędziów do jego uniewinnienia.

Kuźma skazany na wygnanie, osiadł we Włoszech, mając dożywotnią pensyę od króla 500 dukatów wyznaczoną, ale po jego śmierci w Petersburgu, wrócił do Warszawy i tu dnia 12 czerwca 1822 r. zakończył życie.

Znałem go osobiście, nieraz na kolanach posadziwszy opowiadał mi stare podania i powiastki ludowe, ale nigdy nie dotknął najmniejszém wspomnieniem tego wypadku. Był wyniosłego wzrostu, smagłéj postaci, twarz ściągła długa, nos duży, czoło wysokie, które podnosiła łysina: szedł z tą pewnością co znamionuje czerstwość i siłę. Ubiorem jego była długa granatowa kapota, kroju żupana ze stojącym kołnierzem, buty juchtowe z długiemi cholewami po wierzchu spodni i czapka rogatywka. Codziennie chodził na mszę św. do Fary i tu gorąco się modlił przed kaplicą Pana Jezusa.

Porwanie to nadało téj miejscowości szczególny urok w oczach mieszkańców Warszawy: pałac Radziwiłłowski, ulica Kapitulna i młyn w Marymoncie otoczyło historyczne wspomnienie.

Całą tą wyprawą, jak teraz już dowody mamy pewne, kierował Stanisław Strawiński, rotmistrz starodubowski, postać wydatniająca w znakomitéj historycznéj powieści: *Listopad*, Henryka hr. Rzewuskiego. Charakter to szczególnego hartu godny uwagi. Z głębi Litwy nagle się w murach Częstochowy pokazuje Kazimierzowi Pułaskiemu w chwili smutnéj, gdy konfederacya już się chyliła do upadku, po przejściu Zaremby ze swemi hufcami na stronę królewską. Zamiar jaki uknuł sam, porwania króla Stanisława Augusta z Warszawy, przywiezienia do Częstochowy i postawienia go na czele konfederacyi, chował głęboko w sobie. Pułaskiemu oświadczył gotowość służe-

nia pod jego rozkazami i jako z dalekich stron przybyły oddał się kilkodniowéj dewocyi. Modlił się gorąco przed obrazem cudownym Matki Boskiéj, spowiadał i komunikował, poczém zażądał od niego ordynansu do najbliższego stanowiska konfederatów pod Warszawą, aby mógł w nim znaleźć pomoc do zebrania hufcu jazdy, z którymby potrafił szarpać nieprzyjaciela. Pułaski żądany mu dał ordynans do Walentego Łukawskiego rotmistrza stojącego wówczas ze swą komendą w Zakroczymiu. Poznawszy go bliżéj Strawiński, odebrawszy od niego przysięgę, utajony swój zamiar mu odkrył również jak Kuźmie i obaj przyrzekli swoje poparcie czynne. Przy ich pomocy przebrany hufiec konfederatów dostał się do Warszawy i w stajniach obszernych zabudowań dominikańskich na Freta ulicy, przy klasztorze znalazł wygodne i bezpieczne schronienie. Strawiński następnie sam udał się do zamku dla powzięcia wiadomości o wyjeździe króla dla odwiedzin kanclerza: Kuźmę postawił w trzydzieści koni na Kapitulnéj ulicy, zkąd napad wykonanym został.

Strawiński, ze swoim oddziałem czekał na Kuźmę i na schwytanego króla za rogatkami Marymonckiemi, w zagaju na lewo, bliżéj wybrzeża Wisły, tymczasem Kuźma wbrew umowie i rozkazowi, zamiast ku téj stronie się skierować, zwrocił na prawą, przeciwną i jeńca swego do młyma marymonckiego doprowadził. Gdy tym sposobem zamach spełzł na niczém, rozsypały się trwogą uderzone hufce Strawińskiego i Łukawskiego, obaj zaś wkrótce schwytani i w więzieniu osadzeni zostali. Wyrokiem nadzwyczajnego sądu skazani zostali na karę śmierci, gdy Kuźma ocalał. Kiedy jednakże dzień egzekucyi nadszedł, już w więzieniu Strawińskiego nie znaleziono, poprzedniéj bowiem nocy jeden z książąt Sapiehów go wykradł i wywiózł zą granicę. Wyprowadzono więc prostego kryminalistę oddawna na śmierć skazanego i w jego miejsce stracono.

Łukawski zginął na szafocie, żona jego zmuszona patrzéć na śmierć ukochanego męża, padła trupem, bo jéj serce pękło z bólu.

Strawiński dostał się do Rzymu, gdzie przywdział habit mniszy: za czasów Księztwa Warszawskiego wrócił do kraju i w Augustowskiém był proboszczem. Bliżéj go znający zapewniali, że napisał o całym tym wypadku pamiętniczek, który się przechowuje w jego rodzinie w Wielkiém Księztwie Poznańskiém [1]).

W kościołku na Cmentarzu Powązkowskim w wielkim ołtarzu jest obraz św. Karola Boromeusza, na boku którego odmalowaną jest scena, gdy Kuźma klęczy u nóg króla. Obraz ten w roku 1793 ofiarował tu brat rodzony Stanisława Augusta, książe prymas Michał Po-

[1]) Szczegóły te o Strawińskim otrzymałem od Prota Lelewela rodzonego brata Joachima, a żyjącego właściciela ziemskiego w pobliżu Mińska na Mazowszu. Za jego wskazówką robiłem poszukiwania dla otrzymania pamiętnika Strawińskiego, ale te dotąd były bezskuteczne.

niatowski; w rok sam tu spoczął w katakumbach, a we dwadzieścia dziewięć lat w mogile ziemnéj złożono zwłoki Jana Kuźmy, sędziwego już starca, bo w 80-m roku życia zmarłego.

U Skorochoda Majewskiego metrykanta koronnego, w jego domu na Święto-Jańskiéj ulicy, widziałem obrazek mały, jedwabiem wykonany z dziwną subtelnością, przedstawiający scenę w młynie marymonckim, gdy król spoczywa na łożu, a Kuźma przy nim straż trzyma.

Na obrazie zaś w kościołku pomienionym, postać Kuźmy ma być portretowaną i jedyny to jest jego wizerunek. U Tomasza Święckiego widziałem olejne popiersie starego młynarza z Marymontu, w którego mieszkaniu król znalazł chwilowy spoczynek téj nocy listopadowéj [1]). Pałac ten jak zapamiętam już stał zrujnowany, okna wielkie powybijane, drzwi powyrywane, przedstawiał obraz pustkowia. Nosił zawsze nazwę *Radziwillowskiego.*

Dopiéro w roku 1824 zakupił go Ludwik Pac, b. generał b. wojsk polskich i francuzkich i dał mu kształt jaki do dzisiaj przecho-

---

[1]) Konstanty Słotwiński w przypisach do dzieła: „*O Polszcze, jéj dziejach* i *konstytucyi*, dzieło w języku niemieckim przez Franciszka Józefa Jekla ułożone, a przez Konstantego Słotwińskiego spolszczone, poprawione i przypisami pomnożone.“ Lwów 1819—1823 r. Tomów IV, nakładem Karola Wilda; w tomie piérwszym pisze: „Wielu współczesnych wszelkiéj wiary godnych mężów zaprzeczają téj całéj wieści o porwaniu i o innych poprzednio namienionych zamachach.“ Całe to zdarzenie uważa na hańbę narodu wymyśloną bajką. Umieszczono ją—dodaje—najpiérwéj z powieści Anglika *Wrazal*, w dziele: *Voyages de Coxe*, a na jego wiarę powtarzali ją niemal wszyscy o Polce piszący cudzoziemcy. Rulhiere pisze: „Podobało się sąsiadom oczernić powstańców (konfederatów) obwiniając ich o królobójstwo“. Niemal cała Europa była tego samego zdania, ale światli i rozsądni ludzie nie czepili się ślepo tego urojenia, lub téż nieśmieli go rozgłaszać. Gdy się zajęto dochodzeniem téj zbrodni, w kilka miesięcy potém, niechciano słuchać oskarżycielów, chcąc tym sposobem udowodnić, że nie było żadnego spisku na życie króla (*Histoire de l'anarchie de Pologne* T. IV, str. 244—245). Całe zdarzenie opisaliśmy powyżéj wiernie, fakt porwania króla Stanisława Augusta nie ulega wątpliwości, ale obok tego jest rzeczą niezawodną, że nie było myślą nastawania na jego życie, ale postawienie go jedynie na czele konfederacyi barskiéj. Zarzut o królobójstwo zręcznie podsunięty, był najstraszniejszą bronią przeciw temu związkowi. Daremnie z tego zarzutu oczyszczał się mąż szlachetny i wielkiéj prawości, jakim był Kazimierz Pułaski; własnoręczną jego obronę schowano do tajnego archiwum króla Stanisława Augusta, a wojownik ten czysty i nieskażony, złamany nikczemném oszczerstwem, opuścił warowne mury Częstochowy i w Ameryce pod *Savannach* położył życie. Za dni naszych dopiéro krytyka historyczna oczyściła z pod zarzutu szanowne imie bez skazy Kazimierza Pułaskiego.

wuje. Gmach stary przebudował, a od ulicy Miodowéj zupełne wzniósł nowe budowle.

W tym pałacu w oficynie za czasów króla Stanisława Augusta przemieszkiwał i miał swoją pracownię, znakomity w tém stuleciu malarz polski Szymon Czechowicz i tu w dniu 21 lipca 1775 roku zakończył życie.

Ścianą murowaną pałac Paca dotyka kościoła OO. Kapucynów, który król Jan III Sobieski wystawił, zakonników sprowadził i uposażył. W wielkim ołtarzu obraz Przemienienia Pańskiego, nad nim mały przedstawiający św. Wojciecha, oba są pędzla wspomnianego malarza Czechowicza, który rad się w tym kościele modlił, tak blizkim swojéj pracowni.

Świątynia jedna z mniejszych w Warszawie, ale dla pobożnych mieszkańców szczególny powab mająca. Nabożeństwa ciche, bo głos organu tu nie zabrzmiał, ani téż żadna muzyka i śpiewy na chórze, grobowéj ciszy nie zamącały.

Tu zgromadzała się na nabożeństwo arystokracya polska i z pobliższych ulic mieszkańcy, którzy pragnęli w głębokim spokoju modlić się ze skruchą.

Najwydatniejszym pomnikiem w te czasy był tu z czarnego i białego marmuru grobowiec Anny z Korzeniowskich Pociejowéj. W téj świątyni w podziemiach kościelnych spoczywały zwłoki Jana Sobieskiego przez lat trzydzieści, zanim je na Wawel do Krakowa przewieziono. W osobnéj kaplicy serce Augusta II, *mocnego* złożono: pomnik orły polskie otaczały. W dniu 26 czerwca 1830 odbył się uroczysty obrzęd pogrzebu serca króla Jana III, na którym wymownym głosem uczcił pamięć oswobodziciela Wiednia ksiądz Viater Piotrowski, prowincyał prowincyi polskiéj zakonu kapucynów [1]). Był to obchód pamiętny dla mieszkańców Warszawy, a gdy oddzielną kaplicę pod nazwą *Jana Sobieskiego* ozdobnie urządzono, tłumy ich ciągle ją odwiedzały.

Duży ogród otaczał zabudowania klasztorne, od ulicy osłoniony wysokim murem, który dochodzi do wielkiego pałacu Teppera, słynnego bankiera w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta, z bogactw, zaufania i bankructwa, które mnóstwo rodzin polskich do nędzy przywiodło.

Architektura nieosobliwa: zewnątrz podobna do wielkiéj skrzyni, ale wewnątrz urządzenie wspaniałe, pokoje obszerne i wysokie.

---

[1]) Mowa religijna przy uroczystym obrzędzie pogrzebu serca Jana III króla polskiego w kościele OO. Kapucynow, jako najłaskawszego tychże zakonu do Polski introduktora i klasztoru warszawskiego fundatora, miana d. 26 czerwca 1830 r. przez księdza Viatora Piotrowskiego prowincyała prowincyi polskiéj tegoż zakonu (Warszawa 1830 r. w 12-ce, str. 26).

Dotyka tego gmachu i zamyka po téj połaci rzęd domów Miodowéj ulicy pałac zwany „Biskupów Krakowskich“ (dziś Piotrowskiego) pod Nr. 496. W końcu XVI stulecia w tém miejscu, (1597 r.) stał obszerny dwór margrabiów Brandeburskich, w którym przemieszkiwali książęta pruscy, gdy stawali do składania hołdów królom polskim, lub przybywali w swoich potrzebach do stolicy Rzeczypospolitéj. Król Władysław IV z rodzeństwem swojém będąc właścicielami takowego, darowali na mieszkanie dla biskupów krakowskich. Przebudował go ozdobnie i w dzisiejszym prawie stanie zostawił słynny biskup krakowski Sołtyk. Bawiąc w Warszawie zamieszkiwał go sam z licznym dworem. Tradycya, która się pomiędzy mieszczanami warszawskimi przechowała, opowiadała co za wielka moc była jego dworzan i służby. Miał on swoich paziów i własną dragonią, a gdy z tego pałacu wyruszała jego kareta, piérwszy hufiec orszaku księcia biskupa już wjeżdżał w bramę królewskiego zamku. W końcu zeszłego wieku przeszedł na własność rządu. Tu się mieściły sąd apelacyjny, handlowy i sądu pokoju. Na dole był głośny handel win kupca Stryjkowskiego, który urzędnicy sądowi jak i adwokaci licznie odwiedzali [1]).

Częścią ulicy Senatorskiéj zwracamy się na plac króla Zygmunta, ażeby odwiedzić stary zamek warszawski.

---

[1]) Ogromny ten pałac na dwie ulice wychodzący, w r. 1822 oszacowany na milion dwadzieścia pięć tysięcy złotych, puszczony był na loteryą klasyczną. Czterech żydów wygrało go w roku następnym, od których nabyli go dwaj obywatele Warszawy: Tomasz Czaban i Łukasz Piotrowski; następnie, sam Piotrowski spłaciwszy Czabana, właścicielem został. Wysokie sale od Miodowéj ulicy, które stanowiły jedno tylko piętro, przerobił na dwa i na dole od Senatorskiéj ulicy długi rzęd sklepów urządził. Pałac ten w ręku rodziny Piotrowskich obecnie pozostaje. Pragnący więcéj szczegółów o domach na ulicy Miodowéj znajdzie w wybornéj monografii F. M. Sobieszczańskiego uczonego archeologa, który oddawna opracował historyczny opis miasta Warszawy. Z tego co znamy, możemy wnioskować, że będzie to praca jedyna w téj gałęzi literatury naszéj i zajmie najpiérwsze miejsce. Żałować potrzeba że znamy tylko urywki, a całości doczekać się nie możemy, lubo gotowa pod prasę drukarską

## X.

Zamek warszawski.— Stan jego od roku 1815 do 1830.— Sala tronowa. — Sala balowa.—Sala Rycerska.—Sala marmurowa.—Wizerunki królów polskich. Marceli Baccíarelli.—Posąg Zygmunta III: jego wróżby, projekta ozdoby Warszawy.—Zjazd nowy do Wisły.—Sprowadzenie wody bieżącéj do miasta.—Droga pod Wisłą.—Katedra czyli kościół ágo Jana.—Grobowe pomniki: Ostatnich książąt mazowieckich—braci Wolskich—Zygmunta Kazanowskiego.—Bartłomiej Nowodworski.— Pieśń Boga-Rodzica.—Pomnik Stanisława Małachowskiego. Skarbiec katedralny.—Galerya łącząca Katedrę z Zamkiem.— Brama Zamkowa.—Hołd Elektora Brandeburskiego.—Taras Zamkowy.—Wylew Wisły.— Straszna klęska.—Ratunek dawany.

W tém miejscu, gdzie dziś jest zamek królewski, stał kiedyś drewniany dworzec książąt mazowieckich, którego ściany zdobiły drogocenne gobeliny i dywany tureckie. Królowa Bona, wyjeżdżając na zawsze z Polski, opuszczając ten dworzec, obdarła wszystkie z tych kosztownych obić i zabrała do Włoch z sobą.

Zygmunt III przeniósłszy stolicę z Krakowa do Warszawy, zamek cały w ten kształt jak go dziś widzimy wymurował, i wyniosłą nad nim postawił wieżę, która jak napis na tarczy zegarowéj świadczyła, w roku 1622 ukończoną została.

Trzy miał podziały wtedy zamek: w pierwszym *Kastellu* gród czyli sądy warszawskich starostów i archiwa ziemskie: w drugim środkowym we właściwym gmachu, pokoje królewskie, izby *Senatorska* i *Poselska*, tudzież *archiwa* krajowych *metryk*: w trzecim mieszkał niegdyś podskarbi królewski, a późniéj były kuchnie i pokoje dworzan.

Syn i następca Zygmunta III, Władysław IV niemało przyozdobił to pomieszkanie monarsze, do czego użył znakomitego malarza i architekta nadwornego *Piotra Dankörsa* [1]). Niewiele mu przydał ozdoby Jan Kazimierz, ani Michał Korybut, a nawet i Jan Sobieski, którego uwagę zwracał głównie wzniesiony przezeń pałac Willanowski z ogrodem. August *Mocny*, bywał w Warszawie jedynie gościem, trawiąc życie wystawne w ulubionym Dreźnie. Syn jego August III, lubo częściéj przemieszkiwał w Warszawie, nic się nie przyczynił do przyozdobienia zamku, dopiero Stanisław August Poniatowski, uczynił zeń prawdziwą siedzibę królewską.

Gmach ten, równie jak całe miasto, doznawał klęsk w przeszłych wiekach. W roku 1655 Karol Gustaw, bez obrony zostawioną Warszawę zająwszy, zamek splondrował. W powtórnéj wojnie szwedzkiéj

---

[1]) Piotr Dankörsig znakomity malarz i architekt Władysława IV, wiele śladów pozostawił swego talentu w Wilnie, przy wzniesieniu kilku kościołów. Zamek Warszawski pięknemi budowlami przyozdobił i wewnętrzne sale przystroił. Wybornie portrety malował. W powrocie z Wilna do Warszawy, napadnięty przez dwóch żydów i raniony kilkakrotnie, konającą ręką tak swych zabójców odrysował wizerunki, że z nich poznano zbójców i schwytano. (Obszerną wiadomość o tym artyście podaje Tygodnik Wileński z r. 1817. Tom III).

z Karolem XII, generał Horn 1704 roku, zostawiony w mieście naszém z 1500 Szwedami załogi, widząc że całego grodu obronić nie może, zamknął się w zamku warszawskim: lecz po krótkim oporze musiał się poddać Augustowi *Mocnemu*. W roku 1767, spaliła się część tego gmachu od Krakowskiego-Przedmieścia, którą wkrótce Stanisław August ozdobniéj odbudować rozkazał.

Opiszemy stan jego, w jakim go oglądaliśmy od 1815 do 1830 roku.

Przez środkowe od dziedzińca podwoje wchodząc, pierwsza sala zatrzymywała ciekawe oko, ozdobiona widokami Warszawy i jéj okolic przez Canalletego. Przy wnijściu do obok będącéj kaplicy, stały dwa stoły mozajkowe, cenione na 12,000 czerwonych złotych. Sala *audyencyonalna* z malowidłem Bacciarellego, daléj *sala tronowa*; tło téj ściany, nad stojącym przepysznym tronem, ozdobione herbem królestwa, orłami srebrnemi. W około rozciągały się na piętrze galerye, które zajmowały damy i znakomitsze osoby, przy otwarciu sejmu lub jego zamknięciu, gdy król osobiście przemawiał.

*Izba poselska*, równie obszerna po drugiéj stronie zamku położona, miała także galerye piętrowe dla zgromadzonéj publiczności. Obok sali tronowéj gabinet *konferencyonalny* z portretami Stanisławowi Augustowi współczesnych monarchów: Katarzyny II, Fryderyka 11, Gustawa III, Józefa II, Ludwika XVI, Grzegorza III i Pijusa VI, upiększony arabeskami na dnie złotem i pysznemi zwierciadłami. Przypominam sobie pokój cały ze zwierciadlanemi ścianami i drzwiami, dziwne wywołujący wrażenie na tym, kto go pierwszy raz odwiedzał. Pamiętam, jak szlachcic z pod Grodna, który z nami zwiedzał szczegółowo zamek, gdy wszedł tu tak odurzał, że czołem tak silnie we drzwi zwierciadlane uderzył, iż mało ich nie rozbił, a sam się nabawił potężnego guza.

Sala *balowa* strojna w około w marmurowe kolumny ze złoconemi bronzami, a sklepienie jéj śliczném malowidłem Bacciarellego, wyobrażało Jowisza, wyprowadzającego świat z *chaosu;* z niego można było sądzić o talencie tego artysty. Współczesny organ krytyczny: *Gazeta Literacka* (z r 1822 N-r 36) tak je ocenia.

„Jakkolwiek wielka jest kompozycya, nie przeciąża jéj atoli mnogość osób, a te, które występują, są wszystkie działającemi. Harmonijny podział światła, wypływającego z jednego punktu, którym jest Jowisz, rzucający promienie po sklepieniu niebios, doskonałość rysunku w skróceniu figur z dołu widzianych, połączona z zaletą kolorytu, wykazuje wysoki styl Bacciarellego i jego znajomość starożytności."

Z téj sali wchodziło się do kaplicy zamkowéj. Za Stanisława Augusta odbywał się tu obrzęd w *Wielki Czwartek* umywania nóg dwunastu starcom, a w obok będącéj komnacie wieczerzę odprawiano.

Jedna z sal najpiękniejszych, była tak zwana *rycerska*, ozdobna sześcią wielkiemi obrazami z dziejów polskich pędzla Bacciarellego,

tudzież portretami sławnych Polaków. Salę tę za Zygmunta trzeciego zdobiły wielkie obrazy historyczne, pędzla nadwornego malarza Dolabelli, z których najgodniejsze wspomnienia: wzięcie Smoleńska 1611 roku i *tryumf* hetmana Stanisława Żołkiewskiego, tegoż roku odprawiony w Warszawie z wiernemi podobieństwami twarzy wszystkich przytomnych i uczestników tego okresu. Zachowały się te obrazy w zamku Warszawskim aż do początku panowania Augusta II Mocnego i wówczas zniknęły.

Z utworów Bacciarellego pierwszym był: Kazimierz Wielki, nadający ludowi wiejskiemu swobody; daléj: *Ustanowienie Akademii krakowskiéj, Hołd* Alberta księcia pruskiego, złożony Zygmuntowi pierwszemu; *Sejm Unii* w Lublinie 1569 roku za Zygmunta Augusta; *Traktat z Turcyą* pod Chocimem 1621 roku; Jan III wybawiciel Wiednia i Chrześciaństwa.

Gdy zwycięzka armia Napoleona I-go wkroczyła do Warszawy 1806 roku, podług wyboru Donona dyrektora Muzeum Paryzkiego, zabrano z tego zamku *hołd* Alberta, kilka widoków Canalettego, które późniéj zwrócone zostały.

Sala druga od wnijścia głównemi schodami od Krakowskiego-Przedmieścia, była jakby sypialnym pokojem Stanisława Augusta. Kilka jéj okien wychodzi na taras zamkowy bliżéj strony pałacu *pod Blachą*. W rogu jéj, w pobliżu komina stał za parawanem szklannym miękki szezląg, na którym król używać lubił drzemki po śniadaniu lub obiedzie, a wiadomo, jakim był smakoszem. Tu zaszła scena, którą słowami lekarza przybocznego tego króla, a ojca mojego, przywiodę, gdy, oprowadzając mnie po tych wspaniałych komnatach, stanął w téj sali i wskazując na owo miejsce mówił:

„Było to dnia 4 listopada 1794 roku, obok sali, gdzie król Jegomość drzémał, zostawałem na służbie. Nagle huk dział zabrzmiał od strony Wisły, a kula jedna armatnia, utkwiła w murze przy oknie zamkowém w téjże komnacie. Wstrząsła się ściana; po chwili słyszę krzyk przeraźliwy króla Jegomości: wpadam przerażony i znajduję króla siedzącego na szezlągu, na którym drzemał, wybladłego, drżącego, z wzrokiem osłupiałym, wskazującego prawą ręką w okno, zkąd widok na Pragę. Zacząłem go trzeźwić z apteczki podręcznéj, po kilku minutach odetchnął przecież i pierwsze słowa co wyrzekł, były:

— Czy widziałeś ją?

— Co takiego Najjaśniejszy panie?

— Ona stała w oknie i groziła mi strasznie. Nie odchodź na krok odemnie!

Podłożyłem mu pod głowę poduszki; po chwili spoczynku dopiero król mi opowiadał, że, zdrzemnąwszy się, nagle usłyszał huk straszny; ściany zamku zadrżały, a kiedy się zerwał na nogi i spojrzał w okno, w którém jeszcze szyby brzęczały, ujrzał wysoką postać niewieścią w długiéj, białéj szacie, jak większe pół okna zasłoniła.

Zwrócona była twarzą bladą i wielce smutną do niego, gdy zaś spojrzał w jéj oblicze, zadrżał na całém ciele, bo smutek zmienił się w wyraz groźby.

— Nie mów o tém nikomu, mój Jasiu,—mówił król, ocierając pot z czoła, nie wpuszczaj nikogo, a poślij dowiedzieć się, co się dzieje za Wisłą.

Spełnił to życzenie krola i do zgonu jego w tajemnicy zachował to zdarzenie.

Podanie dawne w rodzinie Poniatowskich niosło, że raz owa *biała niewiasta*, miała się ukazać ojcu króla, w przeddzień bitwy pod Pułtawą, gdzie skruszoną została potęga Karola XII; wypadek uwieczniony historycznem, polskiém przysłowiem: *Zginął jak Szwed pod Pułtawą*. Starzy wojownicy z pod chorągwi Napoleona I-go, opowiadali mi, że ostatni raz owa *biała niewiasta* pokazała się we śnie Księciu Józefowi Poniatowskiemu pod Lipskiem 1813 roku, w wigilią dnia jego zgonu, i że książe przed poufałym opowiadał swój sen i wróżył ztąd rychłą śmierć dla siebie. Nazajutrz, gdy się ukazał na koniu, był bardzo blady, zmieniony na obliczu i smutny.

Kulę armatnią, co utkwiła w owéj dobie w ścianie okna z lewéj strony, widziałem sam, bo mi ją ś. p. ojciec mój pokazywał, gdyśmy szczegółowo oglądali Zamek Warszawski w 1826 roku.

Stanisław August zdarzenie to miał widać na myśli uwiecznić, gdy polecił malarzowi nadwornemu Bacciarellemu, przedstawić je w dużym obrazie. Artysta szkic olejny podał królowi; w nim *biała niewiasta* w postaci anioła dziewicy do bioder obnażona, z rozwiniętemi białemi skrzydłami stoi, lewą ręką, jakby go naciskała do ugięcia kolana; jakoż Stanisław August przyklęka, pod nizką kolumną, na któréj widać portret męzki. U stóp téj kolumny, na poduszce leży berło i korona. Szkic się ten olejny przechował i mam go w swoim zbiorze; obraz zaś z niego malowanym nie był. Czy się pomysł Bacciarellego nie podobał królowi, czy pragnął zdarzenie, które taił w sobie inaczéj wyrazić, a rzeczywistych szczegółów artyście nie podał, to dziś już dla nas nieodgadniętą jest rzeczą.

Najwięcéj ściągała uwagę sala portretów królów polskich, w dawnym guście, któréj ściany całkowicie wyłożone były czarnym i czerwonym, krajowym marmurem, i ztąd nazwana *salą marmurową*. Stanisław August, pragnąc zgromadzić wizerunki wszystkich swoich poprzedników, wezwał Bacciarellego do odmalowania takowych według dawnych zabytków. Z gorliwością wyrównywającą talentowi swemu, wykonał artysta to zadanie trudne i zaopatrzył tę salę w portrety królów polskich, począwszy od Bolesława Chrobrego, aż do Augusta III. Ażeby zaś te wizerunki, o ile możności zatrzymały najwięcéj zbliżone podobieństwo, sprowadzono do Warszawy, za staraniem Stanisława Augusta, obrazy królów polskich, które się zachowały po starych zamkach i miejskich ratuszach. Duchowni dzielnie popierali ten zamiar monarchy, nietylko bowiem królów, ale i wielu innych wsła-

wionych mężów w dziejach krajowych, obrazy po katedrach i kościołach znalezione, nadsyłali do pracowni Bacciarellego. Mając tym sposobem kilka portretów jednego króla, obierał artysta za wzory, według połączonych zdań Stanisława Augusta, historyka Albertrandego i innych znawców, i własnego, te wizerunki, które najwięcéj razy były powtórzone. Tak, utrafiwszy podobieństwo mającego być odmalowaném królewskiego oblicza, usiłował Bacciarelli i na to nie szczędził starań i zabiegów, wynaleźć osobę najwięcéj zbliżającą się podobieństwem do tego króla, którego miał malować. Po takich przysposobieniach, dopiero jął się artysta do malowania portretu, a zachowując rysy obranego starego obrazu, i zgasłego życia śledząc w żywéj osobie, tak zręcznie godził zabytki spleśniałego wizerunku, z żyjącą naturą, iż całą galeryą portretów, któremi przyozdobił ściany *sali marmurowéj* zamkowéj, można było uważać za jedyne z całą ścisłością archeologiczną dokonane.

Jak się wyradzała w zewnętrznéj postaci i obliczu nasza społeczność, dowodzą trudności, jakie miał w wynalezieniu żywych typów do tych portretów, ale je wynajdywał przecież, jeżeli nie w Warszawie, to po dworach wiejskich i oddalonych w zaciszy okolicach. Dziś byłyby daremne starania. Do téj także liczby należy wizerunek Stanisława Augusta, wyobrażający go w naturalnéj wielkości, w ubiorze hiszpańskim i w takiéj postawie, w jakiéj wystąpił w czasie swéj koronacyi 1764 roku w Katedrze Ś-go Jana i w Zamku Warszawskim.

Podług tych portretów król kazał odlać z żelaza seryą całą, jaka była olejno wymalowana w *sali marmurowéj* w medalach małych, starannie i artystycznie, a wiernie wykonanych. Zbiór ten szacowny zdobi prywatne pamiątki i wiele egzemplarzy oglądaliśmy pozłacanych.

W czasie bytności panującego monarchy, powiewała z wieży chorągiew, obwieszczająca mieszkańcom Warszawy pobyt w jéj murach króla.

Ogród przy zamku, zwany *tarasem*, był maleńki, dla rozszerzenia przeto takowego, następnie po roku 1815, rozszerzono go wystawieniem dużych arkad, dwieście sążni długich, pod któremi publiczna droga, śmiałością pomysłu zadziwiała. Na nich nasypisko grube ziemi, dało możność zasadzić krzewy, kwiaty i drzewka i powiększyć dawny, szczupły *taras*.

Wśród obszernego placu przed zamkiem, stoi posąg Zygmunta III, który mu syn Władysław IV postawił, przed samą *bramą Krakowską*. Posąg sam Zygmunta, jest blizko na jedenaście stóp wysoki. Przedstawiony w zbroi i płaszczu królewskim, w prawéj ręce trzyma pałasz zakrzywiony, a w lewéj krzyż nieco wyższy od całéj osoby. Stoi na wysokiéj kolumnie z marmuru chęcińskiego. Podstawa jéj była otoczona słupami powiązanemi łańcuchami, a na niéj ze czterech stron, czytać się dają napisy uwielbiające zwycięztwa i wielkie tryumfy Zygmunta III.

Lud warszawski utrzymywał, że śpiżowa ta postać, ożywia się w chwilach stanowczych dla miasta i kraju, albowiem kiedy ma być wojna, krzywy swój pałasz w górę unosi. Straszna to była wróżba dla mieszkańców tego grodu! Jak podanie niosło sześć razy pałasz ten wznosił. Pierwszy raz poruszenie to ujrzano w roku 1655, kiedy Szwedzi Polskę napadli pod Karolem Gustawem, i kilkakrotnie wchodzili do Warszawy bijąc się w murach i burząc warownie. Następnie w roku 1792, a w 1794 sędziwy majster szewcki, kiedy ulicą Podwalem szedł raniutko na Mszę świętą do Bernardynów, ujrzał z przestrachem, jak posąg Zygmunta III, wzniósł w górę rękę z pałaszem, i na cztery strony świata zamachnął. Struchlał starzec na ten widok, jak z kościoła wrócił opowiadał swe widzenie w domu: wieść o tém po mieście gruchnęła: gromady ludu zbiegły się pod Krakowską bramę, ale król śpiżowy stał nieporuszony w dawnéj postawie; uważano tylko, że wyżéj niż zwykle pałasz swój trzyma. Toż zjawisko spostrzegano jeszcze w 1807, 1809 i ostatni raz w 1813 roku.

Posąg sam odlany z bronzu w Krakowie, Wisłą do Warszawy spławionym został. Dwa w zapas słupy Władysław IV kazał wyciosać pod Chęcinami z pięknego czerwonego marmuru, z których gdy dłuższy w dźwiganiu nieostrożném z miejsca, wpół się przełamał, drugi krótszy pod posąg użyto.

Do dziś dnia mieszkańcy Chęcin i okoliczni ukazują leżącą w pobliżu tego miasteczka górę zwaną *Zygmuntowską*, z tego powodu że właśnie z niéj wydobyto i wyciosano obiedwie te kolumny. Stał ten posąg nie wzruszony aż do panowania Augusta III, kiedy zapotrzebował naprawy: król go przeto polecił odnowić i pamiątkę tego na saméj kolumnie umieścił w tych słowach:

„*Opus amoris et honoris a Vladislao IV, patre suo Sigismundo III, Anno Domini MDCLIII erectum: prospere regnante Augusto III, Anno Domini MDCCXLIII renovatum.*"

W roku 1808 spostrzeżono że sam posąg na wierzchu ku jednéj się stronie przechylił, bo kolumna cała prosto i niewzruszenie stała. Nakazał przeto rząd Księztwa Warszawskiego potrzebną naprawę: w tym celu Jan Łuszczewski minister spraw wewnętrznych, stosowną na to summę przeznaczył. Restauracya zupełna skończoną została w roku 1811, na którą skarb publiczny 12,826 złotych polskich ówczesnych poniósł.

Kiedy zaczęto myśléć o upiększeniu Warszawy, podniesiono kilka równocześnie projektów ku temu celowi. Zaczęto najprzod od Zamku królewskiego.

Zrzucono Bramę krakowską i rzęd kamienic zapełniających plac dzisiejszy. W prostéj linii od posągu Zygmunta III, wyznaczono kierunek ku tarasowi zamkowemu, otwarcie zjazdu do Wisły i zbudowanie mostu stałego na Wiśle, niewątpiąc o możności wykonania, patrząc na ślady i szczątki tego, który zaczął Zygmunt August a Anna Jagiellonka ukończyła przy ulicy Mostowéj.

Plany po temu opracował z polecenia wyższego inżynier Jan Lelewel, brat rodzony historyka Joachima [1]). Mury pomiędzy frontem zamkowym, a kamienicą dotykającą je, miały być rozebrane i nasyp taki dany, ażeby spadek o ile być może był najłagodniejszy.

Dla otwarcia widoku na katedrę św. Jana przedstawiono zniesienie całéj ulicy Święto-Jańskiéj aż do rynku Starego Miasta, szeroki plac wysadzić lipami, kilka narożnych kamienic, dla otwarcia wjazdu na tenże rynek, rozebrać. Ponieważ jednocześnie zatwierdzony już był bulwark kamienny tak od strony Warszawy jak przedmieścia Pragi, dla ujęcia koryta Wisły i zapewnienia spławu; na place, jakie się utworzą po nad rzeką, przekupnie kramy ze Starego Miasta na nie przenieść miano, jako téż sprzedaż wszelkiego ryb gatunku.

Rynek cały zamienić w ogród, a w środku tryskać miała ciągła fontanna dla odświeżania powietrza, w tym prostokącie zacieśnionych kamienic i pozbawionych odpowiednich podwórzy. Przy rozroście coraz większym miasta zbadano, czyby go zaopatrzyć nie można bieżącą wodą, albowiem sprowadzanie jéj z Wisły tak nizko położonéj byłoby zbyt kosztownem.

Wysłani inżynierowie wkrótce złożyli pomyślne sprawozdanie. Od strony Jeziorny i Lipkowa można było przy pomocy małych grobel i nasypów, dostateczny zapas wody bieżącéj sprowadzić do Warszawy. Projektowano kanał szeroki, który przeprowadzony do Ogrodu Saskiego, w nimby napełniał stawy i ztąd części najdawniejszéj miasta, czystéj udzielał wody, a następnie podług dowolnego kierunku spływał do Wisły.

Zbiorowisko główne od téj strony zgromadzonych wód z tych mniejszych rzeczek i strumieni wypełniać miało kilka obszernych stawów pod okopami Warszawy, pomiędzy rogatkami Jerozolimskiemi a Marymontskiemi, które można było zarybić.

W roku 1828 Adam Idźkowski magister budownictwa i miernictwa, członek rady ogólnéj budowniczéj w wydziale przemysłu i kunsztów przy komissyi spraw wewnętrznych Królestwa Polskiego, po powrocie z Włoch jako członek akdemii sztuk pięknych we Florencyi, wydał ciekawy: „*Projekt drogi pod rzeką Wisłą dla połączenia Warszawy z Pragą, z dołączoném opisaniem i porównaniem systematu drogi pod rzeką Tamizą w Londynie, obejmujący razem prawidła i sposoby upowszechnienia dróg podziemnych w naszym kraju z wykazaniem ich korzyści*" (Warszawa, 1828 r. w 4-ce). Myśl ta Idźkowskiego żywe obudziła z początku zajęcie, ale były w niéj widać jakieś grube błędy, które gdy specyaliści wykazali, autor wypuszczone w handel księgarski egzemplarze wycofał i zniszczył. Ztąd rozprawka ta stała się rzadkością bibliograficzną.

---

[1]) Plany te przechowują się dotąd u rodzonego brata Jana, Prota Lelewela żyjącego.

To były najgłówniejsze projekta przyozdobienia miasta, a głównie strony jego od zamku królewskiego.

Ściśle z tym zamkiem połączony jest kościół katedralny Ś. Jana, galerya nawet wiedzie z siedziby królewskiéj do ściany przy wielkim ołtarzu, w któréj jest loża wygodna z oknami. W niéj królowie od Zygmuta III począwszy zwykli słuchać nabożeństwa.

Świątynia ta do najstarożytniejszych w naszym grodzie należy: sięga bowiem początkiem swoim drugiéj połowy XIII stulecia. Pierwotnie drewniana, dopiéro przez Janusza księcia mazowieckiego, co się wiele przyłożył do ozdoby Warszawy wymurowana r. 1390 i do niéj kolegium kanoników z Czerska w roku 1402 przeniesione zostało. W późniejszych wiekach niejednokrotnie przebudowywana.

W Wielkim ołtarzu godny jest widzenia obraz umyślnie dla tego kościoła malowany, przez znanego weneckiego artystę *Jacopo Palma Giovano*. Przedstawia Najświętszą Pannę otoczoną aniołami, u spodu św. Jan jako patron kościoła i św. Stanisław jako patron całego kraju.

Król Zygmunt III najwięcéj się do ozdoby tego kościoła przyłożył, zajmując się malarstwem i złotnictwem ofiarował do skarbcu tutejszego patynę z czystego złota i krucyfiksy własnéj roboty, które przechowywano, a kościół sam wielkiemi organami ozdobił.

Świątynia ta posiada najwięcéj historycznych pomników. Na piérwszy rzut oka zastanawiała wielka chorągiew *Mahometa*, zawieszona w pośrodku sklepienia tego kościoła, a zdobyta w roku 1683 przez Jana Sobieskiego w czasie pamiętnego zwycięztwa nad Turkami i oswobodzenia Wiednia.

Nagrobek po lewéj ręce przy wielkim ołtarzu zawiera w sobie zwłoki Stanisława i Janusza II, synów Konrada i Anny z Radziwiłłów, a ostatnich książąt Mazowieckich. Zakończyli oni długi szereg książąt-Piastów, co więcéj niż cztery wieki panowali w Mazowszu.

Dzieje tych dwóch braci są nadzwyczaj dramatyczne. Obaj w kwiecie wieku wprędce po sobie zakończyli życie i Mazowsze po ich zgonie ostatecznie do Korony wcielone zostało.

Książe Stanisław, na czele hufców dzielnych Mazurów, pomagając królowi Zygmuntowi I gromił przeważnie chorągwie krzyżackie. Potomek dzikiego Konrada I choć walecznego, który na przyszłą niedolę przytulił na Mazowszu włóczęgów krzyżackich, szukających kawałka ziemi, widząc rozrastający się zakon jak polip najemném żołdactwem Francyi, Burgundyi, Szkocyi, Anglii jak i całych Niemiec, okutém w żelazne zbroice, a przykrywających się płaszczem z krzyżem, z pod którego nieśli mórd i pożogę, teraz zobaczył błąd swego przodka i na ich karkach tępić musiał swój oręż. Rozbił tysiąc jazdy krzyżackiéj jak tyleż piechoty bitnéj a wprawnéj do boju, zdobył trzy ich nawet warowne grody nad granicą Mazowsza położone.

Objął rządy swego księztwa 1518 r. odznaczając się świetnemi przymiotami. Skromność łączył ze zdolnością umysłową, a do bie-

głości w zawodzie rycerskim łączył nieustraszone męztwo i odwagę. Dbały o pomyślność swego małego państwa, w roku 1523 na miejscu wiejskiéj osady, założył miasteczko, które od swego imienia *Stanisławowem* nazwał.

Brata jego i następcy Janusza krótko trwało panowanie, bo tylko ośmnaście miesięcy. Chociaż podobny był do Stanisława, w sile ciała daleko go przewyższał. Współcześni widząc z jaką łatwością wyrzucał w górę ogromne kamienie, zrywał grube sznury i łamał podkowy, jak bez natężenia naciągał cięciwy w łuku, wierzyli że miał podwójną kość pacierzową. Barczysty, szerokich piersi, twarzy przyjemnéj, którą nieco nos zakrzywiony i spłaszczony szpecił. Szlachta mazowiecka wielkim żalem przyjęta po tak rychłéj śmierci dwóch młodych książąt, nie bacząc na ich niewstrzemięźliwe życie, czém sobie zgon przedwcześnie przyspieszyli, łatwo uwierzyli podejrzeniu, że obaj czarami zgładzeni zostali. W żalu swym nie znała miary, na kogo padło tylko podejrzenie zginąć musiał. Posądzone dwie kobiéty o udział w mniemanéj zbrodni, nanieciwszy stos wielki na placu przed *Bramą krakowską* żywcem wśród strasznych męczarni upiekli, jak to ze zgrozą obecny świadek kronikarz Bernard Wapowski opisuje. Co jeszcze większéj dodawało żałoby, to, że Księztwo Mazowieckie traciło swą dawną udzielność i włączone zostało do Korony, że ginęła droga Mazurom rodzina Piastowska, a ród nowy Jagielloński zajmował ich dzierżawy odwieczne [1]). Niestetyl i ten ród nie długo istniał, bo zgasł wraz z Zygmuntem Augustem w pół wieku późniéj. Pomnik ostatnich książąt Mazowieckich wyrobiony jest z czerwonego marmuru: obie postacie naturalnéj wielkości pokryte zbroją, z łańcuchami rycerskiemi na szyi, z chorągwią w ręku, spoczywają obok siebie.

Grobowiec ten ozdobiony kolumnami z czarnego marmuru, pomiędzy któremi wyobrażenie Zbawiciela na krzyżu srebrne, na aksamicie czerwonym z ramami srebrnemi. Pod posągami obszerny napis w języku łacińskim opowiada imiona i cnoty ostatnich ze szczepu książąt Mazowieckich, którym przywiązana siostra księżniczka *Anna* Mazowiecka, w gorzkiéj boleści i smutku, ten grobowiec wystawiła.

Z piękniejszych pomników jakie wówczas zdobiły tę starożytną katedrę, wydatniał grobowiec dwóch braci *Wolskich:* Mikołaja biskupa włocławskiego i Stanisława kasztelana sandomierskiego, zmarłych za Zygmunta Augusta. Są oddani w naturalnej postaci z kamienia piaskowca, jeden w szatach uroczystych biskupich, drugi w pełnéj zbroi. Na pamięć zaś ich miłości braterskiéj, tuż obok siebie, we wspólnych objęciach spoczywają.

---

[1]) Obaj młodsi książęta skończyli na suchoty. Obszernie ten dramat cały opisałem w dziele: *Szkice historyczne i z domowego życia niedawno ubiegłéj przeszłości.* Kraków 1869 r.

Wchodząc wielkiemi drzwiami po lewéj stronie znajdował się nagrobek w mniejszych rozmiarach *Zygmunta Kazanowskiego* starosty kokenhauskiego. Przedstawiony na nim zmarły w postaci klęczącéj przed obrazem Matki Boskiéj: czapka z piórem i buzdygan przy nogach leżą. Zygmunt III wybrał go jako doświadczonego wojownika do ćwiczenia w sztuce wojennéj syna swego królewicza Władysława. Był to dzielny rycerz, do którego skroni, jak wyraża o starych naszych ojcach Woronicz, hełm przyrósł, bo od lat młodych do siwizny wciąż go dźwigał.

Równie dzielny bojownik spoczął w téj katedrze *Bartłomiéj Nowodworski*, życie jego stanowić może oddzielną księgę i w dziejach Zygmunta III zajmuje nie jednę kartę. Nietylko że sam niósł życie w ofierze, ale bezżenny, jako kawaler maltański, bogate swe mienie łożył chętnie na naukę młodzieży, wspieranie jéj, na druki książek różnych. Był to typ wspaniały starego rycerstwa; zwolennik dawnych zwyczajów, nie małe usiłowania położył, ażeby pomiędzy wojownikami obudzić pamięć śpiewu hymnu *Boga-Rodzicy*, który śpiewywano przed każdém rozpoczęciem bitwy [1]). Kazanie Fabiana Birkowskiego wydał swoim kosztem, a do tego przyłączył i ten hymn, polecając go towarzyszom broni. Tutejszéj katedrze zapisał sumę na te czasy znaczną, bo 2,000 złp. owoczesnych pod warunkiem, aby za duszę jego dwa razy na rok odprawiano nabożeństwo i na grobie jego wtedy odśpiewywano Boga-Rodzica. Pragnął bowiem aby duch jego po śmierci mógł się radować odgłosem téj pieśni. Przez wiele lat tak jak pragnął, cieszył się cień wielkiego wojownika melodyą hymnu Boga-Rodzica nad własnemi popiołami; nie wiadomo za czyją sprawą obowiązek ten święty dla pamięci zmarłego poszedł w zaniedbanie; śladów nawet grobowca Nowodworskiego nie znalazłem. Umarł on w Warszawie 1625 roku, na pogrzebie jego w téj katedrze miał mowę Jakób Sobieski, ojciec króla Jana III, a towarzysz broni i przyjaciel zgasłego męża.

Spoczywają tu znany historyk biskup *Albertrandy*, pierwszy prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk; *Marceli Bacciarelli*, co tyle pięknym pędzlem przyozdobił zamek warszawski i pałac królewski w Łazienkach. Zwracały uwagę portret z mozajki Michała Poniatowskiego prymasa, tudzież biskupów Raczyńskiego i Antoniego Okęckiego kanclerza wielkiego koronnego.

---

[1]) J. U. Niemcewicz, który miał nieraz genialne pomysły, napisał tragedyą *Zbigniew*, z chórami, którą widziałem przedstawioną na teatrze narodowym. Układ cały dramatu doskonale odpowiadał swéj treści. Zbigniewa grał słynny w owe czasy *Werowski*, który tak całą postacią, jak obliczem i głosem, artystycznie odtwarzał tę historyczną *figurę*.

Po prawéj stronie od wielkiego ołtarza przy bocznéj ścianie świątyni, w ostatnim roku okresu, który bierzemy pod pióro, w 1830, stanął jeden z najwspanialszych pomników znanego chlubnie w dziejach z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta, marszałka sejmu Stanisława Małachowskiego (zmarłego 1809 r.) podług rysunku Wojciecha Thorwaldsena, a wykonany przez znakomitego rzeźbiarza w Rzymie Franciszka Maksymiliana *Laboureur* Rzymianina. Znanym on jest pod imieniem *Cavalere Massiliano* i był prezydentem akademii w Staréj Romie.

Wielki ten pomnik z białego karraryjskiego marmuru wyciosany, przedstawia u góry postać zmarłego męża w todze rzymskiéj: w jedném ręku trzyma zwój papieru, w drugiéj długą złoconą laskę jako godło godności, którą za życia tak zaszczytnie i szlachetnie piastował. Niżéj, na podstawie, z krajowego mármuru chęcińskiego stoją dwie figury wyobrażające: jedna rycerza w rzymskim stroju, który trzyma w ręku sztandar, jakiego używało wojsko polskie za czasów Księztwa Warszawskiego, a druga zasmuconą niewiastę z *koroną murową* na głowie, która się wspiera na tarczy z herbami dawnéj Polski. Na sarkofagu złoconemi głoskami mieści się napis łaciński, podający nazwisko, tytuły i cnoty zmarłego. Pomnik ten odwiedzały tłumy warszawian: jednych przyciągała żywa jeszcze pamięć męża, drudzy zbiegali się z ciekawości oglądać znakomity utwór sztuki rzeźbiarskiéj, który jak wieści niosły wtedy, kosztował rodzinę Małachowskich dziesięć tysięcy dukatów.

Jako w starożytnéj katedrze liczne są tu kaplice; najwięcéj zaś odwiedzaną była po lewéj ręce od wielkiego ołtarza, gdzie słynący cudami Zbawiciel na krzyżu rozpięty. Wiara powszechna była u ludu warszawskiego, że włosy na głowie Chrystusa ciągle odrastały, które kapłani obcinali corocznie przy odpowiedniéj modlitwie i pobożnym jako drogie *relikwie* rozdawali. Trwało to do czasu, dopóki grzeszna ich ręka nie dotknęła, od téj chwili już więcéj włosy nie odrastały.

W skarbcu katedry przechowywano patynę i krucyfiksy własnéj roboty Zygmunta III, z których już przed rokiem 1830 tylko jedna patyna pozostała. Najpiękniejszym zabytkiem sztuki była tablica mosiężna, grubo w ogniu złocona, mająca odlew od ręki cyzelowany, a wyobrażający w półfigurze w stroju rycerza, kawalera maltańskiego. Był to jedyny zabytek z grobowca Bartłomieja Nowodworskiego. Dlaczego zaś oderwany z miejscą właściwego został i przezto ślad ostatniego spoczynku bohatérskiego męża zatracony, w saméj katedrze nie masz żadnéj wiadomości.

Utkwiły w pamięci mojéj świetne i okazałe nabożeństwa w czasie *rezurekcyi* w Wielką Sobotę, jako téż odpustowe na *Przemienienie Pańskie:* największe jednak wrażenie we wspomnieniach lat pacholęcych robiły trzy msze poranne w dzień pierwszego święta *Bożego-Narodzenia.* Zbudzony o ciemnym zmroku, jeszcze zaspany, zrywałem się z posłania, ażeby z ojcem, matką i siostrami zdążyć na nabożeń-

stwo. Każde z nas już miało swój stoczek woskowy i książkę do nabożeństwa.

Jakaś szczególnie majestatyczna powaga otaczała wnętrze téj świątyni, którą ciemność zalegała. Zwolna ta pomroka się rozjaśniała wraz z napływającym ludem a każdy zapalał stoczek czy świecę. I wkrótce tysiące świateł migotliwych błyszczało jasnym płomieniem, oświecając liczne ołtarze, kaplice i pomniki grobowe, które jakby nowe i nieznane ukazywały się oczom naszym. Po nabożeństwie żwawo wracaliśmy do domu, dopiéro na śniadanie: jakże ono nam smakowało, z jakąż je radością serdeczną spożywaliśmy, oddawszy Bogu co się należało.

Wracając z nabożeństwa od Fary, nieraz mi ojciec wskazywał na bramę wjazdową zamku wprost Piwnéj ulicy, przy któréj na tronie Władysław IV odbierał hołdy lennych książąt. Żywa jeszcze tradycya zachowywała wiele szczegółów uroczystego obrzędu, gdy młody Fryderyk Wilhelm elektor brandeburski przybył do Warszawy dla złożenia hołdu i pozyskania zatwierdzenia na swoją dostojność. W kronice Warszawy zapisał się dzień 7 października 1641 roku, w którym ruch niezwykły rozbudził życie całego miasta. Elektor zamieszkiwał w pałacu Ujazdowskim, który był w rozporządzeniu królewskiém; ztąd konno otoczony licznym orszakiem dworu swego i rycerstwa polskiego, zbliżał się do Warszawy przez Krakowskie Przedmieście.

Władysław IV w dniu tym po południu zasiadł na tronie przed pomienioną zamkową bramą wspaniale przystrojoną, w ubiorze koronacyjnym, otoczony gronem ministrów i dworskich urzędników, w pośród dwudziestu senatorów, na swoich krzesłach według porządku prawem przepisanego zasiadających.

Czterej komisarze elektorscy przystąpili z uszanowaniem do tronu i przyklęknąwszy upraszali króla, aby pan ich do przysięgi na lenność Księztwa Pruskiego przypuszczony został: na co kanclerz zezwolenie od króla oświadczył.

W tę chwilę nadjechał młody Elektor. Dwóch marszałków wielkich, spotkało go przy schodach zamkowych, gdy zsiadł z konia i przyprowadziło przed króla. Wtedy zbliżywszy się do tronu, oddawszy głęboki pokłon, w długiéj mowie po łacinie prośbę swoją o przyjęcie hołdu powtórzył; na co kanclerz koronny od tronu krótko odpowiedział. Wtedy przyklęknąwszy, przysięgę na ewangelią za rotą czytaną od kanclerza przed królem wykonał, po któréj dyplom pargaminowy na lenność Prus król mu oddał. Zaco, gdy z pochyloną głową Władysławowi dziękował, król go podniósł z kolan i na krześle obok siebie posadził. Przy tym obrządku, posłowie od dwóch książąt z domu Brandeburskiego, według prawa do dotknięcia się chorągwi lenniczéj przypuszczeni byli i kilku z orszaku Elektora na rycerzy od króla, mieczem podług zwyczaju, pasowanych było.

Wieczorem *bankiet* u dworu dzień ten zakończył.

Zamek stoi na wyniosłém wzgórzu od Wisły; przedtém zanim wymurowano długie arkady i na nich założono ogród, tak zwany *taras*, był szczupły i wązki.

Dla ułatwienia komunikacyi z wybrzeżem Wisły, wiodły od zamku kryte schody aż na sam dół na parę pięter niżéj. Schodziłem niemi z wielką zawsze obawą, bo okna je mało oświecały i wieczna w tém przejściu pomroka panowała, lubo codziennie setki mieszkańców nadwiślańskich niemi przechodziło.

Z tego *tarasu* wyniosłem żywe wspomnienie strasznego wylewu Wisły w 1813 roku. Młoda, świeża pamięć zachowała obraz ten straszny we wszystkich najdrobniejszych szczegółach, na który z trwogą i przerażeniem spoglądałem.

Ścisk był wielki na tarasie zamkowym, rzeka wezbrała do niesłychanéj wysokości. Cała Praga zalana, dachy i kominy tylko z domów widać było, na których mieszkańcy wołali rozpaczliwym głosem o ratunek. Cała okolica zawiślańska, jak okiem zajrzéć, zniknęła, tylko woda z białą pianą po niéj szumiała. Na dwie przeszło mile w około, wylew się ten srożył, do wsi *Kobyłki* łodziami dopływano.

W Warszawie całe wybrzeże nad Wisłą, było pod wodą; wszystkie ulice, jak Furmańska, Bednarska, Rybaki, Solec i inne zalane: mieszkańcy ratowali się jak mogli. Od czasu do czasu, w pośród krzyku rozpaczy i rzewnego płaczu, rozlegał się huk, jakby strzału armatniego, albo grzmotu blizkiego. To w szychtach drzewa pękały wiązadła, a kloce sosnowe, dębowe, brzozowe i olszowe, spadały w otchłań wodną i porwane bystrym prądem rzeki, z jéj biegiem płynęły do Gdańska. Za każdym takim hukiem, po chwili ukazywały się kłody drzewa, które odważniejsi flisy, oryle i rybacy, łowili, jako dobrą dla siebie zdobycz.

Biała woda na Wiśle, zkąd ją dawniéj słusznie *Białą wodą* zwano, zanim teraźniejszą przybrała nazwę, pokrywała się coraz więcéj jeszcze bielszą pianą, co wróżyło jeszcze nowy, większy przybór. Na tym rozlewie nieprzejrzanym okiem, od czasu do czasu ukazywały się różne przedmioty, zwracające uwagę tłumu patrzącego z zamkowego tarasu.

Widziałem płynące zabudowania, drewniane domy, obory, stajnie, chlewy, a obok nich konie przywiązane do żłobu, od którego oderwać się nie mogły, bydło i owce i mnóstwo sprzętów rozmaitych. Nagle krzyk na tarasie zagrzmiał: „Dziecko! dziecko! ratujcie dziecko.” Był to głos zebranych kobiet, a serce obecnych matek wydało ten krzyk przeraźliwy. Jakoż rzeczywiście płynęła kołyska z dziecięciem, ale jakby Bóg je miał na oku, spłynęła z najbystrzejszego prądu rzeki i zwróciła się na zakręt spokojnéj wody, gdzie już pieniste fale nie biły.

Na ten okrzyk, jakiś młody, dorodny człowiek, przedziera się przez tłumy i zbiega na dół, gdzie łodzie stały; siada w jednę wraz

z przewoźnikiem, dopływa do kołyski, wydobywa z niéj niemowlę w poduszce, w górę po nad głową podnosi, ukazując piękną zdobycz. Cały *taras* zamkowy zadrżał od okrzyku radosnego i grzmotu oklasków. Kobiety ze łzami wykrzykiwały vivaty! Mężczyzni klaskali. Wkrótce nadbiegł z dziecinną młody wybawca. Matki otoczyły go gęstym wieńcem, całowano, ściskano, przytulano do piersi drobne niemowlątko; wreszcie, gdy się nie mogły pogodzić, komu je na wychowanie oddać, na wniosek jednéj, ciągniono *supełki* i w pośród największéj ciszy, oczekiwano stanowczego losu. Najmłodsza p. majstrowa, szewcowa z Dunaju wyciągnęła *supełek;* z jakąż radością porwała tę dziecinę i uniosła z tarasu wśród tłumu, który się jéj z uszanowaniem ustąpił i otworzył drogę.

Nagle liczne głosy: „patrzcie! patrzcie! co za nieszczęście!" zwróciły moją uwagę. Po wzburzonych falach rzeki płynął wiatrak, co chwila przechylając się na wszystkie strony. Na małym ganeczku, stała młoda młynarka z dzieciątkiem u piersi, z okrzykiem przestrachu wołająca ratunku i miłosierdzia ludzkiego. Wszystkich oczy przyrosły do téj postaci i wiatraka; nieszczęśliwa matka stała tylko w koszuli, jak ze snu się zerwała: włos jéj bujny, spadał na ramiona.

Po chwili ukazały się dwie łodzie, dążące na ratunek; w większéj stała jakaś niewiasta wyniosłego wzrostu, smagła, obwinięta szalem. Sześciu rybaków posłusznych jéj skinieniu, kierowało tą łodzią. Na drugiéj mniejszéj, siedział z dwoma rybakami wybawca niemowlęcia w kołysce. Obiedwie zdawały się prześcigać. Tymczasem wiatrak, zatrzymany nieznaną zaporą, nagle się pochylił; łódka mniejszą pierwsza przy nim stanęła, ale tak ją fale rzeki podrzucały, że dopiero przy pomocy większéj, stanęła silniéj, dotarłszy do wiatraka. Młynarka, zmęczona przestrachem i wysileniem trzymania się na ganeczku ciągle chwiejnym, blizką była omdlenia, kiedy pomoc tak pożądana i potrzebna nadpłynęła. Teraz obiedwie łodzie już stanowiły pokład bezpieczny i młody wybawca niemowlęcia, pomógł młynarce do zejścia. Pani stojąca na większéj łodzi, pochwyciła podaną dziecinę, przytuliła do piersi i okryła tureckim szalem; młynarka, gdy się na pokład dostała, omdlała i w takim ją stanie przywieziono pod taras zamkowy, gdzie otrzeźwiona, wsiadła z ową odważną panią, co niosła swe życie na jéj uratowanie, do stojącego na podwórzu zamkowym pojazdu i znikła z przed oczu. Jedni ją nazywali księżną, drudzy hrabiną, ale kto była właściwie, nikt rzeczywiście nie wiedział. Przewoźnicy tylko z uszanowaniem oddali jéj pokłon, bo każdy z nich otrzymał w darze po pięć dukątów w złocie.

Niedługo nowy widok zwrócił uwagę wszystkich stojących na tarasie. Płynęła gruba i długa kłoda drzewa, na któréj siedziało dwóch ludzi. Fale z biegiem wody, szybko ją gnały ña przód, a nadto obracały na wszystkie strony. Jeden zręczniejszy, potrafił równowagę utrzymać, ale drugi, czy więcéj zestraszony, czy mniéj zwinny, gdy się kłoda obróciła, zsunął się w nurty rzeki, a szukając ratunku,

uchwycił się jéj obiema rękami. Wtedy siedzący na niéj, czując, że ten ciężar coraz więcéj kłodę wykręca, ze zwinnością kota, posuwa się na niéj i pięścią uderza w ręce splecione nieszczęśliwego towarzysza swego.

Ten podły, samolubny postępek, wyciska okrzyk zgrozy w całym tłumie na tarasie, biédak pod uderzeniem silnéj pięści rozszczepił ręce i zanurzył się w toniach, a jego zabójca popłynął daléj. Wkrótce jednakże Bóg, jakby w oczach wszystkich, chciał doraźnie zbrodnię ukarać, ocalił z głębi wód topielca, bo warszawscy rybacy, gdy bałwany go wyrzuciły, zdołali pochwycić i uratować, gdy na kłodzie płynący, dopędzony nową szychtą drzewa, zwalony do rzeki, już nie miał ocalenia i w pobliżu tarasu zniknął na zawsze w spienionych falach.

Wylew ten straszny, zaczął się dnia 29 sierpnia 1813 roku i mnóstwo rodzin zubożył. Wszyscy zamożni handlujący drzewem, ponieśli wielkie straty, bo ułożone w pobliżu wybrzeża Wisły tak kloce drzewa *w szychty*, jak *w sążnie* porwała woda i uniosła daleko. Gdy most zerwanym został i spłynął także z wodą, komunikacya zerwana z Pragą, gdzie sprowadzone na rzeź woły i konie, które miały być przeprowadzone na targ na Muranow, potonęły. Cóż mówić o secinach rodzin tak w Warszawie w po nad Wiślu, jak na Pradze zamieszkałych, którzy, ratując tylko życie, całe swoje mienie utracili.

Wśród téj klęski, mieszkańcy Warszawy rąk nie opuścili. Natychmiast z jednéj strony Towarzystwo Dobroczynności, z drugiéj utworzone na ten raz *Towarzystwo Ratunkowe*, pod przewodnictwem gorliwych obywateli i obywatelek, zabrały się energicznie do zbierania funduszów na ratunek *topielców*. Oprócz hojnych składek, do których chętnie wszyscy należeli i najubożsi swój grosz wdowi dokładali, widowisko w Teatrze Narodowym, oraz koncert w kościele księży Pijarów, dały niemały zasób do zapomogi.

Artysta dramatyczny L. A. Dmuszewski, upamiętnił datę téj bolesnéj klęski napisaniem komedyo-opery: *Wezbranie Wisły*, wiérszem w jednym akcie, która przedstawioną była na teatrze tegoż roku. Gdy ją wydrukował, taki na czele położył przypis:

„Towarzystwu Dobroczynności w mieście Warszawie, obywatelom i obywatelkom majątkiem, staraniem, talentami, nieszczęśliwym wsparcie niosącym, pracę niniejszą autor z uszanowaniem poświęca."

## XI.

Pałac pod Blachą.— Książe Józef Poniatowski.— Pani hr. de Vauban.— Dwór zfrancuziały. — Mundur przyjaciół księcia Józefa.— Wojtuś z Jabłonny. — Ludwik XVIII król francuzki i dwór jego. — Imieniny pod Blachą.— Dyanna i Psyche. — Dworek na Czerniakowskiéj ulicy. — Anusia z Powiśla.— Stary retman i opiekunka sieroty.— Ucieczka Anusi. — Stanisław ***.— Pani Stanisławowa. Jéj syn.— Rok 1806.— Teatr narodowy.— Dramat Andromeda.— Napoleon I.— Rok 1809. — Bitwa pod Raszynem. — Śmierć Cypryana Godebskiego.— Książe Józef i Murat.—Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego. — Pogrzeb uroczysty w Warszawie.— Elster rzeka.

Tuż przy zamku od strony Krakowskiego Przedmieścia i wybrzeży Wisły, wznosi się pałac zwany „pod Blachą,“ wybudowany przez Jerzego Dominika Lubomirskiego, który w miejsce dachówki pokrył go blachą. Była to osobliwa nowość w całém naszém mieście i ztąd otrzymał swą nazwę. Król Stanisław August w dwunastym roku swego panowania 1776 r. zakupił go i wcielił do zamku.

Leży on poniżéj w parowie biegnącym do Wisły i dlatego od jéj wybrzeża ma wysokie piętrowe podmurowanie. Po obu stronach ciągną się aż pod bramę zamkową oficyny: w środkowym pałacyku pokoje szczupłe i małe, lubo są i salony.

Widok z okien prześliczny na rzekę, Pragę i zawiślańskie dalekie okolice.

W kronice Warszawy uwiecznił pamięć pałacu pod Blachą książe Józef Poniatowski, który w nim przemieszkiwał w końcu zeszłego stulecia i w pierwszych latach naszego wieku. Zmiany jakim cały kraj ulegał, a w krótkim przeciągu czasu i Warszawa, ubogaciły te wspomnienia nietylko pomiędzy pracowitym ludem, ale w buduarach i salonach magnatek polskich, a wątkiem i osnową tych ostatnich była francuzka, pani de Vauban.

Książe Józef Poniatowski skończywszy swój zawód publiczny raz jako wódz naczelny (1792 r.), a następnie jako generał pod rozkazami Tadeusza Kościuszki (1794 r.), po śmierci stryja swego Stanisława Augusta, opuścił kraj i bawił w Wiedniu z siostrą swoją hrabiną Tyszkiewiczową.

Prusacy zajęli Warszawę, która upadała: gmachy w niéj wielkich panów opustoszały i szły w ruinę; wtedy książe wraca stęskniony do starego grodu i osiada w pałacyku pod Blachą. W jego tropy zjawia się pani hrabina de Vauban emigrantka francuzka, wraz ze swoim mężem. Czy to był mąż rzeczywisty, czy tylko dla przyzwoitości odegrywający tę rolę, nie wiadomo, lubo wielu zbliżonych o prawdziwym ich związku małżeńskim wątpiło. Za pojawieniem się zajmuje mieszkanie w pałacu pod Blachą, szczycąc się dostojną opieką i przyjaźnią księcia Józefa.

Hrabia de Vauban pospolity Francuz, nieokazujący nawet żadnéj ogłady salonowéj tak powszechnéj między niemi, nie odznaczał się niczém więcéj, jak tylko zdolnością oddawania ról w komedyach francuzkich, które dla rozrywki księcia Józefa odegrywano na scenie, czyli na tak zwanym *theatre de Société*.

Francuzka ta wysoka, chuda, już podżyła, wcale nie urodna, od razu skoro przybyła do Warszawy, zaraz rozgospodarowała się w pałacu pod Blachą i zaczęła grać rolę gospodyni domu księcia Józefa. Jaki zaś jego był stosunek do pani de Vauban, nie wiadomo: dziwiono się tylko, że siostra księcia, hrabina Tyszkiewiczowa, tego stanowiska nie zajęła, jako kobiéta nietylko urodzeniem, ale przymiotami i wyższém ukształceniem, mająca do tego wszelkie prawa.

Blizcy księcia zwali ją „starą papugą," bo rzeczywiście prowadziła życie jak ten ptak rozpieszczony w klatce. Udawała, że ciągle jest cierpiącą, dręczona bezustannie spazmami, świeżego powietrza znieść nie mogła: latem nawet w karecie zamkniętéj jeździła, zimą się prawie nie ruszała z ogrzanych mocno pokoi. Jadała tylko najdelikatniejsze potrawy, które kucharz księcia Józefa w pień wyklinał. Nie znosiła najmniejszego hałasu, a kto chciał się do niéj zbliżyć, musiał na palcach chodzić, nie mieć skrzypiącego obuwia i cicho mówić.

Dziwna rzecz, że tak rozgrymaszona francuzica potrafiła nietylko rządzić całym dworem księcia, ale co dziwniejsza, że poddały się jéj władzy prawie wszystkie magnatki polskie zamieszkałe w Warszawie, lub przybywające na czasowy pobyt. Do tego przyszło poniżenia, że gdy należało jéj oddać wizytę któréj z pań bywających pod Blachą, zajeżdżała do niéj, lokaja z biletem swoim posyłając z przeprosinami, że dla słabości zdrowia wysiąść z pojazdu nie może, ale może się rozmówić, jeżeli raczy ją odwiedzić, w karecie. I owe panie uszczęśliwione zbiegały do niéj ze wspaniałych swych komnat i w karecie odbywały się konferencye. Taki rodzaj odwiedzin zwano „wizytami hr. de Vauban."

Jak wysuszała kieszeń księcia, to zostało tajemnicą, ale wynalazła sobie oddzielne jeszcze sposoby wyzyskiwania i to grubo przyjaciół księcia, którzy mu towarzyszyli. Pod rozmaitemi pozorami wymyślała składki na biednych emigrantów francuzkich: to urządzała loteryę na liche fanty, to opłaty dla biednych przy dawanych widowiskach teatralnych pod Blachą, a te hojne dary szły wprost do jéj kieszeni.

Książe stęskniony do kraju i do Warszawy, w któréj tyle lat życia przepędził i tylu wspomnieniami pięknemi był przywiązany, osiadł w niéj ochotnie; ale nie mając żadnego zajęcia, wiódł życie hulaszcze i to jedna ciemna karta w jego biografii, którą uniewinnić musimy położeniem kraju i brakiem jakiéjkolwiek podstawy do działania w życiu publiczném. Zarzucano mu, że dał się zawojować takiéj francuzce, że dwór jego, co powinien z godnością się przedstawiać, nie miał żadnéj polskiéj cechy, bo wszystko w pałacu pod Blachą zcudzoziemczało: że było jego obowiązkiem stać wzorem dla innych, a nie oddawać w urągowisko mowy ojczystéj, zwyczaju i obyczaju narodowego i ulegać zachciankom awanturnicy francuzkiéj, która kłamstwem i przebiegłością zdobyła sobie tak wydatne stanowisko w pa-

łacu pod Blachą. A dopomagali jéj najwięcéj przyjaciele księcia, ich żony i krewniaczki dorodne.

Na dworze synowca ostatniego Piasta, od pana do ostatniego służki wszystko na wskroś francuzkie: starzy dworzanie na boku stojąc, smutnie na te zmiany spoglądali. Cudzoziemska atmosfera otoczyła blaskiem swoim cały pałac pod Blachą, tuż pod starym zamkiem, w którym panowało teraz grobowe milczenie, wśród pustych wielkich sal i wspaniałych komnat królewskiéj siedziby.

Jak niegdyś książe Karol Radziwiłł *panie kochanku*, założywszy w Albie pod Nieświeżem Towarzystwo przyjaciół swoich, dał im w odznaczających się barwach mundur Albańczyków; tak książe Józef bawiąc w swéj majętności w Jabłonnie o dwie mile od Warszawy, przyjął dla siebie i swoich druhów mundur przyjacielski, ażeby się całe Towarzystwo lepiéj odznaczało w społeczności polskiéj. Był to frak popielaty z czarnym kołnierzem, złotem skromnie haftowanym: nosić go jedynie mogli ci, którzy należeli do wiernych towarzyszów księcia, za jednomyślném zezwoleniem wszystkich. Strzeżono pilnie, ażeby nikt się go nosić nie poważył, a zuchwalec jeden, który przywdział ten mundur nie mający do tego prawa, w dwukrotnym pojedynku postrzelony w nogi, przez parę lat o kuli tylko mógł chodzić. Przyznać téż potrzeba, że jeżeli bywały pustoty przywiązane do tego munduru, żadna go podłość, ani nikczemność nigdy nie splamiły.

To rozróżnianie się przecie wśród złamanéj społeczności i tak w owe czasy pognębionéj Warszawy, to życie huczne i wesołe, przyjaznego miru zjednać nie mogło ani księciu, ani jego towarzyszom. A jednak grunt serca pana pałacu pod Blachą, pomimo usterków, był zawsze zacny i pełen porywów szlachetnych.

W podaniach chłopków z Jabłonny zachowywała się wdzięczna pamięć księcia Józefa. Na końcu téj wsi, po pod lasem, mieszkała uboga wdowa Małgorzata Gil z ośmioletnim jedynakiem Wojtusiem. Chata jéj zapadła w ziemię: gospodarstwo po śmierci męża niszczało, bo rady sobie biedna kobiécina dać nie mogła. Kiedy gospodarz umarł, pacholę to dopiéro drugi rok liczyło; na koszta pogrzebu poszła para wołów, przyszedł nieurodzaj i klęska gradu: podwaliny w chałupie spróchniały, a nie było ręki pomocnéj.

Wojtuś chłopczyna wątły ale sprytny, już od piątego roku życia nauczył się zręcznie ptaki łowić to w samotrzaski, to w sidła z końskiego włosienia: sprzedawał je potém dwa razy tygodniowo w Warszawie na „Zapiecku“ i zarobkiem tym pomagał nie mało swojéj matce. Na przednówku o chleb coraz ciężéj było. Wojtuś całą klatkę nałapał szczygłów, czyżyków, a przytém dwa kosy i szpaka. Zdobycz to była nie lada, a pieniądz wzięty za nie, da matce chleba na tydzień.

Bywało dawniéj że pacholę przysiadało się na furę którego z gospodarzy wioskowych i wracało z nim razem; ale w tym dniu jakoś żadnego nie było widać: szło więc sobie piaszczystym gościńcem, trzymając klatkę w ręku.

Ale zaledwie Wojtuś od matczynéj chaty odbił się o paręset kroków, gdy ujrzał jadących konno wielu panów, a całą uwagę zwracał jego pan najdorodniejszy, jadący na czele. Chłopak się zagapił na ten widok i nie dostrzegł, że klatka się otwarła i ptaszki jeden za drugim wyfrunęły na swobodę. Jak zobaczył klatkę próżną, tak mu omdlały z przerażenia nogi, że usiadł na wzgórku i gorzko płakać zaczął.

Zobaczył to ów pan, co jechał najpierwszy, zwrócił swego konia ku niemu i pyta dlaczego tak rzewnie płacze? Chłopię opowiedziało mu wiernie swoje zmartwienie, niedolę matki i ukazało mu zapadłą chatę, a pan ów na to dobył z kieszeni dukata i dał zdziwionemu pacholęciu.

Wojtuś pierwszy raz w życiu zobaczył złoty pieniądz, zarzucił więc klatkę na plecy i kłusem przybiegł do matki, któréj szczegółowo opowiedział swoje spotkanie. Gdy to wdowa usłyszała, plasnęła w ręce i zawołała:

— Adyć to nie kto inny tylko nasz książe!

— Książe! odrzekł zdziwiony chłopak, a on podobny do innych ludzi, tylko ładniejszy, bo jednako był ubrany ślicznie z drugiemi panami.

W parę godzin, gdy wdowa wraz z synem na kolanach gorąco się modliła przed obrazem Matki Bozkiéj Częstochowskiéj, wszedł jakiś pan do izby.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pokój temu domowi!

Obejrzy się wdowa i w téj chwili krzyknęła:

— Wojtusiu! to nasz pan! nasz kochany książe, plackiem mu do nóg!

I sama, klęcząc, zwróciła się do księcia Józefa, pochylając pokornie głowę.

Książe, dorodne pacholę pogłaskał po zarumienionéj twarzyczce, matce dał dziesięć dukatów, a w tydzień późniéj, kazał jéj zbudować nową chatę, uprawić grunta, dał parę wołów i krowę dojną; tak odrazu uposażył wdowę, że z nędzy przyszła do zamożności. Małe chłopię pomiędzy gospodarzami Jabłonny, otrzymało nazwę: *Wojtuś księcia*.

W jedenaście lat potém, gdy zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego przywieziono do Warszawy, w orszaku pogrzebowym Wojtuś na czele gromady włościan Jabłonny, niósł chorągiew bractwa, ocierając łzy serdeczne rękawem sukmany granatowéj, a przy nim szła jego matka już pochylona wiekiem, płacząc, jak bóbr, rzewnie.

Bawiono się hucznie w pałacu *pod Blachą*. Pani de Vauban była niewyczerpaną w pomysłach coraz nowych rozrywek: to widowiska sceniczne, to bale, to mniejsze tańcujące wieczorki, wreszcie gry towarzyskie z dowcipkami francuzkiemi, które dały początek tak zwanym *Bureux d'esprit*, które ztąd i do innych towarzystw wyższych w Warszawie przechodziły, boć to znana nasza choroba

naśladownictwa chętnego Francuzów. Wpływ i znaczenie tak towarzystwa zbierającego się *pod Blachą*, jak i saméj pani de Vauban jeszcze się znakomicie wzmogły, gdy w roku 1801 przybył do Warszawy Ludwik XVIII król francuzki, pod imieniem hrabiego *de d'Isle* wraz z małżonką swoją, z książętami *d'Angouleme*, z licznym dworem do czterdziestu osób i zajął dom Wasilewskiego na Krakowskiém-Przedmieściu, gdzie przed nim mieszkali Ignacy Krasicki i pani Grabowska.

„Król francuzki, (pisze F. Kozłowski w swoim pamiętniku), przyjechał do nas z Rossyi. Widzieć go nieraz można było stojącego na małym, narożnym balkonie, postaci otyłéj i często z nogi na nogę przestępującego, we fraku szaraczkowym, białéj kamizelce, spodnie *z sierge-gris* i kamaszach aksamitnych: cierpiał bowiem na pedogrę. Włosy nosił w tył podfryzowane i pudrowane. Na przechadzkach często w ogrodzie Saskim wraz z księciem i księżną d'Angouleme bywał; tę ostatnią znano w Warszawie z dobrych uczynków i litościwego serca dla biednych. Życie hrabiego było kosztowne, zwłaszcza stół, który po królewsku utrzymywano. Ogrodnicy ubiegali się z dostarczaniem najświeższych i najrańszych ogrodowizn, które dwór jego sowicie płacił. Kurnicy przyspasabiali się w jak najlepszy drób' i zwierzynę, których cena wtenczas znacznie się podniosła, gdyż Francuzi, nie targując się, płacili, co który zażądał. Przystęp był do niego niełatwy, unikał bowiem wszelkich towarzystw i znajomości, słynął zaś u nas jako dobry tancerz i helenista. Książki rad czytywał i bawił się sławnym swoim zbiorem brylantów. Sama królowa światła i także uczona, była małego wzrostu, szczupła i śniada na twarzy, chętnie odwiedzała nasz teatr, kiedy grywano ulubioną jéj operę: *Przerwana Ofiara* [1]).

Pani de Vauban korzystała umiejętnie z bytności rodziny królewskiéj w Warszawie; łatwo, jako francuzka, znalazłszy przystęp, otworzyła gościnne podwoje pałacu *pod Blachą* na przyjęcie dostojnych emigrantów. Młody książe de Berry, który zakochał się w jednéj

---

[1]) Ludwik XVIII przeniósł się następnie do pałacu obok kościoła księży Bernardynów (gdzie dziś resursa obywatelska), latem zaś mieszkał w tak zwanym „białym domku“ w Łazienkach i wtedy bywał na mszy w kościołku ujazdowskim, na miejscu którego wznosi się obecnie pałac Belwederski. Król francuzki mieszkał w Warszawie do 25 lipca 1804 r. (T. M. Sobieszczański: „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych czasów, aż do roku 1807.“ Warszawa, 1848). Do wspomnień kamienicy Wasilewskiego, o któréj już mówiliśmy, a dziś nie istniejącéj należą: że do r. 1772 miał w niéj księgarnię swoją Jan August Poser, a całe piérwsze piętro zajmował słynny bankier Kabryt i płacił za nie niesłychanie drogo, bo 1500 dukatów rocznie. Po jego bankructwie, zajął je 1801 r. król Ludwik XVIII.

młodéj, powabnéj mężatce z towarzystwa pani de Vauban, wraz z książętami de Grammont, de Henry, z hrabią Damas d'Avaray i innemi bywali chętnie na balach i wieczorach w pałacu *pod Blachą*. Znajdowali bowiem tu piękne i urocze zarówno dziewice, jak i mężatki wybornie mówiące po francuzku, a gaszące powabem słynne paryżanki, które dla tych przybyszów miały serca chętne i otwarte, bo nie zapomniały o lekkomyślności dworskiéj z niedawnéj doby Stanisława Augusta.

Tak od XVIII stulecia wpływ francuzczyzny ustalał się coraz więcéj w społeczeństwie warszawskiém, jak i całego kraju. Potrzeba téż umiejętności tego języka, stawała się coraz naglejszą dla młodzieży nawet męzkiéj, która marzyła o legionach, walczących we Włoszech pod sztandarem szczęśliwego wodza, jakim był Napoleon Bonaparte.

Pomimo licznych sarkań na dwór *pod Blachą*, sam książe Józef był najpopularniejszą postacią w Warszawie i zwracał na siebie oczy jéj mieszkańców. Znali go zarówno bogaci kupcy i obywatele, jak rzemieślnicy, uliczniki miasta i ubóstwo, a piękne panie nasze dobijały się z niesłychanym zapałem o względy dorodnego synowca nieboszczyka króla.

Głośnym był téż wypadek, który opowiadano sobie przez długie lata, jaka scena zaszła w ozdobnych komnatach tego pałacyku.

Dwie panie kochały się na zabój w księciu Józefie, a były to przyjaciółki, których mężowie, spadkobiercy historycznych imion i starych herbów, należeli do wyrzutków w zdrowéj społeczności krajowéj.

Jaka to była tych dwóch pań szczera przyjaźń, nie wchodzić nam w to bynajmniéj; współzawodniczki do serca księcia bywały u siebie, ściskały się i całowały, razem rozmyślały, jakie mu najmilsze *siurpryzy* robić, a skrycie jedna pod drugą dołki kopała, ażeby przyjaciółkę usunąć, a saméj pozostać obok przedmiotu swéj gorącéj miłości.

W marcu, w dzień S-go Józefa, przypadały imieniny księcia. Za życia króla stryja, głośno je i hucznie obchodziła cała Warszawa. Były to hołdy publiczne składane księciu, a płynęły z serca i dobréj woli. Zmieniły się czasy. Solenizant odsunął się od swoich; przebywał jedynie wśród murów pałacu *pod Blachą* albo w *Jabłonnie*, otoczony tylko nieliczną swoją drużyną; obywatele miasta usunęli się téż od niego. Marcin Molski nawet, ów wszystkim winszujący poeta warszawski, rocznicy téj nie uczcił ani jednym wiérszem.

Dzień ten smutne obudził w duszy księcia wspomnienia. Pani de Vauban przygotowała dla niego teatr francuzki i wieczór tańcujący; w pałacu *pod Blachą* był ruch niezwykły od samego rana.

Książe Józef po bezsennéj nocy, zdręczony marami przeszłości, wybrał się do Jabłonny na przejażdżkę i ze zmrokiem miał wrócić. Otóż owe dwie panie postanowiły mu lepszą *siurpryzę* zrobić, aniżeli *stara papuga francuzka*. W tym celu, nakupiwszy ozdobnych wiele

cacek i sprzęcików, obić kosztownych i dywanów, przekupiwszy lokaja Francuza a ulubieńca księcia, skrycie je zwiozły i sypialnią jego zupełnie przestroiły. Same, z bijącém sercem, poprzebierane jedna za *Dyannę*, druga za *Psychę*, w tych kostiumach mytologicznych, które odkrywały wszystkie ich wdzięki i kształty, oczekiwały z bijącém sercem na powrót drogiego solenizanta.

Zmrok ciemny zapadł, sypialnia księcia biła łuną jasną, bo panie rozpaliły lampy i świeczniki przywiezione z sobą. Woń kadzideł drogocennych napełniła całą komnatę. Przy jarzącém świetle obiedwie cudnie wyglądały i kamerdyner Francuz spoglądał na nie w niemém zachwyceniu. Nagle turkot powozu dał się słyszéć na podwórzu pałacowém, książe wracał z przejażdżki, ale nie sam, wiódł z sobą młodą i piękną aktoreczkę, która miała właśnie odegrać tego wieczora jednę scenę na teatrzyku *pod Blachą*.

Zdziwiony niezwykłą jasnością w swéj komnacie, kiedy przestąpił jéj progi ze swym powabnym gościem, nagle przerażonym został dwukrotnym okrzykiem, który wydały razem *Dyanna i Psyche*. Ostatnia, więcéj żywa, porwała za wazon i rozbiła o podłogę; przyjaciółka *Dyanna*, poszła w jej ślady, druzgocąc piękne, alabastrowe figury, czary i drobiazgi z porcelany.

Nagle książe z towarzyszką swoją otoczeni zostali skorupami w około, i gęstą kurzawą, a wśród niéj, jak dwa widma, uwijające się postacie pań rozgniewanych. Kiedy zniszczenie darów przywiezionych, które można było potłuc lub poszarpać, zostało dokonane, obiedwie sprawczynie téj ruiny, opuściły komnatę przed chwilą tak wytwornie przystrojoną.

Książe Józef prędko po téj burzy orzeźwiał, a wtedy porwał go śmiech pusty, i nigdy weselszym nie był, bo pożegnał na zawsze *Dyannę i Psyche*. Bawił się téż tego wieczoru wybornie, zapominając o troskach które go gnębiły od poranku wspomnieniami lat ubiegłych [1]).

Krótkie to były chwile jego zabawy: wśród braku poważnego zajęcia, gdy dawniéj prowadził tak czynne, obozowe życie, orzeźwiające trudy wojenne, teraz uczuł znudzenie i wstręt do tych pań przepachniałych najcudniejszemi woniami paryzkiemi. Łatwe zwycięztwa zwykle mało się cenią: był w tém właśnie i książe Józef położeniu. Duszną mu była atmosfera pałacyku *pod Blachą*, drażniła go i gniewała nieraz opieka, troskliwość i gospodarka *pani de Vauban*, ale nie

---

[1]) J. I. Kraszewski wypadek tych dam lubo w odmiennym nieco sposobie, opowiedział ze zwykłym sobie talentem w wybornem dziele p. n. „*Wędrówki Literackie, fantastyczne i literackie*“. (Wilno 1838 roku) w ustępie *Imieniny*, tom I. My trzymaliśmy się ściśle miejscowéj tradycyi, która te szczegóły przechowała.

śmiał z nią zrywać: szukał tylko po za murami smutnéj Warszawy oddechu swobodnego na świeżém powietrzu i piękności natury, nie tylko w krajobrazach, ale ucieleśnionéj w uroczą postać dziewczęcia. Opowiem tu zdarzenie, które wielki rozgłos miało w swoim czasie nie tylko w Warszawie, ale w kraju, a głównych bohatérów sam blizko znałem.

W wycieczkach częstych zamiejskich, z początkiem wiosny zwiedzał książe wybrzeża nadwiślańskie w towarzystwie kilku przyjaciół swoich. Kiedy wolnym stępem przejeżdżał przez *Czerniakowską* ulicę, zwrócił uwagę jego tłum flisów krakowskich, zgromadzonych przed starym dworkiem drewnianym, na którego ganku, z jednéj strony wystawiona *wiecha* z gałęzi sosnowéj, z drugiéj zawieszony *krzyż czerwony*, zwiastowały szynk piwa, wódek i sprzedaż krajowego miodu.

Wśród tego tłumu dojrzał dziwnie uroczéj piękności dziewczynę, mającą lat 16 lub 18, która ze szczególnym wdziękiem napełniała szklanki piwem i miodem zebranym flisakom lub téż kieliszki wódką. Uroda tego dziewczęcia była tak uderzającą, że olśniony nią książe Józef, zwrócił konia do tego dworku i poprosił o czarki miodu dla siebie i swoich towarzyszy.

Grono flisów weszło do izby na lepszy częstunek, a piękna szynkareczka wkrótce nadbiegła, i podała na tacy trunek żądany. Zarówno książe jak i przyjaciele jego, w niemém zachwyceniu spoglądali na nią; ta, widząc tyle oczów tak pięknych panów zwróconych na siebie, skraśniała jeszcze żywszym rumieńcem i powabniejszą była. Książe dobył garść dukatów z sakiewki i sypnął złotem na tacę, towarzysze jego niemniéj byli hojnemi.

Dziewczę to było sierotą: ojciec stary żołnierz, potém wyrobnik, po śmierci ukochanéj żony sam wprędce poszedł za nią a jedynaczkę przytuliła do siebie właścicielka tego dworku i szynku. Sierotka, gorliwą pracą i usługą odpłacała się wdzięcznie swojéj opiekunce. Gorliwość jéj była nieraz podziwem dla saméj gospodyni: najraniéj wstawała, najpóźniéj się kładła, a w domu utrzymywała ład i czystość niezwykłą. Zwano tę sierotę *Anusią z Powiśla*. Kiedy z tacą pełną złota stanęła przed opiekunką i opowiedziała szczegóły o panach co przyjechali, gospodyni wybiegła na ganek, i ujrzawszy cały orszak jeźdźców, pokręciła głową, i zamyślona wróciła do izby.

— Ktoby to był ten piękny pan, co sypnął całą garścią dukatów, i ci drudzy panowie, nie wiecie matulu?—zapytała Anusia.

— A któż ich tam zna—odrzekła zapytana—jacyś z Warszawy panowie, co niemając co robić w mieście, włóczą się po powiślu i szukają tego czego nie zgubili.

— A czegoż oni szukają? pyta z podziwieniem dziewczę.

— E! co ci to potém wiedzieć: ot zwyczajnie próżniaki i zbytnicy!

Tłum flisów coraz się zwiększał, bo nowe tratwy z drzewem i workami zboża nadpłynęły, a na ich czele przybył stary *retman*,

przyjaciel gospodyni, a ojciec chrzestny Anusi. Wielka radość była gdy go obiedwie ujrzały; obdarzył też je gościńcami: dla gospodyni przywiózł dwa ogromne bochenki chleba *promnickiego*, a dla swojéj chrześniaczki, sznurek korali krakowskich.

Na drugi dzień o téjże porze ukazał się, ale sam tylko ów piękny pan na dzielnym rumaku, co wczoraj sypnął garść dukatów, i zażądał miodu. Gdy mu go Anusia podała na tacy, zsiadłszy z konia, ujął jéj drobną, kształtną choć narobioną rączkę, i zaczął słodkie słówka szeptać. Gospodyni już go miała na oku, był i stary *retman*, prosiła go więc aby zobaczył co to za jeden, co się tak żwawo do Anusi zabiera.

*Retman* z fajką w zębach, z kapeluszem na bakier wyszedł na ganek: ale zaledwie spojrzał, fajka mu z ust wypadła, kapelusz spadł z głowy, i starzec podniósłszy prawą rękę do czoła jakby salutując stanął wyprostowany jak smukła sosna. Ów pan puścił rękę dziewczęcia, gdy zobaczył postawę sędziwego *retmana*, zbliżył się więc, położył dłoń na jego ramieniu i rzekł dźwięcznym głosem:

— A gdzieżeś służył mój kolego?

— W pułku Mirowskich, Mości Książe.

Anusia na te słowa uciekła, gospodyni jak skamieniała, choć chciała dygnąć nie mogła: książe Józef skłonił głową, wsiadł na swego wierzchowca i odjechał.

Odtąd co dzień do tego dworku przybywał, ale zaledwie zniknął na załamie ulicy, pojawiał się równie dorodny młodszy jeszcze pan, jeden z jego towarzyszów, który gorliwsze jeszcze zaloty, około zachwycającéj sieroty wyprawiał. Te wycieczki księcia nie ukryły się w pałacyku *pod Blachą*: książe posmutniał i zamyślony mało mówił. Piękne panie, towarzyszki zabaw *pani de Vauban*, wkrótce się dowiedziały że cel ich spojrzeń i westchnień, zakochał się i to nie na żarty w młodéj szynkareczce na powiślu. Jedna za drugą na wyścigi zaczęły zajeżdżać do starego dworku aby ją zobaczyć, a ujrzawszy, osowiałe wracały, przyznając że ta szynkareczka i w salonach pańskich mogłaby wdziękami zajaśnieć.

Zacna gospodyni w głowę zachodziła, co ma sobie z temi jak zwała *processyami* począć: bo co dzień to książe pan, to wystrojone damy z Warszawy zjeżdżały patrząc jak na *raroga* na Anusię. Po długiéj naradzie z retmanem, przykazała swojéj wychowance, ażeby jak książe przyjedzie, chowała się do alkowy. Dziewczę ściśle wypełniało rozkaz swéj opiekunki, która z radością zobaczyła, że wielkiego to jéj zmartwienia nie zrobiło: nie wiedziała bowiem że serce biednéj sieroty biło dla innego.

Książe Józef, raz, drugi i dziesiąty, zawiedziony w swoich nadziejach, rzadko się kiedy pokazał, ale w jego miejsce ów młodszy towarzysz zaglądał codziennie, tylko zawsze najpierwéj witał panią gospodynię.

Po dniu pogodnym wiosenna nadciągnęła burza i z nią deszcz ulewny, po nim zadęła wichura: czarne chmury pokryły niebo, a bałwany wiślane biły białą pianą o wybrzeża wśród grzmotów, łyskawic i piorunów, opustoszały wszystkie ulice. Na zamkowym zegarze uderzyła dziesiąta godzina wieczorna, kiedy karetka wyjeżdżała nagle ze starego dworku na powiślu, a dwa siwosze wyciągniętym kłusem niosły ją do miasta. Obok niéj, wyniosłéj postaci jeździec okryty płaszczem, galopował na dzielnym gniadoszu. W karetce siedziała już w średnim wieku pani, tuląc w swém objęciu płaczącą rzewnie *Anusię z powiśla.* Wprędce karetka stanęła na podwórzu przed mieszkaniem moich rodziców, i obiedwie podróżne weszły do mojéj matki wraz z towarzyszem swoim.

— Oto jest moja sierotka, mówił do mojéj matki całując ją w rękę, o któréj tyle razy wspominałem; oddaję ją pod opiekę drogiéj pani, a jutro już będzie miała odpowiednie dla siebie schronienie. Siostra moja wraz z panią odwieziecie Anusię do klasztoru. Jakoż nazajutrz pomieszczoną została u *panien Wizytek*, ażeby potrzebne wykształcenie otrzymała.

Tymczasem we dworku na powiślu stał się rozruch wielki, gdy opiekunka daremnie swéj wychowanki wołała. Zniknęła jak kamień w wodę. Płaczu i żalu było wiele, przez noc całą spać biedna kobiecina nie mogła. Nazajutrz, stróż przyniósł jéj list który doręczył mu jakiś posłaniec konny, z poleceniem ażeby zaraz pani dworku oddał. Zaledwie zdarła pieczątkę, gdy z wielkiém podziwieniem odczytała pisanie od owego młodego pana, a w końcu dopisek ręką Anusi, którym uspakajała swą opiekunkę, donosząc zarazem że uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa, i nie długo ucałuje ręce swéj dobrodziejki.

I było rzeczywiste dla niéj niebezpieczeństwo, bo przyjaciele księcia Józefa, mjeli wykraść piękne dziewczę i zawieźć pod opiekę *pani de Vauban* do *pałacu pod Blachą.* Uprzedził ten zamiar zgubny dla sieroty *Stanisław**** towarzysz księcia, który szczerze ją umiłował, a pozyskawszy jéj serce wykradł wcześniéj i po dwóch latach nauki w klasztorze panien Wizytek, zawiódł na stopnie ołtarza, i osiadł z nią w *Stanisławowskiém* na Mazowszu w swoim majątku. Na ślubie który się odbył u *Trynitarzy* na *Solcu*, była poczciwa opiekunka Anusi i stary retman jéj ojciec chrzestny, z płaczem radosnym błogosławiąc państwa młodych.

Książe Józef pokochał się zapamiętale w pięknéj szynkareczce, i sam się przyznał że pierwszy raz uczuł prawdziwą wtedy miłość; kiedy się jednakże późniéj dowiedział o wszystkiem, nie miał żalu do *Stanisława**** dziękował mu serdecznie, że nie dał się zmarnować tak ślicznemu stworzeniu.

W kilkanaście lat późniéj, poznałem piękną *Anusię z powiśla* już jako *panią Stanisławową* u mojéj matki, do któréj przyszła w odwiedziny. Wtedy to, chociaż dzieciuch jeszcze, zachwycony byłem jéj wdziękami. Patrzałem z podziwieniem na tak piękną panię, a po jéj

wyjściu usłyszałem całe to zdarzenie, które mi matka moja ze szczegółami *opowiedziała*. W późniejszych latach poznałem starszego jéj syna i z nim kolegowałem. Z twarzy przypominał wiele urocze oblicze swéj matki, rysy podłużne, kształtne i regularne. Szczupłéj postaci, zdawał się wątły, a jednak w tak słabym na oko organizmie mieściła się żelazna odwaga, i bohatérska pogarda śmierci!

Jeżeli gdzie żyjesz—przyjm me pozdrowienie braterskie!

Nadszedł rok 1806. Pod jesień Prusacy w Warszawie w niepokoju się kręcili. Zaszła pamiętna bitwa *pod Jeną*, gdzie runęła cała potęga pruska. Król i królestwo pruskie zostało na łasce cesarza Napoleona pierwszego. W końcu listopada tegoż roku, Niemcy uciekli z Warszawy, przed kikunastokonnym *patrolem* dragonów francuzkich.

Z pałacu *pod Blachą* znika z mężem *pani de Vauban*, a pan tego gmachu, jakby zbudzony z długiego letargu, występuje już w godnéj swego imienia i przeszłości postawie.

Pałac *pod Blachą* inną przybiera barwę: sam *książe Józef* jak i towarzysze jego zrzucają przyjacielskie szaraczkowe fraki, a przywdziewają żołnierskie mundury. Znikają z komnat pałacowych wonie perfum paryzkich, umilkły miękkie melodye śpiewów i muzyki salonowéj, a w to miejsce rozlegały sią po nich brzęk ostróg, szczęk pałaszy i odgłos trąb i bębnów. Najpierwsi marszałkowie i generałowie Francyi jak *Davoust*, *Ney*, *Massena* i wielu innych, oraz książe *Murat* ów z walecznych najwaleczniejszy, w przepysznym, chociaż nieco teatralnym stroju, nieraz zasiadali u stołu gościnnego w pałacu *pod Blachą*, wznosząc zdrowie Napoleona pierwszego, *zbawcy świata*, jak wówczas wszyscy się wyrażali, i uprzejmego gospodarza księcia Józefa.

Zaledwie się rozgościła zwycięzka armia, dnia 14 stycznia 1807 roku *teatr narodowy* dał widowisko dla uczczenia cesarza Napoleona, który się znajdował na tém przedstawieniu. Ludwik Osiński w tym celu wybrał odpowiednią treść z mitologii, zastosowaną do okoliczności owoczesnych i napisał dramat liryczny wierszem p. n. *Andromeda*, którego przekład francuzki złożono cesarzowi, ażeby osnowę sztuki lepiéj zrozumiał [1]). Książe Józef towarzyszył Napoleonowi na tém widowisku, a nie długo po niém opuścił swoją siedzibę pod *Blachą*.

W roku 1809 zawitał do niéj na krótki pobyt za najściem niespodziewaném armii austryjackiéj; zaszła pamiętna bitwa dnia 19 kwietnia 1809 roku. Mieszkańcy Warszawy z trwogą nadsłuchiwali

---

[1]) Utwór ten wyszedł z druku p. n. *Andromeda, dramaty liryczne w jednym akcie wierszem, reprezentowane w Warszawie 14 sytycznia 1807 roku w obecności Napoleona cesarza Francuzów. W Warszawie 1807 roku.* (Tekst polski i francuzki, w 8-ce stronnic 48). Utwór ten w zbiorze pism L. Osińskiego wydanych przez F. S. Dmochowskiego pomieszczonym nie został.

jak o jéj mury odbijały się salwy artyleryi, wielu biegło na najwyższą wieżę kościoła ewangielickiego, żeby zobaczyć krwawą walkę, w któréj 8000 pod wodzą księcia Józefa, staczało bój zacięty z 40,000 armią nieprzyjacielską. Wkrótce straszna wieść nadpłynęła o zgonie pułkownika *Cypryana Godebskiego* żołnierza-poety: z przerażeniem widziano jak młoda jego małżonka, a matka dwóch synów, biegła z rozwianym włosem od ich kołyski, na pobojowisko. I ujrzała tylko martwe ukochanego małżonka zwłoki. Na czele swego pułku VIII piechoty, wstrzymuje Godebski dziesięć kroć liczniejsze zastępy nieprzyjaciół. Pada koń pod nim, spokojnie przesiada na drugiego. Otrzymuje postrzał w lewą nogę, ale tém nie wzruszony, idzie naprzód, gdy odbiera drugi śmiertelny postrzał poniżéj w piersi i z konia spada. Przywiązani żołnierze unoszą go na płaszczu z pola boju, bo błagał ażeby uniknął niewoli. Gdy z zemdlonym upływem krwi, odpoczywano na ustronném miejscu, odebrał jeszcze nowy postrzał w lewe udo i rzekł spokojnie: „*Więc i ty mnie jeszcze nie mijasz*“! Były to ostatnie jego słowa. Sierżant grenadyerów dzielny *Żorawski* odwoził go bryczką do miasta na ręku swoich. W drodze spotyka nieszczęśliwą wdowę. „Gdzie mój mąż, gdzie pułkownik“ pyta zadyszanym głosem. Mężny grenadyer wskazał co trzyma na swojém łonie. Już była noc późna gdy przybył do Warszawy, ranny nie mógł być opatrzonym, w ciągu godziny ubiegła go krew do ostatniéj kropli.

Nazajutrz pułk ósmy piechoty, któremu dowodził poległy Godebski wszedł w mury Warszawy ze spuszczoną bronią, i ze sztandarem osłonionym krepą: na wszystkich twarzach dzielnych żołnierzy, zczernionych dymem prochowym i kurzawą bojową malował się rzewny smutek. Zaledwie ujrzano w mieście pułk ten przechodzący krokiem zwyczajnym ulice, kierując się ku Pradze, płacz i jęk bolesny rozległ się wszędzie, serca wszystkich zadrżały rozpaczą nad stratą żołnierza-poety. Zwłoki złożono na Cmentarzu Powązkowskim i uczczono ozdobnym z kamienia pomnikiem, który dotrwał naszych czasów. We 12 lat po jego zgonie syn starszy Ksawery Godebski wydał jego wszystkie pisma w 2 tomach p. n. *Dzieła wierszem i prozą Cypryana Godebskiego.* Warszawa 1821 roku, przy których dołączono popiersie poległego pułkownika.

Pałac pod Blachą był wtedy chwilowym szpitalem: książe Józef cofnął się i Warszawa poddać się musiała. Losy wojny wkrótce się zmieniły: szczęśliwy zwycięzca, w dzień Bożego Ciała w nocy, skrycie opuścił jéj mury. Zbudzeni ze snu mieszkańcy, z podziwem ujrzeli miasto swobodne od Austryaka. Z jakąż radością obchodzili ten majestatyczny obchód w uroczystéj procesyi. Lud zaś uwiecznił tę chwilę ulubionym krakowiaczkiem:

„Oj książe Ferdynandzie, cóż ci się to stało?
Uciekłeś z Warszawy w samo Boże Ciało.“

który brzmiał w daleko późniejszych latach, na każdéj ochocie serdecznéj.

Ucichła wrzawa wojenna—grzmiała ona daleko od Warszawy. Z pola bitew nadbiegały wieści o *brawurach* Murata i księcia Józefa. Z nich zapamiętam jak opowiadano pod Blachą o wypadkach dnia jednego. Książe Józef oskoczony nagle przez liczną jazdę, daremnie usiłował przebić się przez jéj gęste zastępy, gdy Murat nadbiegł i wyswobodził księcia. Tegoż dnia z dwoma adjutantami Murat odbił się od obozu, i wszedł na wieżę kościoła wiejskiego dla obejrzenia okolicy, gdy niespodziewanie jazda nieprzyjacielska oskoczyła dokoła. Zaledwie zdążono dobrze drzwi zamknąć, kiedy połowa ich zsiadłszy z koni i wziąwszy belkę na ręce, rozchuśtawszy ją, biła w oddrzwia jak taranem, które pod tak silnemi ciosami, pękać zaczęły i chwiać się w zawiasach. Murat nieustraszony, pierwszy raz zasępił czoło, gdy nagle jak z obłoków spada książe Józef ze swym szwadronem służbowym, i rozbija cały oddział szturmujący.

Pałac pod Blachą, jakkolwiek przez swego pana opuszczony, był skarbnicą wiadomości owoczesnych dla Warszawy, bo tu przychodziły one najprędzéj od księcia Józefa.

W pięć lat późniéj, wieść bolesna obiega, że wiodą zwłoki księcia Józefa, który w krwawéj walce *olbrzymów* pod Lipskiem 1813 roku w rzece Elster, kilkakrotnie ranny, utonął. W Bramie krakowskiéj przy posągu króla Zygmunta III, mieszkał na pierwszém piętrze szanowany powszechnie kupiec ormianin Minasowicz, ojciec tłumacza *Preciozy* i lirycznych utworów Szyllera. Sklep korzenny miał na dole w téjże bramie.

Ósmy rok życia licząc, kolegowałem w szkołach pijarskich z najmłodszym jego synem Tomaszem, i przez to miałem sposobność z okna jego mieszkania, widzieć cały ten smutny i rzewny obchód.

W dziecięcéj pamięci to wspomnienie wyryło się głęboko, i widzę go dokładnie, chociaż już okrągło od owéj doby upłynęło lat tyle! Było to 19 października 1814 roku. Karawan z trumną, ciągniony przez lud toczył się zwolna od Senatorskiéj ulicy na plac przed Bramę krakowską i zamkiem. Dzwon bernardyński największy ze wszystkich dzwonów Warszawy, jękliwym odzewem, zwiastował całemu miastu tę smutną chwilę; wtórowały mu dzwony wszystkich kościołów. Przed karawanem postępowali w szeregach sapery w granatowych mundurach, z bermycami z niedźwiedziéj skóry, przy których wysokie czerwone kity sterczały. Z przodu spadały im od piersi po kolana, białe skórzane fartuchy, na ramionach lśniły wielkie, ostre topory. Twarze ich ogorzałe, poważne, z długiemi wąsami i brodami, wrażały poszanowanie. Za karawanem wiedziono konia wierzchowego zabitego księcia. Nic więcéj nie pamiętam, jak tylko tłumy wielkie, płacz i jęki ludu, i łzy moje i patrzących ze mną! J. U. Niemcewicz w *Śpiewach historycznych*, kreśląc z serca pełne rzewności na ten obchód *pienie żałobne*, dołączył staloryt, w którym wiernie odda-

na jest chwilą, gdy karawan ze zwłokami dostojnemi zgasłego wodza, zbliżał się do kościoła Ś-go Krzyża.

W siedmnaście lat po tym pogrzebie, stałem kwaterą w pałacu pod Blachą; wtedy szczegółowo go obejrzałem: owe maleńkie komnatki, jak większe pokoje i salony. Stary dworzanin księcia Józefa żył jeszcze, i on mi ukazywał jego sypialnią, mieszkanie pani de Vauban, salony gdzie dawano widowiska teatralne, bale i wieczory tańcujące. Mnóstwo zachowało się jeszcze sprzętów i mebli po księciu Józefie, które nietknięte od wielu lat stały na swojém miejscu. Wpośród nich odznaczały się krzesła, fotele, stoliki, a szczególniéj szafy pełne artystycznéj rzeźby, które głównie z Gdańska sprowadzano. Z obrazów, zwracały uwagę głównie portrety ks. Józefa, akwarella przedstawiająca scenę gdy mu cyganka pod Sabaczem wróży, że Elster będzie powodem jego śmierci, i obraz olejny, kiedy ranny z wysokiego wybrzeża skacze w bystre nurty Elster, gdzie zgon znajduje.

## XII.

Kościół Bernardynek pod wezwaniem św. Klary.—Jerzy Mniszech.— Giżanka.— Zygmunt August.— Sędziwa zakonnica: jéj opowieść.— Czarodziéj Twardowski.—Zjawisko.— Poncz u Nowackiego.— Truskulawski gitarzysta.— Antoni Cyprysiński.—Prot.—Gitara hiszpańska.—Staś.—Barnaba.— Poncz w kubełkach.— Deklamacya Cyprysińskiego. — Pieśni Stanisława Doliwy Starzyńskiego.— Tymon Zaborowski.— Maryensztad.— Antykwaryusz Gecel Salzstein.— Pani moru: zaraza morowa.— Stara tradycya.

W pobliżu pałacu pod Blachą stał z wyniosłą wieżą mały kościołek Bernardynek pod wezwaniem ś-téj Klary, ze szczupłym klasztorem dla zakonnic panien. Dziś śladu jego niéma, bo w tém miejscu idzie wspaniały zjazd na murowanych arkadach do nowego żelaznego mostu.

Kościołek ten zasłaniał całkowicie widok na Wisłę, przedmieście Pragę i dalekie okolice, na jakie teraz spoglądamy. Po zniesieniu zakonu urządzono w nim konserwatoryum muzyczne i szkołę dramatyczną, z któréj pomiędzy wielą innemi zdolnemi aktorami, wyszedł nasz piérwszy komik, genialny Alojzy Żołkowski, a syn redaktora „Momusa".

Nie pamiętam już nabożeństwa w tym kościołku, ale znałem sędziwą zakonnicę z tego zgromadzenia, która mi wiele szczegółów opowiadała o przeszłości tego klasztoru. Rzecz dziwna, stara tradycya w żywém słowie przechowywała pamięć jeszcze tak Zygmunta Augusta, jak i sławnéj jego kochanki, w któréj się rozmiłował król ten, po zgonie ukochanéj żony, Barbarze Radziwiłłównie.

Jerzy Mniszech poufały dworzanin Zygmunta Augusta poznał w tym klasztorze, będącą u Bernardynek na wychowaniu, młodą i piękną Giżankę, córkę mieszczanina warszawskiego, nadzwyczaj z postaci i oblicza podobną do zmarłéj królowéj Barbary. Przebrany za mnicha, potrafił się zakraść w łaski zakonnic i znaleźć dosyć sposobności namówienia młodego a niewinnego dziewczęcia do ucieczki z klasztoru, ażeby przy boku króla poznała świat wielki i cały urok bogactwa.

Podczas nocy ciemnéj i burzliwéj, wypiłowawszy kratę w oknie celi Giżanki, wykradł ją i ukrył przed pościgiem zakonnic i ojca i zaraz wywiózł do Krakowa.

„Wtedy (opowiadała sędziwa Bernardynka) na dworze króla był sławny czarodziéj Twardowski, który obiecał mu ukazać żywo-powstałą z grobu królowę Barbarę. W dniu oznaczonym, w komnacie zamkowéj na Wawelu, Zygmunt August siedział wielce wzruszony w towarzystwie Mniszcha, gdy opona się uniosła co podwoje zakrywała, i w wielkiéj jasności ukazała się żywa postać królowéj Barbary, świeża i piękna jak była w pierwszym roku pobrania. Król żywo się zerwał z krzesła, ale widmo przeszło prędko, spojrzało nań pełnymi

ognia oczyma i znikło. Król omdlał, bo już był chory, a nie było to widmo tylko Giżanka, ubrana w strój zmarłéj królowéj, a była do niéj podobna jak dwie krople wody."

Dotąd opowieść zakonnicy.

Sława czarodzieja Twardowskiego rozbiegła się po całym kraju, a tymczasem Mniszech nie długo po tém ukazał królowi Giżankę, który tém podobieństwem ujęty, szalenie się w niéj rozkochał. Wszechwładnie też nad nim zapanowała, a przez nią dumny Mniszech, nieprzebierający w środkach wzbogacenia się, aby mógł zasiąść między panami, użył jéj jako swoje posłuszne narzędzie, do okradzenia dogorywającego ostatniego Jagiellończyka. Przy jéj też pomocy wszystkie skarby królewskie, tak sprawnie uprzątnął, że nie było czém okryć zwłok zmarłego króla.

Nie była tajną ta haniebna kradzież senatowi i panom, ale Mniszech wzbogacony potrafił zręcznie zamknąć im usta bogatemi dary. Za Zygmunta III doszedłszy do godności wojewody sandomierskiego, wydał córkę za Dymitra Samozwańca, ciesząc się że ją ujrzał na tronie. Ale dobre stare przysłowie: „male parta, idą do czarta." Córa dumna, godna swego ojca w awanturniczych zabiegach, po zgonie swego męża życie straciła, a ukradzione skarby Zygmuntowi Augustowi, na szalone wyprawy téj *Maryny* zmarniały.

Po Giżance stara zakonnica przechowywała jako drogie pamiątki: różaniec ze szczerozłotym krzyżykiem i czarę złotą prześliczną robotą w różne floresy i arabeski. Snać wychowanka Bernardynek nie zapomniała o swoich zakonnicach, bo jak mi opowiadała, ostatnia z nich, posiadaczka tych pamiątek, często odwiedzała ten klasztor i hojnemi dary uposażyła.

Pomiędzy klasztorem Bernardynek a pałacem pod Blachą, stała mała kamieniczka bez piętra. Na dole w nizkich pokoikach mieścił się zakład „Nowackiego" pod nazwą kawiarni, ale głównie zbierali się tu wieczorem liczni zwolennicy doskonałego ponczu. A poncz Nowackiego miał tę zaletę, że był czysty, z dobrym arakiem i sokiem cytrynowym, do którego dla milszego aromatu dodawano trochę ananasów.

Akademicy rzadko tu zaglądali, bo to były za wysokie progi na ich nogi, a raczéj na kieszenie: szklaneczka bowiem ponczu zwykłego kosztowała złoty, a z przyprawą ananasową półtora i dwa złote. Zamożniejsi jednak, lub drudzy chwilowo zasobni, zbierali się w małe gronka, dobierając sobie do towarzystwa z kolegów i chudeuszów, których kochali.

Dym fajek w nizkich sklepionych pokoikach jak mgła gęsta panujący ciągle, stanowił atmosferę zwyczajną: były jednakże ustronne komnatki, gdzie za zamówieniem w swojém tylko kółku bawiono się ochoczo miłą pogawędką do późnéj nocy.

Do tych częściejszych zebrań nie małym był wabikiem Truskulawski, rodzony brat słynnéj tragicznéj aktorki Ledóchowskiéj, jeden

wówczas z najznakomitszych gitarzystów, znany nietylko w całym kraju ale i za granicą z wydawanych koncertów. Grał on po mistrzowsku na gitarze hiszpańskiéj, która już z Warszawy od wielu lat wyparła angielską gitarę, tak rozpowszechnioną u nas, że w zaściankach szlachty mazowieckiéj, panny na zagonie, brzdąkając na niéj, wtórowały sobie do ulubionych piosneczek. W saméj Warszawie rzadko gdzie, chyba w zaułkach podejrzanych, zobaczyłeś tę gitarę; hiszpańska zaś nie postała w ręku kobiéty, bo to instrument wyłącznie do mężczyzn przywiązany.

Było to w połowie marca w porę wielkiego postu, gdy kilku nas znajomych poszliśmy do Nowackiego, dowiedziawszy się że Truskulawski tam będzie i obiecał zagrać na gitarze.

Pod mrok już dobry ruszyło nas trzech razem z ośmioma złotemi w kieszeni, co wystarczało dla każdego na szklankę ponczu chociażby nawet z ananasem!

Pominąwszy piérwszy pokój zaciemniony od dymu fajczanego, przeszliśmy do trzeciéj bocznej komnaty.

Siedział już tam Antoni Cyprysiński z jakimś rosłym młodzieńcem, którego nam przedstawił jako dobrego kolegę, a zwał go po imieniu tylko Protem.

Gitara hiszpańska wisiała na ścianie. Kazaliśmy sobie dać po szklance ponczu i zasiedliśmy przy jednym stole. Cyprysiński z towarzyszem swoim przybył tu właśnie z tegoż samego powodu, dla którego śmy przywędrowali do Nowackiego, bo wiedział że Truskulawski stawi się niezawodnie. Zegar na wieży zamkowéj uderzył dziewiątą godzinę: zanim jéj brzmienie umilkło, roztwarły się drzwi naszéj komnaty i wszedł najprzód Truskulawski, a za nim dwóch młodych, którzy dziwne z sobą przedstawiali przeciwieństwo.

Młodszy wiekiem był wyniosłego wzrostu, dobréj tuszy, pełnéj twarzy, oczu wielkich niebieskich. Włosy jasne blond spadały mu w gęstych splotach na ramiona: płeć na obliczu biała, alabastrowa, z żywym rumieńcem. Towarzysz jego może o trzy, cztery lata starszy, nizki, chudy, oczy czarne, krucze włosy; ale oblicze śniade, a raczéj zżółkłe, wstrętem na pierwszy rzut oka przejmowało. Byli to przyjaciele naszego gitarzysty, który z siostrą swoją Ledóchowską żadnego nie miał podobieństwa.

Piękny blondyn zawołał dźwięcznym, a silnym głosem.

— Trzy szklanek ponczu ananasowego, ale w kubełkach.

Tak nazwał on duże kufle szklanne, obejmujące więcéj jak dwie szklanek zwyczajnych.

Chłopak wniósł żądane trzy kubełki, a miła woń ananasowa napełniała naszą komnatkę.

Kiedy Truskulawski z towarzyszami już po połowie swoich kubełków wysączyli, Cyprysiński zawołał:

— No grajku kochany, masz gitarę na ścianie, zagraj nam co do serca, a my ci tu zawtórzymy chórem.

— Nie, nie!—odrzekł wołany—ty Antoni musisz nam co piérwéj zadeklamować. Radbym usłyszéć wraz z memi towarzyszami starego Bogusławskiego.

Cyprysiński wychylił resztę swojéj szklanki, powstał i ukrył się za parawanem stojącym przy drugich drzwiach naszéj siedziby.

— Cicho! i słuchajmy!—przemówił Truskulawski—nikt tak wybornie twórcę teatru naszego nie potrafi naśladować jak dzielny Cyprys.

W komnacie zalegała grobową cisza, a z za parawana odezwał się głos rzeczywiście sędziwego Bogusławskiego: przysiągłbyś, że rolę starego Horacyusza z tragedyi Piotra Kornela w przekładzie Osińskiego deklamuje sam artysta. Z dwóch scen wypowiedział piękniejsze ustępy, poczém wyszedł z za parawanu i kładąc rękę na ramieniu Truskulawskiego:

— No!—rzekł—ja spełniłem wasze żądanie, teraz pokaż swoją sztukę.

— Dobrze! dobrze! tylko skończę moją koneweczkę, bo i smaczna i woni doskonale, aż się wąsy śmieją.

I pokręcił sumiastego wąsa.

Po chwili zaś dodał, zwracając się do wysokiego blondyna:

— Ty Stasiu zaśpiewasz swego imiennika piosenki, a ty Barnabo—mówił do młodego bruneta z żółtą cerą—potém nam po swojemu zanucisz. Spojrzałem na obu towarzyszy gitarzysty: blondyn wypiękniał po wypiciu połowy konewki wybornego ponczu, ale co dziwnego, że i mały brunet zmienił się do niepoznania i wyładniał także. Stasia oczy jaśniały niezwykłym blaskiem, policzki mocnym powlokły się szkarłatem; z oblicza Barnaby znikła żółta cera, śmiałość tylko męzka wybiła, a ubarwiły ją żywe rumieńce. Oczy czarne świeciły jak dwa brylanty najczystszéj wody. Teraz dopiéro ujrzałem jego piękne i kształtne różane usta z pod czarnego wąsa i dwa rzędy zębów równych, białych jakby wyrzeźbionych z kości słoniowéj. Kiedy się uśmiechnął na zawezwanie Truskulawskiego, z przyjemnością się weń wpatrywałem, a gdy nie długo w śpiewie zabrzmiał męzkim, silnym basowym głosem, całe nasze kółko zebrane słuchało go z zachwyceniem.

Truskulawski uderzył w struny gitary, a po pełnéj wdzięku przegrywce, Staś miłym zaśpiewał głosem:

Znacież ludzie młodzi
Stacha z Zamiechowa,
Co na mszę nie chodzi
I postu nie chowa;

Lecz którego śpiewki,
W powszednie i święta,
Powtarzają dziewki
I polskie chłopczęta?
Miła mu jak sława
Jest pieśń narodowa:
To piérwszą zabawa
Stachą z Zamiechowa.
Nie szkockie ballady,
Nie walce tyrolskie;
Lecz rad, wśród biesiady,
Nuci śpiewy polskie.
Ma Francuz menuety,
Ma Hiszpan bollery,
Ma Włoch kanconety,
Ma Niemiec sztajery.
Piękne to są trele;
Lecz śpiew Krakowiaka
Wnet budzi wesele,
I cieszy Polaka.
Żyjcież polskie dziewki!
Z wami polska mowa!
Oto jest treść śpiewki
Stacha z Zamiechowa!

— To piosnka Doliwy Starzyńskiego, przemówił Prot dotąd milczący: lubię te jego śpiewki, tylko nie smakuję w tych jałowych konceptach, które już wypłowiały. Co to za wielka rzecz, żeby się chwalić, że się na mszę nie chodzi i postu nie szanuje. Myśl sobie i rób, jak tam zechcesz na stronie, wolna wola, ale zgorszenia nie dawaj poczciwszym ludziom, co wśród pracy ciężkiéj i niewesołéj wędrówki światowéj, idą na mszę, aby myślą podnieść się po nad kał ziemski i poszczą na cześć i chwałę Bożą.

— Niechby on odezwał się z taką piosnką pomiędzy naszemi chłopkami, odrzekł Barnaba, pewnieby go słuchać nie chcieli, a na podziękę, jak nasze poczciwe Mazury, skóręby mu potężnie zgarbowali. Szkoda żeś téj zwrotki Stasiu nie opuścił, bo reszta i dobra, i piękna.

— Śpiewam jak napisał, zresztą wiesz mój kochany, że tak nie myślę.—Barnaba na te słowa porwał się z siedzenia, przyskoczył do Stasia, objął szyję jego rękoma i zaczął serdecznie całować.

— Co ty wygadujesz! zawołał, a toć mogę naszego śpiewaka przedstawić wam koledzy, jako skromną panienkę, poczciwego brata! On mię nawrócił, był wielkim lekarzem duszy i razem chodzimy do kościoła na gorącą modlitwę. O moi drodzy! (mówił głęboko wzruszony), gdy burze życia złamały mnie, gdym blizki był rozpaczy, on, jak

anioł zbawienia zjawił się, przytulił do piersi braterskiéj, a potém rzekł: „Chodźmy, ja cię powiodę tam, gdzie znajdziesz pociechę i ulgę: wiecie kędy mnie zaprowadził? Do kościoła Kupucynów. Była to, pamiętam dobrze, *Wielka Sobota* i chwila *rezurekcyi*; gdym ujrzał tłum pobożnego ludu i uroczystą procesyą, kiedym zobaczył mego Stasia jak ukląkł, a na jego obliczu młodém i czerstwém, wybił wyraz zachwytu i radości nadziemskiéj: padłem przy nim na kolana i pierwszy raz przy brzmieniu radosnéj pieśni *Alleluja!* ja zakamieniały w niemej boleści, jak bóbr rzewnemi zalałem się łzami i serce moje pierwszy raz po wielu dniach letargu rozbudziło się i uderzyło swobodnie. A łzy mi były potrzebne! Niedaremnie lud nasz mówi, że one są rosą serca i ma prawdę za sobą!

Po tych słowach opuścił głowę na piersi, ale po chwilce podniósł ją, oblicze jego już było pogodne, rzekł więc do nas:

— Darujcie tę przerwę w zabawie, a teraz ja wam kochanego Doliwy zaśpiewam *Jesień Wieszcza*, w któréj się sam dobrze maluje, a ty drogi grajku graj, wszak znasz dobrze tę nutę.

Skroń moją już szrony bielą,
Dni mych jesień przyszła wcześnie;
Troski rychłą zimę ścielą,
Dni szczęścia nikną, jak we śnie!
Przeżyłem już, o nie lata,
Nie dni liczcie mego wieku!
Chwila, co drugim przelata,
Jak błyskawicy mignienie,
Dłużéj w mękach cięży człeku,
Niż nocy bezsennéj cienie.
Czasem chyżym grom *udarem* [1]),
Jak grot, co w powietrzu swiszcze,
Zajmie stary dąb pożarem;
Spłonął gwałtownie, lecz zgliszcze
Żywią długo żar tajony,
W zimném już napozór próchnie,
Lada wiatrem poruszony,
Pień ten znów pożarem buchnie.
Przeżyłem więc ciąg dni krótki,
Jeśli szczęsne chwile liczę,
Zbyt długi, gdy na me smutki,
Gdy wspomnę na me gorycze.
We łzach o śpiéwy żałośne!
Ujrzałyście życia zorze;
Tak cierpi męki nieznośne,
Gdy ją nurek żywcem porze,

[1]) *Udarem*, prowincyonalizm, zamiast uderzeniem.

Muszla dobyta z wód łona.
Perłę w niéj chciwiec znajduje,
A rad zdobyczy nie czuje
Cierpień, w których muszla kona.
A ten wodorzut wspaniały,
Co w obłoki z szumem tryska
I zdrobnionemi kryształy,
Jak deszczem klejnotów błyska;
Ciosowéj więzień sadzawki,
Tylu wdzięcznych zjawisk sprawca,
Rosząc kwiaty, żywiąc trawki
Ten zieloności rozdawca,
Ten strumyk w źródle ujęty,
Czy sądzicie, że ochoczy
Rzucił braci swych nurt kręty,
By tu wasze łudził oczy?
Rodzinny jego szmer zginął;
Ach! radby jak niegdyś w lasku,
Gdy pod kwiatów cieniem płynął,
Zrzec się zmuszonego blasku.
Tak téż i wieszcz szczęsny póty,
Póki wrzące w nim płomienie,
Jak ścieśnionéj wody rzuty,
Nie wytrysną w głośne pienie.
Póki, jak muszla skrwawiona,
Gdy drogim darzy klejnotem,
Skarbu nie wydrą mu z łona
Przeszytego srogim grotem;
Lub póki, jak ten dąb stary,
Na którego piorun strzelił,
Sam płonąc wrzącemi żary,
Puszczy blaskiem nie obdzielił!

Cudnie pięknego śpiéwu słuchaliśmy z głębokiém zajęciem. Brzmiący, pełen siły, wdzięczny i wyrobiony głos Barnaby, przemawiał do każdego duszy; zdawało się, że ta drobna i nikła postać, nie może tak potężnym głosem władać. Każda myśl, każdy wyraz, każdy obrazek téj pieśni był odcieniowany z dziwném mistrzowstwem. Cyprysiński i Truskulawski, jakby namówieni, razem zawołali:

— To nasz Beranżer!

— Tak zaprawdę, odrzekł Barnaba, to rzeczywiście nasz Beranżer i dlatego pieśni jego, jak jaskółki na wiosnę, rozbiegły się po siołach naszych jak i miastach, i wszędy znalazły gościnne przyjęcie, a melodya do nich tak śpiewna, tak rzewna nieraz, a zawsze treści piosenki odpowiadająca wybornie.

Teraz wychylił do dna swoją koneweczkę, wziął od Truskulawskiego gitarę, a wtórząc na niéj, zaczął pieśń: „Banialuka."

„*Banialuka!*" mój dziadunio,
Ciągle w ustach miał to słowo,
Czy się bawił z mą babunią,
Czy się nudził z książką nową,
Czy *Gazetę Polską* czytał,
Czy swego łajał hajduka,
Nawet czy się o co pytał:
Wprzód rzec musiał: *banialuka!*
Młódź narowy chwytać rada,
A nałóg naturą zowiem;
To przysłowie mego dziada,
Stało się mojém przysłowiem.
Kto znał starca, kto z nim bawił,
Za jego mnie uzna wnuka:
Dziadku! tyś mi skarb zostawił
W tém przysłowiu: *banialuka!*
Ileż mi głupstw i kłopotów
Ten wyraz za młodu szczędził,
Gdym do grzéchu zawsze gotów,
Za rozkoszą kłusem pędził.
On, w miejsce anioła-stróża,
Strzegąc od szwanku nieuka,
Wykrył, że ma ciernie róża,
I że miłość: *banialuka.*
Patrz na męża, który z tronu
Strącon na ostrow bezludny
I męczennik Albionu,
Klął swych wrogów czyn obłudny [1]);
Ci, co się nim spanoszyli,
Poszli w ślady Mameluka,
A on w ciężkiéj skonu chwili
Rzekł: „I wierność—banialuka!"

Staś rozmarzony tym śpiéwem, jakby się zbudził ze snu, zawołał, podszedłszy do drzwi naszéj komnatki:

— Proszę ośm konewek ponczu ananasowego, ale suto ananasów, cukru, cytryny i *jamajeczki.*

Spojrzeliśmy się wszyscy wdzięcznie na tak hojnego fundatora, a Barnaba ze słodkim uśmiechem wyszedł kłaniając się zgrabnie przed Stasiem, wyciął trzy *entre-chat*, i z dziesięć prześlicznych piru-

---

[1]) Napoleon I osadzony na wyspie Ś-éj Heleny.

etów. Poczém poprawił sobie gitary, i stojąc przed nami, przygrywając sobie, zaczął najpopularniejszą piosnkę Starzyńskiego, znaną w całym kraju: „Kowal.“

„Rzeźko! żwawo, stuku! puku!
Tak do pracy kowal wzywa,
I przy głośnym młota huku
Stary ojciec pieśń tę śpiewa:
„Kierujcie się jak możecie,
Ale pamiętajcie o tém:
Że człek każdy na tym świecie
Jest kowadłem, albo młotem!
Stuku, puku!
Stuku, puku!
Błyszczy stal w ogniu, oczęta
Lubéj, miléj błyszczą jeszcze:
Lecz biada! kogo ponętą
W złéj niewiasty poda kleszcze!
Dzieci wierzcie kowalowi,
Dyabeł wichrzy takiém stadłem,
Gdzie na przekór rozumowi,
Żona młotem, mąż kowadłem!
Stuku, puku!
Stuku, puku!
Jak bez ognia nasze miechy,
Węgla w kuźni nie rozżarzą,
Tak bez cnót nie ma pociechy,
Bo swobodą cnoty darzą.
Rzeźko, żwawo, stuku, puku,
Dzieci do zmroku wytrwajcie;
I przy głośnym młota huku,
Wraz z starym ojcem śpiewajcie!“

I przy tych ostatnich słowach, dwóch chłopców na tacach wniosło potężne kufle gorącego, a wybornie woniejącego ponczu.

Na tak miły i ujmujący widok, Cyprysiński z Protem podnieśli się razem i obu tacom pokłon nizki oddali, a gdy nas fundator zapraszał do rozebrania tych powabnych koneweczek, pierwszy, ująwszy swój rzekł zwrócony do Stasia:

— Pamiętasz koleżko kochany, sławną pieśń pełną humoru i dowcipu naszego Beranżera: „Dyabeł nieboszczyk“ i zaśpiewał dwuwiersz, którym się każda jéj strofka kończyła:

Sic est, sic est, ita, ita,
Zabił dyabła jezuita!

— No! jezuita zabił dyabła, a ty chcesz nas zabić temi kuflami: któż z nas im podoła?

Barnaba wpadł w śmiech pusty, który rozweselił całe grono.

— I to nam kto odważa się mówić—zawołał—takie admonicye, pan Antoni, który się ani dyabła, ani jezuity, ani nawet tuzina takich koneweczek nie boi.

Cyprysiński się uśmiechnął, przyjrzał się bliżéj każdéj koneweczce, i odrzekł spokojnie i poważnie:

— Przesadzasz nasz drogi śpiewaku; na trzy, może półtuzina głowa by starczyła, ale za nogi nie ręczę; tymczasem wznieśmy zdrowie łaskawego fundatora: wiwat! niech żyje!

— Niech żyje! wszyscyśmy zawołali z niekłamanym zapałem, a Truskulawski uderzył w struny gitary na przygrywkę temu wiwatowi.

Zasiedliśmy więc razem, a potrąciwszy koneweczkami, raczyliśmy się wybornym napojem. Cyprysiński wtedy zwróciwszy się do Truskulawskiego rzecze:

— Ty w swoich artystycznych wycieczkach musiałeś poznać Starzyńskiego, bo to wielki zwolennik jak poezyi tak muzyki!

— O! zbliska go znam—odrzekł—i przyznam się wam, że każdy kto go poznał, musiał i pokochać razem. Zabrał mnie z sobą do swego Zamiechowa i bawiłem u niego prawie cały miesiąc; razem ze mną mieszkał u niego znany wam Franciszek Kowalski, tłumacz Moliera, co był guwernerem Augusta Cieszkowskiego. Zajmował on domek oddzielny w ogrodzie, ja razem z panem Stanisławem spałem. Nieraz gawędziliśmy do północka, nieraz mu musiałem wtórować do jego piosnek, a przychodziły mu one łatwo, bo był zarazem rzadki improwizator. Mieliśmy z Kowalskim dowód tego wyraźny w Boguszówce u państwa Dunajewskich. Jest to wieś o małą milkę od Zamiechowa położona, a nie brakło w tym dworze gościnnym wesołéj zabawy, bo ją ożywiało ciągle kilka ładnych panien. Tańce trwały do późna; nieraz okiennice zamykano ażeby goście nie widzieli wschodzącego słońca. Jedna z tych ślicznych pánien przyszła do Starzyńskiego i zapytała czemu nie tańcuje?

— Ze wstydem pani wyznać muszę — odpowiedział — że nie umiem, chociaż się kiedyś przed laty uczyłem.

— Co to za wielka szkoda!—odrzekła powabna dziewica—miałbyś pan we mnie niestrudzoną tanecznicę; ale, ponieważ pan nie tańcuje, to nam powinieneś jaką śliczną zaśpiewać piosenkę.

— Prosimy! prosimy!—zawołało całe grono.

Starzyński, patrząc w urocze jéj oczęta, zaśpiewał natychmiast zaimprowizowanego mazura:

Układ ze mną zrób dzieweczko,
Z oczywistym swoim zyskiem;
Dam ci piosnkę za piosneczką,
Ty mi uścisk za uściskiem.

Przy układzie tym obstawaj,
A gdy małe widzisz zyski,
Ty mi piosnek nie oddawaj,
Ja ci oddam twe uściski.

Grzmoty oklasków rozweselonéj drużyny przygłuszyły muzykę. Było to w roku 1823 i Starzyński liczył już około lat czterdziestu. Wiele rodzin pragnęło, ażeby ściślejszy z nim związek je połączył, radzili mu ażeby się ożenił: młode i piękne panny miłemi nań spoglądały oczkami, bo rzeczywiście był to przystojny mężczyzna. Jeden z bliższych przyjaciół przynaglał go o to najwięcéj, i raił mu panny, które sam śpiewak wysoko cenił zarówno dla wdzięków jak przymiotów; ażeby mu dać odprawę, na ostatni list jego odpisał:

Niech się żeni kto bogaty,
I bogatym zostać łaknie;
Niech się żeni komu chaty,
Lub kawałka chleba braknie:
Ja, któremu los w podziale
Dał byt mierny, który cenię;
Brnąc przez życia mego fale,
Pewno że się nie ożenię.

Nauczyłem się tych wierszy na pamięć, bo sam dzielę Doliwy przekonanie i jak on, pewnie się nie ożenię. Niech żyje celibat!

Na te słowa Truskulawskiego, Barnaba powstał wzruszony widać do głębi, bo piorunującém spojrzeniem rzuciwszy na niego, zawołał z gniewem:

— Do milion kroć sto tysięcy, fur, beczek, batalionów, rejmentów dyabłów, takich głupstw mi nie powtarzaj. Pasożyty! egoiści! nicponie! Cóż z was dla kraju zostanie! jakaż pamiątka waszego pobytu na ziemi, jeżeli nie stanowicie rodziny.

Truskulawski nachylił się do mnie i rzekł zcicha:

— Zagadaj o czemkolwiek, bo widzę że Barnabę wściekłość napada, a wtedy awanturę gotów zrobić, bo i poncz zaczyna go rozgrzewać.

— Czemuż Starzyński nie drukuje swoich piosnek—zapytałem niby niechcący.

— Pisywał zwykle rankami na świstkach które po sypialni rozrzucał niedbale—odrzekł Truskulawski—i nieraz chwytał świeżą napisaną pieśń lub elegią, i nią fajkę zapalał; ale na szczęście, był tam blizki jego krewny, który je przepisywał i ochraniał od zagłady.

Barnaba powoli ochłonął, Staś mu coś szeptał do ucha i obaj się śmieli. Spojrzałem w około: patrzę z moich towarzyszów już nie było żadnego; Cyprysiński tylko z Protem w swoich miejscach siedzieli. Patrzę na koneweczki, po uciekinierach stały puste, wysączone do

ostatniéj kropelki. Truskulawski zaczął grać na gitarze; Barnaba wziął mu ją z rąk i mówił jakby na przeprosiny:

— Zagram wam i zaśpiewam jeszcze piosnkę Doliwy, któréj może nie znacie: nie pamiętam tego *Paciorka* całego, ale według mego zdania, to w niéj co najpiękniejszego:

Gdy mnie fanatyzm oskarza,
Dowiodę szkodnéj obmowie,
Że choć nie znam brewiarza,
Codzień jednak pacierz mówię.
Tak jest, codzień w wieczór, zrana,
Wznosząc strzeliste westchnienie,
Wołam do zastępów Pana:
„Nie wódź nas na pokuszenie!“
Nad wszelakie nasze modły,
Cenię ten pacierz niedługi;
Nieraz patrząc jak łotr podły,
Z obcéj korzysta zasługi.
Jak łatwo dźwięk złota może
Zagłuszyć trwożne sumienie;
Powtarzam wnet: „Panie Boże!
Nie wódź nas na pokuszenie.“
Mickiewicz i Zaborowski,
Parnasu Polski orlęta;
Mogą żywiąc zapał boski,
Śpiewać wino i dziewczęta.
Jak w bajeczce stary czyżyk,
Gdy mnie młodych wabi pienie;
Mówię, czwarty licząc krzyżyk:
„Nie wódź nas na pokuszenie!“
Pan Piotr, mój rówiennik w latach,
Nad wszystko bezżenność cenił;
Jak motyl latał po kwiatach,
Piekłem życia hymen mienił.
Tonący chwyta się brzytwy,
Dziś Piotr chwali ożenienie;
Ja się trzymam méj modlitwy:
„Nie wódź nas na pokuszenie!“

— Dobra to piosnka, a jeszcze, gdy przechodzi przez usta takiego, jak nasz kochany śpiewak—odezwałem się rozgrzany większą połową mojéj koneweczki i czując nieco ananasy w głowie—ale przesadził, stawiając Tymona Zaborowskiego obok Mickiewicza, to orzeł król ptaków, a tamten ptasze z gór Miodoborskich; jakoż w późniejszéj piosence, już inaczéj zaśpiewał. Zdaje mi się, że ma ona tytuł: *Obaczymy*.

Staś podgarnął bujne kędziory swoje i rzekł:

— Poczekajcie, nie pomnę całéj, ale oto jéj pierwsze zwrotki: I zaczął bez wtóru gitary przyśpiewywać:

Co przeszło, już się nie wróci,
Co dziś widzim także minie;
Ten szalony, kto się smuci,
Lub na przekor fali płynie.
Nikt przyszłości nie odgadnie,
Proś go, błagaj, wyrok niemy;
Każdy ślepo stawkę kładnie,
A kto wygra obaczymy!
Ta przyszłość, którą człek goni,
Gdy przybędzie, czém się stanie?
Obecnością i odsłoni
Czcze nasze za nią wzdychanie;
Jest to widowisko stare,
Wszyscy je na pamięć wiémy
I ziewając, jak za karę,
Patrzym, mówiąc: „obaczymy!"
„Odkryj mi swoje serduszko,
Zrób mnie najszczęśliwszym z ludzi."
„Zobaczymy moja duszko."
Tém mnie słowem Zosia łudzi,
Tém słowem kończy polityk,
Kiedy mu wierzyć nie chcemy;
Niém grozi mi wiérszów krytyk
I ja mówię obaczymy!
Obaczymy, kto swe skronie
W niezwiędły odzieje wieniec,
I w rodaków zbudzi łonie
Zapał, którym tchnie młodzieniec.
Któż? ja? ty? Oh! nie, lecz Adam,
Prym mu wszyscy przyznajemy,
Ja w téj śpiewce cześć mu składam,
Przyjmież on ją?—Obaczymy!

— Nie dziwcie się temu porównaniu Zaborowskiego z Mickiewiczem, bo Starzyński autora *Dum Podolskich*, kochał serdeczną miłością, mówił Truskulawski. Nieraz do północy nie mógł się o swoim drogim Tymonie dość naopowiadać, co to była za piękna dusza, jaki wzniosły, poetyczny talent! A kiedy wspomniał ową straszną dla siebie chwilę, gdy wydobyto martwe zwłoki z nurtów Zbrucza, w których młody poeta dobrowolną śmierć znalazł, płakał jak dziecię i długo utulić się nie mógł, i przez parę dni pióra nie wziął do ręki, chodząc osowiały. Przypominał mi nieraz, jak Zaborowski cudnie czytał, bo miał głos szczególniéj melodyjny tak do deklamacyi, jak do

wdzięcznego śpiéwu. Doliwę zachwycały jego utwory, ale późniéj o nikim nie mówił, tylko o jednym Adamie.

— Rzeczywiście—odrzekłem—poezye Zaborowskiego tchnęły jakąś świeżością, niezwykłym wdziękiem i prostotą, zwiastującą już przełom w wyobrażeniach literackich. Pamiętam w szkołach pijarskich, gdy nam ksiądz prof. Szelewski czytywał kilka pieśni z jego wielkiego poematu o Bolesławie Chrobrym, jak *Aniela i Dobromir*, *Jamydyk Blud* czarownik i kilka innych, jak one nas porywały, jak górowały po nad tém wszystkiém, cośmy znali z polskiéj poezyi. Smiały polot jego natchnienia, gniotły jeszcze stare formy klassycyzmu, ale znać było, że się z nich wyłamać usiłuje, jak młode orlę ze słabéj klatki do polotu w chmury!

— Już więcéj tego porównania—mówił Barnaba—nie powtórzył, bo coraz gorętszym stawał się wielbicielem Mickiewicza. Kiedy do Włoch wyjeżdżał, przesłał mu Starzyński wiérsz prześliczny. Nie pomnę całego, ale powtórzę, co zapamiętam.

I potarłszy czoło ręką, zaczął melodyjnym swoim głosem cudnie deklamować.

„Mocarzu lutni polskiéj, prawych bardów wzorze,
Szczytności i zapału niepojęty zbiorze,
Mickiewiczu! Twym ogniem, gdy serce zagrzewam
Twój ziomek, twój hołdownik, wielbię cię i śpiewam!
Nawo pogardzająca przepaściami głębi,
Piersi, któréj wulkanu wieczność nie wyziębi,
Głosie, którego echa gromy nie zagłuszą,
Duszo! jedynie polską zrozumiana duszą!
Wajdeloto nasz młody, Wajdeloto dzielny!
W więzach twéj chwały kamień założył węgielny;
Spieszysz do Włoch, gdzie słońca dobroczynne wpływy,
Odpowiednie twym śpiéwom zwykły budzić śpiéwy;
Gdzie należnéj po zgonie im nagrody doznasz,
Żywy, rajskie rozkosze, rajskie niebo poznasz!
Kraina najszczytniejsza z krain starożytnych,
Zwalisko celujące tylu zwalisk szczytnych,
Włochy uczczą tłumacza Danta i Petrarchy.
Pod płaszczem klassyczności zziębłe arystarchy,
Echem ludowém twego nie zmróżą wawrzynu,
Gdzie gmin czuje, miło tam nucić i dla gminu.
O! ty mojemu sercu i myślom przytomy,
Wzniosły w śpiéwach, w pożyciu uprzejmy i skromny;
Bo takim ciebie głoszą w pobratymczém gronie,
Szczęśliwsi, których twoje uścisnęły dłonie.
Dla mnie los w błogich przygód nieszczodry szafunku,
Dotąd cię w martwym tylko dał znać wizerunku;
W nim ja zatapiam oczy, czucia badam z rysów

I walki twoje z losem z twych śledząc opisów,
Porównywam cię wieszczu z twym własnym utworem,
Z tym *Farysem* nadludzkiéj wytrwałości wzorem;
Jak on świetny zwycięzco sępów, uraganów,
I z zatopów piaszczystych wywianych bałwanów,
Do szczęsnéj Arabii dobiłeś się z puszczy.
Tu, rzekniesz, jest mi niebo, tu jest gwiazda złota,
Przewodniczka wieszczowi do chwały żywota;
Tu pełne, nieprzebrane płyną pociech zdroje,
Tu z piersi nieprzebranéj płyńcie wiérsze moje!
Orzeł swym dziobem krwawi z piór odarte skrzydło,
Zakiełznany koń żuje spienione wędzidło;
Lecz swobodny król ptaków, lot wznosi nad Tatry,
A rumak, pan swéj woli, rącze ściga wiatry.

Wtém nagle umilkł, daremnie tarł czoło swoim zwyczajem, spuścił głowę na piersi i zdawał się, jak gdyby zadrzemał. Cyprysiński stał przy stole, jakby oczarowany urokiem deklamacyi Osińskiego, którego wielkim był wielbicielem, a nieprzyjacielem Mickiewicza.

Pamiętam, że na rogu Mostowéj ulicy na pierwszém piętrze była kawiarnia; tam wieczorem pan Antoni z bratem swoim i kilku kolegami z uniwersytetu, popijając z miedzianego imbryka grzane piwo dubeltowe, żartowali sobie z romantyków, a oczywiście głównie z ballad, romansów i *Dziadów* Mickiewicza. Tu obaj bracia Cyprysińscy rej wiedli, a reszta towarzyszów potakiwała im zgodnie. Widząc teraz Cyprysińskiego tak zachwyconego rzekłem.

— No! i cóż panie Antoni, czy nam znowu powtórzysz:

Cicho wszędzie, głupio wszędzie,
Nic nie było i nie będzie?

Na te słowa spojrzał się tylko pochmurno na mnie, ale po chwili uśmiechnął się, kiwnął głową i resztę ponczu z koneweczki wychylił.

Chwila potém było głębokie milczenie, cichość zalegała i boczne pokoje, gdyż goście już je opuścili. Zégar zamkowy uderzył pierwszą z północy; dźwięk ten żałośnie do nas nadpłynął.

— To czas do domu!—zawołał Prot.

— Skończmyż nasze koneweczki—przemówił Staś rozmarzony—a więc za zdrowie, na cześć i pamięć Stanisława Doliwy Starzyńskiego, trąćmy się, spełniając resztę.

Wszyscy chętnie podnieśli ten toast.

— Odpowiedni on ma przydomek Doliwy—ozwał się Cyprysiński—bośmy sobie nieźle *doleli*.

— Na odchedném więc ja zawtóruję, a ty Barnabo zaśpiewaj jeszcze jego pieśń: *Do zobaczyska;* pamiętasz ją dobrze i śpiewasz do serca.

Brzęknęły struny gitary i rozległ się dźwięczny i melodyjny głos naszego towarzysza.

Do zobaczyska! Bóg z wami!
Bóg i ze mną przyjaciele!
Wspólne dotąd między nami
Były troski i wesele.
W odmienne każdego szlaki
Dziś wyroku wola ciska;
Ścieżki różne, cel jednaki,
Więc bracia do zobaczyska [1])!

Podaliśmy sobie ręce, uścisnęli serdecznie i każdy poszedł w swoją stronę. Kiedym wyszedł na plac zamkowy, noc była widna, księżyc jasno przyświecał, niebo pogodne. Mały przymrozek dawał znać, że to pora jeszcze zimowa, a chłód ten mile orzeźwiał nasyconego konewką ananasowego ponczu. Przy posągu Zygmunta III uczułem rękę na ramieniu, obejrzę się i widzę Cyprysińskiego.

---

[1]) Stanisław Doliwa Starzyński, obywatel Podola był synem Erazma majora kawaleryi narodowéj za Stanisława Augusta, który z obszernych włości jakie wziął po przodkach zostawił synowi tylko *Zamiechów* i *Żabińce*. Zamiechów miasteczko liche, zamieszkane prawie przez samych żydów, słynęło pięknem położeniem nad skalistym jarem. Domki rozrzucone aż na dół ku rzece do któréj wpadają z szumem liczne źródła. Na rynku nasz pieśniarz wystawił piękny kościołek, nad podwojami jego Franciszek Kowalski wierszopis położył napis: *Immortali mortalis.*

Stromy, skalisty i głęboki parów, oddziela miasteczko od dworu i ogrodów dworskich. Dom porządny o piętrze pod blachą, był mieszkaniem poety: Fr. Kowalski w swoich *Wspomnieniach* (Kijów 1859 r. dwa tomy) opisuje szeroko pobyt w domu Stanisława Starzyńskiego. Zamieszkiwał on w oddzielnym domku w obszernym ogrodzie. „Starzyński (pisze) odwiedzał mnie prawie co rano, i zawsze mnie przy stoliku zastawał: czytałem mu com napisał, i on mi czytał swe utwory. Jeżeli sam u mnie nie był, to przysyłał do mnie z zapytaniem człowieka, wielem tego rana wierszy napisał? Raz odpowiedziałem mu że tylko cztery: po chwili, przysłał mi cztery wyborne jabłka. Ja, widząc że te jabłka i inne ogrodowe łakocie są rymów zapłatą, na każde podobne poselstwo, odpowiadałem podwójną lub potrójną liczbą wierszy i tyleż miałem doskonałych jabłek, gruszek, winogron i t. p. Sam nie miałem mu czem zapłacić jego prześlicznych piosnek, w których on był nie zrównany. Z Beranżera też kilka wybornie przełożył".

— Cóż tak Prot był dziś cały wieczór milczący—zapytałem— ledwie parę słów przebąknął.

— Nie dziw mu się, bo był strasznie zirytowany. Wiesz, że żyje z łaski bogatego stryja, owoż onegdaj odebrał od niego 2000 złp., które miał wypłacić tu komuś i te pieniądze leżały u niego. Mieszka na trzeciém pięterku w Starém-Mieście z dwoma kolegami. Zasoby ich wszystkie wyczerpały się i stryj obiecywał, że wkrótce wyznaczoną mu pensyą nadeszle, ale tymczasem straszna biéda. W sklepiku już się krzywili dawać daléj na borg mleko, bułki, salcesoniki i sérki,

---

W kościele Zamiechowskim, który fundował, wystawił dla ojca swego wspaniały pomnik. Bawiąc we Florencyi, zamówił go u rzeźbiarza Fontanny, ucznia Kanowy. Wierzchołek tego pomnika fantastycznemi ozdobiony arabeskami, przenosi wysokość kazalnicy. Trzy sztuki płaskie, marmurowe, składają całość; najwyższa mała, stanowi szczyt; na średniéj, największéj stoi w wypukło-rzeźbie, do połowy ciała wydatny anioł śmierci, nagi, ze smutną cudnéj piękności spuszczoną twarzą. W prawéj ręce trzyma przewróconą ogniskiem na dół, gasnącą pochodnię życia, a lewą wspiera się na owalnym obrazie, przedstawiającym popiersie zmarłego. Twarz anioła była podobną zupełnie do oblicza pięknéj *Delfiny Komarównéj*, którą późniéj zaślubił Mieczysław Potocki z Tulczyna. Blizcy przyjaciele Starzyńskiego mówili, że dokładną jéj miniaturę zawiózł do Florencyi, jako wzór do głowy. „Podobieństwo (mówi Fr. Kowalski) było tak uderzające, że starzy Komarowie przyjeżdżali do Zamiechowa z dziećmi swemi, umyślnie dla porównania oblicza córki Delfiny ze smutnym aniołem śmierci". Nie wiadomo dla czego nagle i bez potrzeby sprzedał Zamiechów i kupił sobie daleko mniejszy majątek nad *Zbruczem*. Nie śmieli go pytać o powód bliżsi przyjaciele, ale zato własny jego chłopek, dał mu dobrą nauczkę. Doniesiono Starzyńskiemu, że jeden z jego nowych poddanych, sprzedał parę wielkich wołów, a kupił sobie dwa małe byczki. Rozgniewany nasz poeta, zaczął go łajać za takie marnotrawstwo: chłopek wysłuchawszy co mówił, rzekł kłaniając się nizko: „Ja tak zrobiłem jak i wielmożny pan, co sprzedał Zamiechów, a kupił sobie kiepską cząstkę nad Zbruczem". Starzyński zamilkł, bo nie miał co odpowiedzieć na tak szczerą prawdę. W roku 1822 przesłał do teatru narodowego wolny przekład dramatu Grillparzera p. n. *Matka rodu Dobratyńskich*, która miała wielkie powodzenie na świecie. Wyjątki z niego jak i z tragedyi Mülnera: *Przewinienie* (*Die Schuld*) I. K. Ordyniec drukował w swoim *Dzienniku warszawskim* 1827 roku (tow VII i VIII); w roku 1836 przedstawiono jego oryginalne krotochwilę na teatrze *Rozmaitości* w Warszawie: Starzyński sam był obecny na jéj pierwszych przedstawieniach i uradował się dobrém jéj przyjęciem. W sędziwych latach przeniósł się do Galicyi, gdzie w późnym wieku zakończył życie. Zbiorek jego pieśni wyszedł w roku 1830 w Warszawie p. n. *Śpiewki i wiersze Podolanina*: reszta prac pozostała dotąd w rękopiśmie, chociaż zasługiwały na wydrukowanie. Portret jego podał *Tygodnik Illustrowany* w tomie V z r. 1862.

które nieraz całodzienny stanowiły posiłek; ale co najgorszego, nie było grosika nawet na *drejköniszek!* Fajki wystygłe już od dwóch dni, zakurzone stały w kącie nieużyteczne. W tak rozpaczliwéj chwili, przyszedł do nich jeden z kolegów znany hulaka, a wiedząc, że Prot ma w zachowaniu 2,000 złp. nadesłanych, zaczął namawiać, żeby wziął z nich, uczęstował ich, a potém, jak nadejdą pieniądze zapowiedziane od stryja, w miejsce wziętych dołoży. Prot wiesz, jaka zacna dusza, na te poszepty szatańskie porwał się, zwymyślał go, a gdy tamten dowodził uczciwości swojéj myśli, nie wiele myśląc, z pomocą swoich towarzyszy, wyrzucił go za drzwi. Spotkałem go, gdy wyszedł jeszcze strasznie wzruszony, jak mu mógł ten chłystek radzić rzecz tak nikczemną i ledwiem go namówił, że poszedł ze mną na szklaneczkę ponczu. Dlatego nie był w swoim humorze.

Głucha cisza była na ulicach, stróże tylko miejscy grzechotkami ogłaszali każdą godzinę, którą wybijał zégar na wieży zamkowéj.

— Któż to jest ten Staś i ten Barnaba, co tak cudownie deklamuje i śpiewa?—zapytałem mego towarzysza.

— Staś jest syn bardzo bogatych obywateli z Wołynia—odpowiedział mi Cyprysiński—Barnaba podobno z Podola, obaj uczniowie naszego uniwersytetu z wydziału prawa i administracyi. Barnaba skończył kursa przed trzema laty, a Staś w zeszłym roku; kochają się, jak rodzeni bracia. Barnaba zakochał się szalenie w pięknéj pannie Anieli i miał szczerą wzajemność. Oczarował ją śpiéwem, przytém człowiek zamożny i wykształcony, wszystko przemawiało za nim. Tymczasem rodzice panny, nagle i niespodzianie, wydali ją dla tytułu za gołego księcia. Barnaba był w rozpaczy długo i ta gorycz jeszcze mu została, którą często pokazuje. Biedny człowiek a godny lepszego losu. Odżywia się tylko w kółku dobraném, w którém na chwilę może zapomnieć o swéj serdecznéj boleści.

Grzechotka stróża miejskiego, przykro nam nad uchem zachrzęściła, pożegnaliśmy się z panem Antonim na ulicy Podwale, przy zbiegu do niej Kapitulnéj. Nie pomyślałem wtedy, że w kilkadziesiąt lat później, z obowiązku przyjacielskiego, będę przemawiał nad trumną Cyprysińskiego na cmentarzu Powązkowskim!

* * *

Pomiędzy wysokiemi murami kościoła Bernardynek a klasztoru i ogrodu Bernardynów, zbiega ku Wiśle na dół wązka uliczka zwana Maryensztadem. Była to tak zwana *Jurydyka*, należąca do Eustachego Potockiego gen. artyleryi i Maryi z Kątskich; jurydyka ta stanowiła oddzielne miasteczko. Dom pod Nr. 2629 był ratuszem téj mieściny, a w nim zasiadał burmistrz i czterech ławników. Nazwę swoją ta cząstka miasta wzięła od imienia pomienionéj Maryi Potockiéj. Ratusz ten w r. 1791 poszedł w ruinę i Maryensztad wcielonym został do Warszawy. Zaledwie kilkadziesiąt kroków zejdziemy na dół, już się

ta uliczka dzieli na dwie części: z prawéj strony nosi właściwą swą nazwę, z lewéj *Źródłowéj*, od zdroju publicznego jaki dawniéj tu istniał. W środku rząd domów, na czele których stoi dotąd nizki domek, gdzie mieszkał na pierwszém piętrze słynny na owe czasy antykwaryusz „Gecel Salzstein," znany tak wszystkiéj młodzieży szkolnéj, jak i uczniom uniwersytetu warszawskiego [1]). Tu był nagłówniejszy i najżywszy handel księgarski: wszystko co tylko zajmowało się literaturą krajową, to się przewijało w jego trzech małych pokoikach.

Ściany w nich całe zastawione szafami pułkowemi, przepełnione były książkami: procz tego stosy ich leżały na podłodze, a wśród nich wydatniała postać Gecla. By to żyd dobrego wzrostu: brunet, twarzy pięknéj i szlachetnéj, rysów regularnych, oczy żywe czarne i połyskujące; w całém znaczeniu tego wyrazu urodny mężczyzna.

Rzecz dziwna że wziął się do handlu książkami nieumiejąc czytać, ale pomimo to był tak biegły w bibliografii, że byle zobaczył książkę, czy broszurkę i obejrzał ją starannie, już wiedział co warta i nigdy się w swoim sądzie nie omylił.

Młodzież biegła kupować u niego szkolne książki, starsi uczniowie co zaczęli zbierać biblioteki schodzili się dla nabycia rzadszych dzieł; bibliomani odwiedzali Gecla, gdyż często tu spotykali białe kruki bibliograficzne. Chyliczkowski i Konstanty Świdziński łowili u niego te rarogi. Tu, piérwszy, zdobył *Figliki* i *Zwierzyniec* Reja. Pierwotne wydania poezyi Jana Kochanowskiego, pism Łukasza Górnickiego, *Rytmy* Klonowicza, Grochowskiego, Miaskowskiego, Kochowskiego, *Sielanki* Szymonowicza i Zimorowicza, przekłady Cypryana Bazylika, często i nie jednokrotnie u Gecla się przewijały. Zaglądał tu często Stanisław Jachowicz znany bajkopisarz: u niego się też zapoznał z rzadkościami bibliograficznemi, które oceniać umiał. Spotykałem też u tego antykwaryusza Kazimierza Brodzińskiego i wielu professorów uniwersytetu naszego.

Były to czasy właśnie niezwykłego rozbudzenia się miłośnictwa do zbierania zabytków starożytnéj literatury polskiéj. Gecel i stragany przykościelne zastępowały księgarnie, do których prawie żaden z młodego pokolenia nie zaglądał, tak się bał cen wygórowanych.

Wspominam o tym antykwaryuszu, gdyż nietylko że to była jedna z najwydatniejszych postaci naszego miasta, ale że on pomimowolnie stał się rozkrzewicielem wiedzy do zgłębiania i poznania życia umysłowego narodu z ubiegłych wieków.

---

[1]) Dom ten ozdobnie odnowiony dotąd istnieje i ma nr. 18. Od tego miejsca coraz niżéj schodząc zmienia się fizyognomia Warszawy, na liche miasteczko ciągnące się do wybrzeżów Wisły: dom tylko po prawéj ręce Maryensztadem, idąc, dwupiętrowy przyozdabia. Była to własność Lessera, znanego z talentu miniaturzysty.

Z bibliotek klasztornych, z dworów wiejskich, z zaścianków szlacheckich, gdy się wiadomość rozpowszechniła o poszukiwaniach gockich druków, każdy kto co miał przynosił lub przywoził do Gecla: on kupował i z nie małym zyskiem rozprzedawał. Nietylko dzień po dniu miewał dużo gości u siebie, ale co niedziela i święta bywał tu tłok jak na odpuście lub jarmarku: oddychał tylko swobodnie w szabas i żydowskie święta.

Młodzież go lubiła, bo umiał sobie ją zjednywać; nieraz studentom borgował, nieraz za pół ceny oddawał, a gdy przyszedł biedniejszy uczeń i zażądał szkolnéj książki, a nie mając czém zapłacić wyznał mu swoją biédę otwarcie, Gecel popatrzył uważnie na małe pacholę, jakby badał prawdę i nie jednemu podarował, z warunkiem ażeby się dobrze uczył.

Dom ten, w którym przez lat wiele nasz antykwaryusz przemieszkiwał, smutne miał wspomnienie w podaniach ludu warszawskiego. W 1712 roku była w nim gospoda cechu kuśnierzy. W lipcu tego roku w dzień św. Jakóba, przybył z Krakowa czeladnik kuśnierski, okazywał i sprzedawał baranki, które były zapowietrzone.

W nocy wybuchł pożar nad Wisłą: zbiegli się ludzie na ratunek, byli pomiędzy niémi i tacy, którzy ten jad zgubny w siebie wciągnęli i udzielili go drugim w natłoku. Nazajutrz kilkadziesiąt osób umarło na *mór* (dżumę). Trwoga padła na całe miasto, którą powiększyła jeszcze ognista miotła jaka się pokazała na niebie i zawisła po nad zamkiem, katedrą i kościołem Bernardynów. Szeroko rozesłane jéj rózgi krwawe, co noc straszyły mieszkańców. Bogatsi uciekli z Warszawy, ubożsi tułali się po blizkich gajach i lasach. Domy zamożniejszych mieszczan i klasztory, zaopatrzywszy się w żywność i wodę, obwarowały się nieprzystępnie, ażeby zarazy nie dopuszczać. Litościwsi, dla biedaków włóczących się po ulicach miasta, wyrzucali oknami posiłek, lub podawali na długiéj żerdzi, któréj już nie wciągali napowrót.

Znaleźli się pobożni kapłani, którzy pełniąc sumiennie święty swój obowiązek, opuszczali warowne mury klasztorów i szli za miasto, aby rozproszonemu ludowi spowiadającemu się jawnie udzielać rozgrzeszenie. Bogate sprzęty, worki z pieniędzmi, które uciekający w powszechnym popłochu zostawiali lub gubili na ulicach, leżały nie naruszone, bo ich nikt nie śmiał się dotknąć w obawie zarazy.

Miasto zaległa grobowa cisza, czasem tylko zamącona rzewniejszym płaczem, albo jękiem konających. Trawa zaczęła porastać na bruku Starego i Nowego Miasta i po wszystkich ulicach i podwórzach pałacowych. Wkrótce to ponure milczenie przerywały straszne wycia psów zgłodniałych i gromad wilków, które po opustoszałem mieście swobodnie przebiegając, chwytały psy, walki z niemi staczały i jako zwycięzcy wylegiwali się na głównych rynkach Warszawy.

Nie wiele pomogli ustanowieni burmistrze powietrzni, bo służba ich trwogą przejęta, w ucieczce za drugiemi szukała ratunku. Wtedy

to na ogromnym wozie dwukolnym ukazywać się zaczęła „Pani moru,“ czyli *morowa zaraza* w postaci niewiasty. Wysoka, blada, okryta czarnym welonem siedziała w tym wozie, który nigdy nie dotykał kołami ziemi, tylko płynął na ciemno niebieskiéj gęstéj chmurze. Tak objeżdżała dom po domu Warszawy, a stanąwszy przed każdym pytała grobowym głosem:

— *Co robicie?* Gdy odpowiedziano: *Śpimy!* Widziadło mówiło: *Śpijcie na wieki!* Powiewała czarnym swoim welonem i wszyscy odrazu w tym domu konali. Kiedy zaś na zapytanie pani moru: *Co robicie?* odpowiedziano: *Nic nie robimy, tylko Boga chwalimy!* Pochyliła głowę i mówiąc: *Chwalcież Go na wieki!* odjeżdżała daléj i wszyscy pozostali zdrowi.

Żaden ptaszek nie zaświegotał w biedném mieście, jaskółki i wróble uciekły daleko, deszczu kropla przez trzy miesiące nie spadła, a niebo zawsze barwy ołowianéj, ciężyło na oddechu każdego. Tylko co noc krwawa, ognista miotła, nie schodziła z nad Warszawy.

Wiatry wreszcie jesienne w czwartym miesiącu z końcem października zawyły od północy, miotła na niebie bledнąć zaczęła i wkrótce zniknęła. Z piérwszą zadymką lekkiego śniegu, zaraza ustępować zaczęła. I *panią moru* przewiały gdzieś daleko wichury świszczące. Powoli otwarły się najprzód warowne klasztory, po nich domy zamknięte, a rozpędzeni mieszkańcy powracać zaczęli do miasta. Ci, którzy przechorowali *dymiennicę* jak zwano tę *dżumę*, odziedziczyli domy i majątki po wymarłych właścicielach.

Z wiosną następną 1713 roku miasto odżyło na nowo, domy i pałace się zaludniły, trawa z bruków ulic i rynków znikła, tylko w pamięci mieszczan Warszawy wspomnienie téj strasznéj klęski wyryło się nie startemi zgłoskami i zachowało w żywém podaniu.

Na frontonie kościoła Bernardynów (którego mury ogrodowe głęboko w ulice Maryensztadu wchodzą) od Krakowskiego Przedmieścia, dawna, starych mieszczan warszawskich tradycya wskazywała miejsce, gdzie w czasie szturmu do miasta króla Jana Kazimierza i zaciętéj walki, wódz załogi szwedzkiéj generał Wirtemberg schwytany został. Zrobił on wycieczkę (jak już mówiliśmy) dla odparcia gwałtownego ataku i opanował ten kościół. Rozpoczęła się ręczna bitwa krwawa w samém wnętrzu świątyni, na chórze i w zakrystyi. Rozbici cofać się musieli: Wirtemberg z kilkunastu szedł przebojem, wtedy szlachcic zaściankowy mazur, odbiwszy cięcie szabli schwytał go za pas rzemienny przewieszony przez ramię, przy którym wisiała szabla. Wirtemberg, pas ten, zręcznem pochyleniem się z pochwą zostawił w ręku szlachcica, a sam z niedobitkami cofnął się do warownéj bramy krakowskiéj przy posągu Zygmunta III-go.

## XIII.

Ulica Senatorska. — Dom Dobryczów. — Reslera. — Powód do wojny szwedzkiéj. — Dom pod Gwiazdą. — Pałac Prymasowski. — Michał książe Poniatowski prymas. — Jego śmierć nagła. — Ministeryum wojny. — Pałac Olbromski. — Plac Marywilu: Marie-ville. — Jarmarki. — Toruniańki z piernikami. — Antonina Ordynatowa Zamoyska. — Kanoniczki od Niepokalanego Poczęcia. — Pałac Pocieja: Pociejów. — Przysłowia. — Nowe domy. — L. A. Dmuszewski. — Kościół św. Andrzeja. — Ratusz. — Obrazy. — Franciszek Bieliński marszałek wielki koronny. — Rzeźnik i palestrant. — Sprawa pomiędzy niemi. — Sąd i wyrok Bielińskiego. — Bale w ratuszu. — Piękne niewiasty. — Mazur. — Kontredans. — Milicya miejska. — Salceson. — Pałac Blanka. — Ulica Daniłowiczowska. — Pałac Błękitny Ordynacyi Zajmoyskich. — Pałac Mniszkowski. — Ziemne wały. — Ulica Elektoralna. — Żabia. — Plac za Żelazną Bramą. — Pałac Izydora hr. Krasińskiego. — Koszary Mirowskie. — Ulica Graniczna. — Plac Grzybowski. — Ratusz. — Więzienie za długi. — Groźne przysłowia. — Ogrody. — Warzywa i owoce.

Z placu zamkowego, równolegle z Krakowskiém Przedmieściem, idzie ulica Senatorska i biegnie aż do gmachów banku polskiego.

W rzędzie domów po lewéj ręce wydatnieje kamienica Dobryczów, rodziny greckiéj osiadłéj oddawna w Warszawie i zajmującéj jedno z pierwszych miejsc w kupiectwie naszego miasta; daléj wielki dom Reslera, dawna posiadłość Hieronima Radziejowskiego, którą T. Święcki w *Opisie starożytnéj Polski*, wskazuje, jako główny powód do wywołania najazdu szwedzkiego.

Żona Radziejowskiego, Anna ze Słuszków, w niesnaskach z mężem żyjąca, pałac ten w czasie niebytności jego opanowała. Radziejowski dowiedziawszy się o tém, przy pomocy szlachty mazowieckiéj, siłą go odbiera w czasie agitującego się sejmu; wrzawy wojennéj i rozlewu krwi przy starciu się żwawém broniących i dobywających nie brakło. Jan Kazimierz oddawna mu niechętny, dopuścił wyroku bannicyi na Radziejowskiego, sam, jak wówczas utrzymywano, zakochany w powabnéj jego małżonce. Ten pozbawiony praw obywatelskich, cześci, wygnany z ojczyzny, wyzuty z majątku, zemstą wrzący, szukał sposobów srogiego odwetu na królu swoim. Daremno wyczekiwał pomocy po temu w Wiedniu, aż znalazł ją chętną w Sztokholmie. Karol Gustaw obrażony przywłaszczonym tytułem króla szwedzkiego przez synów Zygmunta III, miał dobry pozór do napaści. Zagrzany wymową i nadzieją pomocy Radziejowskiego, wsiadł na okręty i przeniesiony na falach Baltyku, wylądował w granicach Rzeczypospolitéj.

Są chwile w życiu narodów, które cechuje upadek ducha i osłupiałość zdziecinniała. Na taką chwilę właśnie natrafił król szwedzki i dobrze umiał z niéj korzystać.

Zaledwie wieść przyszła o wylądowaniu Szwedów, padła zajęcza trwoga nietylko na Jana Kazimierza i dwór jego, ale na całą społeczność polską. Król ucieka z Warszawy, którą zostawioną bez obrony nieprzyjaciel zabiéra; przybywa do Krakowa, ale i tu nie czując się bezpieczny, straż starego grodu zostawia Stefanowi Czarnieckiemu, sam zaś uchodzi za granicę swego państwa [1]). Szlachta powolna zdra-

[1]) Chwilę tę opuszczenia Krakowa przez Jana Kazimierza, uwiecznił pędzlem Jan Matejko. W nim przedstawia tego króla, jak z wyniosłości Mogielan spogląda na płonący gród stary, w towarzystwie szczupłej liczby dworzan. To Stefan Czarniecki kazał pozapalać przedmieścia, otaczające mury forteczne Krakowa, ażeby Szwedzi nie mieli osłony wygodnéj do otoczenia i szturmu staréj stolicy.

dzieckim namowom Radziejowskiego, łączy się z Karolem Gustawem; rycerskie chorągwie idą za tym haniebnym przykładem. Sam Czarniecki po krótkiéj obronie Krakowa, lubo z bronią na ramieniu i rozwiniętemi sztandarami, przechodzi na jego stronę. Dumny zwycięzca wchodzi w tryumfie do staréj Jagiellonów stolicy i udaje się na Wawel, dla zobaczenia grobowych pomników królów polskich. Oprowadzał go Szymon Starowolski, mąż znany dobrze w literaturze ojczystéj, kanonik krakowski, a przywiódłszy do najskromniejszego grobowca Władysława Łokietka:

Ten to jest król—mówił—co po trzykroć strącony z tronu, szukać musiał ocalenia na obcych ziemiach, ale wrócił i szczęśliwie panował.

— Ale wasz Jan Kazimierz—zawołał z pychą Karol Gustaw, uderzając ręką o szablę przy boku—któregom mocą oręża mego wygnał z Polski, już więcéj nie wróci!

— W ręku Boga są losy królów i narodów—odpowiedział świątobliwy kapłan, a te słowa prorocze taki wywarły skutek, że Gustaw, który w kapeluszu na głowie obchodził wawelską katedrę, zdjął go i w milczeniu resztę pomników oglądał.

Wkrótce też obrona Częstochowy, piérwsza zatrzęsła tą potęgą straszną Szwedów. Padają załogi szwedzkie, wycięte w pień, rozstawione po grodach. Czarniecki odtąd każdy krok naprzód znaczy zwycięztwem. Jak trwogę rzucali Szwedzi w początkach, tak teraz na nich pada popłoch; już nie myślą o wstępnym boju i zwycięztwach, ale troskliwie uwożąc bogate i drogocenne łupy z Polski, spławiają Wisłą popod Warszawą [1]) do morza i sami za niemi ku jego wybrzeżom lisiemi kroki podążają. Czarniecki pędzi ich przed sobą, a gdy Gustaw uchodzi na okręty przed straszną pogonią, spieszy do Danii i tam ich pozostałe zastępy rozbija.

Dom Radziejowskiego spalony został w czasie téj wojny, a wspomnienie historyczne może być przywiązane do saméj miejscowości. Plac po nim i rumowiska nabył w roku 1731 Józef Lupa prezydent miasta Staréj-Warszawy i okazały pałac w tym kształcie, jaki widzimy, wystawił; późniéj nabyli go bracia Roeslery i ich nazwisko dotąd nosi na sobie. Głównym frontem zwrócony jest do Krakowskiego-Przedmieścia, dugim na Senatorską ulicę i jest przechodnim, ułatwiającym wielce komunikacyą z téj ulicy z pomienio-

---

[1]) W małym dyaryuszu starego mieszczanina Warszawy wyczytuję, jak w ową porę, gdy Szwedzi ładowne berlinki i galary z łupami spławiali, pod silną strażą, mieszkańcy naszego grodu patrzyli na nie i liczyli codziennie, „a było ich co dnia (dodaje nasz bezimienny mieszczanin) pełno na wodzie, by kawek na słotę". Przez dni dziesięć naraehował ich 128, oprócz jeszcze tych, co równo ze świtem przepływały, albo wśród nocy widnéj i pogodnéj.

ném przedmieściem. Wewnętrzny rozkład i urządzenie tego domu (noszącego N-r 451), przypomina dawne pałace i wspaniałe komnaty.

O parę domów daléj jest dom *pod Gwiazdą* z małém podwórzem; w tym okresie własność Kuzniczewa, który miał głośny w kraju handel wybornych i czystych win węgierskich. Za nim biegnie wązka uliczka Kozia, otwarta za czasów Stanisława Augusta, po drugiéj zaś jéj stronie, stał wspaniały pałac *Prymasowski* (pod N-rem 489). Zbudował go Wojciech Baranowski biskup płocki, a następnie za Zygmunta III arcybiskup gnieznieński; umierając, zapisał na własność kapitule metropolitalnéj gnieźnieńskiéj, z przeznaczeniem na mieszkanie arcybiskupów; ztąd téż przybrał swą nazwę.

Ostatnim z tych dostojników kościelnych, którzy w nim przemieszkiwali, był Michał Poniatowski prymas korony polskiéj, a rodzony brat króla Stanisława Augusta.

Smutny odegrał on dramat w téj siedzibie arcybiskupiéj. Najmłodszy z synów kasztelana krakowskiego, odznaczał się wyższemi zdolnościami pomiędzy wszystkiemi Poniatowskiemi. Przy pomocy brata króla osiągnął najwyższą godność kościelną.

W roku 1794 Warszawa była oblężoną przez Prusaków. Wiadomości otrzymywane z Francyi, gdzie w całéj sile panował terroryzm rewolucyjny, zatrwożył go nadzwyczajnie. Nieoględny na następstwa, wysłał własnoręczny list do króla pruskiego, ktory osobiście dowodził swoją armią, oblegającą nasze miasto, wskazując szczegółowo najsłabszą miejscowość, którą zdobyć i opanować Warszawę łatwo potrafi. Uczynił to w téj nadziei, że osłoni całą swoją *familią* od grożącego jakoby niebezpieczeństwa, chociaż wypadki okazały same, że ten strach był urojony. Ale posłaniec prymasa przez czaty polskie schwytany, a list odebrany, rzecz całą objaśnił. Wiadomość o tym czynie lotem błyskawicy rozbiegła się po mieście i arcybiskup w swym pałacu uwięzionym został.

Książe Józef Poniatowski zanim podążył z obozu przybyć do króla, już sposobu ratowania prymasa nie było. Po krótkiéj naradzie postanowiono, że bezzwłocznie umrzéć musi. Stanisław August od nadwornego swego doktora dostaje silnéj trucizny, któraby, jak piorun, odrazu zabijała. Sam z nią musiał się udać do pałacu prymasowskiego, gdyż był otoczony ścisłą strażą. Okryty płaszczem, trafił na obywatela Dückerta z gwardyi narodowéj; który wartę trzymał; temu musiał się dać poznać, ażeby go przepuścił—wtedy wszedł do pokoju brata, który siedział blady, jak trup, ze spuszczoną smutnie głową na piersi.

— Michale kochany!—wyrzekł król ze łzami, bo był doń przywiązany—przychodzę, jako zwiastun śmierci! Musisz umrzéć, jednéj chwili do stracenia nie mamy. Oto trucizną: długo się męczyć nie będziesz.

Książe Michał podniósł głowę i wyciągnął rękę, jakby po dar drogocenny.

— Daj mi ją bracie—wyszeptał cichym i złamanym głosem —i uściskaj mnie na wieczne pożegnanie!

Uścisnęli się serdecznie; król spiesznie wybiegł, nakazując Dückertowi głęboką tajemnicę, że go widział wchodzącego do tego pałacu. Prymas połknął truciznę, która tak gwałtownie działała, że jak mi mój ojciec opowiadał, który go zaraz po skonie widział, rysy zmarłego zupełnie zmieniła.

Pogrzeb jego odbył się cicho, zwłoki złożono w katakumbach na Cmentarzu Powązkowskim i położono na kamieniu napis, dotąd przechowany:

*„Michał Jerzy książe Poniatowski herbu Ciołek, prymas korony polskiéj i W. Ks. Lit.: syn kasztelana krakowskiego i Konstancyi księżniczki Czartoryskiéj, urodzony dnia 11 października 1736, umarł 11 sierpnia 1794 r. prosi prawowiernych katolików o modlitwy za duszę swoję.”*

We dwa tygodnie dopiéro odprawiono nabożeństwo żałobne po nim w katedrze warszawskiéj, na którym Jan Woronicz, wówczas kanonik miał kazanie pogrzebowe. Tak w sile męzkiego wieku licząc rok 58, musiał zakończyć życie.

Po tym wypadku już w tym pałacu żaden prymas nie przemieszkiwał i we trzy lata późniéj przeszedł na własność skarbu.

Od roku 1815 do 1830 mieściło się w nim ministeryum wojny, a dół cały od ulicy Koziéj do połowy środka gmachu zajmował Maurycy hr. Hauke minister wojny ówczesny, a zięć D-ra Lafontena. Generał ten zyskał sobie chlubny rozgłos przez dzielną obronę twierdzy Zamościa, w któréj bił monetę miedzianą i srebrną, mającą obieg wtedy w téj warowni do około osadzonéj ściśle, a dziś już jako rzadka pamiątka przechowuje się w zbiorach numizmatycznych.

Pałac ten miał dwa obszerne podwórza, a od ulicy oddzielony żelazną kratą z dwiema bramami. Na przeciwnéj stronie ulicy odznaczał się pałac Olbromski (pod N. 460), biorący swą nazwę od tego, że wystawił go Franciszek Dembiński starosta wolbromski.

Teraz wychodzimy na plac *Marywilu:* z prawéj zostawiamy ulicę Daniłowiczowską, po lewéj stronie biegnie krótka ulica Nowo-Senatorska. Plac cały (jak obecnie Wielki Teatr) zajmowały budowle Marywilu, które wystawiła Marya Kazimira żona króla Jana Sobieskiego i od swego imienia nazwała *Marie-Ville.* Wewnątrz były wielkie podwórza, do których wejście było, jak zapamiętam, przez obszerne bramy. W pośrodku podwórza bliższego Wierzbowéj ulicy, stał mały kościołek Panien Kanoniczek.

Na pomienionych podwórzach odbywały się jarmarki głośne w całym kraju, w których rej wiodły powabne torunianki ze sklepami sławnych pierników, przyczém zaraz wypiekały wafle, które tłumy gości chciwie rozkupywały. W czasie istnienia tych jarmarków cały świat elegancki Warszawy tu się gromadził; panie biegły zobaczyć piękne torunianki, a pierwsi eleganci naszego miasta pragnęli się im

zgrabnie zaprezentować i zwrócić ich oczy i uwagę na siebie. Nie wiele też z tém mieli trudu, bo ich mężowie lub narzeczeni, nieruchawe i nieoskrobane niemczyska, porównać się z warszawską młodzieżą nie mogli. Piernikarki te więc każdorocznie z dobraném gronem młodych i powabnych torunianek i gdańszczanek ochotnie przybywały do Marywilu, bo nietylko sporo grosza zarabiały, ale cały czas jak najprzyjemniéj przepędzały, otoczone hołdami młodych warszawiaków, dziarskich oficerów i akademików, a nie brakło czerstwych i dorodnych ziemian z prowincyi, którzy w onczas jako na miłe gody dla siebie hurmem do miasta zjeżdżali. Pomienione jarmarki w początku maja i listopada przypadające trwały przez trzy tygodnie [1]).

Ale budowle te podupadały z każdym rokiem, potrzeba było plac przed ratuszem oczyścić; zaczęto więc je burzyć. Wtedy przy rozbieraniu starych murów, w wydrążeniu kamienia węgielnego kaplicy marywilskiéj, znaleziono relikwie i tablicę srebrną z napisem téj treści: „Że królowa Marya Kazimira na pamiątkę zwycięztwa pod Wiedniem i na cześć Najświętszéj Matki, któréj obraz Jan III miał zawsze, i któréj opieki wzywając, pokonał nieprzyjaciół, budowę tę wystawiła. Kamień zaś węgielny położony dnia 12 września 1696 r. przez Stanisława III (Witwickiego) biskupa poznańskiego, zastępującego królowę, w dzień rocznicy ocalenia Wiednia.“

Po śmierci króla Jana III i wyjeździe Maryi Kazimiry królowéj wdowy, Marywil nabyła Józefa Antonina z Zahorowskich Ordynatowa Zamoyska, wiele nowych budowli w nim wzniosła i osadziła tu w roku 1744 kapitułę dam świeckich, pod tytułem *Kanoniczek od Niepokalanego Poczęcia*, na wzór podobnego Zgromadzenia w Remiremont w Lotaryngii, a sejm zatwierdził tę jedyną u nas w kraju fundacyę.

Zamiarem założycielki było, ażeby zacnie urodzone niewiasty, osierocone z rodzinnéj opieki, nie zawierając dla siebie drogi do odpowiedniego małżeństwa, mogły miéć schronienie do bogobojnego i prawdziwie chrześciańskiego życia.

Jedna *ksieni* dożywotnia za mąż wyjść nie mogła; liczba Kanoniczek dochodziła do jedenastu, każda musiała się wywodzić ze szlachectwa po ojcu i po matce do trzech pokoleń. Panien drugiego rzędu także szlacheckiego urodzenia, ośm było. Inauguracya piérwszéj ksieni Zofii Gałeckiéj wojewodzianki podolskiéj, nastąpiła w rocznicę zaprowadzenia téj kapituły dnia 2 maja 1745 roku. Kanoniczki nosiły order *Niepokalanego Poczęcia;* używały dwojakiego stroju: jeden kościelny, a drugi światowy podług mody panującéj. W czasie sejmów w Warszawie, przez ciąg trwania każdego, odbywało się w Marywilu w kościele Panien Kanoniczek nabożeństwo, na które tak posłowie jak senatorowie zjeżdżali tłumnie.

---

[1]) Następnie przeniosły się na podwórza pałacu Radziwiłłowskiego, późniéj Paca na Miodowéj ulicy.

W zabudowaniach Marywilu już od czasów Stanisława Augusta mieściły się kawiarnie i traktyernie, a nawet małe szulernie, gdzie się dworzanie magnatów polskich i szlachta wiejska mniéj zamożna zgrywała. Grywano najzwykléj tu w ulubionego maryasza do puli; słynął téż maryasz szlifowany, na cześć którego bajkę napisał F. D. Kniaznin, grając w niego w Marywilu [1]).

Wszedłszy na obszerne podwórza po lewéj stronie od ulicy Senatorskiéj, wznosił się do niéj frontem pałac do rodziny Pociejów należący. Pamiętam pod arkadami nizkiemi ciągnący się długi szereg sklepików, w których dawniéj mieścił się cały handel żydów warszawskich, sprzedających rozmaite stare sprzęty, żelaztwo i wszelkiego rodzaju tandetę. Na piętrze były mieszkania. Kiedy ztąd ich usunięto na ulice Królewską i Marszałkowską, przenieśli oni wraz z sobą i tu nazwę Pociejowa; wyraz ten bowiem dał powód do przysłowia ludu warszawskiego: „pociejowska robota," którém oznacza lichą, niezdarną i nietrwałą robotę rzemieślniczą. Tak imie znakomitéj rodziny litewskiéj przywiązało się na zawsze do tandetnego handlu żydów warszawskich, którzy gdziekolwiek z nim się obrocą, nazwę Pociejowa przenoszą [2]).

Poza murami Marywilu szła ulica Wierzbowa, a po drugiéj jéj stronie rozciągały się obszerne place należące do księży Reformatów, na których właśnie zaczęli wznosić okazałe domy Ludwik Adam *Dmuszewski*, aktor teatru narodowego, i *Petyskus* utrzymujący kantor loteryi.

Dmuszewski miał maleńką kamieniczkę na Przyrynku wprost kościoła Panny Maryi, tę puścił na loteryę i szczęśliwie sam wygrał. Zaraz potém od Brunona hr. Kicińskiego za tysiąc dukatów kupił „Kuryera Warszawskiego" i wziąwszy od Reformatów za czynszową opłatą grunt potrzebny, wybudował stojącą kamienicę, w któréj pomieścił drukarnię Kuryera i redakcyę tego pisemka. Niesłusznie przeto i mylnie L. A. Dmuszewskiego ogłaszano za twórcę „Kuryera", kiedy piérwszym założycielem był Bruno hr. Kiciński, któremu rozwój naszéj prassy peryodycznéj wiele zawdzięcza. Dmuszewski w małym na dole pokoiku przebywał godziny oznaczone w redakcyi, a siedząc przy kantorku, brał do rąk zagraniczne gazety jak mu je podano i z nich bez żadnego ładu i porządku, co mu się zdało najciekawszego, do druku wybierał. Pokoik ten był zapchany rupiecia-

---

[1]) Znany ze znakomitego talentu M. Andriolli w „Kłosach" r. b. przypomniał nam dawnego maryasza, w kompozycyi wielce udatnéj, przedstawiającéj dwoje sędziwych małżonków, grających w niego, w chwili gdy mąż pyta żony: „Masz pamfila?"

[2]) Główny teraz handel żydowski tandety i starych rupieci przeniesiony został w pobliżu Grzybowa i nosi jak dawniéj nazwę *Pociejowa*.

mi rozmaitego rodzaju, a na przymurku leżała kupa pięciogroszówek grubo kurzem pokryta, które chował dla ubogich. Najważniejszą ozdobą był tu parawan szklany o kilku skrzydłach z nalepionemi portretami rozmaitych znakomitości krajowych, obejmujący zbiór wielce szacowny. Dmuszewski jeżeli nie stworzył Kuryera Warszawskiego, to zręcznie umiał go rozpowszechnić do tego stopnia, że za jego staraniem lud warszawski, przekupki, tragarze i służba domowa zaczęła go czytywać.

Wprost jednéj z bram Marywilu, na przeciwnéj stronie placu, wznosi się skromny kościół Św. Andrzeja; w nim pierwszym proboszczem był znany dobrze w literaturze polskiéj Karol Wyrwicz, towarzysz uczonych obiadów czwartkowych w zamku królewskim. Przy burzeniu Marywilu, kościół ten z klasztorem oddany został Pannom Kanoniczkom. Dom go tylko jeden rozdzielał od ratusza, do którego po rozebraniu w rynku Starego-Miasta dawnego ratusza, jeszcze z czasów udzielnych książąt mazowieckich, przeniesiono magistrat warszawski. Pierwotnie był to pałac książąt Jabłonowskich, który stawiał słynny budowniczy *Merlini*. Rząd Królestwa Polskiego nabył go od Antoniego księcia Jabłonowskiego kasztelana krąkowskiego w r. 1817 i odpowiednio do potrzeb magistratu urządził.

Sale obszerne i wspaniałe zdobiły obrazy historyczne, z tych zapamiętałem, w całéj postaci Stanisława i Janusza ostatnich książąt mazowieckich, co spoczywają u *Fary* i ich siostry Anny na jedném płótnie. Obraz ten tém większéj ceny, że jest współcześnie malowany. W wielkiéj liczbie portretów odznaczały się króla Stanisława Augusta, księcia Józefa Poniatowskiego, Stanisława Małachowskiego, (co ma wspaniały grobowiec w katedrze warszawskiéj); Hugo Kołłątaja, Ignacego i Stanisława Potockich, i prezydentów Warszawy: Jana Dekerta, Ignacego Wyssogoty Zakrzewskiego, kochanka ludu warszawskiego, Karola Wojdy. Między temi zwracał uwagę portret Franciszka Bielińskiego marszałka wielkiego koronnego, który w kronice Warszawy nie jedno wspomnienie zajmuje, albowiem miasto nasze w uporządkowaniu swojém wiele mu zawdzięcza. Liczne wspomnienia o nim w żywém jeszcze podaniu w ustach się Warszawian przechowały. Był to pan surowy, ale rozumny i sprawiedliwy. Pomiędzy wielu wypadkami opowiadanemi wówczas, jeden przypominam sobie.

Na *Nowym-Świecie* mieszkał w drewnianym swoim domku rzeźnik, który przy własnym ogrodzie wypasał liczną trzodę chlewną, rzezał, i w mieście sprzedawał tak słoninę jak wędliny wybornie przyrządzone, dla czego miał odbyt wielki i grube zbierał grosiwo.

Nieznano wówczas papiérowych pieniędzy, tylko w obiegu była srebrna i złota moneta. Rzeźnik co zebrał w każdą sobotę, przeliczał w swojéj sypialnéj izbie, i dwu, czterozłotówki i grubsze sztuki srebrne do worków wsypywał.

W tym samym dworku, ponad tą izbą w facyatce, zamieszkał *palestrant*, który oskarżył swego gospodarza, że mu ukradł pieniądze, które przechowywał w workach; podał nietylko ich liczbę ale szczegółowo w swéj skardze wymienił, wiele w którym było pieniędzy i w jakim gatunku. Skarga ta przyszła do marszałka Bielińskiego, który kazał zrobić u rzeźnika *rewizyą*, i z wielkiém podziwieniem wszystkie worki wymienione przez palestranta znaleziono z taką, jaką podał, monetą. Znano rzeźnika z uczciwości, oddany wyłącznie swemu rzemiosłu, pracował usilnie, był dobrym mężem i ojcem, krewniaków wspierał, dla biédnych był litościwy, codzień modlił się w kościele Dominikanów *Obserwantów* w pobliżu ś-go Krzyża [1]), a pomimo to, skarga palestranta ciążyła nad nim haniebiąco.

Bieliński, ściągnąwszy potrzebne wiadomości tak o rzeźniku, jak i palestrancie, w dawnym ratuszu na *Starém-Mieście* w obec prezydenta miasta i ławników miał tę sprawę osądzić. Co żyło w Warszawie, a dostać się mogło do sali ratuszowéj, wszystko się zbiegło na sąd marszałka wielkiego.

Obwiniony rzeźnik, zgnębiony, nie śmiał oczu podnieść; żona jego i dzieci przytulone w kąciku zalewały się gorzkiemi łzami, tłumiąc swe jęki bolesne. Z miną tryumfującą stał razem z nim przed kratkami palestrant.

Wszystkich zebranych w sali zdziwił duży ogień na kominie wielkim rozniecony, a nad nim stojący ogromny na trójnogach kocieł pełen wody wrzącéj.

Wszedł Bieliński, wszyscy powstali i głęboki mu ukłon oddali. Worki, o które spór szedł, pełne srebra leżały na stole. Wtedy marszałek rozkazał każdy worek wraz z monetą rzucać w kocieł już gotującéj się wody. Po krótkiéj chwili, na jéj powierzchni ukazywać się zaczęły kółka coraz gęściéj tłuszczu. Bieliński kazawszy się prezydentowi i ławnikom o tém przekonać, przywołał przed siebie rzeźnika i palestranta.

— Pokażcie ręce swoje—wyrzekł.

Rzeźnika dłonie duże, grube, spracowane, ale całe zatłuszczone; palestranta drobne, chude, białe, tylko atramentem nieco powalane.

— Kłamliwą skargę—zawołał donośnym głosem, zwrócony do palestranta — podałaś i oszkalowałeś poczciwego człowieka, który nie pomyślał nigdy o krzywdzie bliźniego. Gdyby to były twoje worki i pieniądze, śladu tłuszczu nie widzielibyśmy wcale. To jest własność krwawo zapracowana rzeźnika, a ciebie łotrze słuszna kara za oszczerstwo spotkać musi. Tyś to w pułapie ponad mieszkaniem swego gospodarza wywiercił otwór, i przez niego policzyłeś worki, gatunek pieniędzy i dokładnie spisałeś. Okuć go w kajdany i do *wieży* zawieść, a waści panie majstrze (mówił zwróciwszy się do

[1]) Na jego miejscu wzniesiono dom byłego Towarzystwa przyjaciół nauk.

rzeźnika) podaję rękę moją do uścisku i ogłaszam waszą niewinność Byłeś i jesteś poczciwym człowiekiem i obywatelem Warszawy.

Rzeźnik padł na kolana przed Bielińskim, a pochwyciwszy rękę podaną z rzewnym płaczem gorąco ją pocałował. Lud wzniósł radosne okrzyki na cześć marszałka i rzeźnika, którego gromadnie do dworku jego odprowadził; palestranta trzeba było otoczyć silną strażą, bo go chciano żywcem rozszarpać.

Wracamy do nowego ratusza, w którego salonach odbywały się bale na rzecz Towarzystwa dobroczynności. Byłem na kilku, a obrazy wspaniałe, jakie się przewijały przed oczyma mojemi, głęboko wyryte zostały w pamięci. Najdobrańsze towarzystwo, nietylko Warwy ale i z całego kraju zgromadzało się na te zabawy. Wszystkie stany łączyły się z sobą w jeden zgodny wieniec. Panie najwyższych rodów, jak i obywatelki miejskie i wiejskie, odbijały cudnym urokiem wdzięków, boć to nie nowina, że zarówno ziemianki polskie jak i warszawianki, słynęły od dawna z piękności czarującego powabu. Rej tu wiodły wysokiego wzrostu (jaki jest już rzadki pomiędzy naszemi niewiastami), a otoczone jakby aureolą poezyi Ordynatowa Zamoyska, księżna Wirtemberska (z Czartoryskich), Chodkiewiczowa z młodziutką córką Zofią i wiele innych. Nie ustępowały im ani w urodzie ani w powabie, obywatelki z dworów wiejskich jak i warszawianki.

Wzrostowi kobiét odpowiadała płeć męzka dziarska i pełna życia, czy to we fraku czy w mundurze.

Z tańców szczególnie po *polonezie* zwracał uwagę zgromadzonych *mazur*, tańczony zupełnie inaczéj niż dzisiaj. Cały charakter tego pięknego tańca troskliwie był zachowany.

Każda para w żwawym poskoku wybiegała z miejsca na środek sali, ale tancerz tak wiódł swą towarzyszkę, że ona przodować zdawała się w tańcu, a mężczyzna podążał za nią jako jej rycerz i obrońca.

Kiedy stanęli w środku par drugich, tancerka obiegała go wkoło, a on stojąc w miejscu, bijąc hołubca, spoglądał z zachwytem na swą druchnę, chwytał w swoje objęcia, poczém okręcali się wkoło i wracali na miejsce. Tak po przetańczeniu pojedyńczo rozpoczynano *figury*, w których udział brała każda para po kolei. Tańczono zwykle po ośm par i tworzono w każdéj sali po kilka kół.

I *kontredans* był w te czasy prawdziwym tańcem, w którym kobiéta cały urok wdzięku ukazać mogła, a tancerz dziarskość w *wycinaniu piruetów* i *entrsza* w wysokich podskokach.

Jak polonez rozpoczynał bal, tąk brzmiał zawsze przed kolacyą, do któréj przechodzono tym tańcem. Serdeczna ochota, swoboda i radość szczera upromieniała każde oblicze, zarówno młodzieży, jak starszego wieku, sędziwych ojców i matron. Brzask dnia, który zaczął przytłumiać jarzące światło w salach ratuszowych, bywał dopiéro hasłem do opuszczenia gmachu ratusza, w którym nie jedno młode serce żywiéj zabiło, a wspomnienie każdego w nim zebrania, żywe

i niczem nie zatarte pozostawiało wrażenie w pamięci każdego, który był uczestnikiem tych prawdziwych godów zapustnych.

W ratuszu mieściła się *straż* piesza i konna; nosiła niebieskie mundury i broń kalibrową. Nie znam powodu, dlaczego była pośmiewiskiem ludu warszawskiego, który piechurów z niéj głównie, zwał powszechnie *salcesonami*. Nazwa ta powstała z tego powodu, że jeden z nich tłustéj rzeźniczce *zwędził* cały salceson i z nim począł uciekać. Właścicielka zerwała się z za stołu swego za szkodnikiem, ale zaledwie ubiegła kilkadziesiąt kroków, już daléj podążać nie mogła, wołając tylko *salceson! salceson!*

Schwytany na gorącym uczynku winowajca, stawiony przed sądem. W krótce też nadeszła zadyszana rzeźniczka, ale nic więcéj mówić nie potrafiła, jak tylko wskazując na owego milicyanta, wołała:

— Salceson! Salceson!

I nazwa ta pozostała aż do końca 1830 roku.

Obok ratusza pałac *Blanka* (pod n. 461). Piotr Blank był głośnym bankierem warszawskim za panowania Stanisława Augusta, i nabył tę posiadłość od Mikorskiego podkomorzego gostyńskiego. Nic w nim nie zmienił ani przydał, a pałacyk ten z małém podwórkiem jego nazwisko przywiązał aż po dziś dzień do swoich murów.

Tak były ratusz jak prawe skrzydło tego pałacyku wychodzą na ulicę *Daniłowiczowską*. Okrąża ona prawie w półkole mury ratuszowe, bo zaczyna się z Senatorskiéj a dochodzi do Bielańskiéj ulicy. Nazwę swą wzięła od Jana Mikołaja Daniłowicza podskarbiego wielkiego koronnego, który od mieszczan warszawskich zakupiwszy domy i ogrody, wystawił w roku 1621 ogromny pałac, a przy nim założył okazały ogród. Kiedy Karol Gustaw opanował Warszawę, spalił go jak i wiele innych gmachów stojących za warownemi murami naszego miasta, i wtedy poszedł w ruinę. Po Daniłowiczu odziedziczywszy w spadku Izabella Opalińska małżonka Łukasza marszałka nadwornego, darowała go Jezuitom za Jana Kazimierza, w kilka lat po wojnie szwedzkiéj. Gospodarny zakon, pałac wyrestaurowawszy wypuszczał go w dzierżawę, a po śmierci króla Jana III, sami się wprowadzili i *rezydencyę* w nim swoją założyli. Następnie sprzedali Teodorowi Potockiemu, który im kaplicę na *Senatorskiéj* ulicy wystawił (dzisiejszy kościołek ś-go Andrzeja, Kanoniczek). Następnie odstąpił go Andrzejowi Kostce Załuskiemu biskupowi płockiemu, kanclerzowi wielkiemu koronnemu. Ten pałac z gruntu przebudował i w r. 1742 umieścił w nim sławną swoją bibliotekę, która pomnożona przez brata jego Józefa i na rzecz narodu ofiarowaną została. Odtąd tak gmach jak i miejscowość cała *Biblioteki Załuskich* nazwę przybrała. Gmach ten spalony w r. 1807, w dziesięć lat późniéj sprzedany, nabył szambelan króla Stanisława Augusta Nowakowski i zabrał się do jego restauracyi. Znałem pana szambelana osobiście i widziałem z jaką gorli-

wością zabrał się do tego dzieła, poszukując skwapliwie wszelkich pamiątek, jakie w tym domu po Załuskich pozostały. Jego staraniem wydobyto z ruin popiersia kamienne królów polskich, zdobiące niegdyś sale wielkiéj biblioteki, które ocalone przez niego, dotąd się przechowały osadzone w murze podwórzowym.

Ulica *Daniłowiczowska* wychodzi na Bielańską, zkąd wziąwszy się na lewo wychodzimy znowu na Senatorską ulicę, ciągnącą się do placu bankowego. Na niéj wydatniał tylko mały kościołek księży Reformatów, zbudowany i otwarty dla pobożnych w roku 1679. W ogrodzie klasztornym był domek, gdzie król Jan Sobieski w *wielki tydzień* odbywał *rekolekcye*. Wiadomo, jak dzielny ten wojownik i wódz był pobożnym, jak przed każdą walną bitwą gorąco się modlił, czyto w przeddzień odniesionego zwycięztwa 1673 r. w dzień ś. Marcina nad Turkami pod *Chocimem*, uwiecznionego pieśnią historyczną z owych czasów, a które dało mu koronę; czy w dziesięć lat późniéj, gdy oswobodził od oblężenia Wiedeń, i rozbił potęgę Muzułmanów, co zagrażała całéj Europie. Kiedy córkę swoją jedynaczkę wydawał za mąż, ofiarował jéj jako najdroższą od siebie pamiątkę wizerunek Matki Boskiéj i do tego dołączył tkliwy i rzewny wiersz polski z błogosławieństwem ojcowskiém.

Obok tego kościoła jest pałac zwany *Błękitnym*, własność Ordynacyi Zamoyskich. Wzniósł go August II w ciągu sześciu miesięcy dla córki swéj naturalnéj Orzelskiéj, którą szczególniéj miłował. Z jego rozkazu trzystu robotników dziennie i tyleż nocą przy świetle pochodni pracowało, jak opisuje *Erndtel* naoczny świadek, ażeby w danym okresie czasu przez tego króla gmach był wykończony. Równocześnie został wewnątrz i zewnątrz wspaniale przyozdobiony. Lud warszawski utrzymywał, że istnieje podziemny korytarz, który pałac ten łączył z pałacem *Saskim* wygodném i tajemném przejściem. Nazwę *Błękitnego* otrzymał od koloru jakim były pociągnięte jego ściany od podwórza i ulicy.

Z przeciwnéj strony wprost kościoła Reformatów, cała połać téj ulicy składała się z małych domków, i dopiéro zwracał uwagę większy gmach zwany *pałacem Mniszkowskim* (gdzie resursa kupiecka pod n. 471 litera b.), który wewnętrznym rozkładem i obszernością sal i pokoi przypomina dawne magnatów polskich mieszkania.

Od strony niedawno wzniesionego Banku Polskiego i ulicy *Rymarskiéj* oddzielały go wysokie wały ziemne, które pozostały jako zabytek strasznéj zarazy morowéj, co wymordowała większą połowę mieszkańców Warszawy (r. 1712). Wtedy, jak mi opowiadano, okopywano oddzielne części miasta dla przecięcia grasującéj zarazy. Żyli jeszcze starcy, co przeżywszy w dziecięcych latach tę klęskę, pamiętali jak powstały te usypiska.

Wprost *Senatorskiéj* idzie ulica *Elektoralna*, która swą nazwę otrzymała za Stanisława Augusta z tego powodu, że prowadziła na równinę wsi *Woli*, gdzie było pole elekcyi królów polskich od zgonu

Zygmunta Augusta a kończąc na Poniatowskim. Z oficyną pałacu Ordynatów Zamoyskich i częścią ogrodu *Saskiego* biegnie ulica *Żabia*. Widać z samego jéj nazwiska, jaka to była część miasta nie ludna i błotna. Jakoż *Antoni Magier* (zmarły 1837 r.) pisze w swoich wspomnieniach, że sam na błotach téj miejscowości widział gromady żab i skrzeczenie ich słyszał.

Z niéj wychodzi się na plac za *Żelazną bramą*, tak zwany, że z niego przez żelazną bramę wchodziło się do Saskiego ogrodu. Na tym obszernym placu zwracał uwagę wielki gmach z filarami, własność Izydora hr. Krasińskiego, poza którym stoją *Koszary Mirowskie* (pod n. 934), wychodzące na ulicę *Zimną i Chłodną*. Ogromną przestrzeń zajmując, zbudowane zostały za Augusta II w r. 1732, i przeznaczone dla gwardyi koronnéj. Nazwę swą otrzymały od sławnego generała *Mira* dowódzcy tego *regimentu*, który téż imię jego przyjął i odznaczył się świetnie w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta. Są to pierwsze stałe koszary w Warszawie.

Przez ulicę *Graniczną*, która łączy się z *Królewską* wychodzimy na *plac Grzybowski*, w środku którego stał za mojéj pamięci mały murowany *ratusz*, otoczony licznemi drewnianemi domkami; rzadko gdzie ujrzałeś skromną kamieniczkę. Część ta stanowiła oddzielne miasteczko, założone przez *Jana Grzybowskiego* starostę warszawskiego w r. 1650; w ostatnich dopiéro latach zeszłego stulecia, bo w r. 1794 wcieloném zostało do Warszawy, zachowując starą założyciela swego nazwę w ulicy i placu.

Odtąd ratusz tutejszy służył na więzienie za długi i dał powód groźnemu przysłowiu pomiędzy ludem naszego miasta na niesłownych lub nierzetelnych, że:

„*Pójdziesz na Grzybów*“.
albo
„*Wsadzę cię na Grzybów*“.

które dziś już mało dla nieświadomych miejscowości zrozumiałe.

Od tego placu we wszystkich kierunkach biegnące ulice, przypominały małe liche miasteczka, zabudowane zrzadka drewnianemi domkami i dworkami, ale każdy już z mniejszym już z większym ogrodem. Ta téż strona Warszawy miała ich prawie największą liczbę, które dostarczały obficie wszelkiego gatunku wybornych jarzyn i doskonałych owoców.

## XIV.

Ogród i pałac saski.—Król August II Mocny.—Fatyma turczynka i jéj syn hr. Rutowski.—Księżna Lubomirska.—Karuzel.—Zdradzone uczucie.—Hrabina Kosel.—Henryk Duval.—Anna Orzelska.—Altana w ogrodzie.—Rozrywka łowiecka króla Augusta III. — Posąg konny księcia Józefa Poniatowskiego.—Plac saski. — Parady wojskowe.— Śmierć generała Sokolnickiego.— Krytyka tragedyi Ludgarda.— Pałac Brylowski.—Odwach Pod Białym Orłem.— Przysłowia.—Hotel Gerlacha.—Cukiernia Szymańskiego.—Cukiernia Lesla w ogrodzie saskim.—Pałac hr. Krasińskich.—Zebrania literackie.—A. E. Odyniec.—Zygmunt Krasiński.—Dominik Magnuszewski —Konstanty Gaszyński.—Widzenie Zygmunta Krasińskiego.—Franciszka Krasińska, synowa króla Augusta III.—Zbrojownia.—Ogrody Misyonarzy.—Pałac Tarnowskich.—Pałac Stanisława hr. Potockiego.

Pałac *błękitny* Ordynacyi Zamoyskich lewém swojém skrzydłem łączy się z ogrodem Saskim od ulicy Żabiéj; sam ogród zamykał pałac saski zwrócony frontem do Krakowskiego Przedmieścia, z obszernym placem, który tęż samą nazwę nosi. Miejscowości téj piérwotnie w XVII wieku inną zupełnie była postać.

Pałac saski stanął na gruzach kilku starych gmachów własności Morsztynów, Sapiehów i Lubomirskich, gdzie zaś ogród dzisiejszy, przechodziły tu ulice, stały pałacyki, dwory i dworki, a wśród nich kościół OO. Bonifratrów.

Król August Mocny poskupował to wszystko; Bonifratrów przeniósł na teraźniejsze miejsce i na tak wielkiéj przestrzeni zbudował sobie pałac i obszerny ogród założył (od 1721—1724). Lipy, jakie się dotąd w nim przechowały, są sadzone przez tego króla.

Od ulicy Żabiéj była wielka brama żelązna, a na szerokich słupach przy niéj, wznosiły się z kamienia olbrzymie korony: elektoralna-saska i królewska-polska (brama ta zniesioną została w r. 1821). Według smaku ówczesnego zasadzono szpalery, urządzono wirydarze kwiatowe i przy załamach alei drzew postawiono figury kamienne z mitologii wzięte, lub alegoryczne; z tych część do dziś dnia pozostała. August II urządziwszy według swego gustu, a ze zwykłym przepychem ten pałac, zamieszkiwał w nim z niemałą przyjemnością: w nim téż jako i w ogrodzie odegrywały się dramaty zajmujące, wśród hulackiego życia tego króla. Tu przebywała młoda Fatyma turczynka równie piękna jak powabna, wzięta do niewoli za czasów króla Sobieskiego, a wychowana u Przebendowskiéj podskarbinéj wiel. koronnéj. Syn z niéj otrzymał tytuł hr. Rutowskiego, a Fatymę August wydał za Szpigla pułkownika w wojsku saskiém.

Poznawszy młodą i piękną księżnę Lubomirską, rozgorzał do niéj gwałtowną miłością. Była to synowica kardynała Radziejowskiego, a małżonka podskarbiego koronnego. Dla niéj sprowadził aktorów francuzkich, urządził z przepychem teatr w ogrodzie Saskim, sprowadził téż kapelę swoję nadworną z Drezna. Codzień bywały bale, karuzele i przejażdżki nad Wisłą. Ale księżna przyjmując tak zalotne usługi i zabawy, nie odpłacała się wzajemnością. August nazwyczajony do łatwych zwycięztw, taił gniew i codzień się więcéj niecierpliwił; księżna była nieugiętą.

Przypadek odkrył mu jéj miłość, pozorną obojętnością okrytą. Król w karuzelach i gonitwie do pierścienia był pierwszym; w ogrodzie

Saskim urządzono po temu plac odpowiedni. Sprowadzono właśnie z Turcyi dzikie i nieujeżdżone konie. August kazał sobie podać jednego, na drugiego wsiadł Fichtom (zwany także Ficztum) poufały dworzanin i biegli w całym pędzie ku sobie. Król nagle wstrzymał swego rumaka i spadł z siodła; na ten widok księżna zemdlała, a gdy August krwią własną zlany przybiega do niéj i trzeźwi, piérwsze słowa, które wyrzekła, przyszedłszy do przytomności były:

— Ach! Miłościwy panie, żyjesz i oglądam cię przecie!

One zdradziły tajone w głębi serca uczucie i odtąd już stała się wierną towarzyszką dorodnego króla. Przemieszkiwała najprzód w pałacu saskim, następnie z nim wyjechała do Drezna i tu stale osiadła pod imieniem księżnéj Teschen. Wkrótce jednakże niestały w swych uczuciach, opuścił ją dla pięknéj małżonki hrabiego Hoyma, która późniéj zasłynęła jako *hrabina Kosel*. Wdzięki jéj i powaby tak potężnie wpłynęły na lekkomyślnego Augusta, że go do siebie na lat kilka przykuła nierozerwanemi ogniwami i jak współczesny rękopism wyraża: „Cała Polska i Saxonia były przez lat 9 pod jéj stopami“ [1]).

Długo się o jéj względy starał nadaremnie i nie pierwéj przystała na jego żądania, jak pod warunkami, że po śmierci królowéj pojmie ją za małżonkę, sto tysięcy talarów rocznéj pensyi przeznaczy i potomstwo za prawne uzna.

Przystał August na wszystko i dokumenta dla pewności z własnoręcznym podpisem wydał. Konsystorz gnieznieński osądził sprawę Hoymów, rozwiązał ich małżeństwo, a król zatwierdziwszy ten wyrok, kazał poprzybijać takowy na drzwiach kościelnych w Warszawie.

Hrabina Kosel za Augustem przybyła do naszego grodu i zamieszkała w saskim pałacu; tu odebrała cios dotkliwy dla siebie, bo dowody niewierności Augusta, który zakochał się w córce kupca francuzkiego handlującego winem.

Była to piękna, młoda i powabna Henryka Duval i ta natarczywości króla oprzéć się nie mogła; ale wkrótce jak i o wielu innych, i o niéj zapomniał.

Wiele lat upłynęło od téj chwili: syna swego z Fatymy hrabiego Rutowskiego mianował dowódzcą regimentu jazdy; ten się dowiedział, że córka Henryki w ostatniéj nędzy pozostaje, przez litość przeto wziął ją do siebie i starannie wychował.

Raz, kiedy po przeglądzie tego regimentu, August przechadzał się po ogrodzie Saskim, oświadczył mu Rutowski, że ma u siebie młode dziewczę, które tak jest biegłe w robieniu bronią jak najstarszy żołnierz. Król chciał je widzieć. Przybrana w bogato haftowany mun-

---

[1]) Z życia i przygód a oraz niedoli téj znakomitéj kobiéty napisał J. I. Kraszewski piękną historyczną powieść: *Hrabina Kosel*, którą redakcya Biblioteki Warszawskiéj wydała w 2-ch t. (Warszawa, 1874 r.).

dur, piękna, młoda, wielce podobna do swéj matki Anna, stanęła i zaczęła się na komendę brata swego, z całą dokładnością zręcznie musztrować.

August poznał ją odrazu, uściskał, przyjął za własną córkę, obsypał bogactwy, wystawił dla niéj pałac *Błękitny* przy ogrodzie Saskim i wydał ją następnie za niemieckie książątko [1]).

W archiwum głównem Królestwa, w aktach metryki koronnéj znajdujemy dokument darowizny pomienionego pałacu, który przytaczamy w wiernym z łacińskiego przekładzie: „August II z Bożéj łaski król polski, wielki książe litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, kijowski, wołyński, podolski, inflandzki, smoleński, siewierski i czernichowski, niemniéj dziedziczny książe saski i elektor. Oznajmujemy tym listem naszym wszem wobec i każdemu z osobna, że my powodowani ze szczególnéj miłości ojcowskiéj naszéj, ku ukochanéj córce naszéj Annie hrabinie Orzelskiéj, chcąc dopomódz jéj wygodzie i pożytkowi, postanowiliśmy, aby tejże pałac w Warszawie blizko Reformatów leżący, nam przez W. Stefana i Teressę Potocką, przedtém referendarzów, obecnie marszałków dworu naszego, przed aktami metryki koronnéj, prawem dziedziczném, czystéj i nieodwołalnéj darowizny, na wieczne czasy dany i odstąpiony, darujemy i obecnie dyplomem naszym, wspomniony pałac wraz z gruntem dla rozszerzenia ogrodu i pozostałych budowli do wspomnionego pałacu Potockich przez nas połączonych, jak teraz w swéj rozciągłości są i od ogrodu pałacu naszego *Morsztynowski* zwanego, murem i ogrodzeniem oddzielonego, niemniéj ze wszelkiemi ruchomościami do ozdoby tegoż pałacu przez nas kupionemi i wyszukanemi, wraz z złotem i srebrem, do ozdoby i użytku stołu tamże złożonym, i ze wszelkiemi rzeczami zupełnie osobnym spisem objętemi i do akt metryki koronnéj wniesionym, wspomnionéj ukochanéj córce naszéj, Annie hrabinie Orzelskiéj i jéj sukcesorom dajemy, darujemy i rezygnujemy na wieczne czasy, żadnego sobie ani potomkom naszym, ani komukolwiek prawa własności niezachowując, ale całe i nierozdzielne prawo nasze dziedziczne, niedawno przez konstytucyę na sejmie w Grodnie odbywanym, potwierdzone i umocnione, na tęż hrabinę Orzelską przenosimy i przelewamy, dając jéj moc, sam pałac jako i wszystkie rzeczy ruchome, darować, sprzedać i nim rozrządzać, lub na jakikolwiek użytek obrócić bez czyjéjkolwiek przeszkody, na któréj wprowadzenie odtąd rzeczywiście do tego pałacu zezwalamy i tenże wspomnionéj hrabinie Orzelskiéj na rzeczywistą własność oddajemy. Dla wiarogodności czego, dyplom obecny własnoręcznie podpisany, pieczęcią królewską opatrzyć rozkazaliśmy.

---

[1]) W galeryi króla Stanisława Augusta był portret olejny, przedstawiający Annę tak przebraną. Obraz ten nabył z kilką innemi Tomasz Święcki, po którego zgonie jest w mojém posiadaniu.

Dan w Grodnie 21 listopada 1726 roku, panowania naszego trzydziestego.“

Anna Orzelska poślubiwszy Karola Ludwika księcią holsztyńskiego, pałac ten wraz ze wszystkiemi ruchomościami w roku 1730, w dniu 7 listopada odstąpiła królowi Augustowi Mocnemu a ojcu swemu, czego dowód w témże archiwum posiadamy. Tak więc nie całe lat cztery była właścicielką Błękitnego pałacu.

Prawie w samym środku tego ogrodu stała obszerna z drzewa zbudowana altana, którą dobrze zapamiętałem. Tu syn Augusta Mocnego, August III używał przyjemnéj dla siebie rozrywki, strzelając do psów zgromadzonych dla niego umyślnie. Król ten, gdy przebywał w Warszawie, najmilszéj używał przechadzki w ogrodzie Saskim w wiosennéj i letniéj porze, a wieczory trawił na słuchaniu opery niemieckiéj. I ogród ten i pałac był własnością rodziny elektorów saskich do roku 1804, w którym król pruski po zajęciu Warszawy, sposobem zamiany, nabył go na własność rządową.

W czasach księztwa warszawskiego ogród Saski mało uczęszczany, i jak już wspomnieliśmy, ogród Krasiński był wyłącznie poświęconém miejscem na zgromadzanie całego świata eleganckiego Warszawy, jak plac przed nim na wszelkie uroczystości rządowe i narodowe. Od roku 1815 powoli zaczął brać przewagę ogród Saski, gdy miasto więcéj się zabudowało i rozszerzyło. Ogród jakkolwiek niewykwintnie urządzony, bo przez lat kilka dopiéro się uporządkował, ale dawał najmilszą przechadzkę dla mieszkańców Warszawy. Stare drzewa, cienisty zielony namiot rozwieszały nad głowami, bujne łąki szczególniéj przy koszeniu woń ziół aromatycznych roznosiły w około; rosa poranna lub wieczorna w gęstych kroplach perliła trawniki, a mnóstwo ptastwa świergotało przy cudnym koncercie nieprzeliczonych słowików. Dla warszawianina ze Starego-Miasta, z Krakowskiego Przedmieścia i przybocznych ulic, przechadzka do Saskiego ogrodu już liczyła się do odleglejszych wycieczek; ale trud jego hojnie się wynagradzał oddechem w świeżém prawdziwie powietrzu i balsamiczną wonią, tak pierś ożywiającą.

Kiedy ze składek ogółu *Thorwaldsen* wykończył posąg konny księcia Józefa Poniatowskiego w stroju klassycznym rzymskim, przeznaczonym był pierwotnie do ustawienia na *placu Krasińskim;* teraz obmyślono czy niestosowniéj byłoby przenieść go na plac *Saski*, jako obszerniejszy i w środku miasta będący; ale oba te zamiary spełzły na niczem [1]). Od pomienionego roku, *parady* wojskowe odbywały się codziennie na tym placu rozległym, przez co cała okolica bliższa nadzwyczaj się ożywiała.

---

[1]) Posąg ten zdobi ogród w *Homlu*, własności księcia Paskiewicza.

Na tym placu zginął w dniu 23 września 1816 roku jeden z najznakomitszych generałów i pisarzy *Michał Sokolnicki* (urodzony 1760 r. w województwie poznańskiém za Augusta III). Stojąc w czasie parady w gronie oficerów, uderzony od rozbiegłego i rozhukanego konia ułana polskiego na służbie będącego, padł bez zmysłów i nazajutrz życia dokonał, licząc 56 rok. Wychowaniec słynnéj *Szkoły Kadetów* w Warszawie, jako oficer korpusu inżynierów, w stopniu kapitana, był w Wilnie professorem topografii wojskowéj. Po odbytéj podróży do Niemiec, Włoch i Francyi, odbył w stopniu podpułkownika kampanię w roku 1792. Rytownik i sztycharz nie pośledni, wiele prac w tym rodzaju zostawił. Pomiędzy innemi, portret prezydenta Stanów-Zjednoczonych Ameryki, z natury rysowany przez Tadeusza Kościuszkę, Sokolnicki na stali wyrytował w roku 1809. Sztych ten w niewielkiéj liczbie odbity do rzadkości należy. Długo przemieszkiwał w Paryżu, po usunięciu się ze służby generała Kniaziewicza, poprowadził *Legion Naddunajski* do Włoch. W kampaniach roku 1806 i 1809 brał czynny i przeważny udział. Szczególniéj w ostatniéj się znakomicie odznaczył. Onto ułożył cały plan walki z Austryakami, uwieńczony tak chlubną pomyślnością. Warowny Sandomierz zdobył, bronił go dzielnie, a gdy dla braku amunicyi i żywności poddać go musiał, wyszedł pod bronią z cała załogą i rozwiniętemi chorągwiami. Sława z téj kampanii spadła na księcia Józefa Poniatowskiego, zasługa przecież cała zostaje po stronie Sokolnickiego, bo historya musi prawdę szanować i oddać każdemu co komu należy. W r. 1810 mianowany generałem dywizyi, został równocześnie członkiem akademii nauk w Instytucie Narodowym Francuzkim. Towarzyszył cesarzowi Napoleonowi I w wyprawie 1812 roku, w następnym dowodził w kampanii saskiéj dywizyą jazdy polskiéj, i tę część zawodu swego w języku francuzkim opisał. W r. 1814 przy obronie Paryża przeciw wojskom sprzymierzonym, dowodził zastępem szkoły wojskowéj paryzkiéj. Po abdykacyi Napoleona I-go ze szczątkami wojska polskiego, zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego do kraju przyprowadził, i w kościele św. Krzyża w Warszawie dnia 9 września 1814 roku złożył. Pomijając wiele pism treści naukowych, co do robót inżynierskich po francuzku ogłoszonych, tegoż roku gdy zginął na placu Saskim, umieścił w *Pamiętniku warszawskim* pod redakcyą Feliksa Bentkowskiego, pracę swoją po polsku p. n. *Rozprawa historyczno-krytyczna o śmierci gwałtownéj Przemysława króla polskiego, z powodu granéj na teatrze narodowym tragedyi pod nazwiskiem „Ludgarda.“*

Był to utwór dramatyczny Ludwika Kropińskiego generała w. p., który pozyskał szeroki rozgłos w kraju. Rozprawa Sokolnickiego poglądem samodzielnym, jędrnością języka, przeplatana wiérszém szczególniéj się odznacza w spółczesném sobie piśmiennictwie. Tłumacząc się z formy, jaką przyjął, wsparty na powadze Bielskiego i Naruszewicza, wykazując całą nieprawdę historyczną w téj tragedyi, gorąco, z zapałem broni pamięci Przemysława, stawia jego wizerunek

we właściwém świetle i oczyszcza go z zarzutu morderstwa żony Ludgardy. Z goryczą, nie bacząc na ostrość wyrażeń, gromi autora téj tragedyi, że wziął podanie niepewne w miejsce prawdy dziejowéj, zwraca uwagę na starożytne pieśni nasze i taki poświęca ustęp Ossyanowi:

„On przy dźwięku swéj lutni z nadpowietrznych tworów,
Składał rymy Malwinie bohaterskich wzorów;
On, dla prawych rycerzy i kochanków stałych,
Będzie na wieki źródłem uniesień wspaniałych.
Z tego płynąć obfite cnót będą strumienie,
Dopókąd cenić będziem wdzięcznéj struny brzmienie!"

Nie możemy się dziwić temu uniesieniu Sokolnickiego dla tego śpiewaka, bo i Napoleon I gorącym był Ossyana zwolennikiem i jego pieśni woził z sobą w biblioteczce obozowéj.

Następnie nasz krytyk kreśli sam treść nowéj tragedyi z tegoż przedmiotu, stawiając w niéj, jako główną postać Przemysława. Akt po akcie, scena niemal po scenie opisuje treść i podaje szczegóły historyczne, aby ściśle zachować koloryt dziejowy, zgodny z prawdą, aby nie zaćmić sławy znakomitego króla. W ostatnim akcie obszerny monolog samego Przemysława wiérszem podaje, który może stawić dowód, że Sokolnicki w pojęciu sztuki, stał niewątpliwie wyżéj nad autora Ludgardy, i co do talentu nie ustępował mu wcale. Monolog ten pełen wzniosłych myśli, zwraca jeszcze uwagę dzielnym językiem, a pełnym siły i energii.

Zwłoki tak znakomitego męża pochowano na cmentarzu *Święto-Krzyzkim* w Warszawie i w katakumbach złożono. Marmurowa tablica z napisem stosownym, wskazywała miejsce wiecznego spoczynku; ale gdy te katakumby niedbałością w zwaliska poszły, ręka złoczyńców nocnych, co okradali groby w téj ustroni zmarłych, bez opieki zostawionéj, siekiérą i tę pamiątkę pogruchotała; dziś ślad zatraciliśmy, gdzie jego prochy spoczęły!

Do prawego skrzydła pałacu Saskiego przypierał okazały gmach *Brylowski*, który wystawił (w r. 1750) Henryk Brühl, pierwszy minister króla Augusta III. Skarb go rzeczypospolitéj w roku 1787 nabył na użytek rządowy, nazwisko jednak pierwszego założyciela, do dziśdnia przy jego murach zostało.

Plac Saski, rozlegający się codziennie odgłosem trąb, bębnów i muzyki wojskowéj, po prawéj stronie od Krakowskiego-Przedmieścia, miał główny odwach, zwany *pod Białym Orłem* dlatego, że ptak ten był wymalowany na jego frontonie. Ponieważ oficerowie w nim za mniejsze przewinienia odsiadywali dłuższy lub krótszy *areszt*, powstało pomiędzy niemi groźne przysłowie:

*„Pójdziesz pod Białego Orła."*
albo
*„Posiedzisz pod Białym Orłem."*

Po téj saméj połaci już przy wnijściu z Saskiego placu na Krakowskie-Przedmieście, wznosił się hotel Gerlacha. Był to kiedyś pałac księcia Janusza na Ostrogu (w r. 1597), następnie Lubomirskich, w ostatku Ogińskich. Od téj rodziny nabył go w roku 1810 Fryderyk Gerlach bogaty stolarz warszawski i zamienił na hotel.

W nim na dole mieściła się słynna cukiernia Szymańskiego, który korzystał z parad wojskowych na Saskim Placu i ogromny miał odbyt, albowiem wszyscy oficerowie, jako do najbliższego zakładu na małą przekąskę wstępowali.

Nie przeszkadzał Szymański Leslowi, który osiedlił się w Saskim Ogrodzie i był wzięty wielce; cukry jego, karmelki i lody spożywali obecni liczni goście, używający przechadzki po tym ogrodzie, a nadto liczne miewał zamówienia z całego kraju.

Od cukierni Szymańskiego, idąc prawą stroną Krakowskiego-Przedmieścia, mamy obszerny gmach z oficynami hr. Krasińskich. W tym okresie był własnością Wincentego hr. Krasińskiego, którego salon gościnno literacki, zajmuje niemałe wspomnienia w chwili walki i starcia klassyków z romantykami. Ciekawe byłyby szczegóły tych zebrań, na które uczęszczali F. S. Dmóchowski i A. E. Odyniec; ten ostatni da im zapewne poczesne miejsce w swoich pamiętnikach.

Dominik Magnuszewski i Konstanty Gaszyński byli największymi przyjaciółmi Zygmunta Krasińskiego; za ich pośrednictwem poznałem się z nim bliżéj. Nie zapomnę téj chwili, gdy Zygmunt, siedząc z nami w pierwszym pokoju na dole, od głównych drzwi tego pałacu po lewéj stronie, opowiadał nam, jak w téj komnacie ujrzał po śmierci swoją matkę Maryę z książąt Radziwiłłów.

— Kiedym siedział na sofce (mówił) i zadumany podniosłem oczy ku stronie kominka, ujrzałem moją matkę, jak stała i spojrzenie swe łzawe a rzewne we mnie utopiła. Ręce białe jak alabaster, miała załamane. Ach! uczułem w sobie najprzód dreszcz lodowy, ale późniéj zaczęło mnie egrzewać jakieś nieopisane uczucie radości; promień jéj oczu, padając na mnie, coraz mnie więcéj ożywiał. Znikło widzenie, a ja się długo z miejsca ruszyć nie mogłem!

I wyrzekłszy te słowa, smutnie opuścił głowę na piersi i długo milczał.

Pałac ten był pełen drogocennych pamiątek historycznych, oprócz zamożnéj biblioteki, rękopismów i galeryi obrazów. Z tych najwięcéj wyrył się w méj pamięci wielki olejny obraz, przedstawiający w naturalnéj postaci Franciszkę Krasińską, poślubioną tajemnie Karolowi księciu kurlandzkiemu, synowi króla Augusta III i ich małą córeczkę.

Dzieje jéj życia i smutne koleje, jakie przechodziła, opisała uroczém piórem Klementyna Tańska (późniejsza Hofmanowa) w *Rozrywkach dla dzieci* p. n. „Dziennik Franciszki Krasińskiéj." Wiele też było wizerunków starych przodków, których imiona wspomina historya [1]).

W zbrojowni bogatéj celowały zabytki, jak zbroja Władysława IV z orderem *Niepokalanego Poczęcia*, trwającym dwa lata jedynie, gdyż order ten, jako przeciwny zasadom Rzeczypospolitéj, przez sejm zatwierdzonym nie został; zbroja koszulkowa Zygmunta Augusta z herbami Polski i Litwy ze srebra i złota. Obok *karacena* króla Jana Sobieskiego, któréj używał na wyprawie pod Wiedeń 1683 roku; zbroja żelazna Krzysztofa Radziwiłła, sadzona kamieniami w złoto oprawnemi. Tarcze Zygmunta III, pomienionego Krzysztofa Radziwiłła i Jaśka Krasińskiego. Z buław najstarszą była Jędrzeja Krasińskiego, który był wodzem chorągwi Jana księcia Mazowieckiego; daléj buławy Sieniawskiego i Chmielnickiego. Zbiór przepyszny szabel Zygmunta Starego, Stefana Batorego, Jana Tarnowskiego, Krasińskich i Kalinowskiego. Najstarożytniejszym zabytkiem téj zbrojowni, były dwa duże miecze, które wielki mistrz krzyżacki, jakby na szyderstwo posłał w darze Władysławowi Jagielle, przed pamiętną bitwa 1410 roku pod Grundwaldem i Tannenbergiem, w któréj sam poległ, a dumnego zokonu potęga na tych polach złamaną i zgruchotaną na długie lata została.

---

[1]) Wspomnienie Franciszki Krasińskiéj łączy się ze wspomnieniem téż Kazimierza Pułaskiego, o czém Tańska przemilczała. Mając lat szesnaście, w zamku Maleszowskim rezydencyi starosty Krasińskiego bywał i poznał piękną pannę Franciszkę. Zakochał się w niéj pierwszą miłością, która łączyła się z najwyższą czcią dla wybranéj dziewicy. Gdy królewicz Karol oświadczył się o jéj rękę, omamiona blaskiem tronu, zapomniała o staroście wareckim, który obudził pierwsze drżenie jéj serca. Pułaski, jako prawy towarzysz rycerskiego zakonu, widząc, że sakrament małżeński rozdzielił go na zawsze z oblubienicą, poprzysiągł jéj wierność do grobu i dotrzymał swego ślubu. Kiedy kraj opuścił, po trzynastu latach niewidzenia, ujrzał ją w Dreznie i wróciwszy do domu, wyrzekł do swego przyjaciela te słowa: „Purpura i honory nie dają ukontentowania i satysfakcyi. Ta biedna Franusia nie jest szczęśliwą." Zostającemu na obcéj ziemi Pułaskiemu, wspaniałomyślna księżna przesłała do Frankfurtu tysiąc dukatów; tak zapomożony, dostał się po długich trudach do Ameryki, gdzie w dniu 9 października 1779 roku przy szturmie miasta Savannach od kuli armatniéj, mając nogę urwaną i ugodzony w piersi postrzałami karabinowemi, w ciągu niespełna godziny, wspominając imie Franciszki, skonał.

Pomiędzy wielą szacownemi zabytkami, zwracały uwagę wspaniałe szyszaki Tęczyńskiego, Chodkiewicza i Koniecpolskiego.

W trzech ostatnich latach okresu, który obejmujemy, na piérwszém piętrze mieściła się: *Szkoła przygotowawcza do Instytutu politechnicznego*, któréj dyrektorem był słynny w owe czasy matematyk, *Kajetan Garbiński*. Ze szkoły téj wyszło wielu zdolnych ludzi.

Pałac ten lewą oficyną swoją przypierał do rozległych ogrodów klasztoru ś-go Krzyża, który zasilał obficie missyonarzy tutejszych tak wybornemi owocami jak i warzywem.

Po przeciwnéj połaci Krakowskiego-Przedmieścia godne są wspomnienia pałace: *Tarnowskich*, prawie naprzeciw *Saskiego placu*, dawniéj Morsztynów, z ogrodem i malowniczym widokiem na zawiślańskie okolice, w którym przemieszkiwał Ignacy Potocki. Daléj obok Wizytek pałac Stanisława Potockiego, który w tym okresie był ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego, słynnego mówcy. Zbiór jego *mów i pochwał*, dziś jeszcze z przyjemnością odczytać można, szczególniéj téż niektóre, co treścią i przedmiotem swoim poruszyły żywiéj jego sercem. Mieściła się tu wielka biblioteka i doborowa galerya obrazów, w któréj oprócz portretów familijnych znakomitego pędzla, zatrzymywał uwagę każdego obraz *Salwatora Rossy: Swięty Wilhelm przywiązany do drzewa*. Galerya ta wraz z biblioteką przeniesioną została późniéj do wspaniałego pałacu w Willanowie, ulubionéj ustroni króla Jana Sobieskiego, gdzie ten król-bohatér zakończył życie. Tu téż i Stanisław Potocki umarł 1825 roku.

---

## XV.

Pałac Kazimierowski. — Kossary Kadeckie. — Liceum warszawskie. — S. B. Linde.— Słownik języka polskiego. — Uniwersytet warszawski.— Gabinety.— Professorowie.—Józef Skrodzki.—Feliks Bentkowski.—Bibliofile.—Fryderyk hr. Skarbek.—Ludwik Osiński.—Kazimierz Brodziński.—Jan Wincenty Bandtkie.—Adam Kitajewski.—Pawłowicz.—Egzamen.—Rektor ksiądz Szwejkowski.—Biblioteka publiczna.— Gabinet rycin.—Jan Piwarski.— Wystawa obrazów. — Antoni Brodowski. — Ziemięcki. — January Suchodolski. — Dynasowskie. — Ordynackie. — Dom Towarzystwa przyjaciół nauk. — Zbiory Towarzystwa. — Posąg Kopernika.

Obok pałacu Potockich łączy się z nim nawet gmach zwany oddawna pałacem Kazimierowskim, a w tym okresie miał i drugą nazwę „Koszar Kadeckich.“

Kiedy Mazowsze było udzielném księztwem, a Warszawa jego części stołeczném miastem, w tém samém miejscu stał folwark do wsi Kałęczyn należący i dwór letni książąt Mazowieckich. Późniéj po przyłączeniu Warszawy do Korony, tu mieściły się stajnie królewskie i ogród, co nazwano „Oboźnią.“

Za króla Zygmunta III stojący tu dwór, Władysław IV posiadłszy w roku 1635 przebudował na pałacyk z drzewa także wzniesiony i przemieszkiwał w nim jako królewicz.

Następca jego Jan Kazimierz wymurował gmach cały, stojący dotąd i od imienia tego króla, nazwę pałacu Kazimierowskiego przybrał. Późniéj był własnością króla Jana Sobieskiego, Augusta II i Augusta III, który go darował ulubieńcowi swemu Józefowi Aleksandrowi Sułkowskiemu w r. 1735. Stanisław August w rok po wstąpieniu swoim na tron, odkupił od Sułkowskiego i tu pomieścił założony przez siebie korpus kadetów.

Młodzi kadeci mieścili się w dwóch podłużnych oficynach, powiększéj części drewnianych; pamiętam jeszcze, gdy w dniu 30 lipca 1814 ogarnął je straszny pożar i w zgliszcza zamienił. Mieściło się w nich w ową porę sto dziewięć familii, które ledwie życie uniosły, straciwszy całe swoje mienie. Nazajutrz, będąc chłopcem siedmioletnim, pobiegłem z ojcem na pogorzelisko: jeszcze się głownie żarzyły i zalewano je starannie. Sam korpus pałacu oczerniał od dymu.

Stanisław August po urządzeniu pomienionego zakładu naukowego, z którego wyszło wielu znakomitych mężów, pomiędzy którymi był Tadeusz Kościuszko i generał Michał Sokolnicki, odprzedał te gmachy skarbowi koronnemu. Korpus kadetów mieścił się tu do r. 1795, a po jego zniesieniu, gdy Warszawę Prusacy zajęli, zabrali na własność swoją.

W tym gmachu założono w r. 1804 *liceum warszawskie*, zakład naukowy wyższy, którego piérwszym rektorem został Samuel Bogumił Linde, autor *Słownika języka polskiego*. Druk tego wiekopomnego dzieła rozpoczął 1807 r. i skończył w Warszawie 1814, w siedm lat późniéj. Wywołało ono w jednych podziw i uwielbienie, w drugich co stronili od pióra, niedowierzanie.

Ztąd wielu rozgłaszało, że to nie Linde pisał, ale że znalazł gotowy w jakimś klasztorze rękopism i sobie go przyswoił. Wieści te dochodziły samego Lindego, na które z uśmiechem odpowiadał:

— „Dajcie im mówić, oni nie wiedzą jaką mi tém cześć oddają, bo nie mogą pojąć ogromu takiéj pracy.“

Bajka ta osnutą została z tego powodu, że Linde jeździł z upoważnienia ministra oświecenia Stanisława hr. Potockiego i zabierał po zniesionych klasztorach biblioteki, które posłużyły do założenia biblioteki publicznéj w Warszawie. Urodzony w Toruniu w drugiéj połowie zeszłego stulecia, liczył już piąty krzyżyk wieku, gdy Uniwersytet warszawski powstał. Z upodobaniem wspominał lata dziecinne i często żartobliwie powtarzał, że Kopernik, Linde i piernik, jednę mają ojczyznę, gdyż najsławniejsze jak wiadomo w Toruniu wypiekano pierniki.

Był to człowiek nizkiego wzrostu, nieco od pracy pochylony, twarzy pociągłéj i dużego nosa: szczupły ale miał stopy nadzwyczaj wielkie. Jako rektor liceum, kochany był przez uczniów, gdyż był dobrym ich przyjacielem i opiekunem. Kiedy na dziesięć minut rój młodzieży wysypał się na obszerny plac Kazimierowski, Linde ze szkiełkiem w ręku przyglądał się ich figlom przez okno i cieszył swobodą jakiéj używali. Nieraz wołał starszą ze swych córek i mówił:

— Patrz! jak dzieci moje (tak nazywał uczniów) dokazują: ale niechaj mnie nie widzą, bobym im mógł przeszkodzić w zabawie.

Zawsze dwa razy dziennie murgrabia ówczesny Żyro przychodził oznajmiać o zaczęciu nauk i przybyciu professorów na lekcye: jeżeli się zdarzyło, że który zasłabł lub nie przyszedł, a zastępstwo nie było urządzone, Linde brał książkę z notatkami w rękę, nieraz wstawał od obiadu i szedł do klassy.

Od roku 1805 uczniem liceum był Fryderyk hr. Skarbek, przechowywał on zawsze szczerą wdzięczność dla Lindego, jako przewodnika zacnego i kochał go miłością synowską. Listy, które pisywał do niego z Paryża, są tego wymownym dowodem.

W cztery lata późniéj 1809 roku przełożywszy wybrane pieśni *Anakreonta* w rękopiśmie, przypisał Lindemu i oprawny egzemplarz z nadpisem: *Hołd wdzięczności*, złożył [1]).

Leży w téj chwili przed mojemi oczyma ten sam egzemplarz ofiarowany Lindemu, własną ręką Fr. hr. Skarbka cały napisany: pismo staranne, wyraźne, przypomina charakter późniejszéj ręki

---

[1]) W siedm lat późniéj Skarbek ten rękopism poprawiony, zmieniwszy przedmowę, i opatrzywszy pieśni Anakreonta objaśnieniami, wydrukował w Warszawie 1816 r. Rękopism obejmuje 47, drukowanych jest tylko 43 pieśni. Przypisane Lindemu, a na czele oryginalna pieśń: *Do Gołąbka* Skarbka, którego wysyła do przewodnika młodości, aby mu wyraził wdzięczność i uwielbienie.

autora: *Pana Starosty*. Papier czysty, choć nieco zżółkły, bo to już upłynęło od owéj pory lat sześćdziesiąt pięć. Liceum wydało znakomity poczet z prawdziwym talentem młodzieży. Uczniami téj szkoły byli: Zygmunt Krasiński, Domjnik Magnuszewski i Konstanty Gaszyński; ztąd ich przyjaźń szczera i serdeczna. Wymieniamy tych tylko, lubo z liceum przez ćwierć wieku wyszło mnóstwo zacnych obywateli, zdolnych i prawych urzędników. Głupiéj bajce o przyswojeniu sobie przez Lindego *Słownika języka polskiego*, żaden z naukowych ludzi nie wierzył. Po ukończeniu w druku tomu VI tego dzieła, dnia 7 marca 1815 r. odbyła się uroczystość literacka.

„Obiad dany (pisze Fryderyk hr. Skarbek) przez członków Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk dla Lindego, z powodu ukończenia Słownika języka polskiego, był złożony z potraw narodowych i napojów, ale był i węgier. Na stole zamiast tortów i cukrów, ustawiono wszystkie tomy słownika, uwieńczone laurem, z gałązek drzewa laurowego z Willanowa. Po wzniesioném zdrowiu przez Niemcewicza prezesa Towarzystwa, Staszic wniosek zrobił na pomnik Kopernika i zebrano 9,000 zł. pol.“

W następnym roku Linde otrzymał z rąk namiestnika królewskiego księcia Zajączka, złoty medal z napisem: *Za Słownik polskiego języka ziomkowie, 1816 roku.*

Ówcześni literaci wierzyli godłu jaki sam Linde położył z *Pana Podstolego*, Krasickiego, na ostatnim tomie tego dzieła: *Com sobie postanowił, to dotrzymałem*, bo znali już jeżeli nie większéj wymagające pracy, to równéj dzieło: Kacpra Niesieckiego *Herbarz*, w czterech wielkich tomach.

W obrębie Kaźmirowskiego pałacu zaczęto wznosić obszerne budowle i oficyny, na pomieszczenie postanowionego już Uniwersytetu warszawskiego, który założonym został w 1817 roku.

Zaraz przy wnijściu od Krakowskiego Przedmieścia po obu stronach stanęły dwa duże gmachy piętrowe, z tych po lewéj stronie od wchodu był poświęcony na prelekcye, lewy na gabinety: zoologiczny i mineralogiczny; w tymże gmachu na dole mieścił się wydział sztuk pięknych, w którym kształcił się Rafał Hadziewicz i gabinet wzorów gipsowych.

W roku 1827 liczył gabinet zoologiczny przeszło 25,000 okazów: we wtorki i we czwartki bywał otwarty, ściągając mnóstwo ciekawych. Do tego gabinetu dołączony był zbiór zręcznie naśladowanych z wosku roślin, a wyrabianych przez professora Hoffmana, który wykładał akademikom o flogistonie, niedopuszczając nowo odkrytego kwasorodu.

Gabinet mineralogiczny otwierany dla publiczności co wtorek, odznaczał się zarówno ilością, jak bogactwem swoich okazów. Zwracały w nim uwagę piękne wyciski roślin i zwierząt, skamieniałości i piękny zbiór agatów. Z dubletów do 15,000 sztuk wynoszących,

utworzono dwanaście małych zbiorów i dla szkół wojewódzkich rozesłano.

W lewém skrzydle, jak mówiliśmy, odbywały się prelekcye; tu miewał wykłady swojej fizyki Józef Skrodzki, które łączył z doświadczeniami, mając zasobny gabinet fizyczny pod ręką. Średniego wzrostu, szczupły i blady, cichy i skromny, namiętnie oddany swemu przedmiotowi, wyczerpał wątłe siły i też zgasł wcześnie, bo liczył tylko 45 lat wieku. Na jego drobném obliczu malowała się sama słodycz i dobroć. Urodzony na Litwie, wyższe nauki pobierał w Uniwersytecie wileńskim: za przybyciem do Warszawy, w liceum pod rektorstwem Lindego, zaczął wykładać, następnie od utworzenia Uniwersytetu warszawskiego objął katedrę fizyki. Wykład jego był zwięzły i jasny, słuchałem go zawsze z nadzwyczajném zajęciem. Gdy Bentkowski przestał redagować *Pamiętnik Warszawski* dla braku prenumeratorów, Brodziński, Skarbek i Skrodzki, w chęci podtrzymania dalszego wydawnictwa naukowego organu, objęli to wydawnictwo w roku 1822 i wydali do 1823 roku tomów sześć, które zamknąć podobnież musieli, bo prenumerata nie pokrywała kosztów druku i papieru, chociaż za rękopisma nie płacono żadnego honoraryum. W tym *Pamiętniku* znaleźć można wiele rozpraw Skrodzkiego. Fryderyk hr. Skarbek był jego serdecznym przyjacielem.

Na témże piętrze wykładał historyą powszechną Feliks Bentkowski, zasłużony pisarz; szczególniejszy rozgłos pozyskał dziełem: „*Historya literatury polskiéj, w spisie dzieł drukowanych wystawiona.*“ (Warszawa, 1814 r., dwa tomy). Pracą tą, na swoje czasy znakomitą rozbudził z uśpienia wiele umysłów i dał popęd do badań zabytków literatury ojczystéj z zapadłéj przeszłości. Nietylko w tém spoczywa zasługa Bentkowskiego, ale dodajmy że dzieło to wywołało szereg nie mały zapalonych *bibliofilów*, którzy na wyścigi upędzali się za zbieraniem starych gockim drukiem książek i białych kruków bibliograficznych.

Znałem wielu bibliofilów, co wyraźnie polowali na rzadkie stare wydania, aby się tylko pochlubić mogli, że je mają; ale nikomu nie użyczyli, co najwięcéj, że dla dogodzenia miłości własnéj pokazali ci tylko na chwilę. Gdy jaka osobliwość wpadła w ręce takiego lubownika, mogłeś być pewnym, że ją nikt czytać nie będzie, a zobaczysz jéj tylko kartę tytułową i format. Wiadomości też nasze bibliograficzne ograniczały się jedynie na katalogowym opisie; podawano wiernie tytuł, format, ilość stronnic albo arkuszy i czasem notatkę, do jakiéj gałęzi literatury należy. W tym gorączkowym popędzie zdawało się, że zbieracze nie mają czasu do przeczytania swoich zdobyczy i udzielenia chociaż w krótkości treści i maleńkich wyjątków dla poznania języka i stylu.

W stosunku coraz większéj liczby amatorów gockich druków, ceny ich szły w górę niesłychanie; niektórym z nich udało się, gdy się

wcześniéj krzątać poczęli, zebrać śliczne księgozbiory z samych najrzadszych zabytków starożytnéj literatury i to za bezcen. Znaleźli się wtedy i zręczni *faksimiliści*, którzy do niepoznania, braki i usterki w starych drukach umieli tak wypełniać, że najbieglejszego badacza potrafili złudzić.

Wybornie fabrykowali papiér za pomocą moczenia w kawie, dobierali tuszu odpowiedniego drukowi i dopisywali wprawną ręką czy całe karty, czy téż dopełniali nadłataniem powyrywane.

Znałem jednego z zapaleńszych bibliomanów, który od rana do nocy biegał za łowieniem gockich druków. Kazał sobie zrobić sofkę szeroką na któréj sypiał, w niéj kilka głębokich szuflad, w które chował największe rzadkości bibliograficzne. *Historya literatury polskiéj* Bentkowskiego, leżała u niego zawsze roztwarta na stole. Cóż to była za radość, jeżeli co złowił takiego, o czém Bentkowski nie wspomniał, albo wspominając, wyraził że sam nie widział.

Miałem wielkie łaski u niego: ja tylko jeden, co mogłem wchodzić do jego sypialni i przeglądać przechowane zbiory, lubo do domu żadnéj książki nie użyczył. Nie rad zbierał rękopisma, tylko na *gockie* druki polował.

Wchodzę raz, rzuca mi się na szyję z szaloną radością, z iskrzącémi oczyma, pokazuje jakąś broszurkę zdaleka.

— Co to jest?—zapytałem.

— Całuj! klękaj! i czytaj! —wykrzyknął i drżącą ręką, jednę z osobliwych rzadkości broszurę Bartosza Paprockiego, p. n. *Król* czy *Senator*, nie pomnę już dobrze, pokazał:

— Patrz! Bentkowski o tém ani dudu! nikt nie zna! Pytałem kilku naszych zbieraczy, żaden nie widział, ani słyszał. Pan Jan, a wiész co to za łowiec na takie rzeczy, aż zbladł jak chusta, powiadam ci, jak Boga kocham! Chciał zobaczyć! aha! albom ja głupi pokazać jemu! co *Bazyliszkowemi* oczyma połknąłby mego *raroga!* Nie! pokazuję ci, zobacz tytuł, spamiętaj, policz kartki, spojrzyj co za pyszny egzemplarz i głoś światu o mojéj świetnéj zdobyczy. To na wagę złota panie dobrodzieju! ale co ja gadam! niech mi kto da tyle dukatów holenderskich co zaważy, zobaczysz czy dam!

Tak mówił z zapałem do szału dochodzącym, a ja zaledwie miałam tyle czasu, ile potrzeba było do obejrzenia zewnętrznie téj broszury, kiedy wyrwał mi ją z ręku, roztworzył szybko szufladę w swojéj sofie, rzucił w nią swego *raroga*, zasunął, zamknął na klucz i zmęczony zasiadł, chcąc schwycić powietrza do swobodniejszego oddechu.

— Wartoby—mówiłem do niego – żebym tu przejrzał, choć bibliograficznie opisał, żeby świat wiedział, że taka osobliwość jest w twoim ręku.

Potrząsnął głową z niechęcią.

— To jużby połowę wartości straciła—odpowiedział—pozwalam ci mówić, ale broń Boże pisać. Tu! tu!—ciągnął daléj, pokazując na szuflady sofy—są skarby, o których nikomu się nawet nie śniło; same

raritasy, białe kruczki, panie dobrodzieju. Sypiam też na nich, niemi się delektuję i umrę z niemi.

W kilka dni przychodzę, znajduję go smutnego, prawie w rozpaczy.

— Wiesz! pan Jan, panie dobrodzieju, spolował *Herbarz Gorczyna* i to u żyda niedaleko Św. Krzyża! Spotkałem go, gdy niósł do domu tę zdobycz! Nie dał mi nawet w ręce, zdaleka pozwolił tylko tytuł przeczytać! Serce mi bić poczęło gwałtownie, zaciemniało mi w oczach! Żeby to nie na ulicy, byłbym wydarł i uciekł... niechby mnie procesował, zapłaciłbym coby chciał, ale *Gorczyna* miałbym w kieszeni! a ten człowiek pastwił się nademną, żyłował nielitościwie, bo wziął mnie pod rękę i opowiadał, jak to umiał przed żydem swoją radość ukryć, aby taniéj kupił.

— Jakem zobaczył tego *kruczka*—mówił mi—wszystko we mnie zadrżało, ale udaję obojętność. Żyd patrzy mi w oczy. Co chcesz? „Trzy talarki.“ Głupiś. „Nu! dwa!“ Głupiś! I skończyłem na talarku. Panie! jakem uczuł herbarzyk na sercu, myślałem że ze skóry wyskoczę: cały z radości spotniałem! I to mnie opowiada, a ja się ze złości trzęsę, mało mnie dyabli nie biorą. Już dwa dni chodzę jak nie swój: obiadu wczoraj nie jadłem!

Ulitowałem się nad jego męczarnią.

— A gdybym ci równie, a bodaj czy nie rzadszą rzecz dał od Gorczyna?

Zerwał się równemi nogami z krzesła.

— Królu mój! Ojcze kochany! co mówisz?—zawołał z rozjaśnionemi oczyma z radości.

— Naprzykład—mówiłem zwolna—jaki *inkunabuł* polski, tak mniéj więcéj coś z pism Trzecieskiego, Mikołaja Reja z Nagłowic, albo coś podobnego, hę?

— Nie gadaj ojcze kochany! a tobym chyba zwaryował panie dobrodzieju! Czy wiesz, mam pierwsze wydanie Jana Kochanowskiego *rarytne*, całkie jak z igły zdjął; mam owe sławne wydanie pierwsze Macieja Wirzbięty *Dworzanina* Łukasza Górnickiego z r. 1566. Co to za edycya! jaka to ojcze kochany troskliwa była korrekta: czyż nie wyżéj stały w owe czasy nasze drukarnie? To panie dobrodzieju, w takiéj dużéj księdze tylko jeden błąd drukarski! Gdzież to dziś zobaczy, co na każdéj stronnicy masz po kilka dobrych *byków*. Otl naprzykład! mam tu książkę świeżo wydaną: patrz co porobili! Zamiast *siewcy* wielkich myśli, masz ojcze kochany *szewcy;* zamiast wielki *komik*, wydrukowali *kanonik;* zamiast *przędzę* myśli, czytasz *nędzę;* ale co najzabawniejsze, zamiast *dobroczynność*, jakby umyślnie wydrukowali *drobnoczynność*. Już nie przytaczam obraźliwych omyłek dla naszego ucha. Mam ojcze kochany Paprockiego, *Gniazdo cnoty* i jego *Herby rycerstwa polskiego;* mam tyle tu rzeczy (i wskazał spód sofy, na któréj rozrzucona była pościel) a jeszczem nie uchwycił z 1530 do 1540 polskiego druku. Ach! to *rarytasy!* Dopierobym się

śmiał z pana Jana! My bo żyjemy w przyjaźni z sobą ojcze kochany, ale potnieje z nas każdy, kiedy drugi pochwyci białego kruka. Ale już dość gawędy, pokażże mi panie dobrodzieju.

I wyciągnął drżące ręce. Odstąpiłem kilka kroków w tył, i dla większego wrażenia, zawinięty w nową chustkę fularową, wyjąłem świstek trzy kartkowy. Była to pieśń pobożna z nutami, z wyraźnym rokiem 1532 przy drzeworycie. Zerwał się nasz biblioman, pochwycił z rąk moich, przejrzał szybko, prędzéj jeszcze porwał za klucz wiszący mu na szyi na jedwabnym sznurku, roztworzył szufladę sofy, rzucił w nią tę osobliwość w saméj rzeczy bibliograficzną a zamknąwszy, zaczął biegać po pokoju.

— Teraz ojcze kochany! bij mnie, zabij a już ci nie oddam! Zapłacę co chcesz, nie, to masz... utocz krwi z ręki mojéj!

I tak rozmawiając rzucał się co chwila w moje objęcia, całował, ściskał, w końcu się rozpłakał. Patrzałem jak na człowieka pozbawionego zmysłów.

— Cóż chcesz? cóż chcesz? Wiele ci zapłacić?

— Nie chcę pieniędzy—odrzekłem—ale jeden warunek kładę, ofiarując tego *kruka* darmo.

— Z góry przysięgam ci na wszystkie świętości—wykrzyknął z roziskrzonemi oczyma—że wszystko zrobię! Wszak to dar monarszy dla mnie!

— Ażebyś mi pożyczał do domu dzieł żądanych, a ja na oznaczony dzień i godzinę zwrócę w całości. Zrobię tylko potrzebne mi wypisy z dodatkiem, że to z twojego zbioru.

Osmutniał nagle, ale gdym dodał, że się więcéj takich białych kruków może znajdzie, już nie cofnął słowa.

I tu znalazłem dopiero obfity zapas pomników literatury starożytnéj naszéj.

Wierny to obraz jednego z owych zapalonych zbieraczy z okresu od 1815 roku, ale to nie jedyny egzemplarz. Ludzie ci uniesieni szlachetnym zapałem, jakkolwiek nieużyci często, uchronili mnóstwo dzieł dawnych od zatraty, na które były wystawione, przez zaniedbanie i nieświadomość. Znalazły się takie druki i rękopisma, których Załuski daremnie poszukiwał; znalazło się wiele i takich, które pierwszy raz dopiéro poznano.

Jeden z takich lubowników schwytał pierwsze wydanie *Dworzanina* Górnickiego z nierozciętemi kartami, tak jak prosto wyszedł z pod prassy. Cóż to była za wrzawa między bibliomanami, co za podziw, jaka zazdrość i smutek zarazem!

Wśród zapału obudzonego przez Bentkowskiego, antykwaryusze rozbiegli się po kraju, dla zdobycia tyle pożądanego towaru. Ze strychów dworów ziemiańskich i zaścianków szlacheckich, równie jak mieszczańskich, z bibliotek klasztornych kurzawą okrytych, przechodziły stare gockie druki w ich ręce. W archiwach familijnych znajdowano drogocenne rękopisma i osobliwości bibliograficzne.

Tak uratowano wiele druków *Macieja Wirzbięty*, jednego z najsławniejszych drukarzy polskich, którego wydania odznaczały się ślicznym gotykiem i najdoskonalszą korrektą. Znalazły się prawie wszystkie pisma *Reja*, *Marcina Bielskiego*, *Paprockiego*, przekłady mistrzowskie *Cypryana Bazylika* i wiele innych; zdobyto nawet nieznane nikomu unikaty.

Zamiłowanie to do pamiątek dawnéj literatury, rozeszło się w kraju, po dworach nawet mniéj zamożnéj szlachty zaściankowéj. Odebrano dzieciom foliały z drzeworytami którémi się bawiły, mażąc palcami, albo drąc karty; przestano ich używać dla dobroci papieru pod masło, na papiloty lub do obwijania wędliny. Z tak zdefektowanych egzemplarzy składano jeden dobrze zachowany, bo bibliomani nasi skrzętnie i podarte w części książki z gotyckim drukiem nabywali, w nadziei ich uzupełnienia, i nieraz się im to szczęśliwie udawało.

Rozbudzony handel księgarski na tego rodzaju zabytki, poruszył w obieg nie mały kapitał. Powstało kilka zbiorów wielce szacownych jak Chyliczkowskiego i Świdzińskiego; potrafili oni zebrać niesłychane rzadkości, prawdziwe skarby starożytnéj literatury.

Dzieło Bentkowskiego zwróciło Tytusa hr. Działyńskiego, od miłośnictwa koni, do zbierania książek i rękopismów, i piękny tego owoc mamy w bogatéj jego bibliotece w Kórniku.

Bentkowski też używał wielkiéj powagi pomiędzy literatami warszawskiemi. Towarzystwo przyjaciół nauk wezwało go na swego członka, Uniwersytet Jagielloński nadał mu godność doktora filozofii. Ale miru nie miał pomiędzy studentami Uniwersytetu Warszawskiego.

Dobrego wzrostu, atletycznéj budowy, miał głos silny, donośny, a surowe oblicze. Studenci bali się go, ale nie kochali jak Skrodzkiego i Brodzińskiego, dla jego szorstkiego obejścia, lubo cenili jego wykłady i naukę. Na lekcyi, wyrwawszy młodego *fuksa*, bo tak nazywano pierwszoletnich uczniów przybyłych ze szkół wojewódzkich, zapytał swoim tubalnym głosem:

— A proszę mi powiedzieć, czy rewolucya francuzka była po narodzeniu czy przed narodzeniem Chrystusa?

Student niedawno z prowincyi przybyły, zmieszany wywołaniem swojém, dosłyszawszy tylko ostatnie słowa professora, odrzekł drżącym głosem:

— Przed narodzeniem Chrystusa!

Ogólny śmiech zabrzmiał w całéj sali. Bentkowski spojrzał z ukosa na fuksa, czy czasem nie ma drwiącéj miny, ale ten bezprzytomny prawie osunął się w ławkę.

Szmer nieprzychylny dla professora poszedł następnie, i tego rodzaju zapytania nie dawały Bentkowskiemu miru w gronie młodzieży.

Od roku 1818 objął katedrę w Uniwersytecie warszawskim, młody, liczący dopiéro 26 rok życia Fryderyk hrabia Skarbek. Zaledwie ukazał się na niéj, pozyskał zaraz ogólną miłość studentów.

Dzielna i energiczna jego wymowa, jasna i dobitna, wykład płynny, bo gruntownie znał swój przedmiot, zachwycały wszystkich. Do tego i domowe jego stosunki niemało się przyłożyły. W tymże samym roku poślubił Praksedę Gzowską. Ojciec jéj oburzony w najwyższym stopniu, że zięć jego *hrabia*, człowiek z tytułem i imieniem tak starożytnego rodu, mógł się poniżyć do takiego stopnia, że przyjął posadę *bakalarza*, usilnie się starał i namawiał córkę, aby męża który zhańbił swój herb porzuciła; ale rozumna kobiéta nie usłuchała tak nierozważnych poszeptów. Szczegóły te były wiadome uczącéj się młodzieży, to téż tłumy jéj zbiegały się, przepełniały sale, otaczając czcią i miłością ukochanego professora.

Żywego usposobienia, pełen ognia i życia, sam młody, sympatyzował z młodzieżą. Zdarzały się okoliczności, że często miewał mowy publiczne jak w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, albo jak na pogrzebie Staszica.

Ludwik Osiński miewał dwie godziny w uniwersytecie wykładając kurs *literatury powszechnéj*.

Podwórze uniwersytetu w czasie tych prelekcyi, zapełniało się często karetami i pojazdami. Deklamacya ta wyborna Osińskiego, wabiła tak wszystkich, że najzapalensi romantycy, jak Antoni Edward Odyniec przybiegali na tę godzinę. Tu się téż poznałem z nim po raz pierwszy.

W przeciwnym rogu tego gmachu na piętrze, wykładał Kazimierz Brodziński kurs *literatury polskiéj*. Szczupłe grono młodzieży, co umiało całą wartość każdego słowa śpiewaka „Wiesława“ oceniać, otaczało ściśnionym wieńcem katedrę, ażeby nic nie utracić z tego, co słabym głosem odczytywał ukochany professor. Nie było tu pięknéj, ale czczéj w rzeczy saméj, deklamacyi jak u Osińskiego, ale gruntowne wystudyowanie przedmiotu i sumienne opracowanie.

Jan Wincenty Bandtkie, dawny professor szkoły prawa z okresu księztwa warszawskiego, a zarazem notaryusz, wykładał *prawo polskie*. Nizkiego wzrostu, ułomny nieco, słynął z nauki i erudycyi w tym przedmiocie; ale wykład jego suchy i nie zajmujący, lubo wielce opracowany. Dla młodzieży był uprzejmy i z tego go powodu lubiono.

Był szczególny raz wypadek, że uczniowie nie przyszli na prelekcyę jego i tylko dwóch było obecnych. Bandtkie miał właśnie polecenie od rektora, ażeby odczytał przypadającą lekcyę. Spojrzawszy dokoła na pustki, nim zasiadł w katedrze, najprzód przemówił:

— W ustawie uniwersytetu jest, że jak trzech słuchaczy znajduje się w sali, prelekcya odbywać się może; gdy zaś niewyjaśniono czy ma być trzech uczniów i professor, czy tylko trzech wraz z professorem, więc zaczynam!

Po tych słowach zasiadł w katedrze i całą godzinę czytał.

Chemię wykładał Adam Kitajewski od piérwszego zawiązku uniwersytetu. Gdy wyjeżdżał za granicę zastępował go uczony Pawłowicz professor mineralogii, a wykładał przedmiot jasno i dobitnie,

Kitajewski wielce był szanowany i kochany przez uczniów, gdyż im pomagał i nie nastawał na żadnego. Obiegały o nim różne dykteryjki, jednę z nich głośniejszą przywiodę. Zobowiązany do poprawienia stopnia mniéj pilnemu uczniowi, wezwał go Kitajewski do swego mieszkania. Odpoczywał właśnie po obiedzie z cybuchem w ustach, gdy wszedł student. Grzeczny gospodarz poprosił gościa siedzieć, poczęstował go fajką, wkrótce kawę podano. Nietracąc czasu i w dobrym humorze, przystąpił Kitajewski do osobliwego egzaminu, którego przybyły ani się domyślał.

— Widziałeś pan kiedy roślinę tytuniową?—zapytał professor.

— I owszem, w ogrodzie botanicznym są jéj rozmaite gatunki, nieraz wysokości człowieka dosięga, jeśli przy wierzchołku nie jest złamana. Liście ma szerokie, kończate, wielkie, gęsto żyłkowate, i tłuste, a po okwitnieniu nasienie bardzo drobne i plenne.

— Dobrze, a zkąd téż on wziął się najpierwéj, gdzie to te liście na użytek przerabiają?

— Tytuń pochodzi z Ameryki, a ztamtąd rozkrzewiony po całym świecie i fabryk téż wszędzie pełno. U nas tytuń wyrabia fabryka *Powązkowska*.

Po krótkiém milczeniu, spojrzał znów wymownie Kitajewski na studenta, napił się kawy, mlasnął ustami smakosza, i rzekł:

— Hm! ta kawa ma dziś smak nie zły i zapach wyborny: to także nie nasze. Jak to się zwie kawa piérwszéj dobroci?

— Mokko!

— To pewnie musi być mokka, ale co mianowicie pan myślisz, nadaje jéj smak przewyborny i woń tak aromatyczną?

— Zapewne olejek aromatyczny który się nie ulotnił podczas prażenia a przytém i cukier.

— Masz pan słuszność, że w kawie i cukier coś znaczy. Ale *apropo* cukru; piszą że jakiś Anglik wynalazł świeżo sposób otrzymywania cukru z siana. Bogu dzięki! cukier raz stanieje, a wynalazca zbogaci się i unieśmiertelni. Jak się panu zdaje, ile téż na przykład z fury siana, możnaby otrzymać funtów cukru?

Zachwycony student, uważając dotychczasową gawędkę, tylko za potoczną rozmowę przed mającym się zacząć egzaminem, dopiero teraz domyślił się prawdziwego jéj znaczenia, ze strony professora. Nie tracąc jednak fantazyi, odrzekł:

— A jaka to fura? pojedyńcza czy parokonna?

— Niech będzie pojedyńcza!

— Jeżeli pojedyńcza, to wyda siedem funtów cukru.

— Przez jakiż to rachunek, doszedłeś pan tego tak szybko?

— Nic łatwiejszego. Dajmy na to, że fura pojedyńcza siana kosztuje 21 złotych; że zaś funt cukru jest po trzy złote (taka cena jego była w owe czasy), zatém sprzedawszy siano za 21 zł., dostaniemy siedem funtów najlepszego cukru.

Ubawiła zacnego professora ta odpowiedź studenta, i oznajmił mu że już po egzaminie, i że stopień spodziewany otrzyma.

Wykład chemii odbywał się w małym bez piętra domku, po lewéj ręce w pobliżu samego korpusu pałacu Kazimirowskiego.

Professorowie jak szli na katedrę lub występowali w jakiéj uroczystości przywdziewali zawsze togę granatową, podbitą jaśniejszą jedwabną kitajką téjże barwy.

Na czele uniwersytetu stał rektor ksiądz Szwejkowski, prawdziwy ojciec i opiekun młodzieży; to téż kochany był i wielbiony powszechnie, otoczony szacunkiem wszystkich professorów. Łączył on słodycz charakteru z nieporównanym taktem, względem studentów.

W głównym korpusie na piérwszém piętrze w samym pałacu Kazimirowskim, mieściła się biblioteka publiczna, obejmująca w ówczas do 120,000 tomów; piérwszy jéj zawiązek dał księgozbiór liceum warszawskiego, powiększyły ją następnie dary prywatnych osób, a najwięcéj biblioteki po zniesionych klasztorach. Podzieloną była na polską i zagraniczną: piérwsza obejmowała około 25,000 druków, pomiędzy któremi znajdowały się osobliwości bibliograficzne, i zabytki sięgające XV wieku a rękopisma od XI stulecia. Przy bibliotece mieścił się gabinet rycin, po Stanisławie Auguście w r. 1815 kupiony a obejmujący do siedemdziesiąt osiem tysięcy sztuk, pomiędzy któremi odznaczały się: piórem dwie głowy *Rafaela*, kredą, *Correggia*, *Caraccia*, *Guida*, Michała Anioła, Pussina, Tycyana, Rubensa, Rembrandta, Dürera i wielu innych. Cały gabinet z późniejszemi nabytkami wynosił blizko sztuk 90,000. Zdobiły go popiersie marmurowe Stanisława Potockiego, dłuta Malińskiego i portrety uczonych polskich za Stanisława Augusta. Przełożonym nad tym zbiorem był Jan Piwarski znany z talentu artysta rysownik, zarówno jak i z prawości charakteru. Wykończył właśnie śliczne *album*, przedstawiające tak zewnątrz gmach *arsenału* przy ulicy Długiéj jak i wnętrza sal, przystrojonych w rozmaitą broń tak starożytną jak i nowoczesną.

Należy wspomnieć mieszczący się przy bibliotece gabinet medalów i starożytności, który dopiéro był w zawiązku i liczył około trzech tysięcy sztuk.

W gmachach Kazimirowskiego pałacu, nieznane dla nas okazały się wystawy obrazów od r. 1819, na które się tłumy zbiegały. Z utworów pędzla jak zapamiętam chwalono powszechnie *Edypa z córką swoją Antygoną*, Antoniego Brodowskiego, jednego z najzdolniejszych malarzy ówczesnych i professora wydziału sztuk pięknych w uniwersytecie; portret mecenasa Ziemięckiego, dawnego jeszcze *palestranta* trybunału lubelskiego, przez jego syna wykonany, a szczególniéj téż całéj młodzieży zwracały uwagę olejne dwa obrazki Samarego Suchodolskiego, wówczas adjutanta generała Wincentego Krasińskiego. Jeden przedstawiał Władysława Warneńczyka, w chwili ostatniéj,

kiedy pieszo walczy; drugi zdobycie chorągwi wielkiéj Mahometa 1683 roku.

Na wozie dwukolnym z chorągwią Mahometa, uchodzi z ogólnego pogromu Mufty, gdy przez oddział hussarzy skrzydlatych otoczony został. Zacięta walka wre w około, ale zwycięztwo już pewne przy hussarzach. Mufty w przerażeniu zasłania się wielką księgą Alkoranu. W oddaleniu na dalekim planie, ukazywał się na bułanym rumaku Jan Sobieski z orszakiem swoim.

Warneńczyk nie tyle się podobał, gdyż w nim mniéj było życia; jedna tylko postać rannego murzyna, jak się czołga z zakrzywionym *jataganem*, do zadania młodemu Jagiellończykowi śmiertelnego ciosu, ogólne wywoływała pochwały. Przed temi obrazkami, zawsze znajdowałeś wielką ciżbę. Ogół nasz znudzony Grekami i Rzymianami, chociaż chwalił prześliczny utwór pędzla Brodowskiego i stawał z upodobaniem. Było to już wówczas uczucie téj potrzeby reformy w malarstwie, jaka się okazywać zaczęła w poezyi i pojęciach literackich [1]).

Blizko pół wieku upłynęło od chwili owéj wystawy, a wrażenie tak żywe pozostało tych dwóch obrazków Suchodolskiego, że wszystkie szczegóły w nich zapamiętałem dokładnie.

Obszerny plac pałacu Kazimirowskiego, po spaleniu dawnych koszar Kadeckich, zabudowany wkrótce został sześciu nowemi pawilonami, w których mieściły się dawne liceum i uniwersytet, gabinety, biblioteka publiczna, oraz komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego, pod sterem prezydującego w niéj ministra, a nadto niektorzy professorowie mieszkania bezpłatne mieli. W pawilonie po prawéj stronie wchodząc z ulicy, na dole zamieszkiwał Kazimierz Brodziński, i tu go piérwszy raz poznałem otoczonego stosami ksiąg starych. Z pałacu Kazimirowskiego śliczny widok na malowniczy krajobraz całéj okolicy zawiślańskiéj i przedmieścia Pragi. Ztąd przed oczyma patrzącego rozwijała się równina pól *Grochowa*, i gęstych a wielkich lasów *Wawru*; po prawéj ręce widziałeś *Saską-kępę*, miejscowość ulubioną przez lud warszawski.

W pobliżu tegoż pałacu wznosiły się na wzgórzu ruiny wspaniałego niegdyś gmachu, zwane *Dynasami* albo *Dynasowskiém*. Tu w początkach XVII wieku stał obszerny modrzewiowy dwór, należący do zamożnéj rodziny Godzkich. Kiedy ten dwór stał się pastwą

---

[1]) Oprócz wystaw obrazów czasowych, w gmachu tak zwanym *Tłumackie*, mieliśmy w dobie od r. 1816, stałą wystawę galeryi Józefa Ossolińskiego, codziennie otwartą od 10 rana do południa, po obiedzie od czwartéj do ósméj. Zbiór ten obejmujący do pięćset sztuk, mieścił w sobie najpierwszych malarzy utwory, jak Rembrandta, Teniersa, Correggia, Pussina i wielu innych.

płomieni, a właścicielka Karolina Godzka oddała swą rękę słynnemu podówczas księciu Karolowi de Nassau, ten z ogromnym zbytkiem zaczął budować pałac, ale gdy zabrakło funduszów, gmach opuszczony poszedł w ruinę.

Miejsce to było ulubioném dla uczniów z liceum do przechadzki i rozrywek, tutaj wybiegali z klass także na *wagusy*, gdy który lekcyi nie umiał, albo się uczyć nie chciał. Tu starsi wiekiem akademicy, przygotowując się do egzaminów, wybierali sobie zaciszne kąty w ruinach, gdzie w spokoju i swobodnie oddawać się mogli naukom.

Na jednéj linii w pobliżu *Dynasowskiego*, stoi pałac zwany *Ordynackim* (gdzie obecnie *Konserwatoryum Muzyczne*, staraniem Apolinarego Kąckiego założone i utrzymane). Nazwę swą wziął od tego, że w końcu XVII stulecia wystawił go Tomasz Zamoyski ordynat. W tym okresie do r. 1820 należał do Chodkiewiczów.

Wzniesiony na kilkopiętrowém podmurowaniu od strony Wisły, posiada najobszerniejsze w Warszawie piwnice. Dla zbiorowiska wody urządzono w ich wnętrzu sadzawkę; owóż lud naszego miasta zachował podanie, że na niéj pływa księżniczka zaczarowana w postaci kaczki. Tradycya ta dała osnowę do wesołéj farsy, którą na teatrze rozmaitości w gmachu Towarzystwa Dobroczynności na Krakowskiém-Przedmieściu, po wielekroć grano z nie małém zadowoleniem zebranych widzów.

Idąc Krakowskiém-Przedmieściem, do kościoła Ś-go Krzyża, w poprzek ulicy stał wspaniały kościół księży *Dominikanów Obserwantów;* pamiętam go dobrze, bo go zwiedzałem wtedy, kiedy był przeznaczony do rozebrania. Plac po nim zakupił ówczesny minister stanu, Stanisław Staszic, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a wzniósłszy gmach piękny swoim kosztem, temuż Towarzystwu na własność podarował.

Z chęcińskiego marmuru wschody z żelaznemi poręczami, odlanemi w rękodzielni krajowéj, wiodły na piérwsze piętro do wielkiéj sali przeznaczonéj na publiczne posiedzenia towarzystwa uczonych; zdobiły ją gustowne płaskorzeźby i sztukaterye, oraz popiersia: Jana Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Albertrandego, Potockiego, Krasickiego i Naruszewicza.

Naprzeciwko miejsca dla członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk przeznaczonego, wznosił się obszerny amfiteatr, mogący pomieścić kilkaset osób.

Biblioteka Towarzystwa wynosiła do 22,000 t.; zdobiły ją portrety: Kopernika, Czackiego, Naruszewicza, Niemcewicza, Hołowczyca, Sapiehy, Bohusza i Dąbrowskiego. Gabinet mineralogiczny zawierał dwa zbiory, podług dwóch systematów, Hauy i Wernera ułożony, odznaczający się nie tak liczbą, jak pięknemi okazami, oraz liczny zbiór muszli.

Zabytków starożytności, z darów obywatelskich nie mały już zbiór zgromadzono; oprócz licznych popielnic, kości mamutowe w Polsce znalezione, głowy słoni, nosorożców, żubrów i inne szczątki zwie-

rząt w ziemi naszéj wykopane lub w rzekach znalezione, tu przechowywano.

Oprócz tego piękny zbiór monet i medalów rzymskich i krajowych, wiele rycin drogocennych, oraz zbiór obrazów.

Na dole przy wschodach marmurowych w nyszach wielkiéj sieni, stały: posąg Kazimierza Wielkiego, w ziemi znaleziony przy robieniu drogi w okolicy *Leśnowoli*, i posąg starożytniejszy, *Baby*, z Chęcin przywieziony a pochodzący z przedchrześcijańskich wieków. Przed gmachem Towarzystwa, w ostatnim roku naszego okresu, który myślą obejmujemy, stanął posąg Kopernika dłuta Thorwaldsena. Przy odkryciu jego w chwili gdy opony opadły, i okazała się postać cała wielkiego astronoma, ta okoliczność szczególniéj była uderzającą wszystkich, że gdy dzień był chmurny i grożący ulewą, w owéj chwili, słońce niespodzianie zajaśniało i głowę Kopernika blaskiem swych promieni oblało.

## XVI.

**Ulica Nowy-Świat.—Trzy Krzyże.—Alee.—Wiejska Kawa.**—Rozdroże.—**Ujazdów.**—**Obserwatoryum astronomiczne.**—**Kazimierz** Brodziński.—**Jego miłość i spowiedź.**—**Szubert.**—**Belweder.**—**Bagatela.**—Szymon Chovot.—**Posąg Jana III.—Zdrój królowéj Anny.—Łazienki królewskie.**—Teatr letni.—**Porwanie Aspazyi.—Szkoła podchorążych.—Pomarańczarnia.**—Droga Jerozolimska.—**Ulica Zakroczymska.—Ogród Rautenstrancha.**—Zdrój.—**Leszno.**—**Kościół Karmelitów.**—**Ludność Warszawy.—Liczba kobiét.**—Rozrost miasta.—**Tradycya o powstaniu Warszawy.—Przedmieście Praga.**—Most pływający.—**Flisy i Oryle, ich podanie o Warszawie.—Wspomnienie.**

Kiedy na początku naszego stulecia idąca ulica Nowy-Świat, świeciła pustkami, bo tylko jeden przy rogu Wareckiéj ulicy znajdował się dom piętrowy, szumnie pałacem książąt Jabłonowskich nazwany, a daléj gdzieniegdzie kamieniczka, resztę zaś stanowiły drewniane dworki i parkany; po ustaleniu się pokoju od 1815 r., z początku zwolna, w następnych latach, szybko, zabudowywać się zaczęła.

Obszerne i wyniosłe gmachy stanęły po obu jéj skrzydłach. Najpiérwéj pomiędzy niemi odznaczał się dom Feliksa Bentkowskiego z dużym ogrodem. Mieszkania zaczęto w nich urządzać z przepychem na owe czasy niesłychanym, i obszernością swoją dziwiące. Były lokale na piérwszém piętrze złożone z kilkunastu pokoi, i te zaledwie ukończone, zaraz wynajęte zostały. Ulica ta najdłuższa ze wszystkich, już Warszawie nadawała pozór europejskiego miasta, i kończyła się dopiero na obszernym placu zwanym „Trzy Krzyże."

Nazwa ta niewłaściwa, bo po prawdzie stoją tylko dwa krzyże, a wśród nich posąg ś-go Jana Nepomucena. Krzyże te postawił marszałek Bieliński. na pamiątkę pokonanych trudności w zabrukowaniu ulic Warszawy. Starzy mieszczanie z Nowego-Miasta opowiadali mi, że był zwyczaj pilnie strzeżony, iż każdy chłopek przyjeżdżający do Warszawy musiał najmniéj chociaż jeden kamień złożyć przy rogatce miejskiéj, gdyż inaczéj wpuszczonym nie został.

Przy Trzech Krzyżach stanął w téj dobie kościół Ś-go Aleksandra przez budowniczego Aignera, budowany w kształcie rotundy. Wymagała tego potrzeba parafian téj części Warszawy, która świątyni Pańskiéj zupełnie pozbawioną była: kościołek bowiem przez Annę Jagiellonkę wzniesiony w miejscu gdzie stanął pałac Belwederski, rozebrano. Już on dla coraz liczniejszych parafian nie wystarczał, bo nie mógł nawet trzystu osób pomieścić. W nimto, słuchiwała mszy świętéj letnią porą rodzina Burbonów, zamieszkując Łazienki.

Za Trzema Krzyżami, wprost idzie szeroka ulica zwana Alee. Lipy w niéj sadzone były za Augusta II-go. Po prawéj ręce biegnie uliczka „Mokotowska," pusta, z samych dworków i ogrodów złożona; po lewéj Wiejska, również pusta, ale co niedziele i święta ożywiona nadzwyczaj przez mieszkańców Warszawy, którzy tłumnie się zbierali do małego dworku drewnianego na wyborną kawę i poncz doskonały. Miejscowość ta nosiła nazwę „Wiejskiéj Kawy."

Latem mniéj było ścisku, ale zimową porą, szczególniéj gdy się sanna ustaliła, od godziny drugiéj po obiedzie do późnéj nocy dzwonki ciągle dzwoniły, bo sanki bez przerwy przewoziły tu gości.

Pokoiki niskie i szczupłe, jak zazwyczaj we dworku drewnianym, przepełniały się mieszkańcami wszystkich warstw Warszawy. Najwyższa arystokracya, jak obywatele i zamożniejsi kupcy i rzemieślnicy tu się gromadzili. Do wybornéj kawy dodawano smaczne *baby*, doskonały poncz zaprawiano *ananasami*. Każdego z tych napojów porcya kosztowała złoty ówczesny.

Wiejska Kawa należała do mody w tych czasach, a właściciel jéj przyszedł do majątku.

Alee miały tylko kilka dworków; po lewéj ręce odznaczał się domek bez piętra zwany pod *Karczochem*, bo na dachu miał jego wizerunek. Po prawéj stronie, od wjazdu z miasta największy ogród był własnością Bandurowskich: słynął on z wybornych owoców.

Przejażdżka lub przechadzka na Wiejską Kawę albo w Alee, liczyły się za daleką wycieczkę za miasto, dla mieszkańców z okolicy Starego lub Nowego-Miasta.

Wpobliżu ostatniego ogrodu stoi jeszcze jak i w owe czasy dom murowany zwany „Rozdroże.“ Na początku XVII stulecia zbiegały się w tém miejscu drogi ze wsi Ujazdowa, przy zejściu których stała karczma zwana „na Rozdrożu.“ Kiedy zakupił król Stanisław August te grunta wraz z gmachami Ujazdowa, wymurował w miejscu zwalonéj karczmy domek bez piętra, a nazwa stara ludowa przyrosła do niego. Tu zawsze przemieszkiwała pani Grabowska, ile razy król z zamku przenosił się na letnie mieszkanie do Łazienek.

Po przeciwnéj stronie Alei i Rozdroża jest plac obszerny zwany Ujazdowem. Tu w odległych wiekach stał dworzec letni książąt Mazowieckich, i kronika jego przypomina napady Litwy i Rusi, których zagony po ten kres dobiegały. Wr. 1262 Mendog i Swarno, w Ujazdowie schwytali księcia Ziemowita i jego syna Konrada. W następnych latach po przyłączeniu Mazowsza do Korony, tu się odbywały wspaniałe dworskie zabawy.

W roku 1578, przy obchodzie zaślubin Jana Zamoyskiego, przedstawiono z przepychem *maszkary*, których pochód przywodził na pamięć postacie mitologiczne, a brała w nich udział najznakomitsza krajowa młodzież. Wtedy zarazem w Ujazdowie w dniu 12 stycznia tegoż roku przedstawiono drąmat Jana Kochanowskiego: *Odprawę Posłów*. Zamoyski wówczas podkanclerzy, dla uświetnienia swoich zaślubin, zapragnął oprócz *maszkar* i teatralnego widowiska. O tym utworze wielkiego poety wiedział podkanclerzy, dlatego list po liście wysyłał nagląc Kochanowskiego o przysłanie rękopismu. Dnia 21-go grudnia 1577 r. otrzymał w Czarnolesiu aż dwa razem listy Zamoyskiego, zabrał się więc co żywo do przepisania rozpoczętego, i zaraz nazajutrz, wykończywszy wysyła. W liście swoim, z wielką skromnością mówiąc o téj tragedyi, wspomina że na wzór greckich dał trzy chóry, i dodaje: „Nie wiem jak to w polskim języku brzmieć będzie.“ Przedstawienie w Ujazdowie w obec Stefana Batorego i jego małżonki Anny Jagiellonki, wywołało zarówno zachwyt jak i podziw, licznie zgroma-

dzonych widzów. Jan Kochanowski w swojém wiejskiém ustroniu, nie słyszał pochwał swego utworu, który jak sam wyraził się, przeznaczył: „molom na pokarm, albo na trąbki do apteki.“

Król Stanisław zabudowania Ujazdowa podarował miastu na koszary, które od r. 1809 zamieniono na szpital wojskowy, i odtąd nazwę przybrały „Ujazdowskiego Szpitala.“ W tym okresie dostawiono jeszcze kilka budynków murowanych, a dawniejsze tak starannie utrzymywano, że zakład ten, pod względem urządzenia i porządku, do wzorowych mógł się liczyć.

Gmachy Ujazdowa stoją na wyniosłém wzgórzu, obok nich idzie spadzista droga wiodąca do Łazienek królewskich. Z przeciwnéj jéj strony na podobnémże wzgórzu, jest Ogród Botaniczny i Obserwatoryum Astronomiczne.

Obserwatoryum gmach okazały, pokryty miedzianą kopułą, która się obraca na wszystkie strony. Kierował budową, i własną pracą i poświęceniem przyspieszył ukończenie jego Franciszek Armiński, professor astronomii w uniwersytecie, i piérwszy dyrektor tegoż Obserwatoryum, które w r. 1825 już do użytku naukowego obrócone zostało.

Obserwatoryum to, szczególnym wypadkiem wpłynęło przeważnie na życie i losy Kazimierza Brodzińskiego. Był on kolegą i przyjacielem Armińskiego. Kiedy ten nieraz jak prosty robotnik pracował, i ukończywszy budowę gmachu, ustawił wszystkie narzędzia astronomiczne, Brodziński z drugimi professorami uniwersytetu często odwiedzali go, ciesząc się wspólnie z tak pięknego zakładu naukowego. Siostra żony Armińskiego, Wiktorya Holly, szczególne wywarła wrażenie na śpiewaka Wiesława. Średniego wzrostu, twarzy pociągłéj, smukła i zgrabna, była to rzeczywiście powabna postać. Brodziński zakochał się w niéj namiętnie, a to uczucie coraz się potęgowało, gdy przez lat blizko dwa, ręki jéj otrzymać nie mógł. Miłość tę gwałtowną, łatwo możemy pojąć, gdy przypomnimy sobie sieroce wychowanie prawie od kolébki Brodzińskiego.

Nie pamiętał on uścisku matki swojéj, do któréj tak rzewnie tęsknił; przypominał sobie jéj tylko postać, jak spoczywała na katafalku; od dziecinnych lat nie doznał nigdy żadnéj oznaki przywiązania i miłości: zazdrościł jak sam wyznaje, gdy widział pieszczoty innych dzieci z ich matkami i siostrami. Zhodowany jak sierota, utraciwszy w dojrzalszych latach na wyprawie do Moskwy 1812 roku, starszego brata Andrzeja, którego tyle miłował, z sercem pełném uczucia które tail w głębi; niedziwota, że gdy znalazł kobiétę młodą i dorodną, co mogła je zrozumiéć, pojąć i podzielić, pokochał ją piérwszą i prawdziwą miłością. Nie pewny jéj wzajemności, z wiosną 1825 r. wyjechał do Włoch, aby odetchnąć po dusznéj miejskiéj atmosferze i troskach sercowych, które mu dojmowały, odrywając od ulubionych książek i pióra. Za powrotem ponowił staranie o rękę swojéj bogdanki, która przyjmowała te zabiegi teraz miléj.

„Co to za głupia rzecz ta miłość (mówił już później do żyjącéj pani Katarzyny z Lipińskich Lewockiéj, gdy o tych czasach wspominał), jak mi przychodziło wchodzić do pokoju panny Wiktoryi, to mi serce biło jak młotem a ręka tak drżała, że nieraz musiałem się cofnąć, aby nabrać animuszu i klamkę poruszyć. To już panna Wiktorya poznała moją nieśmiałość, i nieraz uśmiechając się sama mi drzwi otworzyła, przy których ja stojąc, oburącz za serce się trzymałem.“

Wieść o zalotach Brodzińskiego corychléj zaczęła się rozbiegać pomiędzy młodzieżą akademicką, a do tego, że pan professor ma narzeczoną i o pewnych godzinach bywa w Saskim ogrodzie. Studenci jako młodzi, weseli, a kochający go serdecznie, zaczęli się zbierać gromadnie w tym ogrodzie, aby poznać przyszłą panią professorową. Raz idąc Saskim ogrodem, zatrzymali mnie koledzy w gromadkę zbici, wskazując nieznacznie na postać młodéj kobiéty siedzącéj na ławce głównéj alei.

Niedługo wszedł i nasz poeta, a zbliżywszy się do siedzącéj w towarzystwie swojém, ukłonił się i stojąc długo rozmawiał. Poczém zaczęli przechadzkę razem. Z bocznéj alei spojrzałem na Brodzińskiego: nigdym rzetelniejszego wyrazu prawdziwéj radości i wesela nie widział na obliczu jego, jak w ową porę. Postać pochylona zwykle, przybrała dawną żołnierską minę; postępował prędszym krokiem i zajmującą widać prowadził rozmowę, bo z naszego grona kilku ciekawszych co się wysunęli w główną aleę, aby bliżéj ujrzéć narzeczonych, nie widział wcale, chociaż zdejmowali przed nim czapki!

W tym samym roku poślubił Brodziński swoją narzeczoną.

Obserwatoryum stoi prawie w środku Ogrodu Botanicznego, który przez dyrektora Szuberta urządzony starannie, już zwracał uwagę lubowników i znawców, a zarazem ściągał licznych mieszkańców Warszawy do siebie. Były tam rośliny ze wszystkich części świata zgromadzone: katalog wydrukowany przez Szuberta, powszechnie lubionego i szanowanego, obejmował ich dziesięć tysięcy.

Część tę miasta zamykał i zdobił pałac Belwederem zwany, wzniesiony na miejscu Ujazdowskiego kościółka. Gmach obszerny i wygodny. Pamiętam dobrze, gdy na jego podwórzu zasadzano drzewa, które dziś już wyglądają jak starodrzewy, rozrosły się i cień bujny dają. Wprost Belwederu stał pałacyk z małym ogrodem, zwany „Bagatellą.“ Pierwotnie pusty grunt król Stanisław August, nadał prawem wieczystego dziedzictwa Marcellemu Bacciarellemu malarzowi nadwornemu, który utworami swego pędzla ozdobił zamek warszawski; on tam urządził starannie to piękne ustronie, wybudował willę i ogród dotąd istniejący założył. Po jego zgonie rodzina sprzedała Szymonowi Chovot. Był to jeden z najsławniejszych restauratorów, który zakład swój najprzód miał na Miodowéj ulicy w pałacu pod filarami. Tu też potrafił zebrać znaczny majątek, albowiem do takiego rozgłosu przyszedł, że salony jego bywały codziennie pełne, chociaż potrawy podawano najdroższe. Nie

tylko zamożniejsi mieszkańcy Warszawy, ale cała arystokracya i wszystka szlachta przybywająca do miasta, tłumnie odwiedzała francuzką restauracyą i hojnie płaciła. Poczciwi nasi hreczkosieje nieraz najgorzéj na tém wychodzili, bo *jadło-spisy* były w języku francuzkim i nazwy dziwaczne potraw. Nie każdy znał je lubo znał ten język, to téż gdy z karty kazał sobie którą podać, sam nie wiedział co mu zastawią. Zacny obywatel z pod Rawy, zgłodniały zasiadł u Chovota i tak nieszczęśliwie trafił, że musiał zjeść jajka na miękko, potém jajecznicę, a w końcu lekki omlecik. Grubo zapłaciwszy przeklął Francuza, i pobiegł na Bednarską ulicę pod *Białego Konika*, gdzie połknął dwa obiady z huzarską ulubioną pieczenią, poprzedzone dobrym kieliszkiem anyżówki, a zakończone butelką wybornego piwa *Kazmirusa*.

Nabytą po Bacciarellem willę, Chovot nazwał *Bagatellą* i w pałacyku dawnym wykwintną swoją otworzył restauracyę, ogród zaś urozmaicił w wieloliczne zabawy. Z początku tłumnie Warszawianie zbiegali się tutaj w niedziele szczególniéj i święta. Wiejska Kawa dużo ucierpiała. Bawiło to gości, że mogli się wychuśtać dobrze, i przeważyć własny ciężar, na wadze umyślnie potemu przygotowanéj; ale szał ten po kilku latach przeminął. Wiejska Kawa wróciła do dawnéj wziętości, a Chovot zawiedziony w nadziei stałego powodzenia, w r. 1821 puścił Bagatellę na loteryę i przegrał.

Dwie drogi wiodły do Łazienek królewskich, obiedwie spadziste: piérwsza parowem pomiędzy Ujazdowem a Ogrodem Botanicznym; druga koło pałacu Belwederskiego.

Prowadząca koło Ujazdowa była jedyną wówczas, gdy pałac Belwederski nie istniał i wiodła prosto na most, przy którym widzimy posąg konny kamienny króla Jana Sobieskiego, jak depcze Turków obalonych zwycięzkim rumakiem. Po prawéj stronie drogi wznosił się zdrój czystéj i smacznéj wody zdrojowéj. W roku 1781 Stanisław August zdrojowisko to ozdobnie urządzić kazał. Dawne miejscowe podanie mówi, że ztąd brano wodę dla Anny Jagiellonki siostry Zygmunta Augusta, a małżonki Stefana Batorego, gdy bawiła w Ujazdowie.

Pałac Łazienkowski stoi jakby na wyspie, bo ze wszystkich stron wodą oblany, to dwoma stawami obszernemi, to wązkiemi kanałami. Nazwę swą otrzymał od *łaźni*, która tu od wieków istniała, bo jeszcze za udzielnych książąt Mazowieckich, a używanie łaźni było w powszechnym u nas zwyczaju, do czasów panowania Zygmunta III. Gdzie teraz park się rozciąga, był zwierzyniec ujazdowskiego zamku; przy nim dwór ze stajniami, łaźnią i sadzawką, tudzież ogród i sad słynny z wybornych owoców.

Po przyłączeniu Mazowsza do Korony, zwierzyniec z budynkami należał do królów polskich; dopiéro go Jan Kazimierz darował w r. 1668 Teodorowi Denhoffowi podkomorzemu koronnemu, który go w dziewięć lat późniéj sprzedał Lubomirskiemu, a od téj zamożnéj rodziny w ostatku kupił Stanisław August w piérwszym roku wstąpie-

nia swego na tron polski. We dwadzieścia lat później wystawił tu wspaniały pałac i przyozdobił go zarówno malaturą i rzeźbą, jak obrazami i posągami.

W głównym pałacu zwracała uwagę pyszna *sala balowa*, z posągami z marmuru kolosalnéj wielkości; druga z obrazami Bacciarellego: treścią ich dzieje Salomona, przy którym w otoczeniu zachowane zostały oblicza i postacie najpiękniejszych kobiét ówczesnych. W rotundzie środkowéj stały posągi królów polskich z karraryjskiego marmuru, Kazimierza Wielkiego, Zygmunta I, Stefana Batorego i Jana III, z odpowiedniemi napisami.

Zwierciadła poumieszczane w salach były w ten sposób, że tak na moście posąg Jana Sobieskiego, jak teatr letni i bliższe piękne odbijały widoki.

Od frontu dziedziniec otwarty zdobią posągi i bijąca w górę fontanna. Po lewéj stronie w pobliżu teatr na kępie, oddzielony kanałem od widzów, w pośród drzew okazałych, przedstawia ruiny Palmiry. Miejscem dla publiczności, gdzie się pomieścić mogło od 1200 do 1500 osób, jest amfiteatr w półkole wzniesiony; zdobią go u szczytu posągi celniejszych mistrzów sztuki dramatycznéj z różnych wieków i narodów. Gdy za czasów Stanisława Augusta przedstawiano tu świetne i kosztowne bałety, w okresie naszym dawano opery przeplatane tańcami. Szczególniéj uroczo wydawało się *Porwanie Aspazyi* (z opery *Axur król Ormus*), kiedy gondole z muzyką i urodnemi dziewicami przepływały, a na statku którego maszty i pokład oświecały różnokolorowe latarnie, spoczywała omdlała Aspazya, otoczona świetnym dworem.

Na to widowisko tłum licznych zwolenników zbiegał ochoczo z miasta, w letnie miesiące, gdzie po dziennym skwarze znajdował tu miłą dla oka i ucha zabawę, a oddychał swobodnie balsamiczną wonią parku i napawał się chłodem letniéj nocy.

Na stawie wprost fontanny pałacowéj, pływało liczne stado białych łabędzi i tu się gnieździły. Kiedy wysiadywały młode, samce ze szczególną troskliwością czuwały nad niemi. Pamiętam gdy się jeden z oficerów zanadto zbliżył do wybrzeża, łabędź z taką natarczywością na niego uderzył, że musiał dobyć pałasza, ażeby uniknąć zajadłéj napaści.

W różnych stronach parku łazienkowskiego rozrzucone są pałacyki i domki, gdzie krewni Stanisława Augusta i bliższe osoby z jego dworu przemieszkiwały; takiemi były: pałac *Biały*, *sala Chińska*, gmach kuchenny galeryą z królewskim pałacem połączony i dom *straży*.

Dla przybyłych gości z Warszawy istniała oberża wygodna, restauracya i kawiarnia.

Pomiędzy pałacem a mostem króla Jana III, po prawéj ręce, w murowanym domu bez piętra, mieściła się *szkoła podchorążych*

(pieszych) [1]). Od zjazdu ujazdowskiego na prawo stoi gmach piętrowy, zwany *pomarańczarnią*, gdzie urządzony jest teatr, na którym w uroczystości dworskie grywano zwykle opery, lub przedstawiano balety.

Od kościoła Św. Aleksandra, w téj dobie mało się tu osiedlano. Wytknięto tylko drogę *Jerozolimską* ku rogatkom i Wiśle i wysadzono wyniosłemi topolami. Miasto główną wagę brało zwykłym porządkiem z biegiem Wisły ku Marymontowi.

Na obszernéj równinie ulica Zakroczymska gęsto zabudowana wysokiemi kamienicami i gmachami, a poza niemi słynął piękny i obszerny ogród generała Rautenstraucha. Urządzony był ze smakiem: klomby drzew, stawy i wyspy, wybujałe drzewa go zdobiły. Tu w obszernym domu istniała restauracya i kawiarnia, gdzie także można było dostać i ponczu wybornego. W ogrodzie miałeś karuzele i chuśtawki rozmaitego rodzaju, dla rozrywki młodzieży. Przyjemne to ustronie licznie odwiedzane było przez mieszkańców Warszawy, nietylko w święta, ale i dnie powszednie.

W przedłużeniu Zakroczymskiéj ulicy, na prawo, bliżéj Żoliborza pijarskiego, wznosiła się mała, kształtna, murowana budowla, z urządzonym zdrojem. Woda z niego zalecała się wybornym smakiem i chłodem w letnią porę. Mieszkańcy Starego i Nowego miasta, jak i z pobliższych ulic, tłumnie czerpali ztąd napój tak zdrowy i jak łza czysty: w całym obrębie Warszawy nie było smaczniejszéj wody i jedynie tylko zdrój Anny Jagiellonki przy zjeździe ujazdowskim, mógł iść do współzawodnictwa. Miasto zawdzięczało ten zdrój hojności Stanisława Augusta.

W tę stronę miasta ludność coraz większa napływała i niemasz wątpliwości, że w ciągu lat kilku byłaby ogarnęła i sam Marymont. Przewidywania te zawiodły, bo następnie główną wagę Warszawa wzięła od strony Trzech Krzyży, dotąd opuszczonéj. Pomimo to, nowe budowle, gdy szybko wzrastały na Nowym Świecie, koło banku polskiego i ogromnego gmachu komisyi przychodów i skarbu, piękna i długa ulica Leszno do puściejszych należała. W téj miejscowości w piérwszéj połowie XVII wieku, było miasteczko (Jurydyka) założone w roku 1648, przez Bogusława na Lesznie Leszczyńskiego, generała wielkopolskiego, który od swego nazwiska i od miasta dziedzicznego Leszna, w Wielkiém Księztwie Poznańskiém, tęż nazwę swéj własności nadał.

---

[1]) Szkoła podchorążych konna pod zarządem pułkownika Czarnomskiego, była w pałacu Łubieńskich przy Królewskiéj ulicy. Tu wspomnieć należy o szkołach wojskowych, jak szkole aplikacyjnéj i artyleryi, które mieściły się na Miodowéj ulicy, w konwikcie niegdyś pijarskim Konarskiego, gdzie późniéj sąd apelacyjny i rejenci zajęli miejsce.

Warszawa pochłonęła to miasteczko i zamieniła w swoją ulicę: z niego jednakże utrzymywał się kościół Karmelitów, w r. 1732 poświęcony. W murach tutejszego klasztoru mieściło się od lat wielu więzienie do końca 1830 roku.

Gród nasz w piérwszéj ćwierci tego stulecia dziwne przechodził koleje: ze stolicy Rzeczypospolitéj, liczącéj w roku 1792 przeszło sto dwadzieścia tysięcy ludności, zamieniony w prowincyonalne miasto pod panowaniem pruskiém w r. 1805, miał tylko 68,411. Pałace i większe domy idą w pustkowie i ruinę, bo brakło stałych mieszkańców. Hotele jedynie i domy zajezdne dochód dobry dawały, bo ziemianie drogo zboże sprzedając, w Warszawie nie mało zostawiali grosza. Lubo to były ptaki przelotne, ale często miasto sobie ulubione odwiedzali.

Za wnijściem Napoleona I i powstania Księztwa Warszawskiego, chociaż Warszawa w nowych budowlach nic nie zyskała, ale puste dawne kamienice zaludniać się zaczęły: w roku 1810 liczy już 77,727, a w r. 1825 stałych mieszkańców 126,433. W tym okresie liczba kobiét albo się równoważyła, albo jak w roku 1824 przeważała mężczyzn o 997 głów.

Wielka różnica w téj dobie okazuje się téż w napływie żydów i osiedlaniu się ich w Warszawie; gdy w roku 1807 zamieszkiwało stale do 9,000, w roku 1822 wzrasta do 27,115 ta cyfra.

W miarę rozszerzania się miasta, liczba kościołów zmniejszała, nie odpowiadając potrzebom duchowym jego obywateli. W ciągu lat dwudziestu niespełna, z liczby dwudziestu pięciu swiątyń Pańskich, jużto większych, już mniejszych, zniesiono ośm, a przybył tylko jeden i to szczupły przy Trzech Krzyżach, Św. Aleksandra [1]).

Kiedy mieszkańcy Starego i Nowego Miasta, jak i Krakowskiego Przedmieścia, mieli kościołów podostatkiem: tak na Nowym Świecie, który przybrał postać piérwszéj ulicy Warszawy i całéj téj połaci, jak z drugiéj strony od Zakroczymskiéj, stały zanadto odlegle.

Największe życie odbijające się w części głównéj Staréj Warszawy, w granicach ostatnich po kościół Św. Krzyża, a kończące się w przeciwnéj stronie za kościołem Franciszkanów, teraz zwolna w tym obrębie zaczęło przygasać, a przenosiło się ku Nowemu Światu. Teatr narodowy na Krasińskim placu i ogród Krasińskich dawały przeszło lat dwadzieścia téj okolicy miasta przewagę: wszakże po urządzeniu ogrodu Saskiego i placu przed nim, już się ku nim gwar miejski pociągał.

---

[1]) Zniesiono: 1) Św. Jerzego, przy ulicy Ś-to Jerskiéj; 2) Teatynów, na Długiéj ulicy; 3) Kościół Ś-éj Trójcy, Brygitki przy zbrojowni; 4) Jezuitów przy Farze; 5) Karmelitki, gdzie Towarzystwo dobroczynności na Krakowskiém Przedmieściu; 6) Dominikanów Obserwantów; 7) Kościół ujazdowski; 8) Benonów.

Ogród Saski wabić zaczął cały świat modny do siebie. Położony więcéj w środku miasta, daleko obszerniejszy z mnóstwem starodrzewu, wziął przewagę nad Krasińskim. Parady wojskowe na Saskim placu codziennie odbywane, ściągały wielką tu liczbę mieszkańców.

Warszawa traciła lubo zwolna wydatne cechy swoje jako średniowieczne miasto, a pozbyła ich zupełnie wraz z obaleniem ostatnich zabytków dawnych warowni. Części oddzielne grodu Mazowsza zaczęły się zlewać harmonijnie w ścisłą całość, jak Starego Miasta z Krakowskiém Przedmieściem, a tego z Nowym Światem.

W charakterystyce samego mieszczaństwa, już wybitne pokazywały się rysy i szczerby: dzień za dniem znikały ich typowe postacie. Tylko w procesyach, gdzie udział brały cechy miejscowe, spotykałeś wizerunki jeszcze przypominające oblicza, postawę i ubior starych Warszawian z czasów Zygmuntowskich.

Dawna tradycya pomimo to miała gościnne przyjęcie u ogniska domowego, w rodzinach szewców, rybaków i rzeźników warszawskich, jak i obywateli-mieszczan, co po pradziadach nie opuścili tu swego gniazda.

Z upodobaniem ojcowie synom, a matki córkom powtarzały stare podanie o początku nazwiska Warszawy:

„Kiedyś! kiedyś! okalały Warszawę ogromne puszcze, nieprzebyte lasy i zapadłe knieje. Rad w nich polował Kazimierz król polski, ale odbiwszy się raz od orszaku swoich myśliwych, zabłąkał się i wycieńczony trudem, głodem i pragnieniem, zaledwie o północy ujrzał lepiankę zapadłą w ziemię, w któréj się świeciło z kominowego ognia. Kiedy wszedł do téj ubogiéj chaty, znalazł w niéj matkę, która świeżo bliźnięta powiła. Dobry król trzymał je do chrztu świętego, jedno z nich *War*, drugie *Sawa* nazwał. Hojnie rodziców obdarował, którzy téż lepsze domostwo wybudowali sobie i gospodarzyli na kawale ziemi, jaki otrzymali od tego króla. Wnet przy nich zaczęło się więcéj ludzi osiedlać tak, że powstało miasto, które od owych bliźniaków zostało nazwane *Warsawa*, jak ją dotąd mazury mianują.“

Przedmieście Praga po drugiéj stronie Wisły położone, w tym okresie było lichą mieściną. W roku 1794 spalone do szczętu, zachowało z téj klęski ocalony kościół Dominikański, gdy w roku 1806 weszła armia francuzka. Jéj inżynierya, pod względem strategicznym uważając tę świątynią za niedogodną, rozebrać ją kazała, zostawiając tylko małą kapliczkę dotąd stojącą. Na świadectwach cechów cieśli i stolarzy, stara Praga, w dawnym stanie jest przedstawiona. Z nich się okazuje, że była już miastem porządném, posiadała kilka kościołów i wiele domów murowanych. Od roku 1815 zaczęła się nieco podnosić, ale ten wzrost był bardzo powolny. Tu się odbywały duże targi na bydło, a w piątek na konie do południa; po obiedzie, konie niesprzedane przeprowadzano do Warszawy na targ do Muranowa.

Pragę z Warszawą łączył most pływający na łyżwach. Niepewną i nietrwałą była ta komunikacya, gdyż przy każdym większym

przyborze wody na Wiśle, albo gdy lody na wiosnę puszczały, zbierano ten most i tylko promami i większemi krypami łączność utrzymywano. Gdy w owe czasy Podlasie główną było śpiżarnią Warszawy, cena produktów wszelkich nadzwyczajnie szła w taką porę wysoko, i wszyscy błagali Opatrzności, aby corychléj most mógł być przywrócony.

Praga, lubo często ulegała zalewom rozhukanéj rzeki, miała jednak szerokie wybrzeża, bo prąd Wisły nie parł w tę stronę tak silnie. Pamiętam dobrze przed ogródkiem „Glińskich," gdzie się schodzono na wyborne raki i kurczęta, plac tak obszerny, że cały batalion piechoty wygodnie się mustrował.

Długo nie zalecało się nasze miasto ani oświetleniem, ani dobremi brukami. Pierwszy Wojde prezydent, który zaczął szczerze myśléć o gwałtownych potrzebach miasta, i oile możności takowe zaspakajał. Dopiero w roku 1816 pokazały się pierwsze latarnie olejne, gdy przedtém, Pan Bóg tylko jasną nocą, lub księżycem na pogodném niebie przyświecał Warszawianom. Wiele ulic dostało bruk i nie topiliśmy się w błocie. Po staremu jednakże na hasło pożaru, stróże nocni obchodząc ulice, przeraźliwém grzechotaniem rozszerzali trwogę, do czego przyczyniały się i odgłosy dzwonów kościelnych na gwałt bijących!

Wśród przemian i upięknień jakie Warszawa w tym okresie przechodziła, zapowiadając że ma prawo wyrość na wielkie miasto, i zająć miejsce pomiędzy europejskiemi, rozległe wybrzeża Wisły jak i ulica Rybaki w niczém swéj charakterystyki nie zmieniły od wielu wieków. Po staremu mieszkańcy tutejsi zajmowali się to rybołóstwem, to przewózką galarami, krypami, lub łodziami. Dla nich każde zerwanie mostu, lub zdjęcie go tylko, przynosiło piękny zarobek, bo wtedy wszystko co żyło brało się do wiosła, nie mogąc nadążyć licznym żądaniom przeprawy to z Warszawy na Pragę, to z Pragi do Warszawy. Wśród rybaków warszawskich, najgłośniejszą w tych czasach była rodzina Sitkiewiczów, zarówno zamożna jak szanowana powszechnie, a osiadła tu od niepamiętnych czasów. Z ojca na syna przechodziło u niéj wraz z mieniem i zawodem, dobre i poczciwe imię.

Lubiłem błądzić po wybrzeżach ukochanéj Wisły, od chwili gdy pękły lody i białe fale szumiały przez wiosnę i lato do późnéj jesieni. Gwar miasta tu gasł, a majestatyczna cisza panowała w około, tylko ptastwo ją zamącało, albo pokrzyk *retmana*, co na małéj i kruchéj łódce płynąc szybko, wiosłem jak buławą, wskazywał zdala za sobą płynącym flisakom wodny gościniec. Kiedy przybił do przystani i na ląd wyskoczył, ujrzałeś wtedy tratwy i galary pełne zboża i drzewa, jak w takt uderzając *drygawkami*, wskazaną drogą w jego ślady podążały.

Co za radość, kiedy dotknęli nogą ziemi, jakie życie w tych dziarskich żeglarzach!

Pomiędzy nimi i rybakami warszawskimi, inne krążyło podanie o początku nazwiska Warszawy.

W przystani bliżéj mostu na wzgórzu, bo nad brzegiem Wisły, mieszkała przed laty *Ewa* uboga niewiasta, która oczekując od pierwszéj wody ze skowronkiem, przybycia flisów z góry rzeki, miała zawsze gotowe sytne i smaczne dla nich potrawy, aby tylko do ognia przystawić. To też każdy retman zdala nawoływał:

„*Warż* (gotuj) *Ewa! Warż-Ewa!*“

I z tego zrobiła się Warszawa. Pomimo to, Mazury w piosnkach swoich, ulubione miasto pieszczotliwie nazywają *Warsewką* albo też *Warsęgą!*

Najpiękniejszy a dziwnie malowniczy obraz stawał przed oczyma w pomroce wieczornéj, kiedy flisaki rozpalili ogniska na galarach i tratwach dla ugotowania sobie jadła na wieczerzę. Zdala patrząc zdawało się, że błędne ogniki migają z fal wody, a tu im wtórzy melodya ludowa, to na lipowych skrzypkach, to na fujarce, połączona z ochoczą pieśnią orylską.

Po dziennym skwarze, miły chłód na powiślu, świeżość powietrza, gra i śpiew tak prosty, a tak chwytający za serce, rozkoszą napawały zawsze duszę młodą.

W tak uroczéj chwili bez troski i kłopotliwéj myśli, nad wybrzeżem białych fal twoich Wisło, snułem marzenia o błogiéj przyszłości! Drogę jéj, na pielgrzymkę światową, posypywała mi uśmiechnięta nadzieja, kwiatami pełnemi barwy i woni, nie ostrzegając wcale, że miejsce ich zajmą kolące ciernie i głogi!

## PRZYPIS.

Przytaczamy różne podania o zabytkach warszawskich, jakie nas doszły: jeżeli niektóre okażą się mylne, chętnie je sprostujemy, gdy kto dokładniejsze da objaśnienie. Podajemy więc sprostowanie co do kamienicy *Roeslera* przechodniéj na Krakowskiém Przedmieściu i *wałów* naprzeciwko banku polskiego, nadesłane nam przez p. Wilhelma Kolberga.

„Dom Roeslera nr. 451 do Radziejowskich nie należał. Był to od r. 1500 dwór Grzybowskich, w r. 1656 spalony. Nabył rumowisko w r. 1731 Lupi i wystawił pałac, który w r. 1750 przeszedł do Małachowskich; był to budynek w dziedzińcu, od ulicy oddzielony bramą przedstawioną na rycinie „Placu przed XX. Bernardynami“ przez *Canaletto*. Roezler dopiéro w r. 1784 ten pałac kupił i kamienicę jaką widzimy wystawił. Dwór Radziejowskiego był tam, gdzie później stanęła kamienica *Wizytkowska* nr. 389.

Wały naprzeciw banku były częścią fortyfikacyi sypane, z rozkazu Zygmunta III, w r. 1621 po klęsce pod *Cecorą* dla obrony miasta; nie są więc zabytkiem zarazy morowéj z r. 1712. Służyły jednak i do ubezpieczenia się od zarazy, która w roku 1622 w kraju panowała i w tym roku były uzupełniane. Pomimo to zaraza w r. 1624 i 1625 przeniosła się do miasta i wiele ludzi wówczas wymarło. W takimże celu odnawiane były te wały w r. 1675 i 1677.“

---

yskoczył, ujrzałeś wtedy tratwy i g
takt uderzając *drygawkami*, wska

o za radość, kiedy dotknęli nogą zi
eglarzach!

3 2044 046 588 067